

MOJA

MAŁA

TRYLOGIA

Beniamin Muszyński





MOJA

MAŁA

TRYLOGIA

Benjamin Muszyński



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Beniamin Tytus Muszyński

**Moja mała trylogia**

## **Inne publikacje Beniamina Muszyńskiego:**

### **Gry książkowe:**

1. *Ostatni kurs* (2008)
2. *Dinara: Prastare szczyty* (2008)
3. *Szklana twarz* (2009) [zawiera krótką powieść rozszerzającą świat gry - *Megiddo. Opowieść o władzy*]
4. *Marcewo* (2010)
5. *Afrykański świt* (2010)
6. *Incydent* (2010)
7. *Janek. Historia małego powstańca* (współautor: dr Maciej Słomczyński) (2010)
8. *Zaginiony* (2011)
9. *Prywatne śledztwo* (2011)
10. *Plaga* (2011)
11. *Pokuta* (2011)
12. *Tło* (2012)
13. *Uwikłana* (2012)

### **Powieści:**

1. *Hipoteza* (2013)
2. *Fantasmagorie* (2015)

### **Opowiadania:**

1. *Przebudzenie* (2012)
2. *Witraż* [zbiór wybranych tekstów z lat 2006 -2013]

Niemal wszystkie wymienione teksty opublikowane zostały nakładem Wydawnictwa Wielokrotnego Wyboru.

Chcesz je przeczytać? Odwiedź:

[www.masz-wybor.com.pl/ksiegarnia/](http://www.masz-wybor.com.pl/ksiegarnia/)

**Tryby**



*Wojtkowi*

# Prolog

*Stolica, wczesna wiosna, samo południe. Rok 1991.*

Malutkie ludzkie figurki krążyły po betonowej płycie placu, ponad sto pięćdziesiąt metrów poniżej gzymsu, na którym stał młody chłopak. Dominik nerwowo przyglądał grzywkę, nieustannie targaną przez chłodny, niosący jeszcze echa mroźnej zimy wiatr. Ledwie krok dzielił go od upadku. Kilkanaście centymetrów, wybór pomiędzy cykliczną udręką, trwającą od przebudzenia po zaśnięcie, a spokojnym niebytem. Musiał działać szybko, lada moment mógł tu dotrzeć jakiś mściciel. Policjant, psycholog, może nawet kapłan. Ktoś, kto będzie wiedział co i kiedy powiedzieć, żeby zasiać wątpliwości. Nie mógł sobie pozwolić na ingerencję kogoś takiego w swój umysł. W tej chwili był absolutnie pewny tego, co chciał zrobić. Nic innego nie miało już znaczenia. Tymczasem ludzie stojący kawałek za nim, stłoczeni przy siatce zabezpieczającej, coś krzyczeli. Banały o życiu i szansach zlewały się w jeden terkot podekscytowanego tłumu, miotającego słowa jak dobrze wyregulowany karabin. *A takiego wała!* – mruknął do siebie Dominik, dodając na głos:

– Mam nie skakać? Gówno prawda! Tylko na to czekacie, sępy. I dostaniecie swój ochłap ścierwa, możecie je sobie nawet wyrwać z tego, co ze mnie zostanie tam, na dole.

Pogoda tego dnia była zwyczajnie dobra na umieranie. Do tego pochmurne, dostojne niebo, gdzieniegdzie przecięte jasnymi kolumnami światła. W pewnej chwili, w zwartym kłębowisku chmur, powstała kolejna szczelina, przez którą przebiło się światło słoneczne, zalewając skoczka jasnym, złocistym blaskiem.

– Jak w pieprzonym filmie! – krzyknął chłopak, szybko kucając na krawędzi.

Teraz nie mógł zwlekać już ani chwili, lepszej scenerii już mieć nie będzie. Napiął mięśnie nóg i jednym, gwałtownym susem pomknął przed siebie, rozkładając beztrosko ramiona w triumfalnym geście. Gdzieś za nim gruchnął pomruk rozgorączkowanego tłumu, zdawało mu się też, że słyszał trzask aparatów.

– Udanych zdjęć, sukinsyny! – wrzasnął.

To były kiepskie ostatnie słowa. Ale czy one zawsze muszą mieć jakieś specjalne znaczenie? Każda śmierć ma swoje własne prawa, a człowiek pozostaje wyjątkowy do samego końca. Zawsze. Zresztą, co właściwie mógłby powiedzieć światu osiemnastoletni chłopak, w dniu swoich urodzin skaczący w kolumnie światła z najwyższego budynku w Kraju? O tym, jak dobrze skomponują się daty na płycie cmentarnej? Może coś więcej. Ale bezwładne ciało Dominika, po szybkim locie, rozbiło się już doszczętnie o beton.

# Rozdział I

*Miasteczko na południu Kraju, 28 listopada, popołudnie. Rok 2000.*

Dziwne. W mieście nie było niemal żadnych oznak rewolucyjnej pożogi, trawiącej kraj przez ostatnie sześć lat. Wpatrzony w okno służbowego samochodu młody mężczyzna doskonale pamiętał takie obrazy; obalone posągi, zerwane tablice z nazwami ulic, zdemolowane mieszkania, spalone wraki samochodów. Chaos. Wprawdzie od zakończenia walk minął już prawie rok, lecz mimo wszystko wciąż dało się wyczuć gorącą atmosferę tamtych dni. Gdzieś w ścianach budynków zostały pojedyncze, niezalutane jeszcze ślady po kulach, puste cokoły czekające na nowe posągi, jakieś górnolotne bazgroły na murach. Drobne, lecz głębokie rysy na powierzchni codziennego życia. Tutaj, w tym leciwym miasteczku, ostatnim większym skupisku ludzkim na południowo-wschodnim krańcu Kraju, było inaczej. Zupełnie jakby mieszkańcy spokojnie pozdejmowali z widoku zakazane symbole i gdzieś je ukryli. Bez oporu, bez walki, tak samo beznadziejnie uległe jak żyli. Wiktor westchnął ciężko, karcąc się w myśli za takie podejście. Może tylko dla niego, urodzonego i wychowanego w stolicy, gdzie najgorętszy okres walk ulicznych przebiegał jak na regularnej wojnie, to miejsce sprawiało wrażenie nieznośnie spokojnego. Przed wyjazdem przejrzał przecież najważniejsze statystyki i wiedział, że tutaj też polała się krew. I właściwie wciąż płynie. Białe województwo – tak nazywają te okolice. Głupi, ponury żart z rzek krwi wylanych na te ziemie w ostatnich latach.

– Niedługo będziemy – burknął niespodziewanie kierowca, mężczyzna w średnim wieku o wyjątkowo nieprzyjemnej, pokrytej lekką szczecina twarzą.



– Doskonale – odparł wystudiowanym, urzędowo grzecznym tonem pasażer.

Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje z oddelegowanym na jego potrzeby szoferem. W ogóle nie miał ochoty niczego robić. Tyle tylko, że gdyby nie wziął na siebie tego zadania, to ktoś inny mógłby je spartolić. A tego by sobie nigdy nie przebaczył. Niedbałym ruchem włączył radio. Z głośników popłynął jakiś popowy kawałek, zduszony natychmiast lekkim obrotem gałki. Na kolejnej stacji spokojny głos, najwyraźniej należący do jakiegoś historyka, z powagą tłumaczył słuchaczom:

–...to arcyważna data w najnowszych dziejach naszego narodu. Za dwa dni minie równo rok od zakończenia walk z przeciwnikami traktatu. To swoisty paradoks, że chociaż zaczęliśmy rewolucję, podnosząc do walki cały kontynent, a nawet świat, tymczasem w większości państw walki, jeśli w ogóle wystąpiły, trwały najwyżej dwa, trzy lata.

– To rzeczywiście ciekawe – wtrąciła prowadząca program kobieta, tonem niezdradzającym większego niż wymuszało na niej stanowisko zainteresowania.

– Mruh – sapnął niezrozumiale mężczyzna, wracając do przerwanego wywodu – kiedy w 1981 upadł Związek Radziecki, a triumfująca Ameryka po ledwie kilku miesiącach pogrążyła się w otchłani długów wywołanych kosmiczną wręcz skalą wyścigu zbrojeń, nasz świat uległ nieodwracalnej zmianie. Zupełnie, jakbyśmy nagle weszli w okres post historyczny, skończyła się wielka, niewypowiedziana wojna i nie było zwycięzców. Do pierwszego czerwca 1988 wszystko po prostu trwało, dopiero te kilka pocisków termojądrowych na Bliskim Wschodzie nas przebudziło.

– Czy uważa pan, że ówczesna zbrojna interwencja niemal całej społeczności międzynarodowej w ten, skądinąd lokalny konflikt, może być nazwana krucjatą?

– To modny ostatnio termin. W pewnym sensie nawet prawdziwy, ostatecznie starcie szybko nabrało przecież cech religijnych, kiedy podział sił uformował się według kryteriów wyznawanej wiary, a nie przynależności do sojuszków międzynarodowych.

– Coś pomyliłem – stwierdził kierowca, parkując na poboczu, aby wydobyć ze schowka mapę.

Wiktor zignorował go, słuchając z wytężoną uwagą audycji.

– ... kiedy terror religijny po obu stronach nabrzmiał do stopnia zagrażającego porządkowi publicznemu, rządy musiały jakoś zareagować – kontynuował profesor. – Rozejm zawarty na warunkach innych niż delegalizacja wszystkich organizacji religijnych, mógł nie być trwały. Rozwiązanie przyjęte w 1994 roku było słuszne, przecież każdy ma wolność wyznania, po prostu nie należy obnosić się ze swoją wiarą, modlitwa w domu jest równie skuteczna, jak w świątyni. A większość zwyczajów religijnych świata i tak pochodzi jeszcze z czasów babilońskich. O dziwo, podporządkowanie się tym wymogom łatwiej przyszło szeroko rozumianej cywilizacji wschodniej, niż nam.

Samochód ponownie ruszył, chociaż pochłonięty słuchaniem Wiktor nie zarejestrował w świadomości tego faktu.

– Czy jest pan osobą wierzącą? – zapytała niespodziewanie kobieta. – Słysząc dziś wiele głosów, że mimo deklarowanej wolności wyznania, po zwycięskiej, globalnej rewolucji zwróconej przeciw otwartemu kultywowaniu religii osoby przyznające się do zachowania wiary są atakowane.

– Bzdura. Nie ma mowy o żadnych atakach! Każdy może wierzyć w co chce, ważne, żeby nie istniały oficjalne, zhierarchizowane struktury religijne, każdy jest teraz dla siebie kapłanem.

– Ale to de facto robi z każdego agnostyka. Ile ludzi, tyle spojrzeń na wiarę. To wprawdzie rozwijające, ale wiele osób nie posiadających natury skłonnej do poszukiwań prawdy objawionej przyzwyczało się właśnie do zhierarchizowanych form wielbienia.

– Świat się zmienia, ludzie muszą nadążyć za postępem.

– Albo?

– Albo znów wybuchną bezsensowne wojny! Te parę pocisków termojądrowych użytych w ostatnim konflikcie to rany, które ziemia będzie zwalczać stuleciami!

– A jakie jest pana stanowisko w sprawie najnowszej interpretacji udziału naszego Kraju w wybuchu ogólnoświatowej nagonki na religię? Czy zgadza się pan z tezą, że traktat ONZ był pierwotnie w zasadzie tylko ograniczeniem wpływu religii na politykę państw świeckich?

– Co pani przez to rozumie?

– Powtarzam tylko opinie innych badaczy. Czy w ich świetle nasza rewolucja, mająca na celu wprowadzeniu traktatu w życie, mogła być niepotrzebną iskrą, która doprowadziła do eskalacji przemocy?

Wiktor, nie czekając na ripostę naukowca, wyłączył odbiornik. Liczył na ciekawszy rozwój audycji, tymczasem wszystko zmierzało w ten sam punkt. Wieczne kłótnie o to, czy traktat ONZ, znoszący organizacje religijne, był słuszny. I to wszystko rok po zakończeniu krwawych walk o jego obronę! Ten Kraj nigdy się nie zmieni, zawsze musiało istnieć tu coś, na co można by było narzekać. Coś, co mogłoby wzbudzić nienawiść. Po prostu musiało.

– Jesteśmy – zakomunikował sucho kierowca.

Pasażer skinął głową i bez słowa wysiadł. Wyjął z bagażnika swoją torbę podróżną i ruszył w stronę czteropiętrowego, niebieskawego budynku o pokruszonej elewacji, na tle której wyróżniały się stosunkowo

nowe, wielkie czerwone litery ułożone w napis „Hotel Turysta”. Służbowy samochód właśnie odjeżdżał, gdy młodzieniec wyobrażał sobie wyraz satysfakcji na twarzy kierowcy. *Zazdrosny buc, pewnie boli go to, że musi wozić kogoś dwa razy młodszego od siebie, kto zajmuje stanowisko, o którym on może tylko pomarzyć. Kto wie, może właśnie dlatego rewolucja się udała? Bo miliony takich stłamszonych przez życie ludzi chwyciło za broń, celując w tych, którzy zajmowali, w pewnym stopniu, wyższe stanowiska. Kapłani i ich poplecznicy nie byli właściwie elitą. Mieli wprowadzić swój stopień poparcia społecznego, czyli władzy, ale ich możliwości wpływania na los szarego człowieka, w porównaniu z, na przykład, biznesmenami, były skromne. Cóż, tym razem po prostu padło na religię. Ktoś w końcu musi obrywać, żeby ten cyrk jakoś się kręcił.* Ciałem młodego mężczyzny wstrząsnął dreszcz, nie powinien dłużej stać na zewnątrz. Z tą myślą ruszył w stronę głównego wejścia, zastanawiając się, jak przywita go stary przyjaciel. O ile po sześciu latach utrzymywania jedynie sporadycznych, ograniczonych do wymiany listów i okazjonalnych rozmów telefonicznych kontaktów można było jeszcze mówić o przyjaźni.

Wiktor przystanął na moment przed niezwykle wysokimi, przeszklonymi drzwiami hotelu, ozdobionymi ornamentami z kutego żelaza. *Misterna robota – pomyślał z podziwem – przedwojenna szkoła.* Całkiem możliwe, że kiedyś te wrota stały gdzie indziej. Jakoś nie chciało się uwierzyć, że ktoś trudił się specjalnie dla ozdobienia prowincjonalnego hoteliku. Pomyślał, że być może wewnątrz budynku było równie imponujące i dopiero niedawno przeznaczone zostało na potrzeby turystyki. Nie było. Prosty, niemal ascetyczny wystrój i betonowy hol pokrywały się z wyobrażeniami mężczyzny o tym miejscu. Za ladą recepcyjną nie było nikogo, a klucze do poszczególnych pokoi wisiały na haczykach wbitych w dużą, pomalowaną na czarno sklejkę. Obok, za



półprzymkniętymi drzwiami, musiało znajdować się pomieszczenie dla pracowników, albo coś w tym rodzaju. Wiktor odłożył bagaże i uśmiechnął się ironicznie. Jeśli Wojtek nie zmienił się przez te wszystkie lata, to z pewnością uważa to miejsce za coś wspaniałego. *Niereformowalny poeciarsz. Ciekawe, czy nadal ma na głowie burzę jasnych loków?*

– Halo! – zawołał donośnie.

– Już, już! – odpowiedział głos z kantorka. – Idę!

Zza drzwi natychmiast wyłonił się wysoki, młody mężczyzna o delikatnych, niemal chłopięcych rysach, z niesforne rozwianą czupryną. Zupełnie nie pasował do granatowego, służbowego garnituru, który nosił.

– Wiktor?! – wydusił z siebie zaskoczony. – Mogłeś uprzedzić, że przyjeżdżasz! W ostatnim liście pisałem ci, żebyś wpadł któregoś dnia, ale szczerze powiedziawszy, nie myślałem, że to zrobisz. Czekał, dostaniesz najlepszy pokój!

– Spokojnie, mam już rezerwację.

– O. W takim razie musiałeś ją składać naszej dyżurnej recepcjonistce. Pracuje tu na pół etatu i nie jest specjalnie pilna, więc mogła nie wpisać tego do książki. Inaczej na pewno zauważyłbym twoje nazwisko. W końcu jestem tu kierownikiem, na bieżąco kontroluję wszystkie papierkowe sprawy.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć. Pan kierownik Wojciech. Zawodowo hotelarz, prywatnie gorzej niż morderca, bo artysta. Poeta!

– Śmieję się, śmieję! Mój tomik kupiło już sto dwadzieścia siedem osób!

– W tym ja. Świetna rzecz, naprawdę. Gratuluję.

– Dzięki. Ogólnie widziałeś jak to wygląda, opisuję świat drugiego obiegu, takie miejsca jak to, pracujące na pół gwizdka na granicy upadku. A ten hotel to prawdziwa skarbnica takich tematów!

– Podejrzewałem, że to miejsce ci się podoba. A skąd wzięłeś pomysł na taki tytuł?

– *Cewka* dobrze brzmi.

– Skoro tak mówisz. W każdym razie mam rezerwację, chociaż nie robiłem jej osobiście.

– A wiesz na jakie nazwisko?

– Żadne. Instytut Porządku Publicznego.

– To... – rozmówca zamilkł na chwilę, jakby szukał jakiegoś stosownego zwrotu – ... nieoczekiwane – dokończył niepewnie. – Nie wspomniałeś o tym w listach.

– Pisałem, że pracuję w strukturach rządowych.

– Rzeczywiście – przyznał hotelarz z wyrazem twarzy jakby spodziewał się, że jego rozmówca zaraz wybuchnie śmiechem i wszystkiemu zaprzeczy.

– Tak się złożyło.

– No tak. Faktycznie, czekałem dziś na kogoś z... stamtąd. Dlatego ubrałem się oficjalnie.

– Ech, więc to prawda, co mówią. Ludzie rzeczywiście zaczynają się tłumaczyć ze wszystkiego podczas rozmów z naszymi. Spokojnie! Wojtek! To nadal ja. Poza tym nie pracuję w terenie, jestem ekspertem od PR.

– PR?! To bezpieka ma swój dział marketingowy?!

– Jaka tam bezpieka. W każdym razie dziś bez dbania o wizerunek nie ma niczego, nawet terroryści mają swoje nielegalne stacje radiowe i telewizyjne. Ja po prostu tłumaczę ludziom, dlaczego Instytut musi działać tak, a nie inaczej. Dla ich dobra.

– Z tym muszę się zgodzić, rzeczywiście w Kraju lepiej się dzieje od czasu, jak was powołali. Ale rozumiesz, IPP powstał niby po rewolucji, ale

biorąc ludzi z dawnego NWBN<sup>1</sup>. A tamtych wszyscy się zwyczajnie boją. I nie bez powodu.

– Wiesz, ktoś musiał wtedy brudzić sobie ręce. Ale dosyć o polityce, mam to na co dzień w biurze!

– W porządku, pogadamy o starych czasach.

– O tak. A jak przy tym temacie jesteśmy, to ostatnio skończyli wymieniać płyty na cmentarzu. Stolica już prawie zaleczyła swoje rany. Dominik leży teraz pod nowym dachem.

– A rodzina?

– Bez zmian, gnoje. Tylko czasem ja albo ktoś z naszej starej paczki chodzi doglądać grobu. Dla tych fanatyków ich syn nie istnieje, przecież miał grzeszną śmierć.

– Nadal nie potrafią pojąć, że skoczył z ich powodu?

– Myślę, że doskonale o tym wiedzą. Po prostu wolą wierzyć w to, że ich pierworodny uległ złym siłom, niż przyjąć do wiadomości proste fakty.

– Pewne rzeczy są, niestety, nie do ruszenia. Dobra, dosyć tego stania, chodź, chodź. Już prawie zima, ruch tutaj jest niemal zerowy, nie licząc jakichś okazjonalnych zawodów sportowych, możemy w spokoju pogadać w socjalnym. W sumie dziś czekałem tylko na wysłannika z Instytutu. No i się doczekałem.

Wojtek uśmiechnął się szczerze, na co jego rozmówca również odpowiedział szerokim uśmiechem, zdając sobie sprawę, że nieświadomie przybrał właśnie jedną z min, jakie stosował zwykle na konferencjach prasowych. Niewerbalny sygnał o czystych intencjach. Medialna, błyszcząca tarcza, chroniąca rzesze oddanych oficerów terenowych z rękami po łokcie umazanymi we krwi.

– A właściwie dlaczego tutaj przyjechałeś? – spytał poeta.

– Tajemnica służbowa – odparł markotnie PR-owiec.

Pomieszczenie służbowe było małe i całkowicie zagracone. Walały tu się jakieś dokumenty, stare kalandrze i wszelkiej maści papiery. Przybory biurowe, przemieszane z kuchennymi, stały stłoczone na odrapanym stole, przy którym usiedli rozmówcy, odgarniając niedbale rzeczy, żeby zrobić miejsce dla rąk.

– Ach! Na śmierć zapomniałem! Wszystkiego najlepszego, przecież trzy dni temu były twoje urodziny! – wykrzyknął Wojtek.

– I wzajemnie, tobie też przekreślił się licznik w tym miesiącu.

– Tak, trzeciego. Śmieszne. Mamy po dwadzieścia osiem lat, a czuję się znacznie starszy.

– Przeżyliśmy tyle, co dwa pokolenia, co tu się dziwić. Nie wiem jak tutaj, ale w stolicy było piekło. Prawdziwa wojna, jak w filmach.

– Chyba tego właśnie bali się moi rodzice, kiedy zdecydowali się wtedy przeprowadzić na to zadupie.

– Jak to tutaj wyglądało?

– Niezbyt efektownie. Trochę strzelania, ze dwie publiczne egzekucje jakichś biedaków złapanych na pomaganiu przeciwnikom traktatu. W sumie najwięcej problemów było z przerwami w dostawie wody i prądu. Gorzej jest teraz, kiedy w lasach działają biali.

– Ci od tej prorokini?

– Tak. Święta Sara i jej wyznawcy robią tu niezły burdel, szczególnie jak zaczęli podkładać te swoje bomby pod budynki administracji. Zabili już trzech policjantów.

– To tylko nawiedzona dziewczyna bawi się w świętą, nic poza tym. Myślę, że po zimie wszystko ustanie – skłamał płynnie Wiktor, zastanawiając się, czy jego rozmówca rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z reperkusji, jakie wywołują w całym Kraju działania miejscowej „świętej”.



– Ciekawe, czy rzeczywiście jest niewidoma?

– I czy jest dziewczcą?

– Uwaga godna Dominika!

Mężczyźni uśmiechnęli się smutno na odległe wspomnienie rubasznych żartów, w których specjalizował się ich przyjaciel.

– Ciekawe, czy spodobałby mu się taki świat? – zaczął niepewnie Wojtek.

– Myślę, że zdecydowanie tak. Gdyby się nie zabił, pewnie za rewolucji zabijałby na potęgę obrońców systemów religijnych. Zawsze było w nim coś dzikiego.

– To może i lepiej, że tego nie doczekał.

– Niby dlaczego?!

– No wiesz, nie ma krwi na rękach.

Wiktor chciał coś powiedzieć, ale zdecydował się nie kierować rozmowy na tory polityki. Wojtek miał swoją wizję świata, którą przelewał na papier w wierszach. Nie rozumiałby innego punktu widzenia. A może rzeczywiście praca w Instytucie, nawet z dala od „zadań terenowych”, tak wpływała na człowieka? Wiktor nigdy nie pomyślałby o przelaniu krwi w ten sposób. Nie spytałby „czy?” tylko „ile?”. Lepiej mieć na składzie dziesięciu martwych bandytów, niż sto ich cywilnych ofiar. To czysta matematyka. A on zawsze był, aż do bólu, umysłem ścisłym.

\*\*\*

Mały, prosty pokój zawierał wszystko, co było niezbędne do przemieszkania w nim przez jakiś czas. Łóżko, szafa, mały stół, półka, schludna łazienka z przyzwoitą kabiną prysznicową. Przytulne minimum. Niedawna rozmowa z, jak się okazało, wciąż przyjacielem,

poprawiła Wiktorowi nastrój. Wspomnienia dawnych, złotych czasów, gdy cała ich ekipa, zwykła banda zbuntowanych dzieciaków, działała jak jeden sprawny organizm. A teraz człowiek dotkliwie czuł brak nogi, ręki, serca... Wiktor podszedł do okna. Przez brudną szybę widać było kłębiące się nad miasteczkiem ciężkie, ciemne chmury. Nadchodziła śnieżycą. Kolejny raz tego dnia pożałował, że nie sprawdził przed wyjazdem prognozy pogody. Pocieszał się jedynie myślą, iż nawet gdyby chciał, nie znalazłby na to czasu. Nawet rzeczy na podróż musiał kupić w sklepie. Dobrze, że chociaż zwrócą mu koszty. Zresztą, ze swoimi zarobkami nie musiał troszczyć się o fundusze. Instytut dbał o swoich ludzi, szczególnie jeśli znali się na robocie. A on był jednym z najlepszych. Dlatego go tutaj wysłali. Dostał prawdziwą szansę, awans miał już praktycznie w kieszeni. O ile mu się uda. A może właśnie dlatego wybrali właśnie jego? Z powodu przesadnych ambicji? Ktoś inny mógłby odmówić, zadowolić się tym, co już ma. Po co ryzykować obecne, intratne stanowisko w walce o kolejny awans? Przecież ci na szczycie często spadali, środek zawsze był bezpieczny. *Jesteś cholernie ambitny* – Dominik zawsze mu to wypominał – *kiedyś przez to polecisz w dół, jak ptasie gówno*. Prawdziwa ironia losu. W końcu to ten wieczny cynik, prawdziwa dusza towarzystwa i ulubieniec ślicznotek poleciał jako pierwszy. Prosto na beton, w strumieniu światła, jak jakiś gwiazdor. Zresztą to było do przewidzenia. Żył jak jasna gwiazda i spadł jak ona. Tylko gwiazdy nie zostawiają na niebie krwawych śladów, które nawet po sześciu latach są jeszcze nieco widoczne. Wiktor pożałował, że nie jest oficerem terenowym. Mógłby zawlec tę zramolałą parę dewotów, rodziców tylko z nazwy, do jakiejś obskurnej piwniczki, by raz jeszcze wygarnąć im, że doprowadzili syna do śmierci. A potem palnąć im w łeb. Idiota. Czasy rewolucji już minęły, a nawet wtedy taka „sprawiedliwość” nie była mile widziana. Każdy mógł załatwiać swoje

sprawy, ale tylko po cichu, bez rozgłosu. Zresztą i tak pewnie nie mógłby zabić człowieka. Był tak żałośnie słaby z tą swoją wściekle czerwoną legitymacją pracownika Instytutu, która była tylko jego budzącą grozę tarczą przed światem zewnętrznym i społeczeństwem. *Prawdziwy, profesjonalny PR-owiec z krwi i kości* – pomyślał z goryczą. – *Kreuję wszystko, nawet siebie*. Krótki dzwonek telefonu zainstalowanego w pokoju wybił go z rozmyślań. Wykonał szybki, nonszalancki ruch ręką po słuchawkę. Przecież trzeba ćwiczyć swój styl, nawet gdy nikt nie patrzy.

– Halo?

– Podjechał właśnie samochód z terenowej placówki Instytutu – służbowy głos Wojtka był zadziwiająco profesjonalny. – Proszę pana na dół.

– Dziękuję, już schodzę.

A więc zaczyna się. Przyjemny dreszczyk emocji. Swojsko. Dostyc wspominek z przeszłości, czas zrobić to, z czym go tu wysłali. Raz jeszcze pokazać społeczeństwu, że Instytut nie jest dla niego zagrożeniem. Chyba że odważy się podnieść rękę na porewolucyjny porządek rzeczy. Wtedy ktoś musi im tę zdradziecką dłoń odrąbać. Ktoś taki jak ten, z którym właśnie musiał się spotkać. Prawdziwy artysta krwawego fachu.

\*\*\*

Mały, dwudrzwiowy samochód osobowy o barwie wyblakłej zieleni nie wzbudzał żadnego zainteresowania. Za kierownicą siedział mężczyzna o nieco znudzonym wyrazie twarzy, do którego zupełnie nie pasowało czujne spojrzenie wbite w umykającą szybko szosę. Wiktor przyznał w duchu, że zazdrości temu człowiekowi. Jego kierowca należał do licznej grupy wyszkolonych przez Instytut „pracowników terenowych”,

stanowiących de facto jądro całej organizacji. Wszyscy inni, w tym on, byli tylko fasadą chroniącą tych śmiazków przed światem zewnętrznym, a w szczególności opinią publiczną. Wielu z nich prowadziło nawet podwójne życie. Odpowiedzialni, przykładni mężowie i ojcowie, pozornie zwykli urzędnicy, którzy co pewien czas zajmowali się specjalnymi zadaniami wymagającymi niezwyklej wytrzymałości psychicznej. Wbrew obiegowej opinii specjaliści od tortur nie byli tylko zwykłymi sadystami, zaspokajającymi własne żądze w majestacie prawa. To była prawdziwa elita, ludzie z żelaza, patrioci. Wiktor złapał się na tym, że nieświadomie zaczyna powtarzać własne slogany. Właściwie nic nie wiedział o katach, a przynajmniej niewiele więcej niż przeciętny obywatel. Podlegali bezpośrednio najwyższemu szlachetcom w Instytucie, a do dyspozycji mieli grupy operacyjne, w skład których wchodziłi ludzie pokroju siedzącego obok mężczyzny. Ciche, fanatyczne typy z poczuciem misji, tudzież wielkimi karabinami i prawdopodobnie bardzo małymi penisami. Wiktor spojrzał ukradkiem na kierowcę, jakby w obawie, że ten mógłby odczytać jego myśli.

- Jak daleko jesteście od celu? – spytał, siląc się na stanowczy ton.
- Zaraz będzie skręt.
- Wasza baza operacyjna jest pod miastem?
- Tak. W starym zakładzie psychiatrycznym.
- Dobrze dobrane miejsce.

Kierowca nie zareagował na tę uwagę, mruczając coś tylko niezrozumiale pod nosem. Sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego, a Wiktor w jakiś sposób wiedział, że nie miało to związku z jego obecnością. Przypomniawszy sobie raporty, które przejrzał przelotnie tuż przed wyjazdem. W ciągu ostatnich miesięcy kolejne bazy przenoszono coraz bardziej na północ, uszczuplając przy tym personel do niezbędnego



minimum. Tutejsza placówka była ostatnią w południowej części województwa, a i tak rozważano jej likwidację. Rewolucja się skończyła, więc władze nadzwyczaj ostrożnie, ale konsekwentnie zacierały jej ostatnie ślady. Na miejscu zostało więc tylko kilkunastu członków paramilitarnej ochrony i oczywiście kat. Samochód wjechał właśnie na kolejny pagórek, ze szczytu którego można już było dostrzec cel ich podróży. Szybko zbliżali się do wysokiego, wąskiego budynku, otoczonego ceglany murem. Wyglądał jak zupełna ruina i w zasadzie tym właśnie był. Zniszczona elewacja wyglądała jak martwa skóra odpadająca całymi płatami od ciała trędowatego. Pojazd minął bramę z niedbale zespawanych stalowych prętów i zatrzymał się przed szerokimi, brudnobiałymi schodami prowadzącymi do głównego wejścia, przed którym stał uzbrojony w karabin strażnik.

Wszystkie filmowe wyobrażenia Wiktora o starych szpitalach psychiatrycznych znalazły swoje potwierdzenie w tym miejscu. Okna były zakratowane, a brudna posadzka zlewała się z wyblakłymi, zielonkawymi ścianami, gdzieś tam tylko pokrytymi niezbyt wyszukаныmi graffiti. Mężczyzna miał nieodparte wrażenie, iż to miejsce w czasach świetności, pod względem atmosfery, niezbyt różniło się od tego, co teraz widział. Podążając za uzbrojonym strażnikiem, który „odebrał” go od kierowcy przy wejściu, szybko dotarł do masywnych, wysokich drzwi pomieszczenia ulokowanego naprzeciw schodów na najwyższej, czwartej, kondygnacji budynku. Jego przewodnik skinął głową i bez słowa zawrócił. *Niezły chwyt psychologiczny – powiedział sobie Wiktor. – Urzędas ze stolicy ma znać swoje miejsce, co? A takiego!* Bezceremonialnie szarpnął niedawno wstawioną klamkę i wszedł do środka. Przywitał go spokojny głos człowieka, którego podobizna każdorazowo pojawiała się w mediach przy okazji poruszania drażliwego tematu krwawej działalności

Nadzwyczajnego Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego w czasach rewolucji.

– Wiktor, tak? – spytał siwiejący już mężczyzna, leżący na starym tapczanie.

Oślawiony kat nosił gruby, szarawy garnitur skrojony tak, żeby przypominał mundur. Jego wygląd doskonale komponował się ze zdewastowanym meblem, sprawiającym wrażenie, jakby stał w tym miejscu od czasu zamknięcia szpitala albo został przytargany prosto ze śmietnika.

– Tak – odparł pewnie młodzieniec.

– Mów mi Korneliusz, nie lubię tego dziwnego tonu, jaki ludzie przybierają, wymawiając moje nazwisko.

– Staramy się temu zaradzić.

– Ach tak, dzielne orły od reklamy.

– Public relations.

– No tak, zapomniałem, że nie lubicie terminu „reklama”. Jest taki trochę... Niepoważny. A profesjonalizm to wasz znak rozpoznawczy, zgadza się?

– Dokładnie.

– Tak... – wycedził mężczyzna, przyjmując pozycję siedzącą, zaś Wiktorowi wskazując najbliższe krzesło.

Spokojnie obserwował, jak młodzieniec powoli przybliżył się do krzesła, na którym nie usiadł, spoglądając z góry na rozmówcę. Kat westchnął i wstał, okrążając Wiktora tak, aby stanąć za jego plecami. Dopiero wówczas spytał:

– A więc o co chodzi? Dowiedziałem się tylko, że masz tu przyjechać. Ani słowa więcej. Zgłaszałem wprawdzie górze, że jesteśmy o krok od

złapania naszej ślicznotki, ale ta sprawa nie jest stuprocentowo pewna, pośpieszyli się śląc cię tutaj, chłopcze.

– Nie chodzi o Sarę – odparł Wiktor i zamilkł, czekając na pytanie rozmówcy, który po dłuższym czasie westchnął, prosząc:

– Dajmy sobie spokój z tymi podchodami. Masz swój mały sukces, pokazałeś swoją wyższość w tej rundzie, ja kapituluję pytając *A więc o co?* Mogę nawet usiąść, żebyś znów miał dominującą pozycję.

– Masz rację, dajmy za wygraną. Siadaj.

– A ten znowu swoje. Mów, z czym cię tutaj wysłali – odburknął mężczyzna, nie ruszając się z miejsca.

– Mieliśmy przeciek. Za kilka dni rusza wielka nagonka medialna. Pójdzie w ruch wszystko; prasa, radio, telewizja. Nie jesteśmy w stanie wszystkiego zahamować, rozumiesz, polityka. Opozycja bierze się do roboty.

– Zmiana warty.

– Naturalna kolej rzeczy.

– Zakładam, że ta nowa wierchuszka nie będzie chciała mieć brudnych rąk, więc cały impet pójdzie, tradycyjnie, w nas.

– W pewnym sensie tak. Media nie ruszą Instytutu, góra na to nie pozwoli. To zbyt cenne narzędzie, żeby niszczyć je w politycznej walce. Za to cała uwaga opinii publicznej skupi się na oddziałach terenowych. Szukają kozłów ofiarnych, wszystkich tych, którzy brudzili sobie ręce za rewolucji.

– Ze mną na czele.

– Bezsprzecznie. Dlatego zostałem tutaj oddelegowany. Mamy dla ciebie pewną ofertę.

– Jakbym słyszał siebie.

– Przestań, to nie czas na żarty czy odgrywanie Pana Twardego. Stawka jest zbyt wysoka. Jeśli źle to rozegramy, ucierpią wszyscy, cały Instytut. Staniemy się tylko marionetką rządu, zwykłą bezpieką. Musimy bronić swojej autonomii politycznej. Oddziały terenowe to nie jakieś udzielne królestwo, chociaż pewnie lubicie tak o sobie myśleć. Instytut stanowi całość, musimy się bronić.

– Jak? Prędzej czy później tłum będzie musiał dostać coś na tacy.

– Tak, ale na naszych warunkach. Medialny atak prewencyjny to nasza szansa.

– Rzucić tłumowi mięso, tak? I kto miałby reżyserować to wszystko? Ty? No oczywiście! A ja mam być głównym daniem, co?

– Zgrabnie to wszystko ująłeś. Sprawa jest prosta, oczyszczamy publicznie swoje szeregi, pozbywamy się, wybacz to określenie, zbrodniczych elementów. Spora grupa katów jest już odznaczona do odstrzału i, zapewniam cię, nie bez powodu, ale to wszystko za mało. Trzeba zwieńczyć cały ten cykl pokazem fajerwerków. W blasku fleszy pozbywamy się ciebie, potwora, wyznającego przed kamerami swoje grzechy. Wszystko pod pełną kontrolą, mówisz im co trzeba, oczerniasz siebie, wybielasz nas. Politycy szukają sobie innej marionetki, a Instytut wychodzi z burzy, którą sam rozpętał, czysty. Ty trafiasz do porządnej celi na rok, dwa, aż sprawa ucichnie na dobre. Potem włączamy cię do międzynarodowego programu resocjalizacji...

– A stamtąd prosto na jakieś wysokie, tajne stanowisko w resorcie bezpieczeństwa naszych wschodnich sąsiadów, którzy jeszcze wam zapłacą za tak cennego pracownika. Nie wspominam już o masie forsy dla mnie, bo to oczywiste. No i muszę szybko podjąć decyzję, w końcu kampania medialna przeciw Instytutowi wybuchnie za kilka dni.

– To jeden z wariantów.

– Spokojnie, tylko stwierdzam fakty.

Mężczyzna ruszył powoli w stronę stojącego w kącie biurka. Niedbale wyrwał z leżącego tam notesu kartkę i małym ołówkiem, trzymanym dotąd w kieszonce garnituru, napisał coś na skrawku papieru, podając go rozmówcy ze słowami:

– Czy to nazwiska ludzi, którzy stworzyli ten plan lub brali czynny udział w jego przeforsowaniu?

Wiktor poczuł na sobie twarde spojrzenie rozmówcy, od którego poczuł mimowolny skurcz żołądka.

– Dwa się zgadzają – odpowiedział natychmiast, przeczuwając, że mężczyzna w jakiś sposób będzie wiedział, czy usłyszał prawdę.

– Które?

– To i to.

– W takim razie albo rzeczywiście macie tam takie problemy, albo wysłali cię, nie mówiąc dokładnie o co chodzi. Masz jakieś papiery? Upoważnienie?

– Tylko upoważnienie, ofertę miałem przekazać ustnie – odpowiedział natychmiast Wiktor, ganiąc się w myśli za służalczy ton, który mimowolnie przybrał. – Oficjalnie jestem tutaj w sprawie Sary. Na wypadek, gdyby wasz plan wypalił i mielibyście ją w garści, mam zrobić odpowiedni szum medialny.

– W porządku. Musisz zrozumieć, że tu idzie o moją głowę. Mam masę wrogów. I to bardzo wpływowych. Ktoś z góry mógł wymyślić całą tę bajeczkę o szturmie medialnym i wysłać tu jakiegoś ambitnego zapaleńca, ciebie, żeby z przekonaniem mi ją wcisnął. A przecież takich rewelacji nie da się oficjalnie sprawdzić, mogę tylko polegać na tym, co mi powiesz. Naturalnie sam nie wiesz za dużo, co? Pewnie pognali cię tutaj od razu, bez szans dokładnego sprawdzenia źródeł.

– Tak.

– To nie było pytanie. Biedaczyno, sam już teraz nie wiesz, czy to wszystko jest prawdą. Możesz równie dobrze walczyć o przyszłość Instytutu, co nieświadomie odwalać za kogoś brudną robotę.

Wiktor nie odpowiedział, tłumiąc w sobie narastający gniew. Zresztą i tak nie miał nic do powiedzenia. Cała ta sprawa rzeczywiście nie była normalna; szalony pośpiech, pełna tajemnica, pomijanie łańcuchów decyzyjnych, rozkazy z samej góry. Wykorzystano go? Nawet jeśli tak było, to co z tego? Przecież jego rozmówca nie był jakąś tam niewinną ofiarą walk na szczycie, tylko symbolem nadużyć systemu. Krwawy Korneliusz we własnej osobie. A kim, a raczej czym, był „Krwawy Korneliusz”, jeśli nie symbolem, stworzonym na potrzeby swoich czasów? Rewolucja potrzebuje katów na równi z bohaterami. Ktoś musi przecież wzbudzać we wrogach, a także w niepewnych sprzymierzeńcach lęk. Padło na Korneliusza, był przecież najskuteczniejszy. Kto wie, ile rewolucjonistów musiałoby zginąć, gdyby nie bezcenne informacje, jakie przez lata wyciągał z najbardziej opornych więźniów.

– WiktorWiktorWiktor – wyrecytował nieobecny głos kat. – No, zwycięzco, gadaniem nic nie wskóramy. Trzeba działać. Powiedz mi, zakładając, że ten wielki medialny kryzys rzeczywiście nadciąga, co by było, gdybym w ciągu najbliższej doby miał u siebie Sarę? Mógłbyś użyć swoich wizerunkowych sztuczek i oczarować ludzi tak, żeby dali wreszcie spokój staremu, pocziwemu Korneliuszowi?

– Twój demoniczny wizerunek zbyt głęboko wniknął do świadomości przeciętnego człowieka, żeby dało się to łatwo wymazać jednym spektakularnym ruchem. Ale taka sensacja dałaby nam czas na przygotowania. Wspomniałem już, że jest spora grupa zdegenerowanych katów do odstrzału. Dasz mi Sarę, ja uratuję twoją głowę. Na jakiś czas.



– To wystarczy. Zrobiłem już dosyć dla tego Kraju. I chciałbym przejść w stan spoczynku na własnych warunkach.

– Problem w tym, że ona działa tutaj już od prawie dwóch lat, a w ciągu ostatnich miesięcy zdobyła sporo sympatii wśród niedobitków kontrrewolucji w całym Kraju.

– I dlatego właśnie sprawa jest prostsza. Jest rozpoznawalna, działa długo, ma wreszcie szerokie kontakty. Po nitce do kłębka. Uwierz mi, o wiele trudniej znaleźć i rozbić jakąś lokalną grupkę awanturników, niż większą organizację partyzancką. Dostęp do małych grup jest utrudniony, a koszty obław i tego typu zabaw zbyt wysokie w stosunku do potencjalnych zysków. Co innego przy grubszej zwierzynie. Tutaj zawsze znajdzie się jakaś biedna, niedowartościowana, pazerna duszyczka. Od pewnego czasu mam swoje małe źródółko, bijące bardzo blisko tej świętej. Ostatnio doprowadziło mnie nawet do bardzo ciekawego znaleziska. Chcesz zobaczyć?

– Tak – odparł machinalnie Wiktor.

Korneliusz uśmiechnął się nieprzyjemnie, ruszając bez słowa w stronę wyjścia. Mężczyźni zeszli nieśpiesznie na parter, zatrzymując się dopiero przed wejściem do, jak przypuszczał młodszy z nich, piwnic. Na ich drodze stanął uzbrojony strażnik.

– Będziemy wchodzić – oznajmił władczo Korneliusz. – Przynieś radio.

– Tak jest.

Wiktor zerknął ku oddalającemu się szybko mężczyźnie, jednocześnie pytając kata:

– Radio?

– Zobaczysz. Kiedy będziemy już na miejscu, po prostu je włączysz, na mój znak oczywiście.

– To wszystko?

– Tak, to wystarczy. Zasadniczo idziemy odwiedzić mojego jedyne podopiecznego. To ważny tajniak naszych dzielnych partyzantów, miał za zadanie agitować wśród policji i władz miasta. Wpadł cztery dni temu, dzięki informacjom od mojej wtyczki. Z tego co wiem, dopiero na dziś wieczór miał wyznaczony termin kontaktu z kimś od nich, więc można przypuszczać, że jeszcze nie wiedzą, gdzie trafił. A on na pewno wie, gdzie obecnie znajduje się Sara, to nie byle jaki pionek, tylko ktoś z ich wierchuszki.

– Nie za mądrze było im posyłać go do miasta.

– Może komuś podpadł? Zresztą najciemniej jest pod latarnią, nikt by go tutaj nie szukał, gdyby nie moje informacje. A wyobraź sobie, że mój krecik przekazuje te wiadomości pocztą. Od czasu do czasu po prostu wysyła list z jakiejś wioski, adresując do swojej chorowitej ciotki, swoją drogą również dobrej agentki.

– Ryzykowne. Kiedyś może wpaść.

– I co z tego? O! Jest już nasz sprzęt.

Strażnik przekazał przełożonemu mały, kasetowy radioodbiornik, uśmiechając się przy tym nieznacznie. Kat natychmiast obrócił się w stronę Wiktora i poważnym, mentorskim tonem oświadczył:

– Po prostu wciśnij ten guzik, o tak.

Z głośniczka dobył się nieco zniekształcony, ale niespodziewanie silny dźwięk, który ucichł, gdy po chwili mężczyzna zatrzymał taśmę.

– Poznajesz? – spytał stojącego z niepewną miną Wiktora.

– Tak, Beethoven, fragment dziewiątej symfonii. Oda do radości.

– Może mało oryginalne, ale na swój sposób zabawne. Przynajmniej mnie śmieszy taki mały dysonans pomiędzy treścią a zastosowaniem.

Masz – Korneliusz wcisnął rozmówcy szary odtwarzacz. – Włączysz, kiedy klasnę w dłonie.

– I nic więcej?

– Tak, tak, tak. Żadnych spektakularnych narzędzi tortur. A teraz ściągaj buty.

– Po co?

– Nie martw się, na dole są dywany, nie zmarzniesz.

Najwyraźniej kat nie miał zamiaru zdradzać, co właściwie czeka ich w suterrenach ponurego gmachu, zamiast tego zrzucił swoje wysłużone mokasyny. Wiktor, po chwili wahania, poszedł w jego ślady, czując na sobie drwiące spojrzenie wspartego o ścianę strażnika, który jakby od niechcenia pstryknął włącznik światła. Korneliusz natomiast wydawał się całkowicie spokojny, jak doświadczony pracownik przystępujący do swojego rutynowego zajęcia. Stwierdził tylko nieco ostrzejszym tonem:

– W środku zachowuj się jak najciszej.

– Mogę chociaż wiedzieć co tam jest? Poza... twoim miejscem pracy.

– Kiedyś trzymano tam najgorsze przypadki wymagające całkowitej izolacji. Teraz mam tam dwie pracownie, tradycyjną i tę, do której idziemy.

Kat śmiało otworzył drzwi, gestem nakazując iść za sobą. Mężczyźni ostrożnie zeszli po wąskich, betonowych schodkach, oświetlonych jedynie przez mdłe, żółtawe światło zwisającej z niskiego sufitu żarówki. Gdy tylko wyszli z klatki schodowej, Wiktor poczuł się jak statysta w filmie historycznym lub dokumencie traktującym o wypaczeniach w działalności dawnych zakładów zamkniętych. Przed nimi rozpościerał się długi, tonący w mroku korytarz wyłożony niedbale starymi dywanami. Korneliusz wydobył z kieszeni małą latarkę, oświetlając nagie, ceglane ściany. Ruszyli powoli przed siebie, mijając kolejne pozbawione drzwi wejścia do

dawanych cel. W jednej z nich Wiktor dostrzegł stół zastawiony jakimiś narzędziami, lecz jego przewodnik nie przystanął, więc wnętrze pomieszczenia szybko spowił mrok. *No i skończyłem jako Dante* – pomyślał z przekąsem młodzieniec, zaciskając mocniej place na plastikowej obudowie radioodbiornika. Po kilkunastu metrach kat przystanął, oświetlając ścianę ulokowaną naprzeciw wejścia, o którą ktoś oparł gruby materac. Ostrożnie opuścił go na posadzkę, wciąż trzymając w ręku latarkę, której światło pełzało spazmatycznie na boki, pogłębiając tylko zdenerwowanie młodszego z pracowników Instytutu. Okazało się, że za tą prowizoryczną barykadą ukryta była jeszcze jedna cela, pośrodku której siedział więzień. Nieszczęśnik przypominał mumię. Jego ściśle złączone ze sobą, wyprostowane nogi krępowało kilka szerokich, wojskowych pasów, natomiast tułów i ręce unieruchamiał kaftan bezpieczeństwa podczepiony zapinkami do kilku wystających ze ściany zaczepów. Jego twarz skrywała dziwaczna maska wykonana z metalowych, zespalanych ze sobą płytek i końskiego wędzidła wsadzonego w ociekające śliną usta. Skonstruowano ją w taki sposób, aby dokładnie zasłaniała oczy, uszy i częściowo nozdrza. Konstrukcja trzymała się na silnie zaciśniętych paskach podpiętych do wystających ze ścian podpórek, dzięki czemu więzień nie mógł uszkodzić sobie głowy, gdyby zechciał uderzać nią o ścianę. Korneliusz ostrożnie podał zdeorientowanemu towarzyszowi latarkę, palcem nakazując, aby jej blask padał wprost na skrepowanego mężczyznę, który wybełkotał coś niezrozumiałego. Kat kilkoma sprawnymi ruchami oswobodził twarz ofiary. Spod maski natychmiast wypadła gruba warstwa mocno ubitej waty, a oczy nieszczęśnika zaślnęły nienaturalnie jasno w blasku światła, zanim ich właściciel zacisnął mocno powieki, jęcząc przeciągle. Korneliusz klasnął szybko, natychmiast sięgając do uszu skrepowanego mężczyzny, skąd

wydobył kolejne zwitki waty. Znieruchomiały Wiktor wcisnął bezwiednie przycisk, puszczając w ruch kasetę. Wzmocniony przez akustykę pustych pomieszczeń dźwięk spowodował prawdziwą eksplozję wrzasku uwięzionego, który zaczął miotać się ze wszystkich sił, modulując swój krzyk tak, iż brzmiał niemal jak pisk palonego żywca gryzonia. Korneliusz uspokoił go potężnym ciosem pięści, zmieniając nos swojej ofiary w krwawą papkę. Kat wrzaskiem zadawał kolejne pytania, na które mężczyzna natychmiast udzielał odpowiedzi, zanosząc się przy tym głośnym płaczem. Wszystko to trwało nie dłużej niż pięć minut, w trakcie których Wiktor zdążył niemal całkowicie utracić poczucie kontaktu z rzeczywistością. Dopiero gdy zdał sobie sprawę, że jakiś czas temu krzyki więźnia ucichły, i teraz jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu jest majestatyczna muzyka, przypomniał sobie gdzie jest i czego właśnie był świadkiem. Stał nieruchomo z zapaloną, wciąż wycelowaną w bełkoczącego więźnia latarką, podczas gdy stojący tuż obok Korneliusz beztrósco wytarł zbroczone krwią ręce w ścianę i z nieskrywaną dumą oznajmił:

– Wiem już wszystko. Wracamy!

---

<sup>1</sup> Nadzwyczajnego Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego

## Rozdział II

Sara energicznie rozcierała zdrtwiałe z chłodu dłonie, żałując, że lekkomyślnie przedłużyła swój spacer. Towarzysząca jej opiekunka, młoda dziewczyna, do tej pory jeszcze nie zaproponowała, żeby zawróciły. Idiotka. Prowadziła ją od przeszło pół godziny, nie zadając żadnych pytań. Sara była pewna, że w tej chwili ta gówniara wpatruje się w nią z nabożną czcią, napawając się każdą chwilą spędzoną w służbie dla swojej idolki. Może, gdyby wszystko potoczyło się inaczej na świecie, ta dziewczyna siedziałaby teraz w swoim pokoju, z rękami wciśniętymi pod spódniczkę, wpatrzone w twarz jakiegoś buntowniczego muzyka albo aktora spoglądającego tajemniczo z kolorowego plakatu. Tymczasem musi prowadzić niewidomą świętą po jakiejś wiosce, trzęsąc się z zimna. Sara nie mogła sama przerwać spaceru, nigdy nie przyznawała się do swoich słabości. Nie mogła sobie na to pozwolić, a już szczególnie teraz, gdy niedoskonałości udało jej się przekuć w broń. Niewidoma albinoska, podręcznikowy wręcz przykład czystości, niczym flaga motywowała ludzi, by zabijali w jej imieniu, broniąc wiary. Jedynie w myślach mogła pozostać tym, kim była – buntowniczą dwudziestolatką. Jej głowa była ostatnim bastionem wolności, na jaki mogła sobie pozwolić. Za dużo zależało od tego, jak jest postrzegana, nie mogła nawet w najmniejszym stopniu zawieść zaufania, jakie pokładali w niej ludzie. Skoro los sprawił, że przypadła jej rola świeckiej świętej, musiała, a raczej chciała, spełnić swoją powinność w stu procentach.

– Saro, może chcesz już wrócić? Robi się coraz zimniej – nieśmiało zaproponowała dziewczyna.

*No, nareszcie!* – wykrzyczała w myśli.

– Dobrze, chodźmy – odparła łagodnym tonem.



Gdzieś z oddali doszedł je odgłos zbliżającego się pojazdu. *Wieści z miasta* – pomyślała Sara. – *Nareszcie ktoś wraca*. Ostatnie dni wypełnione były ciągłymi wyjazdami, poszczególne grupy musiały zebrać zapasy i informacje przed zimą. Nie lubiła świadomości, że jej siły są rozproszone. Potrzebowała stałej ochrony, choćby dla zwykłego komfortu psychicznego wynikającego z faktu, iż pomiędzy nią a złowrogim światem stoi szwadron ludzi z karabinami maszynowymi, gotowy umrzeć w jej obronie. Pojazd zatrzymał się gdzieś nieopodal nich. Usłyszała, jak jednocześnie otwierają się drzwi, a na ziemię wyskakują ludzie. Jej ludzie. Któryś z nich strzelił. Po co?! Jęk po prawej stronie, to przewodniczka dostała. Biedna dziewczyna! Jak w ogóle miała na imię? Kto strzela? Wszędzie słychać było miarowy terkot broni wypluwającej z siebie chmury śmiertelnych pocisków. Ktoś do niej podbiegł. Cios w brzuch. Ból. A więc znów przemoc i ból, jakby czas powrócił do miejsca, w którym zaczęła swoją drogę do medialnej świętości. Ktoś ciągnął ją za nadgarstek. Brutalna, męska siła. Otrzymała kolejny cios, wepchnięto ją do samochodu. Strzały trochę przycichły, samochód ruszył. Czy to już koniec? Po wszystkim? Trafiła w ręce wrogów, tak zwyczajnie? To koniec zabawy? *Kurwa*.

\*\*\*

Wiktor od dłuższego czasu przeżuwał niemrawo kęs chleba, niedbale posmarowanego grubą warstwą podłej jakości pasztetu. Biorąc przykład z towarzyszącego mu przy stole mężczyzny, zaczął popijać kolację łykami, dla odmiany wprost wyśmienitej, herbaty. Korneliusz zdawał się nie zwracać uwagi na siedzącego obok Wiktora, co zresztą czynił od czasu zakończenia przesłuchania. Obaj funkcjonariusze Instytutu Porządku Publicznego byli zajęci swoimi myślami i nie wchodzili sobie w drogę,

cierpliwie czekając na wyniki misji, z którą posłano część pracowników placówki. Od schwytania Sary zależało bardzo wiele, szczególnie dla przyszłych losów starszego z mężczyzn. Ten najwyraźniej miał ochotę przełamać dotychczasowy mur milczenia, lecz po lakonicznej propozycji wspólnej kolacji nie próbował więcej nawiązywać kontaktu. Wiktor nie wiedział, czy jest to jedynie kolejna zagrywka psychologiczna, mająca na celu utrwalenie dominacji kata, czy raczej nieudana próba podjęcia normalnej, ludzkiej rozmowy. Zresztą nie było to dla niego specjalnie istotne, ochłonął już na tyle, by móc spokojnie porozmawiać. Spytał niezobowiązująco:

– Myślisz, że im się uda?

– Przy odrobinie szczęścia, tak. Znamy miejsce tymczasowej bazy naszej świętej, a nasi ludzie wiedzą, co mają powiedzieć strażnikom.

– Często stosujesz tę metodę przesłuchań?

– Dosić. Zaintrygowała cię?

– Jest specyficzna. Prawdę mówiąc, spodziewałem się bardziej tradycyjnych sposobów wydobywania informacji.

– Raczej bardziej filmowych. Bicie ludzi zawsze skutkuje, ale ból to tylko reakcja psychiczna na fizyczne bodźce, przynajmniej tak uważam. Iskra w synapsach. Dlatego wolę atakować bezpośrednio mózg, bez niepotrzebnego pośrednictwa ciała. To, co widziałeś, jest modyfikacją eksperymentu naukowego, o którym kiedyś czytałem.

– Naukowego? A kto go wykonywał, doktor Mengele?

– Nie. Coś podobnego w latach pięćdziesiątych stosował amerykański psychiatra, John Lilly. Deprywacja sensoryczna. Ogólnie cała zabawa polega na szczelnym odcięciu człowieka od wszelkich bodźców. Zmysły pozostają niejako martwe, a przecież mózg stale potrzebuje impulsów.

W przypadku ich braku wytwarza własne. Halucynacje, omamy słuchowe, te sprawy.

– A nagły wybuch wrażeń, w rodzaju światła dźwięku i bólu po prostu dezintegruje cały system, tak?

– Dezintegracja systemu, ładnie powiedziane! Widziałeś, jak to wygląda w praktyce. Z silnej woli zostaje papka. I w tym cały problem. Czasem po takiej kuracji więzień jest zwyczajnie nieprzydatny do czegokolwiek, wrak człowieka. Normalnie stosuję łagodniejsze przebudzenie po nieco dłuższym czasie w izolacji. Po kilku dniach wszystko się normuje, a strach przed powrotem do nicości motywuje do gadania. Takie terapie szokowe, jaką widziałeś, są tylko na specjalne okazje. Czasem coś dają, częściej tylko szkodzą. Mieliśmy fenomenalne szczęście, że tym razem ten biedak wszystko wyśpiewał z sensem.

– Co z nim będzie? Dojdzie do siebie?

– Wątpię. Coś tam się pewnie w nim poprzestawiało. Zresztą, to nie moja działka. I nie twoja. W ogóle dlaczego jesteś w Instytucie? Nie wyglądasz mi na zwyczajnie zachłannego, a fanatyzmem też od ciebie nie bije.

– Co, jeśli powiem, że to z poczucia obowiązku?

– Wobec kogo? Ojczyzny?

– Społeczeństwa.

– Nie przekonuje mnie to.

– Czy moje powody są takie ważne? – spytał nieco poirytowany Wiktor.

– Nie, nie. Pytam tylko. Jak urzędnik urzędnika.

– Ładnie powiedziane. No dobrze, powiedzmy, że w moim wypadku chodzi o jakiś rodzaj zemsty. Jeden z moich przyjaciół, naprawdę cholernie wartościowy człowiek, zabił się kilka lat temu, jeszcze przed

rewolucją. Nie wytrzymał presji swojej popieprzonej rodziny. Nie potrafił kochać Boga w stopniu, w jakim tego od niego wymagali.

– Skutki wychowania w przeświadczeniu, że ten zły zaciera ręce, gdy tylko jakiś dzieciak zabawi się w łazience albo ukradkiem wypije browar. Typowe. Twój przyjaciel nie mógł tego zwyczajnie przeczekać?

– Dominik nie był typem człowieka, który potrafiłby długo żyć w kłamstwie. Chciał wierzyć, ale po swojemu. Nie mógł pozbyć się myśli, że w kwestii wiary jest zwyczajnym konformistą. Poddał się i skoczył, trzeba przyznać w bardzo widowiskowym stylu.

– Czy chodzi o sprawę z roku dziewięćdziesiątego pierwszego i skoku z naszego jedyne go pseudo–wieżowca?

– Dokładnie. Słyszałeś o tym?

– Pisałem o tym. Kiedyś byłem dziennikarzem. Wolnym strzelcem.

– Nie pomyślałbym.

– Stawiałeś na rozbitka życiowego realizującego się w roli oprawcy?

– Coś w tym rodzaju.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem. Ale masz trochę racji, nie wiodło mi się najlepiej. I sam zgłosiłem się na ochotnika, jak tylko zaczęto formować oficjalne grupy. Widzisz, nasza rewolucja naprawdę była wyjątkowa. Przecież rząd nie uległ zmianie, walczyło ze sobą samo społeczeństwo. Kiedy ludzie zaczęli masowo wprowadzać prawo międzynarodowe w czyn i samowolnie zamykać świątynie, musiało dojść do równie skrajnej reakcji, kontrrewolucji. Bardzo szybko nasza walka przerodziła się w obronę obecnego ustroju przed wprowadzeniem teokracji. Dlatego poparł nas rząd, zwyczajnie bali się o swoje stolki. Wszystko nabrało charakteru prawnego, luźne dotąd grupy ujednolicono, tak właśnie powstał Nadzwyczajny Wydział Bezpieczeństwa Narodowego.

– Wiesz, że brzmisz jak ktoś z mojego wydziału?

– To nie propaganda, uwierz mi. Po prostu tak to wtedy czuliśmy. A ludzie pokroju tych, przez których skoczył twój kumpel, to tylko płotki z mózgiem wypranym strachem. Znam to uczucie. Do tej pory pamiętam, jak za szczeniaka panicznie bałem się, że rodzice zauważą moją ucieczkę z kazania. To był zwierzęcy strach. Potężna broń, a w rękach kogoś inteligentnego prawdziwie zabójcza. Ustrój, w którym wszechmocni rządzący są tylko ziemskimi reprezentantami czegoś potężniejszego, jest cholernie ciężki do obalenia. Nikt nie chce walczyć z Bogiem.

– I to wszystko? Katujesz ludzi ze strachu przed zapanowaniem teokracji?

– Powód dobry jak każdy inny. Twoje pokolenie inaczej ocenia wiarę, to nie jest coś co tkwi naprawdę głęboko, aż do samej duszy. Nikt nie wbijał w was tego strachu z taką mocą, jak kilkadziesiąt lat temu. Czym w ogóle jest dla ciebie religia?

– Szklaną kulą chroniącą ludzi przed rzeczywistością.

– Czyli zabawką.

– Powiedzmy. Ja, prawdę mówiąc, nigdy nie czułem w sobie silnej wiary, może byłem na to zwyczajnie za inteligentny.

– Za wygodny, co najwyżej. Chociaż kto wie, może to lepsze wyjście? Ja żyłem w strachu przez całe swoje dotychczasowe życie. Bóg, sama świadomość istnienia tak potężnej istoty mnie przytłaczała. Potem bałem się, że przyjdą ludzie, którzy zakorzenią ten strach w całym narodzie. Nadal uważam teokrację za całkiem realne zagrożenie, szczególnie biorąc pod uwagę charakter naszego narodu. Torturuję i zabijam, żeby chronić społeczeństwo przed nim samym, przed jego baranim pociąganiem do klękania i bicia pokłonów przed świętymi przedmiotami niesionymi przez sprytnych manipulatorów.

– Prywatna krucjata?

– A żebyś wiedział! Tak, w swej zapiekłej anty–religijności jestem beznadziejnie religijny. I mam nadzieję, że ja i mnie podobni wytłuką na tyle dużo ludzi, żeby pokolenie, które przyjdzie po twoim miało to wszystko gdzieś. Niech wisi im to, w co kto wierzy i jak okazuje swoją wiarę. To lepsze od ideowych ludzi gotowych zabijać i umierać.

– Wybacz, ale to dla mnie brednie. Przecież to byłoby takie samo społeczeństwo baranów, o jakim mówiłeś. Pełna laicyzacja. Co za różnica, padać na twarz przed świętym obrazem, czy gnoić się w pracy za marne grosze, żeby zdobyć jakiś nowy gadżet?

– A twoja motywacja jest lepsza? Kumpel nie wytrzymał fanatyzmu religijnego rodziców i zwyczajnie się poddał, a ty po latach bierzesz za to odwet na ludziach sto razy bardziej wartościowych niż te śmiecie, które wpędziły syna do grobu?

– Wartościowych?! Co to ma być, jakaś plemienna forma szacunku dla wrogów?! Terrorystów nazywasz kimś wartościowym? Przecież nie mają najmniejszych szans na sukces, walczą, bo nasz naród uwielbia porażki i czują się świetnie, umierając w walce o swoje bezwartościowe świętości, nie rozumiejąc nawet, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jesteś młody i głupi. Cholernie głupi. Wielu ludziom zrobiłem rzeczy, po których sam prawdopodobnie dawno bym się załamał, a oni to przetrwali. Bo w coś wierzyli.

– Starcie ludzi wiary. Wspaniale. Wiesz co? To wciąż żałosne. Szukacie dla siebie wymówek, jak dzieci. Oni podkładają bomby w centrach handlowych i strzelają do policjantów, bo walczą w obronie wiary. Ty ich torturujesz i zabijasz, bo masz swój dziwaczny światopogląd i ratujesz Kraj. A wszystko to opisuję ja i mnie podobni specjaliści od reklamy, jak to określasz. Ja jestem szczery w tym, co robię, nie udaję wojownika o prawdę. Tobie też to radzę. Wszystko rozbija się o to, kto



kogo. My ich, czy oni nas. Zaczęliśmy pierwsi, działamy z poparciem władz krajowych i światowych, wygraliśmy, teraz tylko zamykamy nasze podwórko. Za parę dekad ludzie będą się tylko dziwili, dlaczego tyle trupów padło w narodowej sprzeczce o to, czy wolno się gromadzić na modlitwy, czy nie. I napiszą tony naukowych opracowań o katach i ofiarach. To wszystko.

– Cholernie wygodny z ciebie facet! Bogiem chyba w ogóle nie zawracasz sobie głowy, a kwestia tak szalenie ważna, jak prawomocne zniesienie oficjalnych form kultu to dla ciebie tylko prawnicza sprzeczka z trupami w tle. Dam ci dobrą radę. Po tym wszystkim, niezależnie od wyniku, spróbuj chociaż trochę popracować w terenie, póki to jeszcze możliwe. Wyjdź z biura, swojej szklanej kuli, na ulice, pożycz trochę. Powalcz. Jak mężczyzna.

– Zachowaj dla siebie te mądrości samca alfa.

Wiktor wstał od stołu i opuścił pomieszczenie, zostawiając markotnego rozmówcę wpatzonego w okno, za którym wirowały pierwsze płatki śniegu. Burza nadciągnęła. Korneliusz poczuł się niesamowicie stary, groteskowo wrzucony w obcy mu świat, jak nieprzyjemny, czarny kleks na białym obrusie.

– I cóż to jest prawda? – burknął do siebie.

Śmieszny, stary człowiek w brudnym, poplamionym krwią garniturze – oto czym jest. A może nie? W czym właściwie był od niego lepszy Wiktor, to gówno w jedwabnej pończosze? Młody, chociaż ambitny, średniak, nic ponadto. Ale czy młodzi nie mają zawsze racji? Ostatecznie to oni budują świat, naginają do swoich potrzeb. Tylko czasem od tego ciągłego naginania rzeczywistość w końcu odbija i daje wszystkim, po równo, w pysk.

\*\*\*

Wiktor przebudził się gwałtownie, mrużąc porażone ostrym światłem latarki oczy.

– Wstawaj! – rzucił władczo Korneliusz, litościwie obniżając strumień światła.

– Zasnąłem?!

– Za dużo emocji, co?

– Która godzina? – spytał beznamiętnie Wiktor, w duchu przyznając rozmówcy rację co do powodu swojej przeciągniętej drzemki.

– Dwudziesta pierwsza. Wstawaj, przywieźli ją.

To zdanie skutecznie zmiotło resztki sennego otumanienia z umysłu młodzieńca, natychmiast wyostrzając zmysły. Zegar zaczął tykać, od teraz każda minuta była ważna. Wiktor posłusznie ruszył za Korneliuszem, który rozpraszał mrok swoją latarką, tłumacząc przy tym:

– To miejsce nie jest przystosowane do zimowej bazy, w normalnym trybie pracy na noc zostają tutaj tylko ja i dwóch, trzech ludzi do pilnowania obiektu. Mamy agregat, ale zasila tylko oświetlenie, nie ma żadnego sprawnego systemu grzewczego.

– Więc wracamy do miasta?

– Tak, ale niestety dopiero rano. Na zewnątrz szaleje cholerna burza, wszystko jest całkowicie zasypane. Ludzie, którzy przywieźli tu Sarę, porzucili samochód jakiś kilometr stąd, cud, że w ogóle żyją.

– Gdzie ona jest?

– Pod strażą w jednym z pokojów, opatuliliśmy ją kocami, dostała też trochę herbaty z wódką. Nic jej nie będzie, to twarda dziewczyna. I w tym może być problem.

Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie na półpiętrze, wskazując latarką do góry ze słowami:

– Nad nami już zaczyna się piekło, większość okien w tym budynku jest wybita, zwłaszcza, nie wiadomo dlaczego, na wyższych piętrach. Dobrze, że postanowiłeś się przespać właśnie w miejscu gdzie się poznaliśmy, sam zawsze tam śpię, osobiście ociepliłem to pomieszczenie. Gdybyś wybrał inne, mógłbyś zamarznąć.

Korneliusz podjął przerwana podróż, tłumacząc dalej:

– Wszyscy zatrzymamy się na pierwszym piętrze, moi ludzie ustawią na schodach barykadę ze starych mebli. Tak na wszelki wypadek. Jest tam stara sala zabiegowa, o dziwo wciąż w całkiem niezłym stanie, pomieścimy się bez trudu. Wniesiemy tam nasze dwa reflektory i podepniemy do agregatu, który ustawimy w drugim pomieszczeniu.

– Reflektory?

– Tak. To złom, stare modele, więc dają cholernie dużo ciepła. Moja turystyczna kuchenka gazowa nie nadaje się do ogrzania czegokolwiek, więc ciepłe szkło to nasza jedyna szansa. Na szczęście okna są tam albo solidnie uszczelnione, albo amatorsko zamurowane. Czasem prowadzę tam przesłuchania z pomocą starej maszyny do elektrowstrząsów. To cudeńko uchowało się w podziemiach, a swego czasu doprowadziłem ją do stanu używalności. I po kilku nieprzyjemnych próbach nauczyłem się odpowiednio używać. Jesteśmy na miejscu.

Kat zatrzymał się na, jak domyślał się Wiktor, pierwszym piętrze, niedbale wskazując strumieniem światła uchylone drzwi w prawej odnodze korytarza.

– Idź tam, to sala zabiegowa, zaraz podepną reflektory, ogrzejesz się nieco. I słuchaj teraz uważnie. Terroryści praktycznie depczą nam po piętach. Nie wiadomo, gdzie schronili się przed burzą, ale skoro nasi byli w stanie dotrzeć tutaj, to i oni są gdzieś niedaleko. Jak tylko przestanie sypać, nieważne, czy będzie jeszcze ciemno, ruszamy do miasta. Idę

zobaczyć, co z Sarą. Myślę, że za jakiś kwadrans będzie gotowa do rozmowy.

– Czekaj! Nie możesz jej torturować, przecież...

– Nie bawię się w eufemizmy. Powiedziałem, że będzie gotowa do rozmowy, a nie tortur. I to do rozmowy z tobą. Wyobraź sobie, że domyśliłem się jakoś braku logiki w stosowaniu tortur przy sprawie związanej z potępieniem tych metod. To ważne, żeby dziewczyna poszła na współpracę sama. Postraszyć ją mną. Nie wie przecież o medialnej burzy, jaka podobno się szykuje przeciw torturom, może przestraszy się wizji bólu.

– A jeśli odmówi?

– Użyję elektrowstrząsów, to nie zostawia śladów.

– Bez sensu. W zasadzie to też tortura. Po co w ogóle chcesz ją przyciskać? Jest w naszych rękach.

– I ty jesteś specem od marketingu, ech. Co z tego, że jest? No dobrze, zgoda, to dużo. Ale dla mnie za mało. Ma się gładko przyznać do działalności terrorystycznej, publicznie potępić swoje działania. Ludzie pomyślą sobie: dlaczego się złamała? I znajdą odpowiedź. Strach. Wizja tortur jest przerażająca dla przestępców tak, jak dla zwykłych ludzi perspektywa padnięcia ofiarą aktu terroru. Skoro oni straszą nas, to my musimy straszyć ich, nie uważasz? To poprawi moje notowania.

– Chcesz prowadzić kampanię sympatii dla katów, czy co? Oszalałeś?! Nawet jeśli nie byłbym specjalistą w swojej branży, to od razu powiedziałbym, że to beznadziejny pomysł. Nie myślisz racjonalnie! Przekażmy ją po prostu dalej, ja na spokojnie zajmę się sprawami wizerunkowymi. Tak jak ustalaliśmy.

– Nie.

– Dlaczego?!

– Nie mam czasu na sprzeczki, jestem przy komendzie, a to mój rozkaz. Postraszyć dziewczynę. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, ja się nią zajmę.

– Korneliusz, robisz cholerny błąd. Dostałeś od losu szansę na wypłatę się z całego tego gówna, które nad tobą wisi, a ty wolisz skoczyć na główkę do szamba!

Starszy z mężczyzn niespodziewanie przystawił latarkę do twarzy rozmówcy, całkowicie go oślepiając.

– Usłyszałeś swój rozkaz, śmieciu. Wykonać!

Kat ponownie skierował światło na schody i ruszył szybko przed siebie, gniewnie mamrocząc coś pod nosem. Wiktor znalazł się w mroku, przecierając bolące oczy wierzchem dłoni. *Kretyn – pomyślał – mentalny krzyżowiec ze swoją misją ratowania społeczeństwa, jego mać.* Młodzieniec był całkowicie zdezorientowany. W momencie, gdy dostali w swoje ręce prawdziwego asa, Korneliusz postanowił poprowadzić grę własnymi, prymitywnymi metodami. Ten niepotrzebny upór może łatwo zniweczyć jego przyszłe zabiegi medialne w tej delikatnej sprawie. Niestety, rozsądek, a raczej instynkt samozachowawczy, nakazywał mimo wszystko nie sprzeciwiać się temu człowiekowi. To było zbyt niebezpieczne. A Wiktor nie miał zamiaru ryzykować swojego życia, nawet jeśli w grę wchodziło dobro Instytutu. Korneliusz niestety miał rację co do niego, był cholernie wygodnym facetem. Może dlatego, że jedyny prawdziwy nonkonformista, którego Wiktor znał, zabił się spektakularnie dziewięć lat temu? *Więc ostatecznie nawet ty się poddałeś, Dominiku.*

\*\*\*

Sara szczególnie wtuliła się w przesiąknięty zapachem stęchlizny koc, który dostała od swoich porywaczy. Przyszłość nie napawała optymizmem.

Trafiła w miejsce, którego obawiała się najbardziej na świecie. Pewnie już niedługo ktoś wejdzie tutaj z pierwszą propozycją, a może od razu będą ją torturować? Ale przecież szaleje nawałnica! To nie czas na takie rzeczy, powinna mieć spokojną noc. Ktoś wszedł do pomieszczenia. Czas na świętą.

– Witaj, Saro, mam na imię Wiktor.

– Witaj Wiktorze.

Głos należy do kogoś młodego. To dobrze. A może źle? Wiktor usiadł pod ścianą, ostrożnie kładąc latarkę tak, aby skutecznie oświetlała skuloną w kącie postać. Dziewczyna w tym oświetleniu wyglądała jak żywa rzeźba o zupełnie białej cerze i włosach tej samej, nierzeczywistej, barwy. Tylko oczy o jasnej, wpadającej w fiolet tęczówce psuły tę wizję. W dodatku najwyraźniej światło przeszkadzało samozwańczej świętej, bo nieznacznie zmrużyła powieki i odwróciła głowę.

– Ty widzisz? – spytał z niedowierzaniem Wiktor, karcąc się w myśli za zbyt przyjacielski ton.

– Nie. A przynajmniej nie to, co powinnam. Moje oczy są całkiem sprawne, wiem, kiedy pada na nie światło, szczególnie jasne odbieram nawet jako rodzaj białych plam. Po prostu przed kilkoma laty w jakiś sposób zawiodło połączenie z mózgiem. Z medycznego punktu widzenia wszystko jest w porządku. Po prostu nagle mój organizm zapomniał, jak korzystać z oczu, to wszystko. Kto wie, może właśnie dzięki temu mogę bardziej skupiać się na swoim wnętrzu.

– Dar od Boga?

– Nie odbieram tego w ten sposób, to byłoby zbyt narcystyczne z mojej strony.

– A więc – Wiktor zawiesił na moment głos – chciałabyś zostać ochłapem mięsa?

Sara nie odpowiedziała, czując jak przyspiesza jej puls. Zaczyna się.

– Jestem tu w roli pośrednika i, chociaż naiwnie to zabrzmie, równie silnie co tobie zależy mi, żebyś wyszła z tego bez szwanku. Wiesz, do kogo trafiłaś, prawda?

– Krwawy Korneliusz, wasza bestia.

– Na całe nieszczęście, tak. Sprawa jest prosta. Chcemy, żebyś złożyła teraz oświadczenie, w którym potępiasz terrorystyczną działalność, której patronowałaś. To moja rola, nakłonić cię do podjęcia decyzji rozmową. Argumentami.

– Groźbami.

– Tak. Realnymi groźbami.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Mogę zaoferować ci trochę czasu do namysłu.

Sara uśmiechnęła się przyjaźnie. *Jestem skończona. Czas na ostatni akt dramatu, kurtyna jest jeszcze w górze, spektakl musi trwać.*

– Nie potrzebuję go – odparła łagodnie. – Moja odpowiedź jest...

– Na pewno? Może...

– Nie, przykro mi. Twój przyjaciel będzie mógł poddać moje ciało próbie, może nawet je złamać. Za to moje wnętrze, ja, moja wola, to, co sobą reprezentuję, nie może być w żaden sposób unicestwione. Nie tracimy czasu, prowadź mnie do kata.

Wiktor westchnął. Skierował strumień światła na opasujący nadgarstek zegarek. Ledwie kilka minut. Korneliusz dał mu stosunkowo dużo czasu na przeprowadzenie negocjacji. A teraz już po wszystkim. Młodzieniec wstał, po czym zajął miejsce bliżej zdezorientowanej Sary, cicho prosząc:

– Porozmawiajmy.

– Nie ma potrzeby, podjęłam decyzję.

– Chcesz być męczennicą? Już, teraz?



- Nie, ale jestem gotowa ponieść taką ofiarę, jeśli zajdzie potrzeba.
- Więc nie przyśpieszaj tej chwili. Chcę porozmawiać.
- O czym? Nie zdradzę również szczegółów...
- Dziewczyno! To nie podchody, możemy rozmawiać o byle czym.

Naprawdę nie zależy mi na tym, żebyś zaraz trafiła w ręce tego człowieka. Mamy czas. Nie pójdę teraz do niego, mogę nawet siedzieć tu i milczeć, czekając, aż sam przyjdzie spytać o postępy w negocjacjach.

- Chcesz ugrać dla mnie więcej czasu? Dlaczego?

– Bo jestem pracownikiem instytucji, której nadrzędną misją jest zachowanie porządku publicznego, co da się zrobić bez metod psychopatów pokroju Korneliusza.

Sara zawahała się. Szczere zainteresowanie jej losem wydawało się mało prawdopodobne, ale nawet jeśli nadal była poddawana śledztwu, to przecież lepsza rozmowa ze, skądinąd sympatycznym, młodym mężczyzną, niż tortury.

- Zgoda, Wiktorze, porozmawiajmy. Uprzedzam tylko, nie prosz o informacje związane z moją działalnością.

- Rozumiem. Może coś niezobowiązującego, muzyka na przykład.

Sara zaśmiała się krótko, kręcąc z dezaprobatą głową.

- Przepraszam, ale w tej chwili nie jestem w stanie skupiać się na lekkich tematach. Niedługo czeka mnie przerażająca dawka bólu, wiesz o tym. Wolałabym więc porozmawiać o czymś ważnym.

- Jak wiara? To twoja recepta na świat, wszechmocna tarcza wiary?

- Nie kpij, proszę. To coś złego, wierzyć w Boga?

- Wierzyć a walczyć dla religii, to co innego.

- Teraz już nie. I na pewno zdajesz sobie z tego sprawę, jesteś inteligentny, wiem to. Cały ten konflikt przybrał nowy wymiar, a media go

podsycają. Przecież ustawa ONZ znosi oficjalny kult, a nie potępia samej wiary, prawda?

– Naturalnie.

– Dlaczego więc obecnie osoby publiczne, celebryci, politycy czy nawet uczeni, praktycznie unikają tematu swoich wierzeń lub ostentacyjnie deklarują ateizm? Ludzie się boją.

– Czego?

– Was. A raczej osób pokroju Korneliusza, nowego statusu quo świata. Od tysiącleci religia i wiara tworzyły nierozzerwalną całość, teraz ten model został obalony, chociaż nadal trwa w świadomości zbiorowej. Powiedz komuś, że jesteś gorliwie wierzący, to od razu nabierze dystansu i podejrzeń, jakbyś zajmował się czymś nielegalnym.

– Generalizujesz.

– Chciałabym.

– I to usprawiedliwia morderstwa?

– Nie. Nigdy nie wybielałam naszych działań. Po prostu walczymy w obronie wiary, a każda walka przynosi ze sobą śmierć. My też ginimy, między innymi w katowniach w rodzaju tego miejsca.

– Odplącamy strachem za strach. Ludzie nie chcą być obiektami ataków terroru, musimy ich bronić.

– Was też się boją, nawet bardziej. My starannie wybieramy cele ataków, chociaż niekiedy, w wyniku tragicznych zbiegów okoliczności, cierpią niewinni. Wy macie pilnować swojego ukochanego porządku publicznego. Traktujecie społeczeństwo jak zwartą, plastyczną masę, a nie zbiór jednostek. Wycinacie z niego niepożądane elementy, jakbyście ścierali kurz z półek.

– Nie wiem, skąd ten totalitarny obraz władzy. Czasy się zmieniły, to wy tkwicie w przeszłości z klapkami na oczach, kreując siebie na anty–

systemowych partyzantów.

– W ten sposób nie dojdziemy do porozumienia. Zaprzestańmy tych wzajemnych ataków, proszę.

– W porządku. Wiesz, Saro, jesteś medialnym aniołem. Sposób w jaki mówisz, twoje łagodne gesty, ton, wszystko naraz, to spełniony sen specja od socjotechniki. Uwierz mi, znam się na tym.

– Zakładam, że to komplement.

– Naturalnie.

– Dziękuję więc. Myślę, że to nie moje umiejętności aktorskie, czy jak tam to chcesz nazywać, za tym stoją. Po prostu jestem sobą i mówię o tym, w co wierzę. A ludzie to czują. Jesteś osobą wierzącą?

– Skąd to nagłe pytanie?!

– Rozmawiamy po prostu.

– Racja. Czy wierzę w Boga? Tak, chyba tak. Nie zastanawiałem się nad tym od lat. Wiara zawsze wydawała mi się czymś w rodzaju wpojonego piętna. Wszystko to jest przecież zbudowane na poczuciu winy. Zawiodłeś czymś Boga, a więc musisz cierpieć psychiczne katusze.

– Mówisz o wyrzutach sumienia?

– Tak. Całkowicie irracjonalne uczucie. Przecież to zwykle są drobne sprawy, mało znaczące przewinienia.

– Jeśli męczy cię, że nie spełniasz wymogów, jakie stawia przed tobą twoja religia, to dobrze, bo jej mierniki są dla ciebie ważne. Inaczej nie przejmowałbyś się tym.

– Myślę, że to wyłącznie kwestia wychowania. Nic więcej. W świecie bez tych wszystkich skostniałych systemów religijnych paradoksalnie sam Bóg będzie ważniejszy.

– Więc dlaczego człowiek namnożył tak wiele systemów wierzeń przez te wszystkie milenia? Bo jest to nam potrzebne.

– Było. Religia doprowadziła świat na krawędź globalnego konfliktu nuklearnego!

– To ludzie, nie sama...

– Skończ z tymi sofistycznymi bzdurami! Bóg, jeśli istnieje, będzie musiał sobie poradzić w rządzeniu wiernymi bez pomocy swojego religijnego bata!

– Rozumiem. Wiktorze? Mógłbyś przez moment potrzymać moją dłoń? Przyrzekam, to żadna sztuczka.

Sara uniosła wyprostowane ramię, czekając na reakcję rozmówcy. Ten, po chwili wahania, wstał, by spełnić jej prośbę.

– Dziękuję – wyszeptała z niepewnym uśmiechem dziewczyna. – Chciałam przez moment poczuć zwykły dotyk drugiego człowieka, zanim... Nie chcę, żebyśmy rozstali się w gniewie. Nasza rozmowa dobiegła końca. Zawołaj Korneliusza, jestem gotowa stawić czoło jego ślepej furii.

Wiktor chciał coś powiedzieć, lecz jedynie kiwnął głową, jednocześnie uświadamiając sobie, że dziewczyna nie może przecież tego zobaczyć. Zmieszany, opuścił pomieszczenie. Sara odetchnęła z ulgą. Rosnąca sympatia do rozmówcy mogła ją wiele kosztować, była naprawdę bliska opuszczenia gardy. Perspektywa zwykłej, luźnej rozmowy była tak straszliwie kusząca. Wygadać się komuś szczerze, bez ideologicznej zasłony, nie słowami świeckiej świętej. Tylko tyle, a jednocześnie tak wiele. Niestety, teraz nie było już odwrotu. Zabrnęła na swojej drodze aż tutaj. I wszystko wskazywało na to, że dalej nie ma już nic innego, jak złowroga przepaść wypełniona bólem.

– Ooooch, ten pieprzony Korneliusz! – wymamrotała cichutko, zrzucając na moment duszącą, połyskliwie złotą maskę świętości.

\*\*\*

Dziwaczny plan kata zdawał egzamin. Dwa duże reflektory zalewały przeciwną ścianę obszernego pomieszczenia strugami światła, wydzielając przy tym odczuwalne ilości ciepła. Mimo stale rosnącej temperatury, Wiktor wzdrygnął się, spoglądając niepewnie w stronę uchylonych drzwi, przez które wpuszczono do środka dwa grube kable zasilające reflektory oraz jeden mniejszy, podpięty do stojącej w kącie aparatury. Nieopodal ustawiono stare, pozbawione materaca łóżko, do którego przywiązano Sarę. Dziewczyna zachowywała godny podziwu spokój, w przeciwieństwie do nadmiernie pobudzonego Korneliusza. Mężczyzna był wyraźnie poirytowany.

– Dobrze! Skoro nasza święta nie chce mówić, niech się smaży! A może jednak, suko, masz nam coś od powiedzenia, co?!

Sara dumnie milczała. Przez chwilę Wiktor chciał jakoś zareagować, ale ostatecznie dał za wygraną. Był pewien, że jakiegokolwiek uwagi z jego strony tylko dodatkowo rozjuszą kata, który uzna je za próbę obalenia jego autorytetu. Jediną nadzieją dla uwięzionej była awaria sprzętu, co, sądząc po jego wyglądzie, było całkiem realne. Korneliusz, jakby czytając w myślach mimowolnego współnika stwierdził:

– Może maszyna nie wygląda najlepiej, ale zapewniam cię, że będzie działać. Widziałem już, co to cudo potrafi, przy odpowiedniej regulacji potrafi zadać więcej bólu niż tradycyjne przesłuchanie!

– Sprawdzić, czy u ludzi wszystko gra? – spytał błagalnie Wiktor.

– O nie! Nie wymigasz się od tego spektaklu. Spokojnie, nie martw się, nie będziesz musiał brudzić sobie rąk, urzędasku. Masz tylko patrzeć. Zresztą, cała ta sytuacja to po części twoja wina, gdybyś był bardziej przekonujący, może dziewczyna zmieniłaby zdanie.

– Zadawanie mi bólu ci nie wystarczy? – spytała niespodziewanie Sara. – Koniecznie musisz atakować nawet swojego współpracownika?

Jesteś bardzo zdesperowany i chociaż nie znam powodów, to jestem pewna, że coś nie jest w porządku w twoim idealnym świecie, kacie. Widzisz już pierwsze pęknięcia na gładkiej powierzchni swojej iluzorycznej krainy? Człowieku, który ma się za Boga?

– Stul pysk, jeśli nie masz do powiedzenia niczego, co mogłoby nas zainteresować.

Wiktor zagryzł wargi, z trudem powstrzymując się od komentarza. Korneliusz sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka niż ten, którego poznał dzisiejszego popołudnia. Stoicki spokój mężczyzny prysnął jak bańka mydlana, co mogło sugerować, że był jedynie maską, skrywającą bezwzględne oblicze prawdziwego sadysty. Mimo wszystko Wiktor jakoś nie mógł w to uwierzyć. Skłaniał się raczej do tego, by uznać zachowanie kata za wynik stresu związanego z presją, jakiej został poddany. W końcu najbliższe dni miały definitywnie zdecydować o reszcie życia znienawidzonego przez ludzi, i najwyraźniej już zbędnego dla państwa Krwawego Korneliusza. Tymczasem mężczyzna wyjął z kieszeni gruby kawałek drewna, który bezceremonialnie wepchnął w usta drżącej Sarze, rozkazując:

– Zagryź to, dla własnego dobra. Inaczej możesz odgryźć sobie język.

Nie poświęcając już więcej uwagi temu, czy dziewczyna wypełniła jego polecenie, przystąpił do sprawdzania aparatury. Napluł na dłoń i roztarł ślinę na skroniach Sary, tłumacząc:

– To dla lepszego przewodnictwa, nie chcę cię przecież usmażyć. Zadam ci tylko straszliwy ból, nic więcej.

Wiktor gorączkowo rozważał możliwe opcje, odrzucając cisnące się do głowy groteskowe pomysły na przerwanie tego szaleństwa. Na próżno. Tymczasem Korneliusz miał już w rękach dwa przewodniki, podpięte do

włączonej właśnie maszyny. Przyłożył je energicznie do skroni swojej ofiary, rozkazując:

– Wiktor, odpalaj.

Młodzieniec uśmiechnął się mimowolnie, to była jego szansa.

– Odmawiam. Miałem nie mieć w tym udziału.

– Do jasnej cholery, naciskasz tylko przycisk!

– Nie mam zamiaru w tym uczestniczyć, to twoja decyzja i twoja odpowiedzialność, mogę przywołać ci kogoś do pomocy.

– W porządku, zrób to – odparł zupełnie spokojnie mężczyzna.

Zdezorientowany młodzieniec wyszedł na korytarz, by po chwili wrócić w asyście jednego ze strażników. Mężczyzna natychmiast spełnił polecenie przełożonego, stając posłusznie przy maszynie.

– Na trzy naciskasz ten przycisk – tłumaczył flegmatycznie Korneliusz – potem liczysz w myśli do dwóch i puszczasz. Jasne?

– Tak jest.

– Raz. Dwa. Trzy!

Reflektory zgasły gwałtownie, pogrążając pomieszczenie w ciemności. Dał się słyszeć odgłos spadającego na posadzkę drewna i cichy głos Sary:

– Coś się popsuło?

Wiktor wypuścił nagromadzone w płucach powietrze, rozkoszując się wiązką przekleństw, które wyrzucał z siebie Korneliusz. *Dziewczyna ma fenomenalne szczęście* – pomyślał młodzieniec – *albo ktoś nad nią czuwa*. Ta dziwna myśl, którą śmiało odrzuciłby w każdej innej okoliczności, tutaj, w głębokich ciemnościach, ledwie parę kroków od rozszalałego kata i jego cudem ocalałej ofiary, wydała się dziwnie realna.

## Rozdział III

Sara, w akcie bezsilnego sprzeciwu, zaciskała pięści tak długo, aż poczuła ból. Dopiero wtedy rozluźniła ucisk, próbując nieco się poruszyć. Niestety, krępujące ją więzy były solidne. *Robota fachowca* – pomyślała z goryczą. – *Prawie ich nie czuć, chyba, że chce się poruszyć choćby o centymetr.* Nie wiedziała, ile czasu minęło od chwili, gdy ją tu pozostawiono, ale musiał to być okres krótszy niż godzina. Ciekawiło ją, jak postępują prace z przywróceniem elektryczności. Wprawdzie odnowienie dopływu energii mogło oznaczać wznowienie przerwanych tortur, ale brak zasilania oznaczał stały spadek temperatury, co dało się już mocno we znaki skrepowanej albinosce.

Posępna twarz Korneliusza odbijała się w brudnej szybie, za którą śnieżna nawałnica przechodziła z wolna w zwykły, intensywny opad białego puchu.

– Interesujące – stwierdził wypranym z emocji głosem kat – pada nam zasilanie, a burza cudownie rozchodzi się po kościach. Przecież powinna szaleć do rana.

Stojący obok Wiktor nie skomentował tych słów, zamiast tego pytając:

– Co teraz?

– Nic. Agregat padł, jarmarczne gówno. Zaraz rozkażę ludziom zebrać jakieś stare meble, wykorzystamy paliwo, żeby rozpalić spore ognisko w holu, i poczekamy do rana.

– To – na moment zawiesił głos, biorąc głęboki wdech – zły pomysł.

– Masz lepszy?

– Oczywiście. Los nam sprzyja, musimy...

– Doprawdy?



– TAK! Korneliusz, do cholery, gdyby nie awaria sprzętu, pogrzebałbyś swoją szansę na lepszą przyszłość! Co cię naszło?! Elektrowstrząsy?! Musimy być niesamowicie ostrożni w medialnej walce, uwierz mi. Teraz, kiedy mamy Sarę, jest szansa, żebyś wyszedł z całej tej afery obronną ręką.

– A może nie chcę?

– Powtórz to.

– Dobrze słyszałeś. Co, jeśli nie mam ochoty bawić się w twoje gierki? Chcę po prostu robić swoje, tak jak do tej pory. Zniszczą mnie? Trudno! Przeżyłem już dosyć, żeby mieć co wspominać aż do późnej starości.

Wiktor poczuł, jak naprężają mu się mięśnie, a tętniąca w skroniach krew swoim szumem odcina go od reszty świata i jego prozaicznych dźwięków. Płynnym ruchem chwycił poły marynarki Korneliusza, krzycząc prosto w twarz zaskoczonego mężczyzny:

– TY TU GÓWNO ZNACZYSZ, STARY PSYCHOLU! Ty zwyrodniały, egocentryczny kretynie! Myślisz, że kogoś obchodzi twój los?! Nie jestem tu, żeby ratować twoją dupę, tylko walczyć o dobro Instytutu! Ja, ty, cały legion podobnych nam ludzi - to tylko małe tryby tej cudownej maszyny! Nie wyrzuca się użytecznych elementów, naprawia się je!

Młodszy z mężczyzn nachylił się i wysyczał rozmówcy wprost do ucha:

- I to właśnie mam zrobić; naprawić, naoliwić, ustabilizować! Pamiętasz naszą przysięgę? Bronimy Kraj przed najgorszym wrogiem, wrogiem wewnętrznym, który może być wszędzie, nawet w naszych szeregach. Nie możesz po prostu bawić się w pana i władcę udekorowanego krwawą legendą! Chcesz być potworem? Zgoda! Ale na naszych warunkach! Zostałeś stworzony przez siły potężniejsze, niż

możesz to sobie wyobrazić. Co możesz wiedzieć o prawdziwej potędze Instytutu, siedząc tutaj, w tych ruinach przeszłości? Pracując nad wizerunkiem naszej organizacji, widzę, jak daleko sięgają jej wpływy, widzę nareszcie tę delikatną sieć powiązań oplatających cały kraj. Nagonka medialna to uszczypliwości rozwydrzonego dzieciaka, przy tym, co może cię spotkać, jeśli świadomie zaczniesz działać przeciwko nam. Więc zamknij się i słuchaj mnie, reprezentanta tych sił. Rozumiesz?

Korneliusz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w poczerwieniałą twarz młodego rozmówcy, zanim powoli, delikatnie, zdjął jego dłonie z marynarki. Szorstkim, władczym tonem odparł:

– Rozumiem, reprezentancie wszechmocnych sił. Rozumiem doskonale i dziękuję ci za złożenie mi obszernej relacji z rzeczywistości. A teraz TY mnie posłuchaj, dzieciaku. Wchodzimy właśnie w drugą fazę rewolucji, to cholernie brudny czas. Nie uważam się za złego człowieka. Szalonego? Może. Egocentryk? Na pewno. Ale mam coś, co z grubsza mógłbym nazwać zwykłym poczuciem przyzwoitości. Ty należysz już do drugiej fali. Utorowaliśmy dla was drogę, walcząc z fanatykami tylko po to, żeby zastąpić ich wami. Myślisz, że stabilność Kraju jest teraz zagrożona? Bzdura. Owszem, walka nadal trwa, ale to już tylko niedobitki. Twój ukochany Instytut nie jest niczym innym, jak jedną wielką mafią, torującą sobie drogę do władzy. My walczyliśmy z prawdziwymi wrogami, ludźmi ceniącymi wyżej swoje wyznanie niż ojczyznę. Poczekaj jeszcze rok, dwa, wtedy zobaczysz, jak zaleje was, speców do reklam, fala rozkazów. Będziecie musieli tropić nowych wrogów, wymyślać im nazwy. Pokazać wszystkim, jak niezbędni jesteście. Ja już niczego nikomu nie muszę udowadniać, zrobiłem to, co do mnie należało. A teraz oświeć mnie, co powinniśmy zrobić?

– Iść do miasta – wypalił Wiktor – natychmiast.

– Po co?

– Zabezpieczyć więźnia. Grupa pościgowa na pewno jest blisko, sam to mówiłeś. Spójrz za okno, widzisz? W tym tempie za jakiś kwadrans zupełnie przestanie padać. Nie wiem, jak to w ogóle jest możliwe, ale nie możemy zmarnować tej okazji. Co, jeśli to tylko przerwa przed kolejnym uderzeniem nawałnicy? Marsz zajmie nam nie więcej niż półtorej godziny.

– Co dalej? Gdzie się schronimy? Na jakimś posterunku policji? Tam w pierwszej kolejności będą szukać. Nie znasz wszystkich faktów, powiedziałem ci tylko, że ją mamy, a nasi wrogowie są blisko. Może nawet właśnie teraz szykują się do ataku, chcąc, tak jak ty, skorzystać z chwilowej poprawy pogody.

– Wolisz się bronić tutaj?

– Lepsze to, niż walka na otwartym, zaśnieżonym terenie, gdzie będziemy widoczni jak na dłoni. Idealny cel dla pierwszego lepszego snajpera. W pościgu za Sarą ruszyło co najmniej dwudziestu ludzi, a to tylko szacunkowe dane. I muszą być blisko, bardzo blisko. Niecały kilometr stąd jest stare gospodarstwo i jestem niemal pewny, że właśnie tam się zatrzymali. Dotarcie do miasta niczego nam nie da. Możemy wezwać pomoc, ale jak myślisz, kiedy do nas dotrze?

– Wojtek – wymamrotał bezwiednie Wiktor.

– Co?

– Mam przyjaciela w mieście, który pracuje w praktycznie pustym hotelu. Moglibyśmy się tam zatrzymać. Klatka schodowa zniweluje ich przewagę liczebną, możemy przecież użyć mebli z pokoiów jako barykad.

– To ma sens.

– Widzisz! Poczekamy na nich spokojnie w ciepłym pomieszczeniu, a przy okazji wezwiemy telefonicznie posiłki i złożymy wstępny raport.

– Zgoda. Zrobimy to po twojemu. Zapomnij o tym, co sobie powiedzieliśmy, w co wierzymy, kim jesteśmy. Teraz nie będziemy walczyć dla Kraju czy Instytutu. Po prostu trzeba przeżyć tę noc. Idź, uwolnij więźnia, ja wydam ludziom rozkazy do wymarszu.

– Ach! Przypomniałem sobie o czymś! Co z więźniem z piwnic?

– Nie zabieramy go.

– To oczywiste, ale co z nim zrobisz?

– Nic. Mamy Sarę, teraz jest bezwartościowy. Jeśli myślisz, że na odchodne wpakuję mu kulkę, to muszę cię rozczarować. Ten wrak będzie dochodził do siebie jeszcze przez dzień albo dwa. Pobłąka się tutaj albo wyjdzie na zewnątrz i zamarznie. Może nawet znajdą go jego towarzysze. Szkoda czasu na zawracanie sobie nim głowy, idź do Sary. Masz – Korneliusz wręczył rozmówcy swoją latarkę – i uwiń się szybko.

Wiktor skinął głową i szybkim krokiem ruszył w stronę sali zabiegowej. Był na siebie wściekły! Zamiast prowadzić ostrożne negocjacje, pozwolił ponieść się emocjom, krzyczeć. Zupełnie jakby dopiero zaczynał przygodę z PR. Chociaż prawdopodobnie nawet nowicjusz nie popełniłby takiego szeregu błędów negocjacyjnych, świadomy wagi spoczywającej na nim odpowiedzialności. Ale oczywiście on, dzieciak Wiktor bawiący się w profesjonalistę, musiał odpyskować, spróbować ustawić kata. Już podczas rekrutacji mówili mu, że to nie jest świat dla niego. Nie słuchał. A teraz ostatecznie stracił resztki szacunku Korneliusza, o ile rzecz jasna w ogóle kiedykolwiek został nim obdarzony. *Krzyk zawsze zamyka drzwi* – sam powtarzał to niezliczonej ilości młokosów na szkoleniach. *Dosyć!* – upominał się w myślach, kierując uwagę na sprawy bieżące. Zapalił latarkę i ostrożnie wszedł do pogrążonego w mroku pomieszczenia, kierując strumień światła ku uwięzionej dziewczynie, która spytała:

– Skoro nie możecie podgrzać mnie swoją zabawką, to czy mogę chociaż dostać koc?

– Spokojnie, to ja, Wiktor. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Zadbalem o to – dodał po chwili namysłu. – Zaraz cię rozwiążę.

– Dziękuję. Chociaż nadal jestem waszym więźniem, nieprawdaż?

– Wiesz, że tak. Niedługo wyruszamy do miasta.

– Moi przyjaciele są już tak blisko?

Wiktor nie odpowiedział. Szybko oswobodził Sarę, a ta powoli podniosła się, wodząc dłonią w poszukiwaniu oparcia. Trafiła na ramię Wiktora, które schwyciła, mówiąc:

– Pomóż mi wstać.

Młody mężczyzna ostrożnie dźwignął dziewczynę, pozwalając jej oprzeć się na swojej piersi. Wypominając sobie lekkomyślność, pozwolił, by pozostała w tej pozycji przez jakiś czas. Nagle, podążając za niezrozumiałym impulsem, spróbował objąć swojego więźnia, lecz Sara zręcznie wymknęła się, robiąc krok do tyłu ze słowami:

– Wystarczy. Ogrzeję się maszerując.

Wiktor odchrząknął coś niezrozumiale, i delikatnie zaciskając dłoń na przedramieniu dziewczyny, zaczął prowadzić ją w stronę wyjścia.

\*\*\*

Obszerny, oświetlony hol hotelu „Turysta” rozbrzmiewał echem spokojnych kroków swojego opiekuna. Wojtek krążył leniwie i właściwie bez większego celu od ściany do ściany, pogwizdując cicho. Zastanawiał się, czy nie nadeszła właśnie ostatnia zima dla tego obiektu. Ten stary, generujący koszty moloch nie miał prawa wytrzymać konkurencji z licznymi pensjonatami ulokowanymi pod miastem, a mimo to wciąż, na

przekór prawom ekonomii, trwał. A on, prowincjonalny poeta z ambicjami, razem z nim.

– Właśnie! – zakrzyknął.

Wiersz. Miał przecież tej nocy coś napisać, od czasu spotkania z Wiktorem coś za nim chodziło. Jakaś uporczywa, lecz jeszcze niesprecyzowana myśl, którą mógłby przekuć w zbiór gładko złożonych słów. Zawsze uważał, że pisanie wierszy to w pewnym sensie prostsza sprawa, niż rzeźbienie prozy. Przynajmniej nie musiał się rozpisywać, męczyć nad wyborem bohatera, fabułą, wszystkimi tymi nużącymi, czasochłonnymi elementami. Wiersze są krótkie, a on był z natury leniwy. Nie mógłby pracować w ciągłym napięciu, jak Wiktor. Zganił się za wracanie myślami do starego przyjaciela. Jego nieoczekiwany przyjazd przypominał o dawnym życiu, które artysta–hotelarz odrzucił przed laty, w pogoni za weną.

– Kruczym piórem pisany, los marny, człowieczy – wymamrotał po cichu.

Szybkim krokiem wrócił do recepcyjnej lady. Warto było to zapisać. Nerwowymi ruchami wydobył z małej szufladki notes, przenosząc na papier wymyśloną przed momentem strofę. *Marny czy lepiej czarny?* – zastanowił się Wojtek, w chwili, gdy drzwi zewnętrzne rozwarły się pod naporem silnego pchnięcia niespodziewanych gości. Pokryci śniegiem, uzbrojeni mężczyźni, w liczbie około dziesięciu, ruszyli w stronę zdezorientowanego Wojtka, eskortując jakąś dziewczynę. Dopiero po chwili oderwany od pracy twórczej recepcjonista rozpoznał w nieznanym Sarę, a wśród przybyszy wypatrzył twarz przyjaciela, który wyszedł właśnie na czoło grupy i uspokajająco oznajmił:

– Musimy zatrzymać się na jedną noc.

– Jasne, jasne.

– I zrobić barykady.

– Ale...

– Wkrótce mogą tu przybyć terroryści, którzy będą chcieli odbić naszego więźnia. Chcemy jak najszybciej zabarykadować się na ostatnim piętrze. Potrzebujemy dostępu do pokojów. Telefony działają?

– Co? Tak, tak – odpowiedział machinalnie Wojtek. – Wiktor, co się dzieje? Dlaczego przyszliście tutaj?

– Nie mamy czasu na rozmowy. Naprawdę. Za jakiś kwadrans, a najwyżej pół godziny, będzie tu kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi, naszych wrogów.

– Idź na górę z ludźmi stawiać barykady, ja muszę zadać twojemu przyjacielowi kilka pytań – rozkazał Korneliusz.

– Klucze wiszą tutaj, bierzcie – wybąkał Wojtek, unikając kontaktu wzrokowego z katem. – Pójdę zamknąć główne wejście.

Nikt nie zareagował na to oświadczenie, wobec czego poeta niepewnie wyjął z mniejszej szafki pęk kluczy oznaczony jako „Hol”, i ruszył w stronę wysokich, przeszklonych drzwi głównych. Tymczasem Wiktor, razem z innymi mężczyznami, zaczął zdejmować z haczyków klucze do pokojów na ostatnim i przedostatnim piętrze. Kiedy Wojtek wrócił na swoje miejsce za ladą, w holu nie było już nikogo poza nim i Korneliuszem, który obdarzył go dziwacznym, mającym chyba wyrażać sympatię, uśmiechem.

– Mam kilka pytań – zaczął kat – a czasu jest niewiele, więc odpowiadaj w miarę zwięźle i precyzyjnie. Muszę jak najszybciej ustalić plan obrony tego miejsca.

Przez kilka minut Wojtek, z wprawą porównywalną do doświadczonego przewodnika opisującego grupce turystów kolejne

zabytki, udzielał zniecierpliwionemu rozmówcy wyjaśnień dotyczących planu budynku. Na koniec odważył się zadać pytanie:

– Co ze mną? Mam iść na górę?

– To zbyt wiele. Poprowadzisz mnie jeszcze do piwnic, muszę obejrzeć to składowisko śmieci z mini-windą do zwożenia worków z poszczególnych pięter. Potem wrócisz tutaj.

– Dostanę broń?

– A chcesz?

– Nie.

– Mądrze! Prowadź.

Wojtek z żalem podniósł się ze swojego miejsca, rzucając tęskne spojrzenie ku notesowi. *Jednak „los marny” brzmi lepiej* – zawyrokował w myśli.

\*\*\*

Przez uchylone drzwi do wnętrza pogrążonego w ciemności pokoju wpadało nieco światła z korytarza, tworząc na podłodze długą, świetlną smugę, w którą od dłuższego czasu wpatrywał się Wiktor. Mężczyzna siedział na łóżku, nerwowo przekładając z ręki do ręki otrzymany od Korneliusza pistolet. Ostatecznie odłożył broń, skupiając uwagę na mokrych od potu dłoniach. Wytarł je dokładnie w spodnie, biorąc przy tym głęboki wdech. Był szczęśliwy, że nikt go teraz nie widzi. Korneliusz polecił mu czekać tutaj na telefon z recepcji. Wedle planu kata Wojtek miał zadzwonić, gdy tylko zauważy zbliżających się do hotelu wrogów. Wiktorowi nie podobała się rola, jaką został obarczony jego przyjaciel, ale nie odważył się protestować. W końcu cała ta sytuacja wynikła z jego winy, i wszystko co może spotkać Wojtkę i tak uzna za wynik tylko i wyłącznie swoich działań. Mimo wszystko nadal był pewny słuszności



swojej wcześniejszej decyzji. Hotel dawał im chociaż cień szansy na wyjście z całej tej sytuacji obronną ręką. Był również wdzięczny za decyzję Korneliusza, który wyłączył go z walki, nakazując pilnowanie Sary. Ponownie podnosząc broń, spojrzał do tyłu. Jego „podopieczna” leżała spokojnie skulona w rogu łóżka, z głową wspartą na poduszce. Jej cera i włosy wyraźnie wyróżniały się w półmroku, a spokojny oddech sugerował, iż dziewczyna zasnęła, albo zręcznie symulowała sen. Ostry dźwięk telefonu spowodował, że poderwała się z miejsca, przez moment sprawiając wrażenie całkowicie zdezorientowanej. *Więc jednak spałaś, biedaczko* – pomyślał Wiktor, sięgając po słuchawkę.

- Idą! – wykrzyczał Wojtek. – Jakies trzydzieści osób!
- Dobra! Jasne. Ukryj się gdzieś.
- Otworzyć im drzwi?
- Co? Nie wiem, jak chcesz, to bez znaczenia.

Wiktor odłożył słuchawkę i wstał, w momencie, gdy w drzwiach stanął Korneliusz, rzucając krótko:

- Ilu?
- Podobno trzydzieści osób.
- Wystarczy, że mają jeden granat, i zdobędą przyczółek na schodach. A wtedy po nas. Mamy trochę czasu zanim tu dojdą, będą uważnie sprawdzać każde piętro, a przynajmniej mam taką nadzieję.

- Co z posiłkami?
- Kwestia kilku godzin, centrala jest już zaalarmowana, ale w taką pogodę... Sam rozumiesz. Na miejscu jest tylko kilku policjantów, którzy na pewno nie przyjdą nam z pomocą.
- Mam... tu zostać?
- Nie. Bierz Sarę, czas na plan B.

Zdezorientowany Wiktor wsunął broń w wiszącą u pasa kaburę i ostrożnie pomógł wstać Sarze. Dziewczyna niespodziewanie zapewniła mężczyzn:

– To będzie straszna walka. Dla was i moich towarzyszy. Spróbujcie pertraktacji, jeśli trafię do moich ludzi, zabronię im ataku. To starcie nie jest nam na rękę.

– Oczywiście, że nie – zawyrokował Korneliusz. – Macie przewagę liczebną jakieś cztery, pięć do jednego. Pewnie to wystarczy, ale poniesiecie straszliwe straty. A teraz, w zimie, cholernie ciężko będzie wam uzupełnić zapasy i ludzi.

– Sam widzisz.

– Zamknij się. Wiktor, idziemy.

Starszy z mężczyzn wydał jeszcze kilka rozkazów swoim ludziom i ruszył energicznie w stronę końca korytarza. Wiktor natychmiast podążył za nim, prowadząc Sarę. Dziewczyna miała problemy z nadążeniem, ale nie powiedziała ani słowa. Cała trójka stanęła przed podwójnymi metalowymi drzwiczkami wysokimi na jakieś pół metra. Obok nich w ścianę wmontowana była mała, blaszana tabliczka, wyposażona w dwa mocno starte przyciski podpisane jako „G” i „D”.

– To winda do zwożenia śmieci – oznajmił Wiktorowi Korneliusz. – Twój przyjaciel pokazał mi miejsce, gdzie się zatrzymuje. Niestety, z piwnic można wydostać się tylko wchodząc na parter. Podejrzewam, że główne wejście jest obstawione, ale na pewno znajdziesz jakieś okno. Byłem na dole i uchyliłem drzwi windy, więc nie będzie żadnych problemów z wyjściem.

– Chcesz, żebym uciekł razem z Sarą?

– Tylko w ostateczności. Na razie masz tam wejść, dziewczyna będzie z przodu, więc jakby mimo wszystko ktoś tam był, to nie strzeli od razu.

Miej broń w pogotowiu.

– Miło mi zostać żywą tarczą – stwierdziła spokojnie Sara.

Korneliusz zignorował tę uwagę, tłumacząc dalej:

– Zaraz zacznie się pierwszy szturm, po nim będziemy wiedzieć, czy mamy jakieś szanse na dłuższą obronę. Jeśli nie, podejść tu i ześle windę z wami na dół. Tam będziesz musiał radzić sobie sam.

Wiktor obrzucił wewnątrz windy pełnym dezaprobaty spojrzeniem, dobywając powoli broni. Dość szybko wcisnął się do środka, pewny, że dla drugiej osoby zabraknie już miejsca. Tymczasem Korneliusz brutalnie wepchnął do windy Sarę, zachowując się, jakby upychał worek pełen śmieci, a nie żywą istotę. Jego metoda okazała się jednak skuteczna, Wiktor miał nawet dość swobody, by położyć uzbrojone ramię na boku dziewczyny, kierując wylot lufy ku otwartym drzwiom. To, że Korneliusz znajdował się właśnie na linii strzału, przyniosło mu cichą satysfakcję, i tylko powaga sytuacji powstrzymała go przed szyderczym uśmiechem. Kat tymczasem spytał niespokojnie:

– Broń odbezpieczyłeś?

– Już – Wiktor przesunął zabezpieczenie na kolbie pistoletu.

– Doskonale. Nie kładź palca na spuście dopóki winda nie dojedzie do końca, bo rykoszet zabije dziewczynę, a ty nie będziesz mógł wyjść.

W tym momencie w korytarzu huknął pojedynczy strzał, poprzedzający krótką serię z karabinu maszynowego. Korneliusz nerwowo obrócił się w stronę schodów, lecz szybko ponownie spojrzał na Wiktora, którego twarz ledwie widoczna była zza zasłony białych włosów leżącej przed nim dziewczyny.

– Dziwnie to zabrzmiało, ale módl się za nas, chłopcze – poprosił Korneliusz. – Przyda się nam coś więcej niż szczęście.

Sara prychnęła pogardliwie, podczas gdy Korneliusz zamknął drzwi windy, pograżając dwójkę stłoczonych w jej wnętrzu ludzi w atramentowych ciemnościach. Dźwięki dochodzące do ciasnego wnętrza windy towarowej były mocno stłumione, niemal na granicy słyszalności. Wiktor mógł tylko domyślać się, że odległy, zniekształcony stukot był miarowym terkotem karabinów maszynowych. Z rosnącym obrzydzeniem wdychał stęchłe, przepełnione zapachem śmieci i ludzkiego potu powietrze. Czarny, absolutny mrok, w którym się znalazł, był tylko kolejną cegiełką do gmachu paniki, który szybko powstawał w jego umyśle. Jedynym pocieszeniem w tej sytuacji było przyjemne ciepło bijące od skulonej Sary. Dziewczyna oddychała spokojnie, zachowując się tak, jakby leżała w swoim łóżku, a nie tkwiła w ciasnej klitce wtulona w człowieka reprezentującego to, z czym poprzysięgła walczyć.

– Jak się czujesz? – spytał Wiktor, próbując rozmową skierować myśli na inne tory niż najbliższa przyszłość.

– Mało komfortowo. Mimo wszystko cieszę się, że właśnie tobie powierzono mnie pilnować.

– Próbujesz nawiązać między nami więź? Nie zapominaj, że jestem...

– Przestań. Nie musisz wszędzie wietrzyć spisku, nie jesteś taki jak Korneliusz, czuję to. Nie mam zamiaru na ciebie oddziaływać, osłabiać woli. Wiem, że jesteś gotów zrobić wszystko, bylebym tylko trafiła przed oblicze tych, których uważasz za reprezentantów prawa.

– Wybacz. Nie jestem przyzwyczajony do szczerości, pracuję przy kreacji wizerunku – zażartował

*Oboje żyjemy w światach, które musimy kreować* – pomyślała Sara, odpowiadając:

– To smutne. Ja wprawdzie nie muszę żyć w zakłamaniu, a mimo to też cierpię. Ludzie giną z mojej winy. Po obu stronach. Ale zostawmy ten

temat. Powiedz mi, proszę, coś o swoim przyjacielu. Tym z hotelu.

– Ma na imię Wojtek i w zasadzie jest początkującym poetą. To znajomy z dawnych lat. Kiedyś należeliśmy do perfekcyjnie zgranej paczki. Czasem, w żartach, nazywaliśmy się nawet intelektualistycznym gangiem.

– Piękne wspomnienia. Rozstaliście się przez rewolucję?

– Nie. Jeden z nas, Dominik, zabił się.

– Och.

– Nie wytrzymał presji swojej religijnej rodziny.

Sara chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. W końcu miała okazję po prostu z kimś porozmawiać twarzą w twarz, bez szczelnej maski wizerunku świętej. Jej rozmówca też zrezygnował z oficjalnego języka reprezentanta Instytutu. Byli teraz po prostu dwójką młodych ludzi, postawioną w obliczu śmiertelnego ryzyka. Sara nie miała złudzeń co do swojego losu. Wiedziała, że dla swoich ludzi jest wprowadzić cenna jako żywa świecka święta, ale równie dobrze mogą wykorzystać jej śmierć do stworzenia chwytliwego wizerunku męczennicy za wiarę. Sama ich tego nauczyła.

– Myślisz, że nam się uda? – spytał Wiktor, przerywając ciszę, jaka zaległa po jego ostatnich słowach.

– Zależy, co masz na myśli. Twój sukces to moja klęska, Wiktorze.

– Fakt.

– Po prostu chciałabym przeżyć tę noc. I uniknąć, o ile to możliwe, losu, jaki szykował dla mnie Korneliusz przed awarią zasilania.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie doszło! Czasy wszechwładzy ludzi jego pokroju odchodzą do historii.

– A kto zajmie ich miejsce?

– Nie wiem.

– Mam nadzieję, że będą to ludzie tacy jak ty.

– Ciekawe.

– Co?

– Zastanawiałem się, jak do tego doszło. Wczoraj o tej porze spokojnie spałem, zbierając siły przed kolejnym dniem pracy. A teraz?

– Życie potrafi zaskoczyć.

– W sumie nie jest tak tragicznie. Leżę obok pięknej dziewczyny w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu.

Sara roześmiała się mimowolnie, ganiąc się w myśli za ten odruch. Za bardzo obniża wizerunkową gardę, jest już zbyt ludzka. Nie wolno jej. Już nie. Sama wybrała przecież swoje przeznaczenie.

– Dziękuję – odparła skromnie.

Ktoś uderzył silnie w blaszane drzwi, tym samym brutalnie wdzierając się do ich prywatnego, ciasnego świata. Rzeczywistość stanęła u progu ich azylu i głosem Korneliusza oświadczyła:

– Uwaga, zjeżdżacie!

Winda zadrżała, a cichy zgrzyt uruchamianego mechanizmu poprzedził długą drogę w dół. Wiktor nerwowo wpatrywał się w ciemność, która nie ustępowała aż do momentu, gdy monotonne brzęczenie maszyny ustało na dobre. Prawdopodobnie dotarli do celu podróży. Młodzieniec dopiero po chwili zrozumiał, iż spogląda w mrok znacznie mniej intensywny, niż przed momentem. Nagły dopływ świeższego powietrza dodatkowo utwierdził go w przekonaniu, iż ma przed sobą otwarte drzwi windy i spogląda w ciemność panującą w piwnicach hotelu.

– Wyjdź – wyszeptał do ucha Sary, która posłusznie spełniła jego polecenie.

Po kilku minutach Wiktor stał już wsparty o ścianę, z ręką ostrożnie położoną na ramieniu Sary. Jego wzrok szybko przyzwyczaiał się do

delikatnego półmroku panującego wewnątrz małej salki. Jedyne źródło światła stanowiło wąskie, stanowczo zbyt małe dla człowieka okienko, niemal całkowicie przysypane śniegiem. Wiktor przez moment zadumał się nad faktem, iż ta odrobina światła wystarcza, by ludzkie oko było w stanie wyłonić z mroku kontury przedmiotów i otoczenia.

– Idziemy? – wyszeptała Sara.

– Tak. Połóż, proszę, rękę na ścianie, pójdziemy wzdłuż niej, aż znajdziemy stąd jakieś wyjście.

Dziewczyna ruszyła pewnie przed siebie, okazując znacznie mniej oznak niepewności niż on. *W końcu ciągle żyje w ciemności* – pomyślał smutno Wiktor. – *Oby tylko nie próbowała teraz krzyczeć.* A co, jeśli zacznie? Co zrobi, żeby ją uciszyć? Zastrzeli? To będzie przecież jeszcze głośniejsze. Poza tym chyba nie mógłby tego zrobić. Powinien trzymać język za zębami, kiedy siedzieli w windzie. Nawet jeśli Sara naprawdę nie chciała nim świadomie manipulować, to niezaprzeczalnie w ciągu ostatnich kilkunastu minut zaczął odczuwać w stosunku do niej rosnącą sympatię. A to nie zwiększało jego szans na przeżycie.

Opuszczenie piwnic zajęło im znacznie mniej czasu, niż podejrzewał Wiktor. Z bronią w ręku i Sarą, której rozkazał złapać się swojego paska, ostrożnie, krok po kroku, posuwał się naprzód. Młody spec od public relations na moment przełożył pistolet do drugiej ręki, wycierając spoconą dłoń w spodnie. Jak na razie nieźle im szło. Minęli kuchnię, w której znajdowało się zejście do piwnic, i przemierzyli już połowę opustoszałej jadalni. Po kilku minutach dotarli do drzwi dzielących część restauracyjną od głównego holu. Wiktor przystanął i, najciszej jak potrafił, wyszeptał do Sary:

– Zostań na miejscu.

Dziewczyna puściła jego pasek i znieruchomiała, spokojnie oczekując na dalszy rozwój wypadków. Jej strażnik nie był w stanie pozwolić sobie na komfort zachowania zimnej krwi. Czując szalone łomotanie serca i drażniącą suchość w ustach, uchylił ostrożnie drzwi, kurczowo ściskając w obu dłoniach broń. W ciągu pierwszej sekundy jego umysł zarejestrował kilka faktów. Dokładnie naprzeciw niego, przy ladzie recepcyjnej, siedział wyprostowany Wojtek, notując coś zawzięcie. Kilka metrów od niego stał uzbrojonych w strzelbę mężczyzna, wpatrując się w obraz zawieszony na ścianie. Wiktor całą siłą woli zmusił się do zachowania względnego spokoju. Postąpił kilka kroków, nie spuszczać pleców mężczyzny z muszki. Jego cel stał nieruchomo, a odległość nie wynosiła więcej jak dwadzieścia metrów. Nawet jako umysłowy pracownik Instytutu przechodził regularne, obowiązkowe szkolenia na strzelnicy. Wiedział, że był w stanie oddać precyzyjny strzał. Wystarczy zająć odpowiednią pozycję, nieznacznie ugiąć ramiona, wstrzymać oddech. Pojedynczy huk wystrzału, jęk mężczyzny, który instynktownie skoczył do przodu, uderzając w ścianę. Z rąk konającego wypadła strzelba, a sam nieszczęśnik zwałił się głucho na posadzkę tuż obok swojej broni, zostawiając na ścianie krwawą plamę. I było po wszystkim, wróg zginął. Wiktor opuścił broń, rozkoszując się potężną dawką adrenaliny krążącą w żyłach. Z zażenowaniem stwierdził też, że ma delikatny wzwód. Tymczasem przerażony Wojtek wpatrywał się w przyjaciela, by po chwili namysłu sięgnąć do kieszeni ze słowami:

– Chodź tu szybko, musimy uciekać!

Wiktor schował broń do kabury i wrócił do jadalni. Na szczęście Sara nie ruszyła się ani o krok. Dziewczyna pokornie podążyła za swoim strażnikiem, który pośpiesznie, szarpiąc ją za ramię, dobiegł do wyjścia. Tutaj czekał już Wojtek, o dziwo, dzierżąc w dłoniach broń zabitego.



– Może się przydać – stwierdził przepraszająco poeta–hotelarz. – Chodźcie, na tyłach stoi nasz zimowy samochód dostawczy. Grat, ale ciągle na chodzie. A wczoraj założyłem mu łańcuchy na koła.

– Prowadź – zakomenderował Wiktor.

Po kilku chwilach gorączkowego przedzierania się przez świeże zaspy, cała trójka stanęła przed co najmniej kilkunastoletnią półciężarówką blado–pomarańczowej barwy. Wojtek wydobył z kieszeni kluczyki i pośpiesznie otworzył drzwi pojazdu energicznym szarpnięciem. Wiktor niemal wepchnął Sarę do środka, sam zajmując miejsce obok. Tymczasem młody poeta usiadł za kierownicą, nerwowo przekręcając klucz w stacyjce. Silnik charknął głośno, krztusząc się przez kilkanaście sekund, nim jego praca ustabilizowała się do poziomu głośnego terkotu.

– Nie do zajeżdżenia! – wykrzyknął radośnie Wojtek, ruszając ostro z miejsca. – Ten kochany złom odpaliłby nawet w środku śnieżycy.

– Dziękuję za pomoc, bez niej pewnie już byłbym martwy – wyznał szczerze Wiktor.

– Cholera!

– Co?

– Zapomniałem strzelby, zostawiłem ją opartą o bok samochodu jak wsiadałem.

– Nie będzie nam potrzebna. Zresztą mam swój pistolet.

– Racja. Perfekcyjny strzał, Wiktorze.

– Dzięki, ale...

– Kogo właściwie zabiłeś? – wtrąciła niespodziewanie Sara chłodnym tonem. – Spojrzałeś chociaż w jego twarz?

– To był jakiś mężczyzna. Raczej po trzydziestce – stwierdził niepewnie Wiktor. – Nie miałem czasu się przyjrzeć. Chodziło o moje życie.

Dziewczyna nie odpowiedziała, splatając dłonie do modlitwy.

– Co teraz? – spytał Wojtek. – Masz jakiś pomysł, gdzie mógłbym pojechać?

– Przyznam szczerze, że nie. Po prostu jak najdalej stąd. Rano nadejdzie wsparcie, do tego czasu musimy się gdzieś ukryć.

– A ja mam pewien pomysł – oświadczył z nutką dumy w głosie Wojtek. – Pod miastem mieszka mój znajomy, pan Maksymilian, to rzeźbiarz. Na pewno da nam schronienie. Tylko nie będziemy mogli podjechać tuż pod jego chałupę, bo mieszka w małym lasku. Ale dojdzie tam z samochodu zajmie nam najwyżej kilka minut.

– Idealnie! Zobaczysz, Wojtku, załatwię ci promocję nie z tej ziemi, każdy kupi twój tomik poezji!

– Chciałbym dożyć tej chwili.

– Na razie skupmy się na przeżyciu tej nocy.

Poeta zmarkotniał i kiwnął ze zrozumieniem głową, zerkając ukradkiem ku pogrążonej w modlitwie dziewczynie. *Ładna jest* – zawyrokował w myśli Wojtek, ponownie koncentrując uwagę na ośnieżonej drodze.

\*\*\*

Mężczyzna wpatrzony w ogień, łapczywie pochłaniający wrzucone do obszernego kominka szczapy drewna, westchnął ciężko. Ospale podniósł się z małego, ręcznie robionego taboretu i ruszył w stronę okna. Na zewnątrz nadal nie padał śnieg. Raptowne ustanie śnieżnej nawałnicy to zły znak. Tylko raz w ciągu swojego życia doświadczył podobnego wybryku natury. Jeśli obecna sytuacja rozwinie się tak, jak przed laty, to czekają go tu ciężkie chwile. W ciągu najbliższych godzin burza może powrócić, tym razem z prawdziwie niszczycielską siłą. Coś

podpowiedziało mu, żeby podczas ostatniej wizyty w mieście zrobić większe zapasy. Szkoda, że nie uległ w pełni tej pokusie, decydując się jedynie na zakup kilku dodatkowych konserw i czekoladowego batonika. Po co mu w ogóle jakiś kolorowy batonik? Mógł kupić kiełbasę. To pewnie przez tego młodego fantastę, Wojciecha z hotelu. Podczas ich ostatniego spotkania młodzieniec spałaszował dwa takie batoniki. Narobił mu tym smaku. Ale wiersze chłopak pisze dobre, szczerze.

Ostre pukanie wyrwało mężczyznę z wewnętrznego monologu, zmuszając do pokuśtykania w stronę drzwi. *A niech mnie zabiją, jak tak trzeba* – pomyślał hardo, bez pytania otwierając nieznanemu przybyszowi. Zaskoczony, spojrzał na Wojtkę w towarzystwie jakiegoś młodzieńca i dziewczyny, w której rozpoznał poszukiwaną w okolicy samozwańczą świętą.

– Dzień dobry panie Maksymilianie, można? – wybąknął przemarznięty poeta.

Brodaty, ubrany w przesiąkniętą cierpkim zapachem potu bluzę barwy zgniłej zieleni i znoszone bojówki artysta klasnął w dłonie, mówiąc:

– A to ci niespodzianka! Wchodźcie. Chcecie może – dodał po chwili namysłu – batonika?

## Rozdział IV

Korneliusz obrzucił krótkim, ponurym spojrzeniem zakrwawione zwłoki czterech swoich podwładnych, ułożone jedno na drugich pod ścianą. Razem z nim zostało ich jeszcze pięciu. *Całkiem nieźle* – pomyślał – w zestawieniu ze stratami wroga. Wśród tarasujących klatkę schodową mebli poniewierało się kilkanaście poskręcanych ciał. Napastnicy, wbrew obawom Korneliusza, okazali się kiepsko uzbrojeni. Większość z nich dysponowała bronią krótką lub myśliwską, tylko dwóch miało ze sobą karabiny szturmowe, prawdopodobnie pamiętające jeszcze chaotyczne lata osiemdziesiąte, gdy po gwałtownym upadku ZSRR nabycie broni automatycznej było stosunkowo proste. Mimo wszystko zaciekle, straceńcze próby zajęcia schodów przez wyznawców Sary odniosły pewien sukces. Obrońcom kończyła się amunicja. Wprawdzie dysponowali jeszcze pistoletami, lecz bez przewagi ognia maszynowego próby utrzymania dotychczasowej pozycji mogły zakończyć się fiaskiem. Kat zastanawiał się nad przyczyną nagłego zawieszenia broni. Od czasu, gdy gdzieś z niższych pięter dobiegły ich jakieś okrzyki, walka została wstrzymana. Minął już ponad kwadrans od ostatniego rajdu nieprzyjaciela. Korneliusz wykorzystał ten czas na przeniesienie zwłok swoich ludzi w jedno miejsce i uprzątnięcie walających się wszędzie łusek.

- Hej! – zawołał ktoś z dołu, przerywając przemyślenia kata.
- Czego?! – odwarknął Korneliusz.
- Złóżcie broń! To koniec, mamy Sarę!
- Tak? W takim razie powiedz, jak jest ubrana!
- Co?
- Słyszałeś! Przebraliśmy ją zaraz po dostarczeniu do naszej bazy operacyjnej – zełgał płynnie kat. – Jak jest teraz ubrana?

- W wasz uniform, nie wiem jak to dokładniej określić.
- Gównu macie!
- Wy też! Ktoś zabił naszego wartownika na dole.
- Pewnie recepcjonista.
- I zostawił za sobą ślady trzech osób, w tym kobiece?
- O proszę! Macie własnego tropiciela! Brawo! Odkryliście nareszcie, że moi ludzie już dawno wyprowadzili stąd Sarę. Nie dogonicie ich!
- To się jeszcze okaże!
- Żałośni partacze! Widząc, jak walczyacie zastanawiam się, jakim cudem byliście w stanie działać przez te wszystkie miesiące.
- Gadaj zdrów, morderco!
- Amatorzy! Jak w ogóle mogliście nie obstawić hotelu? Co, czyżby prawdziwa walka przerastała wasze możliwości taktyczne? To coś innego jak morderstwo w ciemnym zaułku, albo podłożenie paczki z bombą pod drzwi komisariatu, zwierzęta!
- Dorwiemy cię!

Korneliusz prychnął pogardliwie, spoglądając z triumfem na swoich podkomendnych. Dali radę! Wróg został z niczym, w dodatku obciążony sporą stratą ludzi i uzbrojenia. Mężczyzna martwił się tylko o to, czy zdesperowani przeciwnicy nie zdecydują się podpalić hotelu na odchodne. Chociaż w obecnej sytuacji zdziśiatkowani partyzanci musieliby stracić wiele cennego czasu na odszukanie odpowiedniej ilości łatwopalnych materiałów oraz obstawienie wszystkich możliwych dróg ucieczki dla uwięzionych w ognistej pułapce żołnierzy. Poza tym, jak dotąd, żaden z wyznawców świeckiej świętej nie zniszczył budynku cywilnego, dzięki czemu lokalna społeczność zawsze mogła łudzić się, że ataki wymierzone są we „władzę”, a nie „zwykłych ludzi”. Zresztą to i tak nie miało większego znaczenia. Nie dostali Sary, tylko to się liczyło! *Teraz wszystko*

*w twoich rękach, Wiktorze – pomyślał z niepokojem mężczyzna. – Nie spieprz tego, chłopcze.*

\*\*\*

Starszy mężczyzna, z wyrazem triumfu na twarzy, spoglądał na zewnątrz przez lekko uchylone drzwi swojej chaty. Miał rację. Pogoda, po dziwnym etapie chwilowego wyciszenia, znów zaczynała się gwałtownie pogarszać. Zamknął dokładnie drzwi i odwrócił się w stronę swoich gości stłoczonych wokół paleniska, mówiąc:

– Za jakieś pół godziny zacznie sypać jak diabli. To będzie największa zamieć od co najmniej trzydziestu lat.

Nie odpowiedzieli. Dwaj młodzieńcy wyglądali na wyczerpanych, a ich pozbawione wyrazu spojrzenia sugerowały, iż w ciągu ostatnich godzin przeżyli coś, co mocno nadważyło ich siły psychiczne. Dziewczyna natomiast sprawiała wrażenie niezwykle spokojnej, wręcz zobojętniałej. Jadła spokojnie ofiarowanego jej batonika, zwrócona plecami do ognia.

– Wojtku, musimy tam wrócić, oddać Sarę pod straż – stwierdził stanowczo Wiktor. – Może rano przestanie padać.

– Nie przestanie – wtrącił się Maksymilian. – Nie wiem, czym przyjechaliście, ale na pewno do rana będzie zagrzebane pod czapą śniegu.

– W takim razie pójdziemy pieszo. Właściwie mogę iść sam, zrobiłeś już wystarczająco wiele i jestem ci za to szalenie wdzięczny.

– Obawiam się, że szybko poproszę o przysługę – wybąkał Wojciech. – Przez jakiś czas przydałaby mi się ochrona, a może nawet wyjadę z miasta. Ci ludzie mogą uznać mnie za waszego współnika i spróbować zabić w ramach odwetu.

– Tego typu działania nigdy nie są podejmowane bez konsultacji ze mną – oznajmiła niespodziewanie Sara. – Jako przywódczyni muszę

osobiście dźwigać ciężar moralnej odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

– A ja bym ją zwyczajnie zastrzelił – zawyrokował Maksymilian. – Dlaczego tak na mnie patrzysz, Wojtku? Wiesz, że nie bawię się w te wszystkie kłamliwe postawy towarzyskie, mówię, co mam w mózgu. Ta dziewczyna żyje w swoim iluzorycznym świecie, gdzie to ona gra pierwsze skrzypce. Myślę, że za nic ma to, co dzieje się tutaj, w naszej rzeczywistości. Znam ten stan, sam taki jestem. Dlatego rzuciłem kiedyś profesurę i spokojnie rzeźbię sobie te pokracczne cudaki. Trzeba koniecznie tępić takich ludzi jak ja i ona, odrealnionych szkodników społecznych. I pomogę wam. Chcecie dostarczyć ją do miasta?

– Najpierw musimy wrócić do hotelu, gdzie pracuje Wojtek, i upewnić się, czy na miejscu są już wezwane posiłki. Ktoś musiałby zostać tutaj i przypilnować Sary.

– Wojtek zostanie – zakomenderował były profesor – a ty... jak się w ogóle nazywasz?

– Wiktor.

– Zwycięzca! Doskonale. Pojedziemy do miasta na koniu. Mam dwie piękne klacze w stodole przy tej ruderze. Zadbane bestie, chociaż jedna trochę jest podziębiona. A przecież teraz mają tam znacznie cieplej niż my. Budynek jest pięknie ocieplony, z elektrycznym ogrzewaniem, a do tego pyszna pasza! Jak w konikowym raju. Jak przestanie sypać, osiodłam jedną z nich i poniesie nas pod samiutki hotel. A ty, Wojtku, przypilnujesz tutaj naszej morderczej śnieżynki. Dostanę dużo pieniędzy za pomoc rządowi?

Wiktor zmierzył wzrokiem obdartego, brudnego mężczyznę, cheszącego otwartą dłonią swoją bujną, nieco już posiwiąłą brodę.

– Tak... Jeśli tylko pan tego chce, zapłacimy za pomoc w działaniach terenowych, mamy na to specjalny fundusz.

– Ile?

– Nie więcej, niż kilka tysięcy.

– Ho! Ho! Tyle zupełnie wystarczy.

– Naprawdę pan tego chce? – spytał Wojtek.

– Naturalnie. Jestem artystą, najgorszym gatunkiem człowieka. Pasożytem, bawiącym cudze zmysły. Jak batonik! Słodka, droga chwila niezdrowej przyjemności. Poza tym, posłać za kratki tę małą żmijkę to czysta rozkosz. Gdyby przed chwilą nie wzięła ode mnie batonika, to pewnie bym ją porządnie trzepnął w tę białą główkę, ale teraz to nie wypada. Chodź, chodź, Wiktorze, pokażę ci moje prace, weź też ten brudny płatek ślepego śniegu, a ty, Wojtku, pilnuj ognia.

Maksymilian zachichotał złowieszczo, co ponownie wzbudziło rosnące wątpliwości Wiktora, dotyczące zdrowia psychicznego ich gospodarza. Z drugiej strony mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby celowo kreował się na uczonego szaleńca, czerpiąc radość z konsternacji jaką wywoływało jego zachowanie. Wojtek najwyraźniej przyzwyczał się do tych dziwactw, więc artysta skupił swoje wysiłki na nowej „ofierze”. Wiktor mimo wszystko wolał go nie prowokować. Posłusznie ruszył za rzeźbiarzem, prowadząc ze sobą milczącą Sarę. Stanęli przed jedynymi, poza wejściowymi, drzwiami w izbie. Mężczyzna otworzył je wyciągniętym z kieszeni kluczem i śmiało przekroczył próg, macając ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Po chwili małe pomieszczenie, którego ściany wyłożono szczelnie styropianem, zalało jasne światło zwisającej z sufitu lampy neonowej. Na kilku wyglądających na szkolne ławkach ustawione były niezliczone małe rzeźby, wśród których poniewierały się różnej wielkości dłuta.



– Oto wnętrze mojej głowy! – krzyknął triumfalnie artysta.

Wiktor szybko przyprowadził Sarę do jednego ze stołów, samemu koncentrując się w pełni na oglądaniu dziwacznych figurek. Wyglądały oszałamiająco. Niesamowita precyzja wykonania detali wzbudzała podziw dla kunsztu stojącego nieopodal artysty, który pochrząkiwał z zadowoleniem, wciąż gmerając palcami w przetłuszczonej brodzie. Małe, nie wyższe niż kilkanaście centymetrów drewniane stworzenia, przypominały nieco skrzyżowanie ośmiornic, meduz, koników morskich i różnych gatunków ryb. Tematyka niemal wszystkich prac była powiązana z mieszkańcami oceanów, chociaż rzeźby często posiadały również elementy wskazujące na niezwykle, momentami wręcz patologiczne, zainteresowanie autora żeńskimi organami płciowymi.

– Niesamowita precyzja – przyznał z podziwem Wiktor. – Doskonale potrafi pan dopracować detale, jakby były ważniejsze od ogólnego kształtu.

– Słusznie, słusznie. Dobre oko! Nie mówisz bzdur o wrażeniach, podziwiasz mnogość kochanych szczegółików, o to właśnie chodzi. To chcę pokazać. Gównu się liczy wielbiona przez wszystkich całość, trzeba ryc, patrzeć głębiej. Zwróć uwagę na te wszystkie rysy. Nie powstają mechanicznie, sam je tworzę. Postarzam własne prace, mam taką moc. Ha! A ty co namacałaś, śnieżynko?

Sara od dłuższego czasu stała w miejscu, wodząc dłonią po malutkiej, mieszczącej się w dłoni rzeźbie.

– Wiktor, mógłbyś mi pomóc? – spytała, ignorując pytanie rzeźbiarza.  
– Przy tak drobnym przedmiocie nie jestem w stanie odczuć wyraźnie wszystkich kształtów, a mam wrażenie, że w tej rzeźbie jest coś niezwykłego. Mógłbyś ją dla mnie opisać?

– Naturalnie.

Młodzieniec ostrożnie wziął do ręki dziwną figurkę, zerkając ukradkiem w stronę naburmuszonego rzeźbiarza.

– No więc tak – zaczął niepewnie – jako jedna z nielicznych, ta rzeźba jest pomalowana. Na biało. To karykatura bazarowych aniołów. Zamiast skrzydeł ma coś w rodzaju połączonych ze sobą muszli, a ubranie wygląda jak splątane, spłaszczone wodorosty. Zamiast rąk i nóg ma macki z przyssawkami. Tylko twarz jest normalna, dziecięca.

– Podoba się, śnieżynko? Możesz ją sobie zabrać – stwierdził z pobłażliwością w głosie artysta.

– Nie jest w moim guście, ale przyjmę prezent, dziękuję. I oddam go Wiktorowi.

– Bezczelna. Odłóż to na stół, zwycięzco.

– To nie jest już moja? – spytał, sam nie wiedząc dlaczego, Wiktor.

Maksymilian prychnął z pogardą i machnął ręką na znak, że wszystko mu jedno, dodając:

– Dosyć już tego oglądania, musimy się przespać. Dam wam koce i obudzę, kiedy pogoda pozwoli na jazdę. I dostaniecie jedzenie.

Wiktor ostrożnie schował prezent do kieszeni i pomógł Sarze znaleźć wyjście. Poczuł ulgę na myśl, że najbliższe godziny przyniosą pewną stabilizację ich sytuacji. Wszystkim im przyda się taka chwila przerwy, zwłaszcza wyraźnie zmęczonej dziewczynie. Ten dzień musiał być dla niej szczególnie ciężki, a perspektywa przekazania w ręce władz na pewno nie podnosiła jej na duchu. *Cóż, sama wybrała swój los* – pomyślał Wiktor – *jak my wszyscy.*

\*\*\*

Maksymilian leniwie szturchał pogrzebaczem dopalające się kawałki drewna, miarowo kiwając na boki głową. Nieprzyjemne trzaśnięcia kości

powoli cichły, aż mężczyzna uznał, że jego namiastka porannych ćwiczeń jest skończona. Odłożył pogrzebacz i rozejrzał się po pomieszczeniu. Na podłodze leżały trzy skulone, opatulone kocami postacie, z których wyraźnie rzucała się w oczy drobna Sara, mruczająca coś przez sen. Artysta cicho podszedł do jednej z okiennic i otworzył ją, spoglądając na biały świat poza jego przytulnym domem. Chociaż słońce wzeszło już jakiś czas temu, to ciemne chmury wciąż blokowały dopływ jego promieni do powierzchni kompletnie zasypanej śniegiem ziemi.

– Nawałnica ustała – wymamrotał półgłosem rzeźbiarz w stronę wygrzebującego się właśnie ze swojego posłania Wiktora.

– Uhm – odburknął półprzytomnie młodzieniec – kiedy jedziemy?

– Za pół godziny. Budź Wojtka, ja zaparzę herbatę.

– W porządku.

– Zrobię też dla Sary. Niech kanalia ma coś od życia.

– Myślę, że może jeszcze pospać.

– Twój więzień, twoja wola.

Wkrótce wszyscy mężczyźni byli już na nogach, nieudolnie próbując zachowywać się cicho. Sara uśmiechnęła się nieznacznie, słysząc hałasy i tubalne szepty. Wprawdzie nie spała już od dłuższego czasu, ale była wdzięczna Wiktorowi za jego troskę. Wolała spokojnie leżeć i zbierać siły, udając sen, niż wracać do rzeczywistości. Pogodziła się już ze swoim losem. Przegrała. To wszystko. Teraz chciała tylko leżeć beczynn timer, nie myśleć o niczym. Chociaż łyk ciepłej herbaty nie był wcale takim złym pomysłem. Otworzyła oczy i poczuła jak wszystkie jej mięśnie napinają się do granic wytrzymałości. Widziała! Przerażona, zmrużyła powieki, po chwili ostrożnie je otwierając. Widzi. Znowu. Szybko zmrużyła oczy, obawiając się, że ktoś mógłby zauważyć ten „cud”. A może to naprawdę był jakiś cud? *Bredzisz* – pomyślała. – *Od tego wmawiania ludziom*

*własnej świętości człowiek gotów samemu w to uwierzyć.* Pamiętała, że lekarz wspomniał kiedyś o takiej ewentualności. W końcu jej organizm funkcjonował prawidłowo, więc zasadniczo nigdy tak naprawdę nie straciła wzroku. Po prostu jej mózg z jakiegoś powodu przestał interpretować docierające do niego sygnały. A teraz wszystko wróciło do normy.

- Śpisz? – spytał Wiktor, nachylając się nad dziewczyną.
- Odpoczywam – wymamrotała, jeszcze mocniej zaciskając powieki.
- W porządku. Jedziemy do miasta. Postaramy się wrócić jak najszybciej. Wojtek się tobą zajmie.
- Nie ma pośpiechu.
- No tak...
- W każdym razie dziękuję za twoje wsparcie, Wiktorze.
- Staralem się. Teraz wszystko będzie zależało od ludzi postawionych wyżej ode mnie. Ale jeszcze o tym porozmawiamy.

Mężczyźni hałasowali jeszcze przez chwilę, nim w końcu skrzypnęły drzwi i dał się słyszeć zniecierpliwiony głos Maksymiliana:

- Chodźmy. Wojtku, masz tu klucz do mojej pracowni. Może będziesz chciał obejrzeć sobie rzeźby, dla zabicia czasu. A ty, śnieżko, nie leż tyle na podłodze. Bo umrzesz.

Artysta wybuchnął rubasznym śmiechem, chwając sam siebie za „doskonałe poczucie humoru”. Po kilku chwilach wszystko ucichło, a jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu był chrzęst przesuwanych przez Wojtka resztek paleniska. Młody poeta wrzucił do kominka kilka złożonych w kancik, wyrwanych z gazet stron i przycisnął je drobniejszymi kawałkami drewna z wiklinowego kosza. Po chwili ogień strzelił radośnie w górę, podsycany jeszcze kilkoma zwitkami papieru i drobnymi gałązkami.

– Czy moglibyśmy podejść do pracowni? – spytała niespodziewanie Sara.

– Koniecznie teraz? – jęknął Wojtek.

– Nie w tej chwili, ale niedługo. Rozumiesz, kiedy po mnie wrócą... Chciałabym raz jeszcze dotknąć tych rzeźb.

– W porządku. Skończę z kominkiem, to zaraz tam pójdziemy.

– Dziękuję.

Wojciech szybko uporał się z wstępnym rozpaleniem ognia i biorąc pod ramię Sarę, ruszył w stronę pracowni. Otworzył drzwi i oznajmił:

– Siedź tam, ile tylko chcesz. Czekaj, zapalę ci światło.

Gdy błysnęły już neony, zreflektował się zakłopotany:

– Wybacz, zapomniałem.

– Nie jestem urażona. Zasadniczo dociera do mnie pewna ilość światła, więc tak jest nawet lepiej.

– Idealnie. To sobie zwiedzaj, ja muszę rozpalić naprawdę solidne ognisko, nie wiadomo kiedy wrócą Wiktor i Maksymilian.

Sara zaczęła ostrożnie wodzić palcami po rzeźbach, dopóki nie usłyszała krzątania poety przy kominku. Otworzyła oczy i natychmiast namierzyła wzrokiem interesujący ją przedmiot. Długie, wąskie, przypominające nieco sztylet dłuto leżało kilkanaście centymetrów od jej dłoni. Wczoraj wyczuła je, ale szybko porzuciła wtedy pomysł wykorzystania tego narzędzia. Teraz sprawy miały się inaczej, jej szanse na ucieczkę gwałtownie wzrosły. Zważyła dłuto w dłoni i lekko postukała w jego szpic. Wystarczy jeden celny, szybki cios i Wojtek zostanie unieszkodliwiony. Nie miała zamiaru go zabijać. Czuła, że to byłoby nie w porządku wobec Wiktora, który traktował ją naprawdę dobrze. Obróciła się w stronę swojego celu i, najciszej jak potrafiła, krok za krokiem, ruszyła ku zgarbionym plecóm pochłoniętego swoją pracą młodzieńca.

Niespodziewanie szybko pokonała dzielący ich dystans. Czuła, jak powoli zaczynają drżeć jej dłonie. Musi go tylko unieszkodliwić, potem pobiegnie do stajni. Tego lata dużo czasu spędzała jeżdżąc konno, to był bardzo chwytliwy obraz – święta na białym koniu. Podczas tych treningów nauczyła się też, jak osiodłać i wsiąść na zwierzę, a nawet przejechać jakiś kawałek samodzielnie. Na potrzeby kolejnych sesji zdjęciowych mogłaby jedynie siedzieć w siodle, lecz ona wołała naprawdę nauczyć się jeździć. Chwile spędzone na grzbiecie potężnego zwierzęcia były cudowne, czuła się wtedy wolna. A teraz to doświadczenie zapewni jej prawdziwą wolność. Ucieczka na koniu po cudownym odzyskaniu wzroku, propagandowa bomba.

– Sara? – spytał Wojtek, podnosząc się z klęczek.

Gwałtownie wyrwana z pogodnych rozmyślań dziewczyna energicznie wraziła szpic dłuta w ciało młodzieńca. Nie miała czasu na celowanie, lecz starała się jakoś ominąć najbardziej żywotne organy. Ostrze gładko utkwilo w lewym boku nieszczęsnego Wojciecha, który runął na podłogę, wrzeszcząc wniebogłosy. Paraliżujący ból uniemożliwił mu jakąkolwiek reakcję, mógł tylko obserwować, jak Sara pośpiesznie zakłada jego kurtkę i wybiega z chaty.

\*\*\*

Wiktor czuł, jak z wolna opuszczają go siły. Jazda na końskim grzbiecie dała mu się mocno we znaki, poza tym perspektywa powrotu do hotelu, być może wciąż opanowanego przez nieprzyjaciela, zwyczajnie go przerażała. Gdyby nie obecność Maksymiliana, prawdopodobnie w ogóle nie próbowałby wracać do „Turysty”, lecz nie miał zamiaru tracić twarzy przed tym zdziwaczalym artystą. Po uwiązaniu zwierzęcia do jednej z latarni, mężczyźni ostrożnie zbliżali się do gmachu hotelu. Wiktor

z początku próbował skradać się z odbezpieczoną bronią w rękę, lecz metal okazał się zbyt zimny.

– Wchodzimy? – spytał podejrzliwie Maksymilian.

– Nie wiem. Chyba jest bezpiecznie. Chodź, pójdziemy na tyły, do miejsca skąd odjechaliśmy. Wojtek zostawił tam broń.

– Nie potrzeba mi takiej broni. Mam nóż. Noże są dobre.

– Twoja wola. Wchodzimy.

Wiktor, zbierając wszystkie pokłady odwagi, jakimi dysponował w tej chwili, śmiało pchnął oszklone drzwi. Postąpił kilka kroków i wystrzelił kilka razy w przeciwną ścianę, wrzeszcząc przy tym:

– KORNELIUSZ! TO JA, WIKTOR!

Gdy nie uzyskał odpowiedzi zakomenderował gwałtownie:

– Uciekamy!

Mężczyźni puścili się biegiem, zatrzymując się dopiero przy latarni, przy której zostawili konia. Maksymilian wysapał rozdrażniony:

– Co to miało być?!

– Bo ja wiem, spanikowałem.

– Zauważyłem. Na ziemię, ktoś wychodzi!

Wiktor bezładnie skoczył przed siebie, wpadając na Maksymiliana, który wybrał ten sam kierunek lotu. Tymczasem ktoś stojący na progu hotelu krzyknął donośnie:

– Wiktor! Co ty, do cholery, wyprawiasz?!

Rozbawiony, drwiący głos Korneliusza sprawił, że młodzieniec zacisnął nerwowo szczękę.

– Debil – wymamrotał Maksymilian, wstając ze śnieżnej zasy.

Wiktor poszedł w jego ślady, czując jak irytacja ustępuje miejsca uldze. A więc wszystko układa się dobrze; nieprzyjaciel odszedł, Sara pozostała w niewoli, nawet Korneliusz przeżył. W dodatku niedługo

powinny dotrzeć posiłki i nareszcie będzie można opuścić to przekłete miasto. Dziarskim krokiem ruszył na spotkanie rozbawionego kata, który sprawiał wrażenie, jakby dopiero co wrócił z udanego urlopu. Korneliusz klasnął w dłonie, oznajmiając:

– Świetne wejście. Jak długo żyję, jeszcze czegoś takiego nie doświadczyłem. Mogłeś jeszcze zostawić jakiś liścik na recepcji, zanim zacząłeś strzelać.

– Daruj sobie. Lepiej skup się na naszym zadaniu, straciliśmy już dosyć czasu. Sara, cała i zdrowa, jest pod opieką Wojtka w domu tego człowieka.

Wiktor wskazał na Maksymiliana, który przedstawił się, zapewniając:

– Wszystko co zrobiłem, zrobiłem wyłącznie dla pieniędzy. Taka ze mnie kanalia! A za pomoc w przechowaniu waszej śnieżynki chcę kilka tysięcy, nic więcej. Wzbogacenie się na cudzej krzywdzie to postępek w pełni godny artysty.

– Spokojnie, zapłacimy ci, panie artysto. Dobrze, Wiktorze, koniec żartów. Mniejsza o to w jaki sposób, ważne, że do mnie dotarłeś. Musimy działać, natychmiast. Pół godziny temu kontaktowałem się z centralną. Pług jest już prawie pod miastem, a tuż za nim jedzie ciężarówka z wojskowymi w sile jakichś trzydziestu ludzi. Nie będą w pełni oddani pod naszą komendę, ale mają pomagać, o ile dojdzie do ponownych walk. A w to wątpię, wróg poniósł ciężkie straty. Nie wiem, gdzie są teraz, ale nie mogli oddalić się zbyt daleko od hotelu.

– A co jeśli ludzie Sary spróbują iść po końskich śladach? – spytał z niepokojem w głosie Wiktor.

– Nic na to nie poradzimy.

– W czasie jazdy momentami naprawdę solidnie zawiewało – oznajmił triumfalnie Maksymilian. – Część śladów będzie już zasypała.



– Albo i nie. W każdym razie sytuacja jest groźna, nie możemy teraz wrócić po Sarę. Nieprzyjaciół wciąż ma przewagę liczebną. Sugerowałbym wrócić do hotelu i czekać na wsparcie – zakomenderował Korneliusz. – Artysto, bierz pan swojego konia do środka, a ty, Wiktor, oddaj natychmiast broń, to nie prezent, rozliczam się z tego sprzętu.

– Proszę. Przydał się, podczas ucieczki...

– Wiem. Opowiedz to jakiejś panience ze Stolicy, pewnie ochoczo rozłoży kolana z uśmiechem podziwu na twarzy.

Wiktor z trudem powstrzymał się od komentarza, powtarzając sobie, że już niedługo to on będzie panem sytuacji. Tymczasem posłusznie zwrócił pistolet, bez słowa ruszając w stronę drzwi frontowych hotelu „Turysta”. *Ciekawe, czy zmieści się w nich koń?* – pomyślał rozbawiony. – *I czy z Sarą wszystko w porządku?* By zająć czymś myśli, zaczął przechadzać się po budynku, który nie ucierpiał zbytnio w wyniku walk. Dziury po kulach łatwo można było zaspachlować, a zwęglone wyposażenie z licznych pokoi, którego atakujący najwyraźniej użyli przy nieudolnej próbie wzniesienia pożaru, i tak już wcześniej nadawało się do wymiany. W kilku miejscach ogień wyrządził większe szkody, lecz ślady zastygłej piany gaśniczej świadczyły, że Korneliusz zdołał w porę opanować sytuację. *Jak zawsze wyszło na jego* – dodał w myślach rozgoryczony Wiktor.

\*\*\*

Koń zarżał żałośnie i skonał. Tymczasem zagrzebana w śniegu Sara próbowała poskładać w myślach przebieg ostatnich kilkunastu sekund. Zbliżała się do ściany lasu, gdy dostrzegła pomiędzy pniami jakiś ruch. To był człowiek. Uzbrojony. Strzelił. Teraz leżała w zaspie, a nieopodal dogorywał nieszczęsny koń, który miał być jej paszportem do upragnionej

wolności. Dziewczyna ostrożnie spróbowała się poruszyć. Kości na szczęście miała całe, chociaż potwornie bolało ją lewe udo. Ktoś nadchodził. Zbierając resztki sił, zmusiła organizm do morderczego wysiłku i wstała. Fala bólu sprawiła, iż niemal natychmiast upadła ponownie na ziemię, czując podchodzącą pod gardło żółć. Mimo rozpaczliwych starań nie była w stanie powstrzymać torsji. Leżąc przy zmieszanych ze śniegiem wymiocinach nie miała ochoty nawet myśleć. *Będzie, co ma być* – pomyślała. Ktoś stanął nad nią, pogardliwie trącił butem w żebra. Jęknęła.

– Wiedziałem, że to będzie dobry dzień – stwierdził jakiś szorstki, męski głos.

Nieznajomy podniósł ją brutalnie i przerzucił przez plecy, jak gdyby zabierał ze sobą świeżo upolowaną zdobycz. Sara poczuła, jak opuszcza ją świadomość. Najwyraźniej upadek z konia był znacznie poważniejszy, niż podejrzewała. Ostatkiem sił i woli wyszeptała jeszcze:

– Kurwa...

## Rozdział V

Wiktor już od dłuższego czasu stał bezmyślnie wpatrzony w dogasający żar, tłący się w kominku. Oprócz niego wewnątrz domu Maksymiliana znajdował się jeszcze Korneliusz i sam właściciel. Nieprzytomny Wojtek został prowizorycznie opatrzony i odwieziony do szpitala kilka minut wcześniej. Podłogę pokrywała szeroka, roztarta struga skrzepłej krwi poety, który z niewiadomych przyczyn postanowił przepełznąć od kominka, aż pod przeciwległą ścianę.

– Jak w rzeźni – skwitował ponuro Korneliusz. – Chłopak miał szczęście, że nie wykrwawił się do reszty zanim tu przyjechaliśmy. Niepotrzebnie w ogóle się ruszał.

– Myślisz, że to prawda? – spytał na wpół przytomnie Wiktor.

– Co?

– Jeden z żołnierzy, ten, który go opatrzył, powiedział, że Wojtek ma naprawdę spore szanse, żeby przeżyć.

– Pewnie ma rację. Widziałem już niejednego człowieka z monstrualnym ubytkiem krwi. Bardzo często dochodzili jakoś do siebie.

– I mogłeś ich dalej przesłuchiwać.

– Tak. Może nie potraktujesz poważnie tego, co ci teraz powiem, ale zasadniczo i tak mam to gdzieś. Współczuję twojemu przyjacielowi. Naprawdę. Po prostu znalazł się w złym...

– Przestań! To ja go w to wplątałem!

– Oczywiście, że tak. Nie mam zamiaru cię pocieszać. Jako przyjaciel zawiodłeś na całej linii, za to swoje obowiązki wobec Instytutu wypełniłeś prawidłowo. A nawet więcej. Może nawet nadałbyś się do pracy w terenie.

– To ma mnie pocieszyć?

– Już ci mówiłem, że nie zamierzam tego robić. Jedyne podsumowuję fakty. Musimy działać. Niewidoma dziewczyna, nawet jeśli jakimś cudem potrafi utrzymać się w siodle, nie mogła odjechać daleko.

– Ma nad nami jakieś trzy godziny przewagi.

– Wściekły pies też ma przewagę nad człowiekiem, przynajmniej dopóki ten nie wyciągnie broni. Dlatego wezwałem wsparcie. Niedaleko stąd, nad rzeką jest lotnisko dla helikopterów ratunkowych, wynegocjowałem godzinę ich czasu. Ich maszyna łąda moment zacznie patrolować teren. Dorwiemy Sarę, o to możesz być spokojny.

– I co z tego? Czasu mamy tyle co nic.

– Jeśli wybuchnie cała ta twoja medialna burza, to trudno. Nikt nie może zarzucić nam, a w szczególności tobie, że nic w tej sprawie nie zrobiliśmy. Wiktor, nie myśl teraz o niczym innym, poza najważniejszym. Musimy dorwać Sarę. Ta dziewczyna naprawdę stanowi realne zagrożenie dla całego regionu. Jeśli cała ta afera ujdzie jej płazem, to na wiosnę zaleje ją fala gotowych na wszystko rekrutów. Wtedy dopiero rozpęta się piekło! Wracajmy do miasta, w hotelu poczekamy na wieści od zwiadu. I informacje ze szpitala.

– Możecie mnie tam zabrać? – wtrącił się Maksymilian. – To znaczy do szpitala. W sumie możecie też wysadzić mnie gdzieś w mieście, poradzę sobie.

– Nie widzę przeszkód – stwierdził lakonicznie Korneliusz. – Wsiadaj pan na ciężarówkę, po drodze porozmawiamy o wynagrodzeniu za pomoc. W końcu ucieczka Sary to nie pańska wina.

– Chciałbym przekazać swoją nagrodę dla Wojtka, chłopakowi przydadzą się teraz fundusze.

– Za dużo formalności. Po prostu damy panu pieniądze, a pan robi z nimi, co chce. I tak są zwolnione od podatku. Zresztą chłopak dostanie

od nas jakieś fundusze, w końcu też pomagał. No! Dosyć tego gadania, żołnierze czekają już w ciężarówce, musimy wracać.

Korneliusz, nie oglądając się na pozostałych, ruszył w stronę wyjścia. Wiktor bez słowa podążył za nim, czując na plecach spojrzenie Maksymiliana. W przeciwieństwie do rzeźbiarza, on nie mógł jechać teraz do szpitala. A raczej nie chciał. Bo co mógłby powiedzieć Wojtkowi, jeśli ten nagle odzyska przytomność? Przeprosić? To chyba byłoby za mało. Może jakieś dodatkowe pieniądze? Nie, to byłoby nieodpowiednie. *Cholera* – pomyślał z goryczą – *budowanie dobrego wizerunku Instytutu idzie mi gorzej, niż na stażu, o przyjaźni nie wspominając. Bo przyjaciel ze mnie do dupy.*

\*\*\*

Nieznajomy mężczyzna przez kilkanaście minut wytrwale niósł omdlałą Sarę, nim nareszcie zdecydował się na krótki odpoczynek. Bezceremonialnie zrzucił dziewczynę na śnieg, z satysfakcją obserwując, jak ból natychmiast przywraca jej przytomność.

– Świetnie! Teraz będziesz mogła iść dalej sama! – zawyrokował.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Zastrzeliłem twojego konia?

– Tak...

– Zauważyłem cię z daleka – odparł, z dumą klepiąc lunetę przytroczoną do swojej strzelby – nie mogłem stracić takiej okazji! Pomyślałem, że upadek uszkodzi cię na tyle, żebyś nie była w stanie uciec, a przy okazji nie wyrządzi trwałych szkód. To będzie moja rola.

– Jesteś z Instytutu?

– O nie! Jestem tylko zwyczajnym kłusownikiem, którego jedyny syn przysłał niedawno do popieprzonej sekty. Twoja kłamliwa gadanina

odebrała mi chłopaka, suko! A te rządowe sukinsyny zabiły go w jakiejś obławie. Nawet nie jesteś ślepa...

– Pewnie nie uwierzysz, jeśli powiem, że dopiero co odzyskałam wzrok?

Mężczyzna wydał z siebie gniewny okrzyk i trzasnął kolbą w twarz Sary, krzycząc:

– Nie żartuj ze mnie! Nie masz do tego prawa! A teraz wstawaj! Marzyłem o tym, żeby dostać cię w swoje ręce! A nawet się o to modliłem! Widać Bóg woli mnie. Wstawaj!

Dziewczyna z trudem spełniła rozkaz oprawcy, czując silne zawroty głowy, gdy tylko stanęła na nogach. Krew z rozbitego nosa spływała jej do ust, a nieustanny szum w skroniach niemal odbierał zdolność racjonalnego myślenia.

– Twarda z ciebie sztuka! To dobrze, nie chcę, żebyś za szybko się zepsuła. Idziemy.

Mężczyzna szturchnął lufą swojego więźnia, zmuszając dziewczynę do szybkiego marszu. Sara z trudem zbierała myśli, próbując ocenić swoje szanse. Jak na razie los okrutnie z niej zadrwił, zaraz pod odzyskaniem wzroku i pomyślniej ucieczce wpadła w ręce tego człowieka. Może nie powinna była ranić Wojtkę? *Nie, świat nie działa w ten sposób* – skarciła się w myśli. – *Wszystko to tylko splot zazębionych ze sobą przypadkowych wydarzeń. Takie jest życie, pojechałam w złą stronę o złym czasie.*

– Stop! – zakomenderował mężczyzna. – Twoje zgrabne nóżki mi o czymś przypomniły.

Kłusownik wydobył z kieszeni gruby drut, którym związał ręce Sary, popychając ją silnie do przodu. Z rozbawieniem patrzył jak jego ofiara przez dłuższą chwilę rozpaczliwie walczyła o zachowanie równowagi, nim ostatecznie upadła w śnieżną zaspę. Dziewczyna natychmiast

znieruchomiła, czekając na dalszy rozwój sytuacji. Na szczęście nie spadł na nią grad ciosów, usłyszała natomiast cichy odgłos rozpinanego pośpiesznie zamka błyskawicznego. *Rozporek! Zaraz się zacznie* – pomyślała, czując jak ogarnia ją paraliżujący strach. Tymczasem mężczyzna opróżnił pęcherz, i, jakby czytając w myślach swojej zwierzyny, oznajmił:

– Spokojnie, nie zamierzam cię gwałcić. Nie tutaj.

Sara zagryzła wargi, pewna, sama nie wiedząc czemu, że słowa mężczyzny nie są tylko czczą groźbą. Skoro nie mogła wpłynąć na czekający ją los, postanowiła chociaż dumnie stawić mu czoła. Najszybciej jak mogła, podniosła się z ziemi i hardo stwierdziła:

– Sądząc po odgłosach, twój kranik wymaga przeczyszczenia. Masz bardzo słaby strumień.

Mężczyzna nie odpowiedział, zamiast tego uwolnił ręce swojego więźnia i lufą wskazał kierunek dalszego marszu. Spokojnie odczekał, aż dziewczyna oddali się trochę, nim odbezpieczył broń i przyłożył lunetę do oka, rozkazując:

– Zatrzymaj się i podnieś ręce do góry.

Z ponurym uśmiechem na ustach, rozdrażniony kłusownik gładko pociągnął za spust. W tej samej chwili, gdzieś z oddali, dobiegł go odgłos nadlatującego helikoptera.

\*\*\*

Wiktor nerwowo przechadzał się po małym pomieszczeniu, w którym znajdowali się również Korneliusz oraz młody mężczyzna, siedzący przy leciwej radiostacji, cierpliwie oczekując na kolejny komunikat. Wkrótce maszyna zatrzeszczała, a z głośników popłynął zniekształcony głos pilota śmigłowca:

– Właśnie zrobiłem kolejny przelot nisko nad ziemią i potwierdzam wcześniejszy komunikat. Zauważyłem martwego konia, którego wygląd pasuje do podanego mi opisu. Zwierzę zostało zastrzelone. Nigdzie nie zauważyłem ludzi, ale ściana lasu jest blisko, więc może tam ktoś się schronił. Wracam na lądowisko, współrzędne już wam podałem. Z mojej strony to wszystko, bez odbioru.

– Zbiorę ludzi – oznajmił Korneliusz. – Jedziesz z nami, Wiktorze?

– Naturalnie.

– Muszę tylko zwerbować jakiegoś policjanta z psem, trzeba ruszyć tym tropem najszybciej jak to możliwe.

Mężczyźni szybko opuścili mały, ceglany budynek, stojący tuż przy betonowym lądowisku należącym do Pogotowia Górskiego. Wiktor usilnie próbował powstrzymywać się przed okazywaniem entuzjazmu, tłumacząc sobie, iż na to jest jeszcze zbyt wcześnie. Mimo tego, co pewien czas na jego twarzy pojawiał się lekki, triumfalny uśmiešek. Musiał on zwrócić uwagę Korneliusza, gdyż mężczyzna zawyrokował poważnie:

– Nie spodziewaj się za dużo po tej informacji. Skoro ktoś zastrzelił konia, to dziewczyna, a przez to i my, może być w poważnym niebezpieczeństwie. Poza tym teraz będziemy musieli zapłacić znacznie więcej temu artyście.

– Racja. Mimo to jestem dobrej myśli. Wciąż jeszcze mamy szansę zrealizować pierwotny plan.

– W teorii. Tymczasem skupmy się na praktyce.

Wiktor nie odpowiedział, w duchu przyznając rację rozmówcy. Na razie całą swoją uwagę muszą poświęcić szybkiemu odnalezieniu Sary, przyjdzie jeszcze czas na myślenie o propagandowym wykorzystaniu tego faktu.



– A więc ostatecznie wyszło na to – stwierdził rozbawiony młodzieniec  
– że teraz jesteśmy ekipą ratunkową.

– W pewnym sensie. I tym samym niestety dotyczy nas problem  
wszystkich ekip poszukiwawczych.

– To znaczy?

– Czy zdążymy przybyć na czas.

\*\*\*

Kłusownik wyrzucił z siebie nienawistną wiązaną przekleństw. Dlaczego akurat teraz w okolicy pojawił się ten przeklęty śmigłowiec?! Co gorsza, najprawdopodobniej nie był to tylko niefortunny zbieg okoliczności. Szukają dziewczyny, to pewne.

– Mordercy – wymamrotał nienawistnie mężczyzna, spoglądając w stronę nieba.

Zabili mu syna. JEGO syna! Głupi dzieciak dał się omamić tej suce. A teraz te przekłete władze chcą jeszcze odebrać mu zemstę! Wprawdzie jeśli dziewczyna wpadłaby teraz w ich ręce, to jej los nie byłby godny pozazdroszczenia, Krwawy Korneliusz zna się na swojej robocie. Ale to on, ojciec, jest pierwszy w kolejce po sprawiedliwość. Po śmierci żony i odejściu córki został mu tylko syn. Głupi, ale własny. Wspomnienie córki wywołało u mężczyzny miłe dreszcze. Minęły już trzy lata, od kiedy uciekła gdzieś na północ Kraju ze swoim fagasem. Nieposłuszna dziwka. Ciągle ubierała się w te swoje skąpe ciuszki, świeciła tyłkiem opiętym w ciasne spodnie. Nigdy należycie go nie szanowała, nie chciała już jego czułych, ojcowskich pocałunków, wielka dorosła się znalazła! Może to i lepiej? Nie wiadomo co ta suka trzymała w ustach, przecież skądś brała pieniądze na te wszystkie szmaty. Dziwka! Tak jak ta obłąkana niby

święta. Ten sam butny wyraz oczu, to samo jędrne ciało młodej, napalonej szmaty.

– Zamknij się! – wrzasnął mężczyzna do skulonej na śniegu Sary.

Dziewczyna głośno łkała, ściskając kurczowo lewą dłoń. Wystrzelona przed momentem kula pozbawiła ją wskazującego i środkowego palca, a z osmolonych kikutów wciąż buchała jasna struga krwi, barwiąc na różowo śnieg.

– Wstawaj, suko. Teraz już wiesz, że nie można ze mnie żartować! Słyszałaś helikopter? Korneliusz jest już na twoim tropie, ścierwo! Kto wie, może zostawię cię gdzieś dla niego, kiedy tylko skończymy wyrównywać nasze rachunki. No! Wstawaj natychmiast, bo odstrzelę ci coś jeszcze!

Sara posłusznie podniosła się z ziemi i wskazując na oprawcę okaleczoną dłonią, wycodziła przez zęby:

– Przez to, co mi zrobiłeś, sam podpisałeś swój wyrok. Bądź pewien, że to, co szykuje dla mnie Korneliusz, będzie tylko pieśczętą w porównaniu do twojego losu.

Mężczyzna podniósł broń, gotów ponownie zdzielić kolbą swojego więźnia, lecz zawahał się na moment, ostatecznie rozkazując gniewnie:

– Idziemy!

\*\*\*

Wiktor, maszerując ramię w ramię z Korneliuszem i oddziałem żołnierzy, wspominał podróż z miasta do miejsca, gdzie dostrzeżono martwego konia. Jadąc w ciężarówce wraz z grupą wyszkolonych i uzbrojonych mężczyzn czuł, że ci ludzie, chociaż próbowali zamaskować to obojętnością, zwyczajnie się go bali. Wprawdzie obok niego siedział również Korneliusz, ale mimo wszystko, gdy tylko Wiktor krzyżował

spojrzenie z którymś z współpasażerów, ten natychmiast, niemal potulnie, spuszczał wzrok. Instytut stał nawet ponad armią, nikt nie chciał zostać uznanym za wroga tej instytucji. Wprawdzie rolą Wiktora i jemu podobnych było złagodzenie takiego totalitarnego wizerunku, lecz było coś magicznego w potwornej sile drzemącej w niepozornej legitymacji, poświadczającej przynależność danej jednostki do struktur tego kolosa. *Nie czas na sny o potędze* – zganił się w myśli Wiktor. Musieli podążać za prowadzonym przez oficera policji psem gończym, który jakiś czas temu podjął trop Sary. Jego opiekun zatrzymał właśnie ujadające zwierzę, prosząc, by jeden z żołnierzy sprawdził, co tak bardzo pobudziło czworonoga. Wiktor, ze swojej pozycji na tyłach kolumny, dostrzegł tylko coś, co wyglądało jak ślady krwi. *Ciała nigdzie nie widać, to chyba dobry znak* – pomyślał. Tymczasem żołnierz właśnie wygrzebał coś ze śniegu i zakomenderował ponuro:

– To dwa palce, odstrzelone.

– Pokaż – rozkazał Korneliusz, przez chwilę przypatrując się makabrycznemu znalezisku, nim zawyrokował – są kobiece. Jeszcze ciepłe. Biorąc pod uwagę panujące teraz warunki, to daje nam dwie ważne wskazówki.

– Jakie? – wypalił natychmiast Wiktor.

– Sara jest stosunkowo blisko. I niestety istnieje spora szansa, że nie uda nam się uprzedzić kogoś, kto postanowił wymierzyć jej sprawiedliwość na własną rękę.

Jakby na potwierdzenie złowieszczych słów Korneliusza, gdzieś z głębi lasu dobiegł ich przeciągły krzyk świeckiej świętej.

\*\*\*

Ujadanie psa było coraz bliższe. *Pewnie spuścili bydle ze smyczy – pomyślał mężczyzna – ale to bez znaczenia. I tak nie zdążyłbym dojść z nią do wioski. A nawet jeśli, to i tak ciężko byłoby zaciągnąć sukę do chałupy.*

– Jeszcze chwila – wysapał do siebie – zaraz skończę.

Finisz był już blisko. Ciągłe wrzaski szaleńczo szamoczącej się Sary dodawały mu animuszu, przypominały o córce.

– Tak! – wrzasnął, czując, jak wypuszcza z siebie strumień nasienia.

Natychmiast poderwał się ze śniegu, na którym leżała ponownie skrępowana drutem Sara, której ubranie przed kilkoma minutami niecierpliwie rozszarpał nożem. Pośpiesznie zapiał spodnie i chwycił opartą o pobliski pień drzewa broń, celując do widocznego już pomiędzy pniami wilczura. Silne kopnięcie w udo sprawiło, że wypalił za wcześnie. Wściekły, spojrzał na swoją ofiarę, która przez łzy spoglądała na niego z nienawiścią. Dobrze znał takie spojrzenie, tak patrzyła na niego córka, zanim uciekła z tym gnojem. Solidnie przeszkolona, ale wciąż buntownicza. Zdzielił Sarę kolbą i przeładował broń, mierząc prosto w nadbiegające zwierzę. Kolejne kopnięcie, tym razem słabsze i mniej precyzyjne, zniweczyło jego zamiar. Kula przeszła jedynie ucho psa, który wpadł w szal, skacząc wprost na przerażonego mężczyznę. Morderczy zacisk szczęk rozjuszonego wilczura dosięgnął ramienia kłusownika, który upuścił broń i ze wszystkich sił próbował oderwać pysk zwierzęcia od swojej ręki. Sara, nie tracąc czasu, podniosła się z ziemi i ze skrępowanymi na plecach rękoma rzuciła się biegiem w stronę, skąd dobiegały ją ludzkie głosy. Po niecałej minucie dostrzegła grupę uzbrojonych żołnierzy i natychmiast wyłowiła z potoku twarzy znajome rysy.

– Wiktor! – wrzasnęła, tracąc przytomność.

– Ha! Jak w teatrze, pełna dramaturgia! – wykrzyknął rozbawiony Korneliusz, lecz coś w spojrzeniu Wiktora sprawiło, iż mężczyzna natychmiast spoważniał, rozkazując:

– Niech ktoś pomoże dziewczynie. I odciągnijcie tego psa! Ten chory sukinsyn, który bawił się w wymierzanie sprawiedliwości, ma być żywy! Mam do niego kilka pytań.

\*\*\*

Szpitalny korytarz roił się od żołnierzy. Czterech wartowników stało przy klatce schodowej, z której przyszedł Wiktor, a dwóch kolejnych u drzwi prowadzących do sali, w której leżała Sara. Piętro niżej było patrolowane przez kilka grup, a również samo wejście do ponurego, szpitalnego gmachu było porządnie obstawione. Nikt nie mógł nawet pomarzyć o odbiciu stąd dziewczyny. Była zdana na ich łaskę. Uzbrojeni mężczyźni, stojący na straży przy drzwiach, potulnie zeszli z drogi Wiktorowi. Młodzieniec śmiało wszedł do sali, z której usunięto wszystkie łóżka, poza jednym. Leżała na nim ubrana w pasiastą, szpitalną piżamę Sara. Jej zdrową dłoń przykuto za pomocą masywnych kajdanek o długim łańcuchu do żelaznej poręczy łóżka. Przydzielony jej lekarz nafaszerował ją jakimiś psychotropami, ale dziewczyna, podobno, była w pełni zdolna do świadomej rozmowy.

– Cześć – wybąkała, uśmiechając się słabo do niepewnie zbliżającego się do łóżka niespodziewanego gościa.

– Hej – odparł machinalnie Wiktor, by po chwili zreflektować się słowami: – Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

– Chcesz wiedzieć, czy jestem już gotowa, żeby zeznawać? Cały proces i tak zacząłby się nawet bez mojej zgody, ale chyba naprawdę chcesz oficjalnego potwierdzenia. A więc tak, jestem już gotowa

zeczować. Ale nie powiem niczego, co mogłoby wam pomóc – dodała bez większego przekonania.

– Spokojnie, nie jestem tu jeszcze służbowo. Po prostu chciałem zobaczyć co z tobą, tak zwyczajnie, po ludzku.

Sara odwróciła na chwilę wzrok od pełnej troski twarzy rozmówcy, tłumiąc ze wszystkich sił napad szłochu.

– Nie jest ze mną dobrze – wybąkała w końcu. – Straciłam moją pozycję, zgwałcił mnie jakiś bydlak i na dodatek zraniłam niewinnego człowieka, twojego przyjaciela. Co z nim?

– Stabilnie. Lekarze mówią, że ma spore szanse na zachowanie nerki. Miło, że pytasz.

– Miło, że pytasz. Ha! Konwersujemy sobie jak para dobrych znajomych.

– To źle?

– Nie. Nie wiem. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Przegrałam, to wszystko. Macie mnie. Mogę tylko pocieszyć się tym, że odzyskałam wzrok.

– Jeśli chodzi o człowieka, który cię skrzywdził, to możesz być spokojna, spotka go kara! Trafił już na wstępne przesłuchanie do Korneliusza.

– Cudownie, zupełnie jakby to mogło zmazać wspomnienie tego, jak mnie zwierzęco pieprzył. Skrzywdził mnie nawet bardziej, niż myślisz. Przywołał wspomnienia.

– Przeżyłaś już... coś takiego?

– Moje życie to historia jakich wiele, matka z mentalnością szmaty do wycierania brudów i pieprzony ojciec pijak. Od kiedy skończyłam dziesięć lat zaczął powtarzać jak to bardzo mnie kocha, ciągle mnie przytulał, pieścił...

– Twoja matka... – zaczął niepewnie Wiktor.

Sara zaśmiała się histerycznie, kontynuując:

– Przeklęta, zahukana suka. Wiedziała, do czego to zmierza. Ale przecież od chwili, kiedy zainteresował się mną, nie bił jej. Mogła w spokoju gotować te swoje pieprzone ziemniaki i kupować mu piwo. To ja byłam jego nową zabawką. Byłam jego *ślicznotką*. Na moje nieszczęście zaczęłam przedwcześnie dojrzewać, a moje ciało kusiło go coraz bardziej. Ciągłe powtarzał, że to, jak wyglądam, to kara. Bóg wiedział jaką będziesz małą dziwką, mówił, oznaczył cię tak, żeby wiadomo było kogo trzeba obracać. Któregoś razu po prostu wszedł do łazienki, kiedy wychodziłam i zamknął za sobą drzwi. W pewnym momencie pod drzwi podeszła matka. Wiesz, co powiedziała? Spytała, czy wstawiać już wodę na ziemniaki! Jebane ziemniaki! Uciekłam stamtąd tego samego dnia. Znalazłam schronienie w klasztorze. I wtedy wybuchła rewolucja.

– Więc dlatego to wszystko zrobiłaś? Chciałaś zemścić się za zniszczenie twojego azylu? – spytał ostrożnie Wiktor.

– Nie... I tak bym pewnie stamtąd uciekła, gdyby nie nagła utrata wzroku. Przez cały okres rewolucji byłam ciągnana po rozmaitych kryjówkach jako lep na ludzi. Wszyscy koniecznie chcieli pomagać takiej biednej istocie, jak ja. I oczywiście moim opiekunkom, zwłaszcza że ze szczegółami opowiadały ludziom, dlaczego do nich trafiłam. To zawsze otwierało portfele.

– W takim razie jak postanowiłaś zostać świętą?

Sara zawahała się na moment. Wiktor był dziwnie spięty, a jego kolejne pytania wzbudzały w dziewczynie podejrzenie, iż wstępne przesłuchanie właśnie się zaczęło. Właściwie nie miała mu tego za złe, na pewno krępowały go jakieś rozkazy. Zresztą zawsze mogła później wszystkiemu zaprzeczyć. Kto wie, może jeśli szybko zakończy się

oficjalna część wizyty, to Wiktor zostanie jeszcze i porozmawia z nią naprawdę szczerze? Rozpaczliwie potrzebowała teraz takiej rozmowy.

– Poznałam wtedy kogoś, dziewczynę. Głęboko wierzącą, a w pewnym sensie nawet fanatyczkę. Pojechałam z nią na drugi kraniec Kraju, tutaj, i przez pewien czas mieszkaliśmy u jej rodziny. Biedaczka, rozpaczliwie próbowała wmówić sobie i mnie, że jesteśmy po prostu przyjaciółkami. Czuła coś do mnie i to uczucie zaprzeczało wszystkiemu, w co wierzyła. Byłam wtedy prawdziwą suką, tak desperacko potrzebowałam czyjegoś ciepła, że praktycznie ją uwiodłam. Wtedy zaczął się ten cyrk ze świecką świętą, z jej inicjatywy. Myślę, że to był jej sposób na wyparcie tego wszystkiego, odrealnienie mnie. Powstały załączki organizacji, która szybko rozrosła się do obecnej partyzantki.

– A ta dziewczyna?

– Nie wytrzymała. Pewnego dnia po prostu strzeliła sobie w głowę. To był piątek. Pierwszy raz kochałyśmy się właśnie w piątek...

– Powtórzysz to wszystko przy świadkach?

– Oczywiście, że nie. Teraz jestem z tobą szczerą, bo ufam ci, Wiktorze. Nie wiem dlaczego, ale wydajesz mi się kimś naprawdę bliskim. Może po prostu też jesteś nieszczęśliwy, chociaż robisz to, co uważasz za słuszne. Musimy grać swoje role, i tylko przy takich okazjach jak ta możemy, na mgnienie oka, ściągnąć swoje maski. Wiktor? Wiktor!

Młodzieniec, nie zważając na okrzyki zdziwionej rozmówczyni, wybiegł z sali. Po chwili wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym siedział uradowany Korneliusz. Mężczyzna zatrzymał nagrywanie w urządzeniu podsłuchowym, z dumą oświadczając:

– Kawał dobrej roboty, miałeś doskonały pomysł! Uważaj tylko, żebyś przy odklejaniu mikrofonu nie wyrwał za dużo włosów z piersi.



Wiktor zignorował tę sugestię, drżącymi rękoma rozpinając koszulę, by gwałtownym ruchem zerwać z ciała drobny przedmiot.

– Nie martw się, Efialtesie<sup>2</sup> – pouczył Wiktora kat – przysłużyłeś się Instytutowi!

– Przestań drwić, proszę. Ta dziewczyna przeżyła piekło, a teraz...

– Zamknij się. To wróg. Nasz wróg. Zapomniałeś, co zrobiła twojemu przyjacielowi?

– Nie. Po prostu...

– Ubrudziłeś sobie ręce, to wszystko. Przyzwyczajaj się.

– Więc teraz jestem taki, jak ty? Mam być z tego dumny?

– Nie. Prawdę mówiąc, pod pewnym względem mnie przebiłeś. Ja zadaję rany ciału, ty zniszczyłeś Sarę. Kiedy tylko usłyszysz to nagranie, kompletnie się rozsypie.

– O nie. Ta dziewczyna jest silniejsza niż ty, ja, czy cały Instytut. Pokonamy ją, to pewne, ale nie złamiemy.

– Daj spokój z frazesami, Wiktor! Lepiej zacznij czarować swoimi medialnymi sztuczkami, w końcu po coś tu przyjechałeś.

– Wiem. I szczerze tego żałuję.

– Nie czujesz już gorącej potrzeby agitowania na rzecz chwały Instytutu?

– Nie rozumiesz. Po prostu coś w końcu zrozumiałem. My, Instytut, musimy istnieć. Dla dobra tego Kraju. Nie ma alternatywy, jesteśmy złem koniecznym.

– I co z tego wynika?

– Nic, Korneliuszu, nic. Po prostu jesteśmy źli, to wszystko. Chyba właśnie zwyczajnie to zaakceptowałem.

Kat prychnął pogardliwie, lecz nie odpowiedział. Stał tylko nieruchomo, milcząc, jeszcze długo po tym, jak Wiktor opuścił

pomieszczenie. W końcu wydał z siebie ciche westchnienie i ruszył powoli ku wyjściu, zerkając jeszcze w stronę okna. Właśnie zapadł zmrok.

---

<sup>2</sup> Efialtes – grecki zdrajca, który poprowadził wojska Persów na tyły Spartan podczas bitwy pod Termopilami w 480 p.n.e.

## Epilog

*Stolica, 7 grudnia, samo południe. Rok 2000.*

Wiktor z ulgą opuścił gmach głównej siedziby Instytutu Porządku Publicznego, wkraczając na wciąż zaśnieżone ulice. Przez myśl przeszło mu, iż być może prognozy specjalistów były słuszne i rzeczywiście nadchodziła prawdziwa zima stulecia. Tymczasem nonszalancko postawił klapy swojego płaszcza, z satysfakcją wdychając świeże, mroźne powietrze. Był zadowolony z decyzji, jaką podjął tego ranka. Co więcej, jego starania zostały zwieńczone sukcesem. Po wielogodzinnych spotkaniach z przedstawicielami kolejnych szczebli administracji, udało mu się uzyskać oficjalne przeniesienie z wydziału promocji i kontaktów z prasą do sekcji działań w terenie. Właściwie, mimo wszystkich tych komplikacji, jego wniosek był im na rękę. Wydarzenia ostatnich dni potwierdziły to, o czym jeszcze przed rozpoczęciem rewolucji dywagowało wielu ekspertów. Religia zagnieździła się w ludzkich umysłach naprawdę głęboko, i, niczym rozwinięty nowotwór, nie sposób było jej usunąć bez poważnych komplikacji dla całego organizmu. Gdy rankiem drugiego grudnia Paryż został spustoszony przez eksplozję pocisku nuklearnego wykradzonego z rządowej placówki przez religijnych fanatyków, świat wstrzymał oddech. Skoro nawet w najwyższych szczeblach generalicji tego prawdziwie laickiego kraju mogło dojść do podobnego incydentu, to dla każdego stało się jasne, iż dotychczasowe środki powzięte na całym świecie okazały się niewystarczające. To nie religia musiała zostać całkowicie wypleniona, lecz jej wyznawcy. Co do jednego! Wiktor odtwarzał w pamięci fragment wystąpienia, które napisał dla jednego z czołowych reprezentantów Instytutu. Odwalił kawał naprawdę dobrej roboty. Właściwie zbyt dobrej,

przez swoją gorliwość omal nie utracił szansy na tranzyt do grup terenowych. Wiedział, że nie wytrzymałby teraz wysiadywania w ciepłym biurze. Przed oczyma wciąż miał ten sam obraz – gniewną Sarę, spowiadającą się ze swojego życia. Za trzy dni dziewczyna zostanie stracona przed oczami milionów złąknionych wrażeń telewidzów. Rząd musiał teraz reagować ostro i zdecydowanie, a Instytut był jego mieczem. Wiktor zacisnął gniewnie wargi na myśl, że jego niedawna podróż ostatecznie okazała się bez znaczenia. Nuklearny atak religijnych ekstremistów przeraził społeczeństwo całego świata, nie potrzeba było żadnych zabiegów socjotechnicznych, aby ludzie zwrócili błagalne spojrzenia w stronę osób takich, jak Korneliusz. Teraz kat wróci do łask, znów potrzeba będzie kogoś, kto ubrudzi sobie ręce w obronie interesów ogółu. Misja Wiktora doprowadziła jedynie do szybszego schwytania Sary, co swoją drogą już teraz jest mu poczytywane w Instytucie za liczącą się zasługę. Może właśnie dlatego ostatecznie ulegli jego namowom i pozwolili mu przejść do grup terenowych? Dobra sztuczka, piesku, oto twoja kość. Młodzieniec zatrzymał się nagle przed przystankiem tramwajowym, na którym ktoś z przenośnego odbiornika radiowego słuchał przemówienia kogoś z Instytutu. Wiktor natychmiast rozpoznał słowa, które niedawno sam układał.

– Stoimy oto w obliczu prawdziwego przełomu cywilizacyjnego – grzmiał gromkim głosem mówca. – Kiedyś światli ludzie walczyli z ciemnotą i zabobonem, wnosząc do domostw blask elektrycznego światła, wyrywając z rąk sierp, by zmusić do pracy nowszymi narzędziami. Nasz naród zawsze był dumny ze swojej historii i roli, jaką odegrał w procesach dziejowych naszego kontynentu. Religia, każdy to wie, towarzyszyła nam od tysiącleci, kształtując nasze zapatrywanie na życie i świadomość narodową. Kroczyła z nami niczym wierny towarzysz,

oddany pies, gotów bronić swojego pana. Ale dziś nie jest to już ten sam, skłonny do poświęceń przyjaciel, lecz okrutna, wściekła bestia, żądna odebrać narodowi jego przewodnią rolę! We Francji grupka zwyrodniałych szaleńców, w imię Boga, postanowiła zgotować śmierć milionom, które rzekomo odrzuciło jego wolę. Chociaż nasz kraj nie dysponuje arsenałem jądrowym, to nie brak konwencjonalnych środków, jakie w rękach fanatyków mogą przynieść śmierć każdemu z nas! Dlatego nasz świat, w imię bezpieczeństwa przyszłych pokoleń, musi zostać wyrwany ze swojego normalnego biegu, i osadzony na torach wojennych! Zbyt wcześnie okrzyknęliśmy zwycięstwo! Walka wciąż trwa, weszliśmy w okres permanentnej rewolucji!

Wiktor ruszył dalej, wiedząc, iż teraz nastąpi długa litania nowych rządowych dyrektyw i specjalnych uprawnień nadanych Instytutowi. Zaczynała się prawdziwa wojna zjednoczonych rządów większości krajów świata przeciw religii. *A Sara będzie jej pierwszą, usankcjonowaną prawnie, ofiarą* – pomyślał z goryczą Wiktor, sięgając mimowolnie do kieszeni. Wydobyl z niej małą, pomalowaną na białą figurkę z pracowni Maksymiliana. Niebezpieczny prezent, zważywszy, kto mu ją ofiarował. *Żegnaj, Saro* – pomyślał, biorąc zamach. Mała rzeźba poszybowała w powietrzu i utkwiała w zaspie usypanej z czarnego śniegu, wznoszącej się przy ulicy. Przez moment młodzieniec stał nieruchomo, by następnie ruszyć śpiesznie ku nasypowi. Wiktor podniósł figurkę i ostrożnie starł z jej powierzchni zanieczyszczony spalinami śnieg, chowając przedmiot głęboko w kieszeni płaszcza. Sam nie wiedząc czemu, spojrzał nagle ku odległemu, strzelistemu gmachowi, z którego szczytu przed laty skoczył Dominik. I ruszył w tamtą stronę.

*Pisać skończyłem w listopadzie 2012 roku.*

*Kraków.*



# Herostrates

*Bezrobotnemu samemu sobie.*



## Prolog

Tęga, przekwitła kobieta poruszyła się niespokojnie na masywnym fotelu. Wysłużony mebel zatrzeszczał żałośnie, podobnie jak biurko, na blacie którego Pani Dyrektor oparła energicznie dłonie ze słowami:

– To doprawdy oburzające!

Siedzący naprzeciw niej młody mężczyzna nie odpowiedział. Chociaż z jego spokojnej twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji, to roziskrzane, szare oczy wskazywały, że on również jest na skraju wytrzymałości.

– Oburzające – powtórzyła kobieta. – Tak, panie Tytusie, oburzające!

Młody bibliotekarz uparcie milczał, nerwowo zaciskając usta, jakby nie chciał, żeby wydobyło się z nich jakieś paskudztwo. W końcu, po dłuższej chwili namysłu, zdobył się na krótkie stwierdzenie:

– W istocie.

– A... Tak! Rozumie więc pan powagę swojej sytuacji? – spytała triumfalnie Pani Dyrektor.

– Tak. Nie rozumiem za to, dlaczego się w niej znalazłem. Biblioteka szkolna jest pod moją opieką już od prawie dwóch lat i musi pani uczciwie przyznać, że ze swoich obowiązków wywiązywałem się wzorowo.

– No, nie przesadzajmy! Przyznaję, ma pan kwalifikacje i pewne sukcesy. Nawet bardzo znaczące – dodała z niechęcią – ale to nie robi z pana kogoś niezastąpionego. Przez nasze liceum przewinęło się wielu pracowników.

– Czy to groźba?

– Co proszę?!

– Chciałbym wiedzieć, czy grozi mi pani zwolnieniem dyscyplinarnym z pracy?

– Pan sobie za dużo pozwala! A poza tym, nie muszę wcale pana zwalniać – zauważyła z ponurą satysfakcją Pani Dyrektor. – Pańska umowa wygasa z końcem czerwca, czyli za nieco ponad miesiąc. Oczywiście chciałabym ją przedłużyć, ale pańska postawa na – trzeciej już z kolei – radzie pedagogicznej...

– Na czwartej i każdej kolejnej będę głosował tak samo.

– Jako jedyny!

– Więc i tak może pani zrealizować swój projekt.

– Musimy być jednogłośni! W żadnej innej szkole, która podpisała się pod petycją, nie było takiej sytuacji!

– Co mogę jeszcze powiedzieć? Nie popieram tego projektu i nie zamierzam zmienić swojego zdania. Mam do tego moralne prawo.

– I pan ma czelność mówić o moralności! Pan popiera te... te zbrodnicze eksperymenty!

– Uważam po prostu, że działalność Pana Y. to temat dla ekspertów i etyków, a nie kadry nauczycielskiej naszej szkoły. Nie mam zamiaru popierać tej dziwnej, ogólnonarodowej nagonki, szczególnie że nie dotyczy ona mojej dziedziny. To sprawa dla biologów. Nie widzę sensu w zmianie sylabusu tylko dlatego, że obecne badania tego człowieka są dla kogoś gorszące. O ile się orientuję, to jego wszystkie poprzednie publikacje są rzetelne i od wielu lat wykorzystywane we wszystkich szkołach średnich w całym kraju. O uniwersytetach nie wspominając.

– Pan uważa, że łączenie ludzkich i zwierzęcych genów jest normalne!

– Powtarzam raz jeszcze, nie widzę żadnego sensu w protestach przeciw całemu dorobkowi naukowemu tego człowieka. To wszystko.

– Pan nie potrafi się dostosować! Przez te wszystkie lata w ogóle nie zintegrował się pan z innymi nauczycielami!

– W mojej umowie o pracę nie zauważyłem punktu, który by mnie do tego obligował. Swoje obowiązki wypełniam sumiennie.

Pani Dyrektor była wściekła. Jej nabrzmiałe, pokryte grubą warstwą bordowej szminki wargi drżały spazmatycznie, a obfity biust falował, mimowolnie przyciągając uwagę mężczyzny.

– Kiedyś musiała być pani naprawdę atrakcyjną kobietą – wypalił zrezygnowany Tytus.

– Co proszę?!

– Ha! Pani znak rozpoznawczy. Skrzekliwie „co proszę?!” – zapiał mężczyzna, parodiując ton antagonistki. – Oszczędźmy sobie tego cyrku, wiem przecież, że nie przedłużysz mi umowy. I nie chodzi tylko o ten kretyński protest. Nie pasuję ci tutaj. Za mało liżę dupę, a za dużo myślę. I, o zgrozo, wyrażam własne opinie.

– Proszę wyjść – wyszeptała pobladła Pani Dyrektor.

Coś w ponurym, nienawistnym spojrzeniu kobiety kazało bibliotekarzowi zamilknąć i pokornie opuścić gabinet byłej zwierzchniczki.

– Wariatka – wymruczał do siebie Tytus, kierując się w stronę schodów prowadzących na niższą kondygnację.

Szybko dotarł do biblioteki szkolnej, której drzwi otworzył gwałtownym szarpnięciem za zdezelowaną klamkę. Przez kilka minut krzątał się po wszystkich zakamarkach utraconej bezpowrotnie książnicy, zbierając do torby swoje rzeczy osobiste. Gdy w końcu uznał, że nie zostało już nic, co żal byłoby mu oddawać na pastę nadciągającej furii Pani Dyrektor, podniósł wypchaną rzeczami torbę, ruszając ku wyjściu. Bez słowa przeszedł obok drzemiącego w stróżówce portiera i opuścił gmach szkoły, nie oglądając się za siebie. Wściekły, minął tłumek pieszych oczekujących na zmianę światła i, rzucając pogardliwe

spojrzenie czerwonej sylwetce ludzika na sygnalizatorze, wtargnął na jezdnię.

Chwilę później, przy akompaniamencie głuchego huku zderzenia ludzkiego ciała i rozpędzonej maszyny, stłoczeni na krawężniku ludzie gorączkowo wyjmowali z toreb, torebek, kieszeni i plecaków swoje telefony. Ranny uniósł nieco korpus, spoglądając na wgniecenie w srebrnej masce swojego pogromcy. Zniekształcona blacha wyglądała, jakby wykrzywiła oblicze w sardonicznym uśmiechu. Tłumiony dotąd szokiem ból nadszedł nagle, odcinając Tytusa od świata. Padł na twarz, ostatnim przeblyskiem świadomości rejestrując jasny blask. To zabłysły radośnie flesze, w blasku których załśniła utoczona na zabytkowy bruk krew.

Kucający nad rannym mężczyzna z zadowoleniem spojrzał na wyświetlacz swojego aparatu, jednocześnie tłumacząc się przed mruczącym z dezaprobatą zbiegowiskiem gapiów:

– Jestem Reporterem!

Pomruk ustał, a parę osób ukradkiem przeczesało włosy. Tak na wszelki wypadek, bo a nuż Reporter postanowi uwiecznić również świadków zdarzenia? Tymczasem gdzieś z oddali dobiegł ryk syreny ambulansu. Zaczynał się standardowy wyścig o życie, mało interesujący dla topniejącego tłumu gapiów.

# Rozdział I

## Przebudzenie

Sękata Staruszka spojrzała z pogardą na tłumek uczniów wciskający się bezładnie do JEJ tramwaju. Głośnie hałastrą z wypchanymi tornistrami jechała do szkoły.

– Wrzesień – mruknęła pod nosem. – Kretynstwo.

Jakby nie miała wystarczającej ilości zmartwień! Zerknęła na młodocianych intruzów, którzy w jej mniemaniu stanowili stadium larwalne przyszłych chuliganów. Jak jej wnuk, pazerny dzieciak bezustannie ssący forszę z babcinej emerytury. Zawsze trzeba mu coś wsadzić w tłuste łapsko, bo inaczej nie przyszedłby tak szybko drugi raz. A przecież musiał ją odwiedzać. Bo co to za babcia, której nie odwiedza własny wnuk? Byłby wstyd tylko. I to na całą klatkę! A może i blok. Oplecione linią złowrogich zmarszczek oczy nagle zwróciły się ku nadchodzącej czarnowłosej dziewczynie. Ubrana w obcisły, biały golf nieco tęgawa nieznajoma była tuż obok, i uśmiechając się, bezczelnie zajęła wolne miejsce obok Staruszki, która mruknęła pod nosem:

– Kretynstwo.

Marta puściła mimo uszu mamrotanie leciwej pasażerki, licząc w myślach, ile przystanków dzieli ją od wojewódzkiego szpitala. Siedem. Tylko. Aż.

– A pani to gdzie? – zagadnęła niespodziewanie Sękata Staruszka, wbijając posępne spojrzenie szarych oczu w pogodną twarz Marty. – Pewnie na studia, co?

– Nie, ja już skończyłam. Na licencjacie – dodała nieco przeproszającym tonem.

– To do pracy jedzie?

- Nie. Do szpitala.
  - A, do szpitala – mruknęła podejrzliwie nieznajoma.
  - Chłopaka odwiedzam, wczoraj w końcu wybudzili go ze śpiączki farmakologicznej po czterech miesiącach. Miał wypadek pod koniec maja.
  - Och – sapnęła bez większego zaangażowania rozmówczyni.
  - Potrafił go samochód.
  - A bo to jeżdżą jak wariaci! Kretyństwo...
  - Ale teraz już wszystko będzie w porządku, lekarze są bardzo zadowoleni.
  - Hałasują.
  - Proszę?
  - Ci wszyscy tam, uczniowie, hałasują strasznie. Dlaczego nie mogą ich wyrzucić?
  - Zapłacili za bilet przecież.
  - A ja to niby nie?! Kretyństwo.
- Marta nie odpowiedziała, ale najwidoczniej ucięcie rozmowy nie ukontentowało Sękatej Staruszki, która zapytała:
- A do jakiego szpitala?
  - No wojewódzkiego.
  - To pewnie źle go poskładają. Konowały. Trzeba było iść do doktora Janusza. On się zna.
  - Ja myślę, że wszystko będzie dobrze.
  - Syn mojej sąsiadki też miał wypadek, i tak go poskładali, że potem jakiegoś zatoru dostał i umarł, w biały dzień, na chodniku. I to tutaj w wojewódzkim właśnie!
  - Niech pani przestanie – poprosiła Marta.
  - Wy to młodzi myślicie, że wszystko będzie po waszemu! A życie takie nie jest.

– Dajże pani spokój! – wtrąciła się Inna Staruszka siedząca nieopodal.  
– Po co dziewczynę stresować? I tak pewnie swoje wypłakała, jak jej kawalera tyle w śpiączce trzymali.

– Kawaler, też mi – mamrotała dalej Sękata Staruszka, ignorując uwagę domniemanej rówieśniczki. – Ani to nie narzeczony, ani co... Kretynstwo. Sypiają tylko z byle kim!

Marta przygryzła wargi, czując, jak oblewają ją poty. Milczała, myśląc o dzikiej awanturze, jaką urządziłby w tym momencie Tytus. On zawsze potrafił ją obronić. Albo dobić, jednym wstrętnym komentarzem. Chociaż teraz pewnie wszystko będzie inaczej. Ludzie zmieniają się po wypadkach. Podobno.

– Kretynstwo – burknęła Sękata Staruszka, której uwagę przykuło coś za szybą.

Marta wstała, i przeciskając się pod drzwi czuła, jak z wolna odzyskuje dobry nastrój. Przecież dziś jest ten dzień, w końcu będzie mogła porozmawiać z Tytusem. Może nawet opowie mu o spotkaniu tej dziwnej kobiety? On na pewno to skomentuje, zbluzga starowinę na odległość za obrazę swojej dziewczyny. W końcu tylko on miał do tego prawo. *Przestań!* – rozkazała sobie w myślach Marta.

Tramwaj przystanął, wypływając ze swoich boków potok ludzkiej masy, która rozlała się po chodniku, szybko obierając wektory dalszej podróży. Gdy Marta znalazła się wreszcie na świeżym powietrzu, odetchnęła z ulgą, ruszając śpiesznie w stronę ścieżki prowadzącej przez park wprost do szarej bryły szpitala. W myślach, wbrew woli, odzywały się wspomnienia dawno odbytych rozmów. Z matką, koleżankami, dawną przyjaciółką. Ostrzegające, pełne dezaprobaty, karcące. Tytus nie był dla niej dobry, traktował ją przedmiotowo, egocentryk, musiała zerwać łańcuch. Tysiąc porad jak zrzucić to wstrętne jarzmo związku, poznać

własną wartość. Opamiętać się! A ona nie słuchała, miała czelność przeżywać życie po swojemu. Wcale nie chciała być z kimś za wszelką cenę, jej poczucie wartości byłoby znacznie wyższe, niż chciałoby tego otoczenie nastawione na pomoc „biednej pulchnej”. Być z Tytusem, tym konkretnym człowiekiem, a nie kimkolwiek. Tego chciała. I osiągnęła to.

– A pani gdzie? – zapytała znużona recepcjonistka.

Marta przystanęła, nieco zdziwiona, że jest już przy głównym gmachu.

– W odwiedzin.

– Odwiedziny od jedenastej.

– Zawsze były od dziewiątej.

– Nie zawsze tylko w poniedziałki, wtorki, czwartki i piątki. Dziś środa. Od jedenastej.

– Aha.

– Do kogo te odwiedziny? Rodzina?

– Nie, chłopak.

Recepcjonistka uśmiechnęła się pod nosem, pytając mniej służbowym tonem:

– A który to pani kawaler?

– Tytus Szewc, przenieśli go wczoraj na zwykłą salę po przebudzeniu ze śpiączki. Sala numer dziewięć, tak się dowiedziałem wczoraj od Doktora Prowadzącego.

– Proszę uiścić opłatę za ochraniacze na obuwiu i iść prosto tym korytarzem, na oddział, a potem w prawo. Dziewiątka jest na końcu korytarza, naprzeciw toalet.

– Dziękuję bardzo!

– Tylko niech pani szybko idzie, żeby nie wpaść na lekarzy. Bo odwiedziny od jedenastej!



Marta z uśmiechem wręczyła kobiecie monetę i pospieszenie założyła ochraniacze z zielonej folii. Recepcjonistka poczekała, aż ochraniacze znajdą się przepisowo na obuwiu i wdusiła przycisk otwierający jednoskrzydłowe, automatyczne drzwi, przez moment śledząc karcącym spojrzeniem, czy nieregulaminowa odwiedzająca nie pomyliła drogi.

Tytus leżał w małej, trzyosobowej sali. Łóżka zwrócone były ku ścianie wyposażonej w mały telewizor z wmontowanym licznikiem czasowym, sprzężonym z mechanizmem przyjmującym monety. Dwóch pozostałych lokatorów szpitalnej celi nie było. Marta podeszła nieśmiało do łóżka zajmowanego przez markotnego Tytusa, który przywitał ją cieniem uśmiechu.

– Jak się czujesz? – zagadnęła, siadając w nogach łóżka.

– Chodź tu bliżej, tam w rogu jest taboret.

Dziewczyna posłusznie przysunęła mebel, siadając u wezglowia. Przechylając się do przodu, oparła czoło o klatkę piersiową mężczyzny. Przez chwilę milczała, wsłuchana w rytmiczne uderzenia serca.

– Często tak robiłam – wyjaśniła, podnosząc się – kiedy spałeś.

– To nie był sen! – krzyknął Tytus, pośpiesznie dodając uspokajająco: – Teraz to już nieważne, wróciłem. A z tego co mówił lekarz, mój stan był stabilny już miesiąc temu, ale musieli mnie trzymać w śpiączce przez jakieś nowe zarządzenia z góry. Podobno za dużo ludzi się tutaj ostatnio przekreśliło z powodu za szybkiego zwalniania łóżek.

– Skąd to wiesz?

– Jeden facet, co ze mną leży, opowiadał. Wie chyba wszystko o tym szpitalu. Emerytowany hutnik swoją drogą, a wcześniej spadochroniarz.

– Nie odpowiedziałeś, jak się czujesz.

– Jakoś. Obco. Nieważne. A jak ci było beze mnie?

– Źle!

- Wyjdę za jakiś tydzień.
- Wiem. Czy... Wrócisz do domu? To znaczy do matki?
- Po cholere niby?
- Tam miałbyś lepsze warunki do rehabilitacji.
- I dwieście kilometrów do ciebie. Szkoda mi nerwów na matkę, wracam do nas. Przecież mamy windę, a w najgorszym razie piąte piętro to nie dach świata, dam radę. Powiedz lepiej, jak ci poszła obrona?
- Pięć, ale to nieważne.
- A magisterskie?
- Nie złożyłam. Nie byłam w stanie myśleć o żadnych studiach, kiedy ty tu leżałeś.
- Chyba jest jeszcze czas złożyć papiery.
- I co z tego? Nie chcę już studiować. Póki co mam pracę, może nawet dostanę stałą umowę.
- W księgowości?
- Póki co na kasie w markecie... Ale i tak nie nastawiałam się na pracę w zawodzie od razu. Zresztą nie myśl o tym, nie teraz.
- Bez mojej pensji było chyba ciężko, co?
- Trochę.
- Może dostanę coś od szkoły, w końcu jeszcze pracowałem, kiedy mnie skosił samochód.
- Jeszcze?
- Planowali nie przedłużyć mi umowy. Wiesz, ta sprawa z moim bojkotem kretyńskich rozkazów dyrektorki.
- Mhm.
- Ale byłem ubezpieczony, więc pewnie jakieś odszkodowanie...
- Daj spokój, nie rozmawiajmy teraz o takich rzeczach! Żyjesz i jesteś tutaj ze mną, to wszystko, o czym teraz mogę myśleć.

Tytus nie odpowiedział, wbijając wzrok w ścianę.

– Byłeś czegoś świadomy podczas śpiączki? – zagadnęła Marta.

– Tak.

– Czułeś czyjąś obecność?

– Nie chcę teraz o tym mówić. Jestem zmęczony.

– Mam iść?

– Nie.

– Naprawdę, jeśli nie czujesz się na siłach...

– Zostań.

*Znów ten ton – pomyślała Marta – chłodny, nieznoszący sprzeciwu. Rozkaz. Znowu wydaje jej rozkazy!*

– Proszę – dodał Tytus, jakby ze zmian na twarzy partnerki wyczytał dręczące ją wątpliwości – zostań na chwilę. Opowiedz mi coś, cokolwiek. Jakieś wiadomości ze świata. Chcę tylko słyszeć twój głos, a jak zbiorę trochę sił, to porozmawiamy. Tęskniłem za tobą, twoim ciałem, naszym życiem. Wszystkim. Życiem tutaj.

– Tutaj? To znaczy?

– Nie męcz mnie – rozkazał.

– Przepraszam – wyszeptała, ponownie zbliżając ucho do serca mężczyzny.

Poczuł ciepło jej ciała, przyjemny ciężar piersi, płytki oddech, szloch. Wypłakiwała się na jego ramieniu, wznając bezmyślnie łokieć w niedawno zrośnięte żebra. Uległa. Owca. Zakochana. Zwykła. Zwykłe życie. Żadnych zmian. Słowa, proste słowa opisujące rzeczywistość kłębiły się w umyśle Tytusa jak wygłodniałe czerwie pełzające wśród truchła. Rzeczywistość – to jedno słowo napawało go szczególnym obrzydzeniem. Tak, wrócił Tutaj. Do świata, który znał, i przez trzydzieści lat swojego życia uważał za jedyną istniejącą Rzeczywistość. Poczuł, jak

po policzku spływa mu łza, a w ślad za nią następna. Nie miał już sił zatrzymać zżerającego go żalu. Łkał, w bezsilnej tęsknocie za Miejscem.

\*\*\*

Marta, po raz kolejny tego wiosennego popołudnia, zerknęła znad książki w stronę usadowionego przy oknie Tytusa. Wiedziała, że mężczyzna nie obserwował tego, co działo się za szybą. Po prostu patrzył gdzieś w przestrzeń, znów myśląc o jakichś sprawach, o których nigdy nie był łaskaw z nią porozmawiać. Chociaż od chwili przzerwania śpiączki minęło już ponad pół roku, Marta miała czasem wrażenie, że jej partner tak naprawdę nigdy do końca się nie obudził. Snując się całymi dniami po mieszkaniu, nie robił chyba niczego konkretnego, a czasami, jak teraz, nawet nie zadawał sobie trudu, żeby w ogóle być w ruchu.

– O czym myślisz? – zapytała dziewczyna, z góry znając już odpowiedź.

– O niczym szczególnym.

– Śnieg stopniał kilka dni temu.

– Wiem.

– Jest ładna pogoda.

– Widzę.

– Może byś wyszedł na pole! – syknęła gniewniej niż zamierzała.

– Czemu nie – odparł niespodziewanie. – Może trochę ruchu dobrze mi zrobi.

– Iść z tobą?

– Nie jestem psem, żeby mnie wyprowadzać.

– Po prostu chciałam iść z tobą na spacer!

– Nie dziś. Jutro pójdziemy, chcę pobyć trochę sam.

- Jesteś sam przez pół dnia, kiedy ja siedzę w pracy.
- Dobra, możemy iść teraz.
- Nie chcę twojej łaski!
- To czego chcesz? Możemy iść na spacer, przecież tego chciałaś.
- Nie mam już ochoty.
- Jak wolisz.

Mężczyzna podniósł się z taboretu i po chwili miał już na sobie ulubioną, skórzaną kurtkę. Przez kilka chwil mocował się z wysoko sznurowanymi butami, by w końcu wyjść bez słowa z mieszkania.

– Kretyn – rzuciła w przestrzeń Marta, podchodząc do zwolnionego miejsca pod oknem.

Widać stąd było kawałek betonowej ścieżki pomiędzy blokami i graffiti pokrywające jedną z ceglanych ścian osiedlowego śmietnika. Przedstawiało sztamkowy wizerunek sawanny lub czegoś, co miało w luźnym stopniu nawiązywać do stereotypu „dzikiej Afryki”.

– Nic ciekawego – mruknęła pod nosem dziewczyna, podnosząc się z zamiarem powrotu do przerwanej lektury.

Jej wzrok przykuł jednak Tytus, który zbliżył się do malunku i przystanął na dłuższą chwilę. Gdy odszedł, Marta wiedziała już, że jest wściekły. Doskonale знаła ten typ chodu, który zwykłemu obserwatorowi mógłby wydać się po prostu energiczny. Mowa ciała partnera była jedną z tych rzeczy, które rozgryzła już na początku ich związku, kiedy zrozumiała, że na szczerą wymianę myśli może liczyć od święta. Zrezygnowana wróciła do książki pełnej tajemniczych, lecz zwyczajnie nierzeczywistych bohaterów.

Tytus krążył po osiedlu, znajdując sobie kolejne cele do kontynuowania marszu. Nigdy nie był w stanie po prostu iść przed siebie, bez wytyczenia jeśli nie dokładnej trasy, to przynajmniej ogólnego jej

zarysu. Obecnie podążał w stronę osiedlowej biblioteki, w której nie był co najmniej od czasu wypadku. Dziwny był z niego bibliotekarz, gdyż czuł niewytłumaczalną awersję do korzystania z bibliotek, sukcesywnie zbierając własny księgozbiór. Nie zamierzał wchodzić do środka, ale wraz z każdym pokonanym metrem czuł, że pokusa wstąpienia do księżnicy wzrasta. Z zamiarem wypożyczenia pierwszej lepszej książki, która wpadnie mu w ręce, przekroczył próg zdezelowanego, betonowego budynku.

– Tytus! – powitał go wesoły głos stojącej za ladą kobiety.

Mimo że była jego rówieśniczką, to długowłosa, filigranowa blondynka wciąż wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Ubrana w błękitną koszulę z subtelnym, acz sugestywnym, dekoltem stanowiła jedyną ozdobę niszczącego pomieszczenia. Na ladzie leżał sympatyczny, pluszowy żółw z wiszącą u szyi karteczką z napisem „Estreicher”.

– Magda! Od kiedy tu pracujesz?

– Jakies dwa miesiące, to czasowe, niestety.

– A pani Basia?

– Chorobowe, podobno to coś poważnego.

– Nie ma tego złego...

– Przestań! – zagroziła z uśmiechem bibliotekarka.

Oddzieleni ladą ludzie oblepili się wzajemnie spojrzeniami, biegnąc po rysach twarzy, sylwetkach i wszystkich tych drobnych szczegółach, które umykają rozumowi, a podświadomość składa wytrwale w murek z podpisem „atrakcyjność”.

– Mieszkasz tutaj? – wznowiła konwersację kobieta.

– Mhm.

– Wspaniale! Myślę, że będziesz regularnym czytelnikiem.

– No ba!

- Pewnie prawie niczego tu nie wypożyczasz, co?
- Zgadłś.
- To ile już uzbierałeś własnych książek?
- Pięćset dwadzieścia dwie.
- Ładnie. Ile to już lat, Tytus? Trzy?
- Albo i cztery. Nie widzieliśmy się szmat czasu w każdym razie.
- No urwał się nam jakoś ten kontakt. W ogóle co u ciebie? Chodź, zaparzę ci kawy!
- Może innym razem. Tak przelotem jestem.
- Z pracy?
- Aktualnie jestem bezrobotny. Ostatnio sporo miałem na głowie.
- Dziewczyna?
- Nie, jestem sam – zełgał gładko. – Po prostu... Miałem wypadek i zbieram się po nim.
- Tak źle?
- Kiedyś opowiem. Może spotkamy się po twojej pracy? Chyba, że masz w domu tabun głodnych dzieci.
- Nie, nic z tych rzeczy. Nawet nie blisko. Chciałbyś dziś?
- Dziś nie, mam już pewne plany. Jutro?
- Nie, jutro mam masę spraw na głowie. Ale na pewno coś ustalimy w najbliższym czasie!
- Jasne – rzucił przez ramię.

Tytus wyszedł z uśmiechem przylepionym do twarzy, który zrzucił natychmiast po przekroczeniu progu. Magda! Pachnąca rumiankiem, sympatyczna nowość, której tak rozpaczliwie potrzebował ostatnimi czasy w swoim życiu. Miła pamiątka ze starych, dobrych czasów. W pamięci natychmiast odżył też inny obraz; przerwany doktorat i gorące uczucie do młodziutkiej studentki. Marta! Jedyna kotwica trzymająca go w tej

żałosnej rzeczywistości. Myśl o innym, tak odległym już świecie, który mógł stać się nowym miejscem do spędzenia reszty życia, zdominowała umysł mężczyzny. Dziś musiał być TEN dzień, nie było sensu odkładać w nieskończoność nieuniknionego. Musiał w końcu spisać to, czego doświadczył w Miejscu. *Ale najpierw będzie trzeba jakoś przeprosić Martę* – pomyślał z satysfakcją, czując przyjemne mrowienie w kroczu.

\*\*\*

Intymny kontakt z innym ciałem, autonomicznym bytem, drugim człowiekiem, zawsze miał dla Tytusa wymiar w pewien sposób mistyczny. Rozmyślał o tym i teraz, wsłuchany w szum wody płynącej z prysznicza po drugiej stronie drzwi łazienki. Wiedział, że w tej właśnie chwili Marta spłukuje z siebie plamki ich wspólnego potu, ściera morską gąbką dowody chwilowego zjednoczenia dwóch ciał. To był jej prywatny rytuał przejścia, chociaż zapewne ona widziała w tym tylko aspekt higieniczny. Dla Tytusa taki prysznic był aktem racjonalnego powrotu do rzeczywistości, odzyskania poczucia odrębności własnego ciała. On wolał przeciągać tę chwilę, wspominać niedawny, magiczny akt. Wspólne pieszczoty, leniwe wędrówki chciwych dłoni po przestrzeni zespolonego z dwóch elementów ciała. Układy nerwowe zlane w jeden, skupiony na szukaniu przyjemności węzeł. Lubił mitologizować seks. Szum wody ustał, zaraz będzie mógł minąć uśmiechniętą Martę i samemu stanąć w ciasnej wanience, by z plastikową słuchawką prysznicza w ręku spłukać z siebie resztki sacrum. Niedoczekanie! Nie dziś, nie zanim skończy pisać. Szybkim krokiem ruszył do pokoju, w którym oczekiwał go już włączony komputer. Migający na pustym, białym tle edytora tekstu kursor wyznaczał upływ czasu. Mężczyzna z wahaniem oparł nadgarstki przed klawiaturą i po



chwili namysłu zastukotał palcami w klawisze, zaczynając koncert przekazu myśli w bity.

*Marta. Instrukcja obsługi. Karmić, pieprzyć (ostro!), trzymać krótko.*

Kasuj.

*Przepraszam.*

Kasuj.

Zamknął plik, zmieniając jego domyślną nazwę na „To, co Tam widziałem”. Nie. „Inny świat”? „Tamto”? „Śpiączka – opis”? Bzdury. „ZZZ – ważne”? Niech będzie. „ZZZ – ważne”. Plik ma nazwę. Otwórz. Przez chwilę wpatrywał się w drażniącą biel, którą zapełnił kilkoma wymuszonymi zdaniami. Skasował je szybko, zostawiając tylko samotną kropkę, obok której migał drwiąco kursor. Gdzieś za sobą usłyszał stukot kapci. Marta stanęła na progu, pytając nieśmiało:

– Będiesz pisać?

– Tak.

– Podać ci tutaj kolację?

– Nie, zostaw gdzieś w kuchni.

– To próbka, czy znów przymierzasz się do czegoś większego?

– Jeszcze nie wiem.

– To o tym ciągle myślałeś?

– Tak.

– To świetnie.

– Dlaczego?

– Lubię, kiedy piszesz. Jesteś wtedy, no wiesz, mniej spięty.

I naprawdę miły.

– Więc daj mi zacząć.

– To nie przeszkadzam.

Marta wyszła, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Mężczyzna nie oderwał wzroku od ekranu, ale przypuszczał, że dziewczyna nadal była w dobrym nastroju. A może jednak się obraziła?

– Banały, banały, banały – wymamrotał.

Nie mógł TERAZ o tym myśleć. Musiał zacząć pisać, natychmiast. Bez namysłu. W pełni automatycznie. Skasował samotną kropkę, szybko zastępując ją słowem, do którego dodał następne. Cegły znaków budowały wyrazy, wyrazy wznosiły zdania, zdania zlepiały się w akapity. Myśli popłynęły przez palce, a wspomnienia wartkim nurtem zaczęły zalewać wirtualną przestrzeń, mknąc w jednym, na wpół hipnotycznym ciągu. Stukot cyklicznie nasilał się i cichł niemal zupełnie, by zaraz wybuchnąć z nową siłą. Błędy czerwieniły się, a interpunkcja gwałtownie zanikała, zostawiając pęczniejący blok tekstu bez żadnej kontroli. Tytus przestał myśleć o wszystkim poza Miejscem, które w końcu odważył się wyjąć z zakamarków własnego umysłu do realnego świata. Słowo stało się bitem. Pograżony w szale, wypływał z siebie coraz więcej i więcej. Ta cyfrowa namiastka powrotu do Miejsca sprawiła, że nagle poczuł się przeraźliwie szczęśliwy. Na jeden błogosławiony ułamek sekundy zapomniał nawet, gdzie jest. Prawie znów był tam. Prawie – najboleśniej ze słów człowieka tęskniącego. Stukot z wolna słabł, aż ucichł zupełnie, a oświetlona sinym światłem ekranu twarz przybrała żalospny wyraz. Skończył. Przewijając pełen błędów, skrótów myślowych i zwykłego bełkotu tekst, Tytus widział tylko martwe słowa. Czekало go mnóstwo pracy redakcyjnej, ale wiedział już, że efekt i tak nie będzie o wiele lepszy od zręcznej relacji z sennej wizji. Rozpacзлиwa próba utrwalenia za pomocą suchego słowa obrazów pełnych emocji. *Ale warto próbować* – mruknął pod nosem. W końcu nie opisywał żadnego snu czy wizji. To była rzeczywistość. To MUSIAŁA być rzeczywistość!

\*\*\*

Osiedlowa knajpa Olimp urzekła prostotą wystroju. Na masywnych, drewnianych ławach i stołach, nijak niezwiązanych z estetyką starożytnej Grecji, porozsiadali się nieliczni klienci. Właściwie gdyby nie dusza towarzystwa, barman Staszek, to miejsce byłoby kolejnym, niczym niewyróżniającym się lokalem, przycupniętym pomiędzy molochami z wielkiej płyty. Dochodziło południe, a Tytus kończył saczyć leniwie drugie piwo, mrużąc co jakiś czas przekrwione oczy. Wstępna korekta tekstu zajęła mu pół nocy, a i tak była to dopiero połowa drogi przed nadaniem wspomnieniom ostatecznego rysu. W dodatku późnym rankiem, gdy się obudził, Marta była już w pracy. Dziewczyna zamiast śniadania zostawiła mu listę zakupów, którą mężczyzna raczył zabrać ze sobą do Olimpu, gdzie zamówił pizzę i browar. Te małe wagary od obowiązków były mu potrzebne, chociaż ostatnimi czasy właściwie nie miał ich zbyt wiele na głowie. A mimo to proste zajęcia domowe od dłuższego czasu napawały go wstrętem, zaś myśl o nieznośnej konieczności znalezienia pracy coraz gwałtowniej kołatała się wewnątrz umysłu. Tymczasem odegnał ją łykiem piwa i przyjaznym zawołaniem w stronę stojącego przy barze staruszka.

– Panie Jerzy!

Mężczyzna odpowiedział uśmiechem i po odebraniu od barmana kufła z gorzkawym placebo na życiowe problemy podszedł do stolika Tytusa.

– Znów się spotykamy – zaczął młodszy z mężczyzn.

– Zdaje się, że pan też przekonał się do mojego zwyczaju porannego piwka w miłym towarzystwie.

– No można tak powiedzieć – odparł Tytus, ziewając przeciągle.

– Nieprzespana noc?

– Pół nocy.

– Dziewczyna?

– Chciałbym. Praca. Powiedzmy. Musiałem coś napisać.

– Ach tak.

Mężczyźni pociągali solidne łyki ze swoich kufli, w milczeniu wpatrując się w wypełniający je złoty płyn. Ich przypadkowe, trwające od trzech miesięcy spotkania były coraz częstsze, chociaż żaden nie sprecyzował jeszcze powodu, dla którego niepokojąco regularnie odwiedzał Olimp. To miejsce było zresztą pełne takich ludzi. Spokojnych piwoszy wypijających po dwa, trzy kufle, rozmawiających na te same, powracające cyklicznie tematy.

– Marta, tak? – zapytał niespodziewanie Jerzy. – Czy dobrze zapamiętałem imię pana dziewczyny?

– Tak, moja Marta.

– Widuję ją w naszym sklepie, sprawia wrażenie szczęśliwej, bo wątpię, żeby częsty, szczery uśmiech był normą u kasjerek.

– Rozmawiał pan z nią? – spytał podejrzliwie Tytus.

– Nie, a w każdym razie nie o panu. Pomyślałem sobie, że dziewczyna może nie wiedzieć o pana wizytach w naszym pięknym Olimpie.

– Dziękuję. A pana żona?

– Nie żyje od kilku lat, obrączkę noszę z przyzwyczajenia.

– Więc tylko mówimy.

– To znaczy?

– Wie pan – zaczął smutno Tytus – tylko do siebie mówimy, nie rozmawiamy. Dopiero po trzech miesiącach dowiedziałem się, że jest pan wdowcem, a z kolei pan wie o Marcie gdzieś chyba od tygodnia. A przecież w gruncie rzeczy jesteśmy obcy sobie ludźmi, to powinno skłaniać do skrajnej szczerości.

– Może w książkach albo filmach, panie Tytusie. W życiu, a mam go ze sobą siedemdziesiąt lat z hakiem, obcym zwierzą się tylko pijacy albo skrajni desperaci.

– W takim razie wolę nie wybierać, do jakiej grupy przynależę. Ale koniecznie chciałbym po prostu z panem pogadać, tak po ludzku!

– Słucham.

– Nie dziś, najpierw muszę skończyć spisywać wspomnienia. Właściwie jutro koło południa powinienem mieć wszystko jako tako gotowe.

– Sprawa, widzę, poważna.

– O tak, panie Jerzy, najpoważniejsza w moim życiu.

– W takim razie chętnie poczekam. A może najlepiej niech pan zapisze mój numer.

Tytus wydobyl z kieszeni swój zmaltretowany telefon, wprowadzając do pamięci numer rozmówcy. Na jego pytający wzrok skierowany w stronę podniszczzonego aparatu wyjaśnił:

– Ten telefon miałem podczas wypadku, z którego ledwie uszedłem z życiem.

– Pamiątka?

– Raczej talizman.

– Wierzy pan w takie rzeczy?

– Nie mam wyboru, ale o tym opowiem podczas jutrzejszej rozmowy.

A teraz tylko dopiję piwo i lecę, muszę zrobić zakupy dla Marty.

– Dbaj o tę dziewczynę.

– A pan dbał o żonę? – wypalił, niespodziewanie dla samego siebie, Tytus.

– Zdarzało się, chociaż gdybym znów był młody i w taki sposób traktował swoją kobietę, to pewnie by odeszła. Teraz małżeństwo to już

nie zakłęcie, droga do wolności prowadzi nie tylko przez grób, można się rozwieść. Albo w ogóle nie żenić.

Tytus nie odpowiedział, czekając, czy rozmówca ma ochotę ponownie podjąć ten temat.

– Wie pan, nie było picia, czy bicia – wyjaśnił pośpiesznie Jerzy – tylko zwykłe życie obok siebie. Mieszkanie, dzieci, potem wnuki. Nigdy nie zdradziłem mojej żony fizycznie, ale emocjonalnie to chyba kilkanaście razy. Z problemami i zwierzeniami szedłem do koleżanek, z żoną nie miałem o czym gadać. To była prosta, uczciwa dziewczyna. Nic ponadto. A gdybym poślubił naprawdę inteligentną kobietę, to pewnie ona nie miałaby o czym gadać ze mną.

– Marta jest taka – zaczął niepewnie Tytus – miła, uczynna, prosta. Stabilna.

– Opcja na całe życie, bez niespodzianek, bez rozczarowań.

– Cholernie pociągająca opcja, jak wygodny fotel. Bezstylowy, jako taki, ale wygodny.

– Ha! Ja czasem o swojej żonie myślałem podobnie. Ale ludzie to nie meble czy inne udogodnienia, panie Tytusie, nie powinniśmy tak myśleć. Ja nie potrafiłem być w porządku, a może zwyczajnie nie chciałem. W ogóle to chyba jestem po prostu mizoginem. Nie wiem. Ale pan jest młody, ma pan jeszcze czas wyrwać ten myślowy chwast.

– Nie wiem, czy chcę.

– Nie moje życie, nie moja sprawa. Nie mówię, że taka zmiana nastawienia wyjdzie panu na dobre, nawet przeciwnie. Jak pan się zacznie liczyć z drugim człowiekiem jak ze sobą, to nie ma mowy o wygodnej obojętności i kombinowaniu.

– Otóż to.

Mężczyźni zamilkli, skupiając uwagę na kuflach. Drobne bąbelki uspokajająco szysbowały od dna do ciennej linii piany.

– No i pogadaliśmy szczerze, bądź co bądź! – powiedział z uśmiechem Jerzy, przerywając niezręczną ciszę.

– A ja będę się zbierał. Zatem wstępnie do jutra, panie...

– Wystarczy Jerzy, darujmy już sobie panów.

– Więc do zobaczenia.

Starszy mężczyzna odpowiedział przyjaznym skinieniem głowy i pociągnął spory łyk. Po odejściu towarzysza rozmowy spojrział smutno na trzymany w dłoni kufel. Oto teraz nagle stał się źródłem dobrych rad dla nowego pokolenia. On, bezwstydnym kurwiarz, kapuś i złodziej, spędzający jesień życia w odległym, obcym mieście z maską pocziwego nestora na parszywym ryju niereformowalnego hedonisty.

– Nasze zdrowie – mruknął, unosząc teatralnie kufel do niewidzialnego toastu.

Jednym haustem opróżnił naczynie, które z trzaskiem odstawił na stół.

\*\*\*

Zgrzyt klucza w zamku wywołał na twarzy ślęczącego przy komputerze Tytusa pełen irytacji grymas. Było już późne popołudnie, a nie zrobił znaczących postępów w poprawie tekstu. A teraz, po powrocie Marty, ciężko mu będzie o chwilę skupienia. Gdyby po wyjściu z Olimpu od razu zajął się zakupami, zamiast zasiedzieć się jeszcze u Magdy, teraz miałby więcej czasu. Zrezygnowany, rzucił w stronę przedpokoju mruśliwe „Cześć”.

– Jak minął dzień? – zapytała z kuchni Marta, dodając: – O! Kupiłeś wszystko!

– Kupowanie produktów z listy nie jest przesadnie trudne, nawet ja daję sobie z tym radę.

– Ktoś tu jest w złym humorze.

Tytus zacisnął gniewnie szczęki, nie chcąc prowokować kolejnej awantury.

– Pomożesz mi przy obiedzie?

– Piszę. Muszę to dziś skończyć.

– Ale jeść byś chciał.

Mężczyzna wstał od klawiatury i bez słowa zamknął drzwi od pokoju, przypominając sobie, że w ten sposób zwykle odganiał od siebie matkę. *Jak w domu* – mruknął markotnie, zajmując miejsce w fotelu. Odczekał dłuższą chwilę, na wypadek, gdyby Marta wykazała się większą niż zazwyczaj determinacją, ale dziewczyna najwyraźniej dała za wygraną. Doskonale! Zadowolony, skupił uwagę na przerwanej pracy. Przemknął wzorkiem po kilku zdaniach, lecz szybko zrozumiał, że nie będzie teraz w stanie odzyskać pełnej koncentracji. Skruszony zamknął plik i ruszył ku drzwiom, w myślach układając krótkie przeprosiny. Powstrzymał go głos Marty rozmawiającej z kimś przez telefon. Znał ten uległy, lecz nieco roszczeniowy ton dziewczyny, która właśnie wyklócała się o coś ze swoją matką. *Tym lepiej* – pomyślał. Z doświadczenia wiedział, że po takich telefonach Marta była zwykle znacznie spokojniejsza. Dawno już zauważył, iż dziewczyna często zamiast kolejnych kłótni o jego zachowanie woli wybierać milczenie, kumulując w sobie negatywne emocje. A gdy poziom nagromadzenia frustracji wychodził poza skalę jej wytrzymałości, potrafiła wyżyć się dosłownie na wszystkich, poza nim samym, głównym winowajcy. To był wygodny system, którego Tytus nie miał ochoty obalać.



– Tak, nadal tam pracuję – jęknęła do słuchawki Marta, wpatrując się z irytacją w zamknięte drzwi prowadzące do pokoju Tytusa.

– Kochanie, stać cię na więcej, niż praca na kasie – odpowiedziała zmęczonym tonem Matka.

– Wyobraź sobie, że o tym wiem. Po prostu na razie trzymam się tego, co mam.

– A Tytus?

– Co znowu?

– Pracuje już w końcu?

– Nie, nie pracuje. Ile razy mam ci powtarzać, że nadal dochodzi do siebie po wypadku?

– To już tyle miesięcy...

– Mamo, nie zaczynaj.

– To twoje mieszkanie, dlaczego on się nie dokłada do czynszu?

– Dokłada się przecież.

– Ale powinien ci dawać jakieś pieniądze też...

– Bo co, sama nie potrafię zarobić, tak?

– Tak biednie żyjecie...

– Wcale nie, wiesz o tym. Teraz, jak Tytus dostał odszkodowanie, finansowo stoimy super.

– To dlaczego nie rzucisz tej pracy?

– Bo nie chcę! Zarabiam na siebie i to lubię. Zresztą daj mi spokój mamo, obiad robię.

– A panisko pewnie siedzi i czeka na jedzenie?

– Akurat pomaga przy ziemniakach, jak zawsze. Nie jestem niczyją niewolnicą, pracy nie rzucę, cześć!

Marta gniewnie wdusiła przycisk przerywający połączenie, mimowolnie zaciskając palce na telefonie, jakby miała zamiar cisnąć nim

o ścianę. Raz jeszcze spojrzała na drzwi prowadzące do zaśmieconego królestwa swojego partnera. *Piszę, piszę, teraz piszę* – w myślach przedrzeźniała poirytowany ton Tytusa. Mężczyzna zbyt często używał tego sformułowania, jak zaklęcia albo wyjaśnienia, które powinno być wystarczające, by natychmiast uciszyć wszelkie roszczenia pod jego adresem. Jestem jakimś tam okazjonalnym pisarzem, więc mam prawo ignorować, obrażać, nie liczyć się z potrzebami, tak? Nic z tego! Marta postąpiła krok w stronę zamkniętych drzwi, ale przystanęła, gdy te otworzyły się, a skruszony Tytus wyszedł do przedpokoju, rzucając lakoniczne:

– To w czym ci pomóc?

– W czym chcesz. Na początek wystarczy obranie ziemniaków.

Para ruszyła do kuchni, uśmiechając się nieznacznie. *Kryzys zażegnany* – pomyślał Tytus – *a poprawa tekstu poczeka na wieczór*. Pewnie znów zarwie pół nocy, ale zdecydowany był doprowadzić pracę do końca jeszcze dziś, póki widział w tym jakikolwiek sens. Jutro pokaże tekst Jerzemu, a potem... Cóż, nie wiedział, co będzie potem, przeczuwał jedynie, że ujawnienie komuś swoich wspomnień zainicjuje pewien proces, który wyrwie jego życie z bagna marazmu i wtrąci je na jakiś nowy tor. A potem zaprowadzi je gdzieś, gdziekolwiek, byleby dalej od punktu, w którym tkwił przez ostatnie miesiące.

– O czym myślisz? – zagadnęła Marta.

– O niczym – burknął, ucinając temat.

Ze smutkiem sięgnął po dorodnego kartofla, miskę i obieraczkę, zajmując stanowisko przy koszu. Drobiniki dobrego nastroju, które opanowały go na myśl o zmianach, opadały wraz z obierkami do śmieci.

\*\*\*

Dochodziło południe, gdy wyczerpany Tytus wwlókł się do Olimpu, kurczowo ściskając w dłoni kilkanaście zadrukowanych, spiętych zszywką kartek. Jerzy czekał już na niego, sądząc po poziomie piwa w kuflu, od jakichś dziesięciu minut. Poza staruszką knajpa była prawie pusta, nie licząc garstki stałych bywalców, przycupniętych gdzieś w kątach przestronnej sali. Ignorując pokusę zahaczenia o bar, mężczyzna podszedł wprost do Jerzego, który przywitał go przyjaznym skinieniem głowy.

– Witam – rzucił Tytus, ziewając przy tym przeciągle. – Wybacz, ale skończyłem ostatnie poprawki dopiero nad ranem. Musiałem odespać.

– Nie ma problemu, i tak nigdzie mi się nie śpieszy.

– Zanim zaczniesz czytać, wyjaśnię ci, co to właściwie jest. Proszę też, żebyś zachował wszystko, czego się dowiesz, wyłącznie dla siebie.

– Obiecuję.

– Zacznę od wypadku. Najprościej mówiąc, pod koniec maja zeszłego roku potrącił mnie samochód i przez cztery miesiące byłem w śpiączce. W tym czasie... Nie wiem, jak mam to ująć, żeby nie zabrzmiało to zbyt dziwnie.

– Wal prosto z mostu.

– Byłem świadomy przez cały ten czas.

– Wiedziałeś, że leżysz jak warzywo w szpitalu?

– Nie. Byłem gdzie indziej.

– W zaświatach? – spytał staruszek, obrzucając rozmówcę wymownym spojrzeniem.

– Nie! Żadne metafizyczne bzdury!

– Więc...

– Tutaj jest wszystko napisane – warknął Tytus, wskazując na przyniesione zapiski. – Zrozum – dodał łagodniejszym tonem, w którym wciąż drgała jednak nutka rozdrażnienia – nie wiem, co mogę zrobić! Nie

mam z kim o tym pogadać, bo z Martą nie ma sensu. Nie dałaby mi chwili spokoju, znając prawdę.

– A nie masz jakichś bliższych kumpli, przyjaciół? – zasugerował Jerzy, zerkając podejrzliwie w stronę tajemniczych zapisków.

– Wolę, żeby ocenił to ktoś bezstronny – odpowiedział wymijająco mężczyzna.

*Najlepiej lekarz* – dodał w myślach staruszek.

– Przeczytasz moje wspomnienia z Miejsca, w którym żyłem przez cały okres śpiączki – kontynuował Tytus. – Wiem, że brzmi to wariacko, ale tak właśnie było. To, co przeżyłem zaprzecza praktycznie wszystkiemu, co uważałem za prawdę przez całe swoje życie. Nigdy nie byłem religijny i właściwie nie interesowało mnie praktycznie nic, co miało związek z jakimiś nadnaturalnymi sprawami. A teraz... Cholera, tak bardzo CHCĘ wierzyć, że tylko doświadczyłem jakiegoś rodzaju halucynacji, snu, że to leki tak na mnie podziałały, ale to nie był sen, ani nic takiego.

– Może porozmawiamy o tym, jak to przeczytam – zaproponował Jerzy.

Tytus kiwnął głową na znak zgody, bez słowa wstając, by skierować się do baru. Staruszek odprowadził go spojrzeniem, zerkając również w stronę wyjścia. *Świr, świr, świr* – mruczał pod nosem, czując jak tężeją mu mięśnie karku. Od dekad organizm ostrzegał go w ten sposób o możliwym niebezpieczeństwie i ten odruch nieraz uratował mu życie. Jednak tym razem świadomie zignorował ten sygnał, przeczuwając, że Tytus może okazać się niezwykle użytecznym narzędziem. Młody mężczyzna po przejściach, nieco naiwny, ze słabnącym kontaktem z rzeczywistością i wyraźnymi problemami osobistymi. Kandydat idealny! Jerzy, myślami

będąc już przy planach, które dawno uznał niemal za stracone, rozpoczął lekturę.

Rzekome wspomnienia rozpoczynały się od przewlekłego opisu sawanny oraz płytkiego jeziora, w wodach którego brodziły człekokształtne, niemal zupełnie pozbawione futra małpoludy. Hałaśliwe, pochłonięte swoimi sprawami istoty nie poświęcały zbytnej uwagi zdeorientowanemu, ludzkiemu intruzowi, który próbował pojąć stan, w którym się znalazł. W tym miejscu narracja ulegała zmianie, przechodząc z pierwszej osoby liczby pojedynczej w mnogą. Tytus wytłumaczył to silną potrzebą wyrażenia stanu rozdarcia, jakiego doświadczał z racji faktu przebywania jego jaźni w ciele nastoletniego tubylca o „skórze szarej jak popiół”, którego świadomość zdominował „tak dalece, że chłopak mógłby uchodzić za zmarłego”.

Pierwsza część historii była barwną, obfitującą w liczne onomatopeje i wykrzyknienia relacją z rozpaczliwych prób przetrwania w złowrogim, nieznanym środowisku. Wielką pomocą w tej materii okazały się małpoludy, które Tytus stale podpatrywał. Z czasem one również zaczęły zwracać coraz baczniejszą uwagę na zagadkowe poczynania sąsiada, kopiując wytwarzane przez niego proste narzędzia i zachowania, szczególnie postawę wyprostowaną, którą dotąd przybierały tylko brodząc w wodzie. Punktem kulminacyjnym w tej interakcji był moment, w którym Tytusowi udało się rozpalić ogień przy użyciu znalezionych na brzegu krzemieni. Zręczne istoty szybko skopiowały tę sztukę, doprowadzając w efekcie do pożogi otaczających jeziora traw i drzew. Kłęby dymu ściągnęły w okolice innych tubylców, co stanowiło preludium do drugiej części opowieści.

Tytus trafił do wioski plemienia Bilahuduma, którego mowę rozumiał bez trudu, a to prawdopodobnie dzięki informacjom nieświadomie

odnajdowanym w uśpionym umyśle jego młodego „nosiciela”. Wszelkie wątpliwości Tytusa, czyli „Obcego–Nieobcego”, jak określiła go społeczność wioski, miał wyjaśnić Szaman, rezydujący w pobliskiej sieci jaskiń.

Jerzego trafiał szlag, czytanie tych bzdur wywoływało w nim niemal fizyczną niechęć. Mimo tego zmusił się do lektury, pokonując wzrastającą pokusę pomijania co drugiego zdania.

Nawet Obcy–Nieobcy, intrygujący przybysz z zewnątrz w ciele jednego z Bilahuduma, nie mógł złamać rządzących plemieniem praw. Tytus musiał więc uzyskać aprobatę starszyny wioski, do której należała decyzja o przyznawaniu przywileju widzenia z Szamanem. Wiązało się to z koniecznością podjęcia szeregu wyzwań, od intelektualnych po seksualne, których ukończenie zajęło uwięzionemu w Miejsu bibliotekarzowi blisko dwa miesiące.

Gdy wreszcie wkroczył do pierwszej z grot, poczuł, jak jego więzy z Miejsmem słabną, co uzmysłowiło mu, że jego fizyczne ciało w „realnym” świecie wciąż żyje, a jego świadomość zmierza do ponownej z nim fuzji. Zrozpaczony, zaczął błędzić na oślep w mroku, podążając za otumaniającym, wszechobecnym zapachem przywodzącym na myśl nagrzane przewody gigantycznego komputera. W chwili, gdy niemal nie czuł już jedności z zasiedlanym w Miejsu ciałem, usłyszał głos Szamana, który kojarzył mu się z syntezatorem mowy. Szaman był niezwykle zadowolony z efektu swojego eksperymentu, w wyniku którego zdołał sprowadzić „esencję człowieka spoza linearnej strugi czasu”, Tytusa. Obiecywał nauczyć przybysza tajników wędrówek jaźni, co dałoby mu możliwość trwałego zasiedlania kolejnych ciał. Narracja powróciła niespodziewanie do pierwszej osoby liczby pojedynczej, a Tytus snuł przypuszczenia, że dzięki regularnej wymianie nosicieli byłby w zasadzie

nieśmiertelny, stając się de facto bóstwem czuwającym przez tysiąclecia nad rozwojem plemienia Bilahuduma w jego drodze do opanowania świata. Zapewniony przez Szamana, iż bezwzględnie znajdzie się jakiś sposób na to, by mógł powrócić do Miejsca już na stałe, Tytus odzyskał przytomność w szpitalnej sali.

## Rozdział II

### Klucząc

Tytus wysączył leniwie ostatnie krople piwa z dna kufla, zerkając przy tym na pochłoniętego lekturą starca. W ciągu ostatnich minut jego twarz wielokrotnie zmieniała wyraz, a biegnące za tekstem oczy nieraz zatrzymywały się lub cofały o linijkę, raz jeszcze śledząc zdania, w które nie sposób było uwierzyć.

– Ciekawe – zdołał wydusić z siebie Jerzy w minutę po skończeniu czytania.

Bawiąc się bezmyślnie plikiem kartek, zastanawiał się, w jaki jeszcze sposób mógłby skomentować pisaninę siedzącego naprzeciw młodego mężczyzny. Tytus wyręczył go, stwierdzając:

– Wiem, że raczej nie uwierzysz w to wszystko, zresztą sam po przeczytaniu czegoś takiego poszukałbym racjonalnego wyjaśnienia. Ale go nie ma.

- Co zamierzasz zrobić?
- Nie wiem. Wrócić tam. Jakoś. Może. Albo zostać tutaj.
- Ucieczka od tego świata to świetny pomysł – zaczął ostrożnie Jerzy.
- Sam długo myślałem o czymś takim.

Tytus nie odpowiedział.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – ponowił podejście starzec.

– Co? Ucieczka?

– Tak. W końcu mamy swoje zobowiązania, ty Martę, ja rodzinę...

– Zobowiązania! – prychnął młody mężczyzna.

– Więzy – podsunął starszy.

– Dokładnie.



– Ty masz przynajmniej swoje Miejsce, a ja? Starość i podłą rodzinę na karku. Dzieci, wnuki, pazerne insekty! Kiedyś naprawdę spełnię swój plan i po prostu ucieknę!

– To znaczy co zrobisz?

– Bynajmniej nie myślę o śmierci – odrzekł starzec, uśmiechając się w duchu – tylko o małej, trywialnej zemście. Zemście za lata zniewolenia i braku szacunku, próby wtłoczenia mnie w ICH formę.

Gdy oczy Tytusa zabłysły gniewnie, Jerzy wiedział już, że jego rybka chwyciła. Biorąc długi oddech i umiejętnie przywdziewając na twarz kunsztowną, cierpiętniczą maskę, którą omamił już niejednego urzędnika, przemówił:

– Mieszkam tutaj, w obcym Mieście, w mieszkaniu mojego zmarłego brata. Mój prawdziwy dom już dawno zasiedliły dzieci i ich wnuki. Rozplenili się tam jak chwasty, a mnie wypędzili tutaj. Mają notarialne prawo do mojego domu a i tego mieszkania też, bo brat zapisał je mnie, a ja, w ślepym zaufaniu, dzieciom. A te ścierwa załatwiły potajemnie jakieś papiery o ograniczonej poczytalności, prawne gównu, którym związali mi ręce. Nie mogę zmienić testamentu ani w żaden sposób dysponować moimi oszczędnościami. Została mi tylko emerytura.

– Przykre – odparł, ze słabnącym zainteresowaniem, Tytus.

– O tak! – wybuchnął Jerzy, gorączkowo szukając odpowiedniego haczyka, na który mógłby złapać uwagę rozmówcy. – Ale mam plan, chcę uciec. Tak jak ty do Miejsca! W ogóle, to myślę, że mogę ci pomóc. Kiedyś moim sąsiadem był młody chłopak, teraz już w twoim mniej więcej wieku, student religioznawstwa. Może o nim słyszałeś? Mikołaj Kotłyszko, wybitny specjalista! Gdyby nie wyjechał z rodziną do Szwecji, to pewnie nasz kraj byłby bogatszy o kolejnego profesora z tej dzieciny. Zajmował się różnymi rzeczami, odmiennymi stanami świadomości,

szamanizmem i tak dalej. Mam jego namiary, więc mogę cię zarekomendować. Znamy się bardzo dobrze, na pewno nie zbagatelizuje sprawy! Mógłbyś podesłać mu swoje wspomnienia!

– Doskonale!

– Widzisz, rozumiem problem ucieczki.

– A jak ty chcesz uciec? – zapytał ożywiony Tytus.

Starzec pozwolił sobie na przelotny, triumfalny uśmiech, odpowiadając:

– Banalnie. Chcę wziąć kredyt pod zastaw mieszkania brata, ale do tego potrzebuję być, w świetle prawa, w pełni władz umysłowych. Właściwie nie jest to takie trudne, wiem już komu i ile trzeba posmarować, co podpisać i takie tam. Brakuje mi tylko kogoś, kto przejdzie się po urzędach z lewymi papierami, pozdobywa parę pieczętek, wzorów podpisów. Oczywiście chętnych jest tłum, ale nie stać mnie na wynajmowanie pazernych studentów do tej roboty. Ledwie odłożyłem dosyć na łapówki.

– Po co ci kredyt?

– To proste, żeby wyjechać. Uciec! Zaszyć się gdzieś w ciepłych krajach z kupą forsy i spędzić ostatnie lata w jakimś tropikalnym raju. Nie jest to może zbyt oryginalne, ale co z tego? Mam gdzieś to, czy ktoś nazwie moje pławienie się w luksusie wyświechtanym.

– Chcesz, żebym to ja przeszedł się po urzędach?

– Skłamałbym, mówiąc, że nie – odparł, ostrożnie dobierając słowa. – Pomyślałem o tym podczas czytania twoich wspomnień. Wiesz, ile warta jest wolność. No i właściwie nic cię tutaj nie trzyma, chcesz wrócić do Miejsca.

– Mówiłem, że nie wiem, czego chcę. Poza tym nie wiem jak.

– Mikołaj może ci pomóc!

- Więc najpierw z nim porozmawiam.
- To rozsądne – przyznał niechętnie starzec.

Wiedział, że tymczasowo musi powstrzymać się od dalszych nacisków. Pocieszał się jedynie myślą, iż gleba, na którą rzucił ziarna swojej chciwości nie była jałowa, wręcz przeciwnie. Szansa znalezienia godnego zaufania człowieka od czarnej roboty była realna, jak nigdy dotąd. I to za darmo!

– Muszę już iść – zakomunikował lakonicznie Tytus, sięgając po wydruk.

– Poczekaj! – zaprotestował Jerzy, kładąc dłoń na kartkach. – Mogę je zatrzymać? Chciałbym przeczytać to wszystko raz jeszcze, jeśli pozwolisz.

– Zgoda – odparł z wyraźnym wahaniem rozmówca.

– Dziękuję.

– Podasz mi dziś namiary na Mikołaja?

– Najpierw muszę do niego napisać. I nie bój się, umiem obsługiwać pocztę elektroniczną, pewnie już jutro będę miał odpowiedź, chociaż jestem pewien, że będzie zainteresowany.

– W takim razie czekam na wieści. Do widzenia.

– Do widzenia, do widzenia...

Jerzy odprowadził Tytusa władczym spojrzeniem. *Dziwny typ* – pomyślał, zerkając na pozostawione mu wspomnienia. Z uśmiechem pomyślał, że odniósł dziś dwa zwycięstwa. Zainteresował rozmówcę swoją sprawą i uzyskał cenny materiał, który w najgorszym razie może posłużyć jako karta przetargowa w szantażu. W końcu sam Tytus przyznał, że skrzętnie ukrywa swoje rzekome przeżycia z innego świata przed Martą. A nie wyglądał na faceta, który lubił domowe awantury, a przynajmniej nie te wszczynane przeciwko niemu. Staruszek uśmiechnął się gorzko na

wspomnienie własnego domowego ogniska. Złożył starannie kartki i wsadził je do wewnętrznej kieszeni swojej znoszonej marynarki, kierując się szybko w stronę baru. Była już przecież pora obiadowa, a on zjadł dopiero jedno piwo!

\*\*\*

**od:** Mikołaj Kotłyszko

**do:** Tytus Szewc

**Data:** 12 marca

**Temat:** Re: Miejsce

Witaj Tytusie!

Pozwoliłem sobie przejść na „Ty”, bo myślę, że w sprawie takiej jak ta, nie ma co się trzymać grzecznościowych formułek. Przeczytałem (dwukrotnie!) Twoje wspomnienia i jestem pod naprawdę wielkim wrażeniem tego, co przeżyłeś. To chyba odpowiedź na Twoje pytanie, czy wierzę w „coś takiego”. Sam doświadczyłem wielu stanów, wrażeń i uczuć, których nie da się wyjaśnić za pomocą nauki i naszej zmysłowej percepcji świata. Można spróbować przekazać je w takiej czy innej formie szerszemu gronu odbiorców, ale są zbyt związane z tym, kto ich doświadczył, żeby taki przekaz był w pełni autentyczny. Na pewno czułeś to podczas spisywania swoich wspomnień, a przynajmniej ja zawsze odczuwam bolesną bezsilność, brak wspólnej płaszczyzny, gdy chcę podzielić się z kimś swoimi doznaniem. Ale do rzeczy. Pytałeś o radę, oto moja:

Jeśli koniecznie chcesz wrócić do Miejsca, to według mnie najpierw powinieneś spróbować nawiązać kontakt z tamtym światem. Bez niego Twoje rozpaczliwe próby „przejścia” mogą okazać się ryzykowne. I nie chodzi mi tylko o utratę życia, ale również poczytalności. Chcesz też

wiedzieć, gdzie byłeś. Tego nie wiem. Mogę za to polecić pewne tropy i lektury. Twoja wzmianka o dwóch duszach w jednym ciele przywodzi mi na myśl żydowski motyw Dybuka, a z kolei spotkanie z Wyższym Bytem („Szamanem”) może oznaczać nowy trop prowadzący np. do Platona (*Uczta*). Grecy nazywali taki byt Dajmonem, a rzymianie Geniuszem. Natomiast o motywie życia w innej rzeczywistości, czyli podróży do innego świata (tych stanów doświadczył nawet „ateistyczny” Lovecraft) na pewno przeczytasz w takich dziełach jak *Etnologia religii* i *Szamanizm* Szyjewskiego, *Droga Szamana* Harnera i w pewnym stopniu *Podróż do piekieł/piekła* Wasilewskiego. O podróżach szamańskich pisał też sporo Stanisław Grof, ale jego znam głównie z opracowań.

Bardzo podobna idea do Dybuka pojawia się też w Tybecie. Słabo to pamiętam, ale wiem, że niektórzy buddyści odrzucają bonowskie wtręty w Tybetańskiej Księdze Umarłych, szczególnie wejście duszy jednego człowieka w ciało innego – buddyści bardziej konserwatywnego i konsekwentnego nurtu mówią, że to demoniczna istota wchodzi w człowieka i udaje duszę innego człowieka, który rzekomo zmarł i opowiada, co widział w krainie zmarłych. Natomiast buddyści bon wierzą, że taki powrót z zaświatów i wejście w ciało innego człowieka, jest dla duszy „świeżo” zmarłego całkowicie możliwe. Kluczowy jest dla nich okres od 3 do 49 dni.

Chyba się za bardzo rozpędziłem :) Ogólnie rzecz biorąc, wszystko to, co widziałeś, niekoniecznie musiało być do końca „rzeczywiste”. Chodzi mi o to, że prawdziwe tajemne oblicze świata, do którego trafiłeś, może różnić się od tego, jakim je widziałeś. My, ludzie, mamy ograniczoną percepcję i wszystko to, co wykracza poza jej możliwości, dostosowujemy do naszych wyobrażeń oraz wzorców. To tak, jakby tłumaczyć człowiekowi spoza cywilizacji działanie np. silnika spalinowego. Nie

będziemy używać języka technicznego, tylko pewnych synonimów i porównań, które on będzie w stanie zrozumieć. Inaczej się nie porozumiemy. Szczególnie ostatni fragment wspomnień wskazuje na to właśnie wyjaśnienie, gdy Twój umysł próbował zracjonalizować doświadczenia kontaktu z „Szamanem”, poprzez wytworzenie wrażenia, że obcujesz z zaawansowaną maszyną, a nie Nieznanym Bytem.

Osobiście proponowałbym Ci zapoznanie się z działaniem afrykańskiego korzenia snów. To łatwo dostępny, całkowicie legalny środek. Ale najpierw dokładnie o tym poczytaj, znajdź renomowaną firmę importującą, bo jakimś chemicznie hodowanym syfem można się zatruć. Poza tym sfera snów to brama do niejednej płaszczyzny. Życzę powodzenia w Twoich poszukiwaniach prawdy i z niecierpliwością oczekuję na rezultaty.

Pozdrawiam serdecznie!

Mikołaj Kotłyszko

\*\*\*

**od:** Tytus Szewc

**do:** Mikołaj Kotłyszko

**Data:** 13 marca

**Temat:** Re: Re: Miejsce

Witam!

Dziękuję za pomoc, odezwę się, jak ustalę coś konkretnego.

A poza tym osobiście uważam, że „tamten świat” nie był dostosowany do mojej percepcji, tylko najzwyczajniej w świecie realny. Podtrzymuję więc moje wnioski końcowe zawarte we wspomnieniach z Miejsca. Nie wierzyłem i nie wierzę w żadne tajemne oblicze świata czy temu podobne

bzdury, a moje przeżycia wyjaśnić może prędzej fizyka kwantowa i teoria równoległych światów, a nie książki o ćpaniu dzikich.

Kasuj.

**od:** Tytus Szewc

**do:** Mikołaj Kotłyszko

**Data:** 13 marca

**Temat:** Re: Re: Miejsce

Witam!

Dziękuję za pomoc, odezwę się, jak ustalę coś konkretnego.

Pozdrawiam serdecznie

Tytus Szewc

\*\*\*

Potwierdzam, że dzisiejszy spacer wciąż aktualny :) Jak będzie ciepło, to możemy zahaczyć o Kopiec, co Ty na to? A wracając można wstąpić do Karczmy na jakąś kolację i piwko. Tytus (to mój nowy numer, skasuj stary!)

Lista kontaktów.

Magda.

Wyślij.

Wiadomość SMS dostarczono. 14:40, 13.03.

\*\*\*

Super :) To wpadnij po mnie pod koniec pracy. Wypijemy po kawce i w drogę!

Lista kontaktów.

Tytus (nowy)

Wyślij.

Wiadomość SMS dostarczono. 14:42, 13.03.

\*\*\*

Chcesz przejść do użytkowania głównej karty SIM?

Tak.

Przetwarzanie danych.

Główna karta SIM aktywna.

Dziś po południu idę się przejść gdzieś dalej, nie rób kolacji, zjem coś na mieście.

Lista kontaktów.

Marta.

Wyślij.

Wiadomość SMS dostarczono. 14:45, 13.03.

\*\*\*

Fajnie, że znów Cię nie będzie wieczorem :< Super. Baw się dobrze, gdziekolwiek idziesz.

Lista kontaktów.

Grupa: Serce.

Tytus.

Wyślij.

Wiadomość SMS dostarczono. 15:01, 13.03.



Tytus z irytacją zerknął na szeroki wyświetlacz swojego nowego telefonu, wczytując się w wiadomość od Marty. Przez moment zważył w ręce urządzenie, jakby chciał rzucić nim z lekceważeniem na łóżko, lecz przypomniał sobie, że nie korzysta już ze swojego starego, niezniszczalnego modelu. Ponownie zerknął na wyświetlacz, a po chwili namysłu postanowił nie odpisywać, zamiast tego kierując się do łazienki. Wyjął nerwowym ruchem przyrządy do golenia, wzdychając ciężko. Rozpaczliwie potrzebował odskoczni, szczególnie teraz, gdy sprawy związane z Miejscem w końcu nabrały tempa. Marta nie potrafiła go ukoić, była przecież integralną częścią tak bardzo przytłaczającej go rzeczywistości. Natomiast niezobowiązujący czas spędzany z pogodną blondynką był słodkim lekiem, który doskonale odpowiadał jego potrzebom. Tymczasowym substytutem w drodze ostatecznego spełnienia, którego doznać mógł, jak ostatnio przyznał sam przed sobą, tylko w Miejscu. Gdziekolwiek i czymkolwiek właściwie było.

\*\*\*

*Rok* – pomyślała Marta spoglądając na pochłoniętego poranną gimnastyką Tytusa. – *Rok!* Jak przez mgłę pamiętała wydarzenia sprzed dwunastu miesięcy, lakoniczny telefon ze szpitala, panikę, pierwsze diagnozy, strach. Szereg strasznych dni splecionych w sznur obrazów, z których teraz nie potrafiłaby wyłuskać żadnego konkretnego wydarzenia. Rachubę czasu odzyskała mniej więcej po tygodniu od wypadku, kiedy zrozumiała, że nic się nie ułoży, żadne „jakoś to będzie” nie wchodziło w grę. Nieopłacone rachunki i śpiączka Tytusa to wszystko, czego mogła być pewna przez ciągnące się w nieskończoność „tamte” dni.

– Koszmar – bezwiednie wypowiedziała na głos swoje myśli.

– Co? – spytał mężczyzna, wolno podnosząc się z podłogi po serii pompek.

– Nic, myślałam o twoim wypadku. Dziś mija rok.

– Wiem. Chociaż dla mnie gorsza była rehabilitacja, bo sam wypadek to wiesz, uderzenie, ciemność, a potem przebudzenie.

– No tak, dla ciebie to była chwila – mruknęła poirytowana.

– Rozumiem, że miałaś ciężko, kiedy byłem nieobecny.

– Powiedzmy, że masz o tym jakieś pojęcie. Bo przecież nigdy mnie o to nie spytałeś.

– Po co rozdrapywać stare rany?

– No jasne, wygodniej wszystko zapomnieć.

Tytus burknął coś niezrozumiale pod nosem, podchodząc do okna.

– Zapowiada się słoneczny dzień – stwierdził.

– Masz jakieś plany?

– Nie wiem. W każdym razie szkoda przesiedzieć taką sobotę w domu.

– Mhm.

Marta zamilkła, czekając na jakieś konkretne propozycje ze strony mężczyzny. Ostatnio ciągle wychodzenie z inicjatywą zaczęło poważnie ją nużyć. Jeśli Tytus chce spędzać z nią czas musi zacząć to komunikować, a nie tylko łaskawie przystawać na podsuwane pomysły.

– Za tydzień nasza trzecia rocznica – stwierdził nieoczekiwanie mężczyzna.

– Może pójdziemy tam, gdzie wszystko się zaczęło na poważnie?

– Przecież Lamusa zamknęli kilka dni po naszej pierwszej randce. Do dziś żałuję tej knajpki...

– Test zdany – odparła z uśmiechem dziewczyna.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech, chociaż jego myśli ewidentnie krążyły wokół innego tematu. Marta doskonale знаła ten wyraz twarzy,

powracający od połowy marca. Jej partner znów myślał „o tym”, czymkolwiek lub kimkolwiek było tajemnicze „to”, które absorbowало jego uwagę. Naturalnie żadne rozmowy na ten temat nie przynosiły rezultatu, a jedynie pogłębiały emocjonalną odległość, jaką boleśnie odczuwała w kontaktach ze swoim mężczyzną. Cokolwiek go trapiło, najwyraźniej nie było przeznaczone do dzielenia się z drugim człowiekiem, a przynajmniej nie z nią. Głośna wibracja poprzedziła piskliwy dźwięk odebranej wiadomości. Tytus ruszył w stronę swojego telefonu, a Marta była pewna, że zaraz usłyszy standardowe, lakoniczne „wychodzę”.

– Muszę coś załatwić – oznajmił Tytus.

Marta uśmiechnęła się ponuro, kiwając głową.

– Z kim? – spytała, bez większych nadziei na uzyskanie odpowiedzi.

– Masz – odparł mężczyzna, podając swój telefon.

Nie zawahała się ani przez moment, wyciągając rękę po aparat. Rzuciła okiem na wiadomość, z trudem opanowując lekkie drżenie dłoni. *Więc jeszcze nie tym razem* – przemknęło jej przez myśl. To było zaproszenie od Jerzego, partyjka szachów. Znała tego sympatycznego staruszka z widzenia, chociaż dopiero niedawno zorientowała się, że Tytus od dawna spędza z nim mnóstwo czasu. Substytut straconego ojca, w porządku. Cień trwogi, że gdzieś tam istnieje również jej zastępstwo, chwilowo przygasł.

– Zaproś go kiedyś tutaj – zaproponowała niespodziewanie.

– Czemu nie, pomyślę o tym – rzucił niedbale, zakładając wyjściowe spodnie. – Może w któryś weekend.

Odebrał swój telefon, nie powstrzymując się przy tym przed zerknięciem, czy na wyświetlaczu wciąż widnieje ostatnia wiadomość. *Spokojnie, nie grzebałam ci w pamięci* – pomyślała gniewnie dziewczyna –

*i nie będę się do tego zniżać.* Tytus zniknął z mieszkania w ciągu kilku minut, rzucając przez próg zdawkowe „Cześć!”.

– Cześć – szepnęła markotnie, siadając w fotelu naprzeciw telewizora.

Z wahaniem ujęła pilota, przez chwilę walcząc z pokusą wejścia w kojący świat telewizji śniadaniowej. Nie tym razem. Poderwała się energicznie z miejsca, ruszając w kierunku szafy z ubraniami. Tytus miał rację, dzień był zbyt piękny, żeby marnować go, siedząc w domu. Skoro miała dziś zostać sama, to woląла samotnie spacerować, niż czekać potulnie na powrót „pana domu”. Wydarzenia sprzed roku ponownie napłynęły jej przed oczy, lecz tym razem przypomniála sobie, że tracąc Tytusa na czas śpiączki, zyskała coś w zamian. Coś, o czym prawie zapomniála, gdy mężczyzna odzyskał świadomość. Swoją siłę.

\*\*\*

Nieremontowana od dekad kawalerka, którą zajmował Jerzy przypominała graciarnię wspomnień. Chociaż Tytus bywał w tym miejscu już wiele razy, to wciąż potrafił wyłuskać z ogólnego obrazu kolejne interesujące szczegóły. Fascynowała go ta chaotyczna mozaika przedmiotów, w wielu przypadkach tak zdezelowanych, że ciężko było o nich myśleć inaczej, niż jak o śmieciach. Tym razem w oko wpadł mu wielki słój wypełniony po brzegi biletami kinowymi, wśród których zauważył też te pochodzące z nowych, sieciowych kin.

– Imponująca kolekcja – skwitował, przyjmując szklanke zakrapianego cytryną rumu, w którym lubował się staruszek.

– Uwielbiam kino.

– Kiedyś też byłem częstym gościem.

– A teraz?

– Marta.

– Inne gusta, a samemu chodzić, to pretekst do awantury, co?

– Ta... Jak z kredytem?

– Czekam, ale to już raczej formalność. Sprawa kilku dni. Jeszcze raz dziękuję, Tytusie.

Młodszy z mężczyzn wzruszył ramionami, rozsiadając się w przetartym, skórzanym fotelu. Gospodarz przycupnął na taborecie pod oknem, sącząc chciwie alkohol.

– Więc? – zagadnął Tytus, przerywając przeciągającą się ciszę. – Masz to?

– Tak.

Jerzy zostawił na parapecie niemal opróżnioną już szklanekę, ruszając ku masywnej komodzie wciśniętej w róg pokoju. Wydobyl z niej małe, drewniane pudełko szachów, tłumacząc:

– Nie jest tego wiele, ale na jeden raz wystarczy. Ma chyba ze trzydzieści lat, ale powinno wciąż działać. Naszukałem się tego jak głupi! Już myślałem, że wyrzuciłem, albo gdzieś przepadło przy okazji przeprowadzki.

Tytus bez słowa przyjął opakowanie, zamiast miniaturowej armii skrywające kilka małych, wysuszonych kulek. Opium, zapomniana przez wielu orientalna recepta na barwny upadek człowieka. Dla niego był to jednak kolejny logiczny krok w drodze, która mogła doprowadzić do choćby przelotnego dotarcia w rejony Miejsca. Eksperymenty z afrykańskim korzeniem snów, mimo usilnych prób, nie przyniosły żadnych efektów, a przynajmniej nie takie, do jakich dążył zdesperowany mężczyzna. W dodatku koszty specyfiku i konieczność ciągłego ukrywania jego spożywania przed Martą dodatkowo szarpały jego, i tak mocno już nadwyrężone, nerwy. Wymiana korespondencji z Mikołajem również stanęła w martwym punkcie, a lektura kolejnych książek

religioznawczych nużyła Tytusa, szczególnie że zwykle dotyczyła jedynie sytuacji nadzwyczaj luźno powiązanych z jego doświadczeniami. Dwa miesiące dreptania w miejscu sprawiły, że mężczyzna był skory do szukania bardziej radykalnych rozwiązań.

– Szkoda, że nie mam już mojej bambusowej fajki – powiedział z zadumą Jerzy. – Dostałem ją w komplecie razem ze sporym zapasem tych cudeniek od kumpla, który...

– ... walczył w Afganistanie. Poczciwy starszy praporszczyk Jurij, opowiadałeś o tym ze trzy razy – wtrącił gniewnie Tytus – przecież stąd wiem o opium.

– Spokojnie – warknął stary. – Wyświadczam ci przecież przysługę.

– Raczej spłacasz dług wdzięczności.

Jerzy machnął nerwowo dłonią, wracając na swoje stanowisko pod oknem. Opróżnił szklankę w dwóch haustach i zakomenderował:

– Nabiję ci zwykłą fajkę, potem będziesz ją popalał i trzymał lekko ponad płomieniem świecy.

– Tłumaczyłeś już procedurę, kiedy obiecałeś znaleźć to opium – wtrącił się Tytus, nie mogąc powstrzymać rosnącej irytacji.

Jerzy zacisnął w milczeniu zęby, pamiętając, że sprawa kredytu nadal pozostaje otwarta, a zrażanie cennego pomocnika w tym szemranym interesie nie jest roztroptym pomysłem. Napięta atmosfera utrzymała się przez najbliższe minuty, podczas których staruszek czynił przygotowania do narkotycznego seansu. Tytus pozostawał w bezruchu, całkowicie oddając się rozmyślaniom. Wiele sobie obiecywał po tej próbie nawiązania kontaktu z Miejscem, chociaż gdzieś na dnie umysłu kołatała mu myśl, że być może jego pobudki są zupełnie inne, i podświadomie pragnie jedynie zapomnieć o swoich przeżyciach, uciec. Popaść w nałóg, nawiązać romans, w zasadzie cokolwiek, byleby dalej od strasznej prawdy,

która boleśnie przeczyła rozsądkowi oraz swojskiej, materialistycznej wizji świata. Tymczasem po kilku głębszych wdechach i przetrzymaniu narkotycznego dymu w płucach podobne rozterki zanikły. Właściwie wszystko gdzieś odpłynęło, senne, nudne i nieważne. Teraz liczyło się tylko ciche, bezpieczne trwanie w kojącej ciemności.

Pustka! Zwyczajny, mocny sen! To wszystko, czego doświadczył podczas narkotycznego transu. Po przebudzeniu odkrył, że spędził na fotelu starca sporą część dnia, a po włączeniu telefonu otrzymał cztery wiadomości od Marty. Odpisał lakoniczne „Włóczę się”, szybko koncentrując uwagę na pochłoniętym lekturą jakiejś książki gospodarzu, którego spytał:

– Mówiłem coś?

– Nie – mruknął Jerzy, niechętnie odrywając się od lektury. – Po prostu siedziałeś, co pewien czas trochę się wierćąc. Miałeś jakieś wizje?

– Nic, zupełnie.

– A inne doznania? Zmiana barw, wytłumienie dźwięków, wrażenie swobodnego dryfowania pod powierzchnią wody?

Tytus pokręcił przecząco głową, mówiąc:

– Poczułem się jakbym po prostu zażył coś silnego na zaśnięcie.

– Ale coś, cokolwiek, musiałeś doświadczyć! Nawet po latach to niemożliwe, żeby opium tylko cię uśpiło.

– Chyba wiem lepiej, co mnie spotkało!

– Do mnie nie miej pretensji.

– Wybacz. Myślisz, że mógłbyś załatwić coś świeższego?

– Niby skąd? Poza tym może jednak miałeś jakieś wizje, tylko po prostu ich teraz nie pamiętasz. Albo wrócą w snach.

– To możliwe?

– Nie znam się na tym – wycedził starzec – po prostu tak mi się wydaje. Z takimi problemami zgłoś się do Mikołaja, ale on chyba też ci do

tej pory nie pomógł, co?

– Sugerujesz, że moje wspomnienia nie są prawdziwe?!

– Jedynie nieweryfikowalne – odparł ostrożnie Jerzy.

Tytus bez słowa ruszył w stronę wyjścia odprowadzony mruklwym „No wreszcie!”. W pięć minut później był już na chodniku, maszerując energicznie w wybraną na chybił trafił stronę. Ciężar klęski boleśnie opadł na jego barki, ciągnąc głowę ku ziemi. Wpatrzony w spękane tafle chodnikowych płyt zwolnił kroku, rozpaczliwie próbując wyrzucić z umysłu brzęczące słowo staruszka. Nieweryfikowalne! W tym zawierała się cała tragedia. Chociaż był pewny swoich doświadczeń, to nie był w stanie nikomu, nawet sobie, przedstawić wiarygodnych argumentów na istnienie Miejsca. Co gorsza, z biegiem czasu te wspomnienia zaczęły blaknąć coraz bardziej, zresztą ten proces ma miejsce już teraz. Tytus zadrżał na myśl, że za kilka dekad, jako starzec, nie będzie pamiętał prawie niczego, a może nawet zdoła wmówić sobie, że faktycznie uległ jakimś złudzeniom, barwnej iluzji umysłu. Jednak najbardziej przeraziła go inna perspektywa. Dom, kochająca kobieta, stabilizacja. Nawet teraz, w chwili największej rozpacz, pocieszał się perspektywą powrotu do niebiańsko cierplivej Marty. Przyjaciółki, kochanki, kucharki. Uwił tu sobie przytulne gniazdko, w którym obrastał w pióra, marząc o powrocie do Miejsca z taką siłą, jak wiktoriański dżentelmen o przygodzie, spoglądając w swoim ulubionym klubie na pejzaż Afryki. Wygodne, dziecięce sny o potędze, nic ponadto. Zirytowany przystanął, zdając sobie sprawę, że zmierza w stronę domu. Zawrócił, za nowy cel obierając oddalony o kilka przystanków klub studencki. Zdecydował, że właśnie tam, on, do reszty schamiał dżentelmen dwudziestego pierwszego wieku, będzie rozpamiętywał Miejsce i beznadziejnie fantazjował o powrocie. Bo co więcej mu pozostało?



\*\*\*

W nabrzmiałym od studentów lokalu Tytus z trudem znalazł miejsce przy małym stoliczku ustawionym vis-à-vis wyciszonego telewizora. Na szerokim ekranie widniała wielobarwna sieć pęknięć, w których obraz załamywał się w surrealistyczne drobinki przywodzące na myśl dziecięce zabawy z kalejdoskopem. Właśnie leciał uwielbiany przez, jeśli można było wierzyć telewizyjnym statystykom, dziewięć milionów widzów talk-show *Taka Gadka!*. Pasek informacyjny zapowiadał gorące tematy bieżącego odcinka; mężczyznę uzależnionego od parówek, nastolatka zbierającego puszki po napojach energetycznych i dziwnego faceta, który stylizuje się na pajęczaka. Tytus ze zdumieniem dostrzegł, że jednym ze stałych konsultantów programu był Profesor. Wybitny, jak głosił podpis, socjolog, kulturoznawca, antropolog oraz europeista. Z cichym westchnieniem mężczyzna oderwał wzrok od stłuczonego ekranu, zerkając na salę. Młody żywioł, który ją wypełniał, był hałaśliwy, pijany i jednolity w swym pędzie do oryginalności. Nie pasował tutaj, nawet parę lat temu, będąc w ich wieku, nie pasował. Nigdy nie potrafił zazębić się z codziennością, a kiedy nareszcie poczuł, że jest do tego zdolny, los cisnął go w Miejsce, odzierając z resztek chęci życia w świecie dnia powszedniego. Zerknął na wyświetlacz telefonu. Kolejna wiadomość, znów Marta. Kobięca troska zwarta w sto sześćdziesiąt znaków, przyjazne wezwanie do domu. Wypijając pośpiesznie reszkę piwa, wyrwał się z zatłoczonego klubu, pełnego rozwieszonych po ścianach piwnicznych gratów. Estetyka śmieciowa przestała do niego przemawiać, nauczył się cenić wygodne siedzisko ponad bęben pralki zwisający z sufitu.

Nie chciał jeszcze wracać do domu, wręcz czuł irracjonalny lęk przed przekroczeniem progu mieszkania, w którym najpewniej spędzi resztę swojego życia z Martą. Wiedziony impulsem, wsiadł do nadjeżdżającego

tramwaju. Usiadł w ostatnim z błękitnych wagonów, wpatrzony w umykający za oknem pejzaż miasta. Rozkraczony arkadami strzelistych gmachów z żelbetonu i obskurnych, pozbawionych elewacji ceglanych kamienic, usiany słupami wielopiętrowych bloków z wielkiej płyty, pełen sklepów o akwarelowych szyldach. To było prawdziwe safari, podróż w nieznane. Swobodnie przeskakiwał z linii na linię, z tramwaju w autobus, a z autobusu w tramwaj, bez biletu i celu. Docierał do dzielnic, które, mimo dziesięcioletniego pobytu w Mieście, znał tylko z nazw. Czasem migały mu miejsca swojskie, pełne wspomnień. Jego dawna uczelnia, niedoszłe miejsce pracy, które porzucił dla Marty, ukochane biblioteki, nawet szkoła, w której na pewno nadal czaiła się apodyktyczna Pani Dyrektor. A on był wciąż w ruchu, mijał te pomniki przeszłości, jeden za drugim, niemal bez żalu, ciągle wpatrzony w niemożliwą do zrealizowania przyszłość.

Wysiadł pod ogrodem zoologicznym, zdecydowany minąć go bokiem i ruszyć asfaltową drogą, dalej, do górującego nad leśną okolicą kopca. Przystanął jeszcze, by spojrzeć z zażenowaniem na matronę prowadzącą córeczkę, na oko dziesięcioletnią, ubraną w wyzywającą replikę stroju pierwszej lepszej gwiazdki telewizyjnej. Lekko umalowana dziewczynka miała nawet dziecięcą wersję szpilek.

– Czy mogę panią o coś spytać? – zagadnął kobietę, która obrzuciła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– O co chodzi?

– Jestem tylko ciekaw, po jaką cholerę takiemu dziecku bluzka z dekoltem? Że pani ubiera się jak dziwka to jeszcze zrozumiem, ciężko wyrugować nawyki młodości, ale dlaczego robi pani z córki lolitkę?

– Ty zboczeńcu!

– Ja? O nie, zapewniam, że jedyne, co czuję, to obrzydzenie.

– Czego ty chcesz?!

– Na pewno nie tego, co za parę lat, albo i teraz, jakiś szef castingu będzie chciał od twojej przerobionej na zabawkę córki.

Kobieta poczerwieniała na twarzy, choć przez grubą warstwę podkładu jej furia wyglądała jak delikatny rumieniec. Tytus w odpowiedzi wystawił język, z uśmiechem myśląc, jak groteskowo wyglądałby opis tej sceny. Chociaż prawdopodobnie nikt nie uwierzyłby, że naprawdę miała miejsce. Tymczasem nieznajoma Matka, wyniośle milcząc, szarpnęła dziecko za rączkę, prowadząc je ku zaparkowanemu nieopodal samochodowi. Drobnny pojazd, którego lakier o wściekle kanarkowej barwie boleśnie ranił oczy, odjechał pośpiesznie, zostawiając za sobą kłęby spalin. Tytus nie spojrzał w ślad za nim, jego umysł zajmowały już inne sprawy. Wbrew sobie zaczął przywoływać z pamięci wspomnienia z Miejsca. Zarówno te ważniejsze, już opisane, jak i wszystkie inne, drobne szczegóły codziennego życia, walki o przetrwanie. Bezpowrotnie stracone, prawdziwe Życie!

Wędrując splekaną, asfaltową drogą wijącą się wśród zwartej ściany drzew, zrakowaciałych płuc zasnutego smogiem miasta, mężczyzna płakał. Tłumiony od lat potok łez zalał zastygłą w wyrazie bolesnej bezsilności twarz. W panice rozejrzał się wokoło, nie było nikogo. W śmiertelnej obawie przed śmiesznością, zszedł z drogi. Chciał być z dala od ludzi, świata, wszystkiego. Drżącymi rękoma wydobył z kieszeni telefon, który pośpiesznie wyłączył. Był Odcięty. Nie, wcale nie. Pozostała jeszcze jego kotwica, Marta. Chciał wyrzucić jej obraz z umysłu, skalać wspomnienie tak dobrze poznanego ciała ohydnyimi wizjami gwałtów. Nie mógł. Nienawiść była poza jego zasięgiem. Zbyt długo wrastali w siebie wzajemnie, żeby teraz ten gordyjski węzeł uczuć i wspomnień można było łatwo rozciąć. Nie był zresztą Aleksandrem Wielkim, lecz sobą, Tytusem

Szewcem. Nazwisko doskonale go definiowało! Szewc, rzemieślnik, ktoś użyteczny, od tysiącleci dobrze osadzony we wszelkiej maści strukturach społecznych. Czy kiedykolwiek jakiś szewc był Wielki? Chyba tak. Jakaś dawno zapomniana informacja podpłynęła raźnie ku powierzchni świadomości, by wyleźć na brzeg pamięci, lecz w tym momencie brnący w półmroku mężczyzna stracił grunt pod nogami. Bezwładnie osunął się po błotnistym stoku, jakimś sposobem nie uderzając po drodze w żaden z pni. Leżąc twarzą w wilgotnej ściółce na dnie kotlinki, Tytus wdychał ciężki, mulisty zapach ziemi. Nie miał ochoty wstać, poruszył jedynie kończynami upewniając się, że są całe. Ignorując tępy ból obitego gdzieś tam ciała, przymknął leniwie powieki, nie myśląc już o niczym. Leżał w bezruchu, całkowicie obojętny na wszystko wokół. Jego świadomość przygasła, egzystując w stanie zawieszenia pomiędzy jawą i nadciągającym snem. Jednak wyczerpany nerwowo mężczyzna nie zasnął do końca, lecz trwał w kojącej nieświadomości przez kolejne minuty i kwadranse, ciało bez ducha. Słońce zdążyło zniknąć za horyzontem, nastała noc, a Tytus wciąż leżał nieruchomo, skryty w głębokim mroku kotliny, zapadły w sobie. Czekał, aż jakaś zabłąkana iskra woli wzbudzi go do Życia, wyrwie z marazmu, wskaże cel. Myśl o owym Celu pojawiła się w odzyskującym świadomość umyśle jako pierwsza, krzesząc kolejne i następne, i następne. Aż płomień szalonej idei ogarnął go w pełni. Wiedział już, jak wrócić do Miejsca!

\*\*\*

Spacerująca od dłuższego czasu po sterylnych korytarzach galerii handlowej para przycupnęła w końcu na drewnianych siedziskach. Tytus bez większego zainteresowania wpatrywał się w szyld drogerii, do której mieli udać się w następnej kolejności. Marta spostrzegła, że myśli jej

partnera znów podryfowały tam, gdzie nie było dla niej miejsca. Ostatnio takie okresy czysto fizycznej obecności Tytusa były coraz częstsze i dłuższe. Odzywał się tylko zapytany, bez przerwy koncentrując uwagę na jakimś tylko sobie znanym problemie. Dziewczyna zadrżała na myśl o incydencie sprzed trzech dni, kiedy mężczyzna obudził ją w środku nocy. Nagi, z błyszczącymi zwierzęco oczyma, mimo dopiero co wziętego prysznicza pachniał ziemią i lasem. Nie odpowiedział wtedy na żadne pytanie, chciał tylko zaspokoić swoje potrzeby. Przez krótką chwilę ta atawistyczna chuć udzieliła się również jej, lecz szybko poczuła rosnące poczucie zagrożenia. To nie był „ich seks”, tylko fizjologiczne rozładowanie napięcia, brutalna, mechaniczna penetracja. Nie powiedziała wtedy „nie”, „dość”. Bała się, że Tytus nie posłucha, nie skończy, zanim nie zaspokoi się do reszty. A to zabiłoby między nimi wszystko. Rano chciała porozmawiać, ale zbył jej uwagi, siłąc się tylko na niemrawe przeprosiny. Jego wyjaśnienie, „było mi to potrzebne”, ucięło sensowność dalszej dyskusji. Od tamtej nocy mężczyzna był, w jakiś niesprecyzowany sposób, inny. Twarz nabrała wyrazu pełnego determinacji zacięcia, spojrzenie stało się mocniejsze, wrogie, a ruchy precyzyjne i oszczędne. *Jak dzikie zwierzę przed atakiem* – przyszło na myśl Marcie.

– Idziemy? – zagadnął gniewnie Tytus.

– Tak – odparła machinalnie.

Marta, chociaż usiłowała za wszelką cenę odgonić tę myśl, zaczynała się bać. Stanowczość Tytusa była jedną z cech, które w nim kochała, ale do tej pory nigdy nie czuła, że ze strony partnera może jej coś grozić. A teraz nie śmiałyby spojrzeć mu w oczy. *Mam po prostu głupie pomysły* – pomyślała z irytacją, wstając z miejsca.

– Witam – dobiegł ich starczy głos Jerzego. – Co za niezwykle spotkanie.

– Dzień dobry – odparła Marta, ukradkiem dostrzegając, że oczy Tytusa znów chorobliwie błyszczą. – Może zostanieie tutaj i porozmawiacie? W sumie lepiej będzie mi się kupowało bez ciągłych narzekań – zażartowała.

Mężczyźni nie odpowiedzieli uśmiechami, jedynie mrukliwie wyrazili swoją aprobatę dla pomysłu i zasiedli ciężko na ławce. Wiszące w powietrzu napięcie sprawiło, że Marta z ulgą opuściła samcze towarzystwo, postanawiając spędzić w drogerii znacznie więcej czasu, niż tego potrzebowała. Jerzy pierwszy przerwał milczenie, oznajmiając lakonicznie:

- Dostałem kredyt.
- Gratulacje.
- To twoja zasługa.
- Więc powinienes oddać mi część pieniędzy.
- Teoretycznie...
- Spokojnie, nie chcę twojej forsy.

Staruszek przyjrzał się uważnie rozmówcy, nim ostrożnie sformułował pytanie:

- Czy poszukując drogi do Miejsca, zażywasz jakieś... nowe środki?
- Nie.
- Wyglądasz...
- Nie muszę się niczym faszerować, wiem już wszystko.
- To znaczy?
- Kiedy od ciebie wyszedłem parę dni temu, włóczyłem się bez celu po mieście. Zresztą najważniejsze jest to, że trafiłem do lasu nieopodal ZOO i tam, leżąc w ziemi, doświadczyłem czegoś w rodzaju transu. To było jak... Głos bez słów, nagła świadomość tego, jak dokonać ponownego przejścia.

– Jak? – wypalił Jerzy.

Natychmiast pożałował swojego pytania, widząc, że oczy rozmówcy przybrały wyraz niezdrowego podniecenia, a kąciki ust zadrżały spazmatycznie.

– Droga prowadzi przez ogień – wyszeptał konspiracyjnie Tytus. – Kojarzysz może postać Herostratesa?

– Niezbyt... Czekaj! To był ten szalony Grek, on zdaje się spalił coś cennego.

– Może i szalony, ale skuteczny. Herostrates był – zaczął mentorskim tonem Tytus – prostym szewcem z Efezu. W roku narodzin Aleksandra Wielkiego spalił Artemizjon, świątynię uznawaną za jeden z siedmiu cudów świata starożytnego.

– Do czego zmierzasz?

– Spokojnie, nie mam zamiaru gloryfikować tego nieszczęsnego desperata. Chodzi mi o sam efekt, powiedzmy, medialny jego działania. Zyskał rozgłos! I tego właśnie potrzebuję. Muszę wywołać medialną burzę!

– Wokół czego?

– Mojego przejścia.

Jerzy mimowolnie zerknął w stronę sklepowej witryny, lecz jego nadzieje, że dostrzeże tam wracającą Martę nie znalazły potwierdzenia. Łagodne przerwanie tej coraz dziwniejszej konwersacji póki co nie wchodziło w grę.

– Więc co dokładnie planujesz? – spytał zrezygnowany starzec.

– Zrobić medialny szum, prawdziwą zawieruchę.

– Wokół czego? – powtórzył.

– Samospalenia mojego ciała. Głos bez słów, ten przekaz, był całkowicie jasny, muszę przejść przez płomień na oczach wielu ludzi,

w ten sposób na stałe wróć do Miejsca.

– Głos bez słów – powtórzył głucho Jerzy. – Ty nie żartujesz?

– Nie.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. Mam w życiu żelazną zasadę, nie zadawać się z wariatami!

– Oczywiście wiesz, że nie możesz z nikim podzielić się moimi planami – odparł mechanicznie Tytus.

– Tak. Nie chciałbym przecież, żebyś ty rozповідаł komu popadnie o moim kredycie.

– Otóż to.

Jerzy zwlókł się powoli z ławki, przyglądając się przy tym uważnie młodemu mężczyźnie. *Oczy trupa* – pomyślał, krzyżując z nim spojrzenie.

– Dlaczego chcesz się zabić? – spytał niespodziewanie starzec.

– Nie chcę. I nie zamierzam. Po prostu znalazłem sposób, żeby stąd uciec.

– Rzeczywiście.

– Nie spodziewałem się, że to zrozumiesz.

– Gorzej dla ciebie, jakbym rzeczywiście to rozumiał. Wtedy nie mógłbyś mną gardzić. A ty musisz się porządnie nakręcić, prawda? Pokazać światu swój bunt, swoją prawdę, walczyć. Szkoda moich nerwów, chłopaczku. Idę zaplanować, jak najprzyjemniej spędzić ostatnie lata życia. A najlepszym miejscem dla ciebie byłaby pierwsza lepsza praca i chociaż minimum obowiązków, a nie jakieś afrykańskie stepy z innego świata!

Tytus milczał, nie miał zamiaru skupiać uwagi na moralizatorskich wywodach dziadygi. Jego decyzje i plany wybiegały daleko poza możliwości percepcji zwykłego człowieka, był o tym całkowicie przekonany.



Wychodząca ze sklepu Marta kątem oka dostrzegła staruszkę, oddalającego się pośpiesznie i wyraźnie zagniewanego. Nie próbowała dociec, co było powodem niedawnej kłótni. Miała już serdecznie dosyć ciągłego wyciągania z Tytusa interesujących ją informacji. Skinieniem głowy dała znak do wznowienia wędrówki po galerii. Mężczyzna ruszył za nią bez cienia zaangażowania, ponownie pochłonięty rozmyślaniami o własnych sprawach. Skoro nie zamierzał dzielić się z nią swoimi myślami, to trudno. Ona nie miała zamiaru psuć sobie nastroju kolejnym napadem izolacji emocjonalnej partnera. Dzisiejsze popołudnie było zarezerwowane dla niej i spędzi je dokładnie tak, jak zaplanowała!

\*\*\*

Dziarsko maszerujący Tytus wyglądał jak po przebudzeniu z długiego letargu. Idąca obok Marta delikatnym ściśnięciem dłoni dała mu znak, by zwolnił, na co mężczyzna odpowiedział przepaszającym uśmiechem. Spacerująca wzdłuż odbijającej ostatnie promienie słońca Rzeki para od rana świętowała trzecią rocznicę swojego związku. Basen, kino, restauracja, ZOO, dzień pełen atrakcji. Wspomnienie minionego tygodnia zdawało się być niczym więcej, jak koszmarnym snem, po którym nastąpiło błogosławione przebudzenie. Tytus znów był sobą, surowy wyraz twarzy i nieobecny wzrok ustąpiły miejsca figlarnemu uśmieszkowi oraz pełnemu pewności siebie spojrzeniu. Dziewczyna przeczuwała, że jej partner, po długich wahaniach, podjął ostatecznie jakąś arcyważną decyzję. A sądząc po nieznacznym, ale jakże dobrze już znanych oznakach podenerwowania, nosił się z zamiarem wtajemniczenia jej w swoje plany.

– *Co cię gryzie? – spytała.*

– Nic – odparł instynktownie, lecz szybko dodał: – pogadamy o tym niedługo.

– Czyli?

– Na Moście.

Skinęła w milczeniu głową, czując szybsze bicie serca. Faktycznie! Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Przecież od dłuższego czasu zmierzają właśnie w tamtą stronę! Most, a raczej kładka dla pieszych, od kilku lat sukcesywnie obrastał w tysiące wszelkiej maści kłódek miłości, wśród których znajdowała się również ta pozostawiona przez nich. Marta z rozbawieniem przywołała w pamięci wydarzenia sprzed ponad dwóch lat, kiedy spędziła prawie dwa tygodnie, przekonując Tytusa do zapięcia ich własnej kłódki. Oporny na, jego zdaniem, debilne zwyczaje mężczyzna w końcu uległ, a nawet zamówił niebotycznie drogą kłódkę z wygrawerowanymi laserowo imionami i tandetnymi różnymi ornamentami. Potem wrócili tutaj tylko raz, niedługo po podjęciu decyzji o zamieszkaniu razem. Dziewczyna nie pozwoliła popuścić sobie wodzy fantazji, postanawiając, że nie będzie dociekać powodu dzisiejszej wizyty w tym miejscu. Zaczeka cierpliwie na rozwój wypadków! *A miesiąc miodowy będzie we Lwowie* – pomyślała radośnie, mimo danych sobie obietnic.

Tytus długo wpatrywał się w nadszarpniętą lekko zębem czasu i atmosfery kłódkę. Ostrożnie wsunął dłoń do kieszeni marynarki zaciskając ją na spoczywającym tam przedmiocie. Nastął czas na kolejny krok.

– Ostatnio – zaczął niepewnie – nie byłem do końca sobą. A mówiąc ostatnio, mam na myśli czas od przebudzenia ze śpiączki.

– Miałeś parę gorszych dni.

– Tak... Ale ty zawsze byłaś gotowa mnie wesprzeć, podać pomocną dłoń.

– To dlatego, że cię kocham.

Oczy mężczyzny natychmiast zapłonęły niespodziewanie złowrogim, chorobliwym blaskiem.

– Dokładnie. Ciągłe trzymałem czyjaś dłoń, matki, twoją, tej rzeczywistości! Ale czas zacząć chodzić o własnych siłach! Długo kluczyłem bez celu, ale teraz znalazłem swoją drogę.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni kluczyk, którym otworzył drogocenną kłódkę miłości Tytusa i Marty. Zdjął ją z siatki zabezpieczającej, by cisnąć z całych sił w ciemne odmęty Rzeki, nad którą zaszło już słońce. Marta doskonale zrozumiała znaczenie tego gestu, jeszcze zanim mężczyzna oznajmił kategorycznie:

– Z nami koniec.

Nie próbowała go zatrzymać, gdy odwrócił się i odszedł, nie chciała też żadnych wyjaśnień. Bo co mógłby jej powiedzieć mężczyzna, którego chłopięcy umysł pozwolił na zakończenie trzech lat wspólnego Życia sceną rodem z internetowego forum ze zwierzeniami? Poza tym ten cios był tak celny i druzgoczący, że nie miała nawet sił na rozpacz. Litościwy organizm odciął dopływ nawałnicy uczuć, wprowadzając Martę w stan emocjonalnej apatii. Odczuła też pewien rodzaj bolesnego spokoju płynącego ze świadomości dopowiedzenia, wyraźnego zakończenia. To było jak ciągnąca się zbyt długo sprawa sądowa, której wynik przestał być już dla którejkolwiek za stron ważny, a prawdziwym triumfem jest jej zamknięcie.

– Werdykt zapadł – wyszeptała, patrząc w miejsce, w którym Rzeka pochłonęła symbol ludzkiego, naiwnego szczęścia.

Zmusiła się do postawienia pierwszego kroku, w ślad za którym poszedł następny. Szurając obutymi w czarne trzewiki stopami, ruszyła w drogę powrotną do swojego mieszkania.

## Rozdział III

### Wolność Przez Płomień

Powierzchnię ekranu wysłużonego telewizora wypełniło wielokolorowe, stylizowane na otwarte usta logo programu *Taka Gadka!*. W akompaniamencie braw przed kamerą zmaterializowała się Prowadząca talk-show, w schludnym żakiecie i maskującym wiek makijażu. Wyuczonym, nonszalanckim gestem poprawiła okulary w rogowych oprawkach, z telewizyjnym uśmiechem zapewniając:

– Nie będziecie rozczarowani! Dziś porozmawiamy na temat, który ostatnio zelektryzował opinię publiczną! A może powinnam powiedzieć, rozpalili? Mamy czternasty lipca, został więc już tylko tydzień do daty, jaką wyznaczył tajemniczy, współczesny Herostrates na dzień swojej śmierci. Przypominamy, że to właśnie w naszym programie, trzy tygodnie temu, ta kontrowersyjna sprawa została przedstawiona po raz pierwszy przez jednego z naszych ekspertów, Profesora. Od tego pamiętnego wydarzenia trwa nieustanna – obwieściła poważnym tonem Prowadząca – ogólnonarodowa dyskusja o prawo jednostki do decydowania o swoim życiu, w której zabierają głos kolejne Autorytety.

*A słupki oglądalności skaczą, aż miło* – pomyślał Tytus, wyłączając telewizor.

Widział już ten odcinek podczas wczorajszej, wieczornej „megapremiery”, i nie miał ochoty na poranną powtórkę w telewizji śniadaniowej. Plan działał bez zarzutu, wykraczając nawet poza skalę wyobrażeń swojego twórcy. Rozpaczliwie złaźnione sensacji media z radością powitały możliwość przerwania nierentownego sezonu ogórkowego, i rozkrzyczały się jednym głosem wszystkimi dostępnymi sobie kanałami. Społeczność internetowa nie pozostała w tyle, portale

społecznościowe zaroili się kłótliwymi postami, powstawały coraz to nowe grafiki i memy. Znudzona wakacyjną przerwą od obowiązków młodzież szkolna i studencka brać szybko uczyniły z Herostratesa bezkompromisowy symbol wolności, odwagi oraz walki z bliżej niezdefiniowanym SYSTEMEM. Hasło „Wolność Przez Płomień” zdążyło już wyciec z ekranu, materializując się na murach jako skrót WPP otoczony okręgiem pełnej nazwy w kunsztownej wersji z płonących liter lub zwykłych bazgrołów. *A wszystko to w trzy tygodnie* – pomyślał z satysfakcją Tytus, zerkając przy tym wyczekująco w stronę łazienki. Miarowy szum prysznica dobiegł końca, co zwiastowało rychłe zwolnienie pomieszczenia, w którym jakiś podstępny architekt umyślił sobie umieścić obok siebie sedes i wannę.

Magda z żalem przekreśliła kurek, odcinając dopływ chłodnej wody do słuchawki prysznica. Zapowiadał się kolejny upalny dzień, który spędzi pocąc się za bibliotecznym biurkiem. Zerknęła z aprobatą w stronę ściennego lustra, szybko osuszając nagie ciało puchatym ręcznikiem frotte. Rozpuściła upięte w kok włosy, z zadowoleniem patrząc jak okrywają jej plecy lśniącym, złotym płaszczem. Ten naturalny, bursztynowy blond od lat definiował ją w oczach ludzi. Wszyscy rozszarpywali deklinacją „długowłosą blondynkę”, składali z klocków „długie”, „blond”, „włosy” misterne konstrukcje zdań opisujące „naszą Magdę”. Jej imię mogłoby posłużyć za encyklopedyczną definicję „osoby o naturalnych, długich blond włosach”. Gdzieś tam, w tle, przewijały się też pochwały cech jej charakteru, podejścia do ludzi oraz życia, lecz wszystko to niknęło w blasku jej włosów. Dla większości ludzi była przede wszystkim Blondynką, a cała reszta jej Osoby musiała stać krok za społecznym uwielbieniem dla barwy nitkowatego, zrogowaciałego tworzywa naskórka wyrastającego ze skóry jej czaszki. Z cichym westchnieniem

porzuciła jałowe rozważania, ubierając się sprawnie, z żalem wspominając czas, gdy mogła bez skrępowania poruszać się po mieszkaniu w samej bieliźnie. Jednak od początku czerwca, kiedy wynajęła Tytusowi pokój pełniący do tej pory rolę mini salonu, musiała bardziej uważać na swoje zachowanie. Mężczyznom nie trzeba było wiele, by z sobie tylko znanych powodów stwierdzili, że kobieta „chce czegoś więcej”. Chociaż pod tym względem jej nowy lokator był, nie licząc okazjonalnych dwuznacznych komentarzy, dosyć bezproblemowy. A dodatkowe pieniądze z niespodziewanego podnajmu pojawiły się w idealnym momencie, ratując domowy budżet kobiety przed ostatecznym załamaniem. Naturalnie, wszystko miało swoją cenę. W tym wypadku było to zaniepokojenie, przechodzące niekiedy w skrzętnie tłumiony strach. Tytus ewidentnie zmagał się wtedy z jakimiś problemami, o których nie miał zamiaru rozmawiać. Szybko tracił na wadze, a jego oczy lśniły nienaturalnie, jakby bez przerwy był w gorączce. Nie potrafił też usiedzieć w jednym miejscu, ciągle miotał się po swoim pokoju, a w kuchni nie potrafił przystanąć nawet przy robieniu kanapek, przebierając z nogi na nogę, jak nabrzmiały adrenaliną ogier. Teraz sytuacja była o wiele lepsza, chociaż nadpobudliwość zastąpiła swego rodzaju apatia. Rzadko wychodził z domu, a wyraz błogiego zadowolenia nie zniknął z jego twarzy. Ciche stukanie do drzwi przerwało rozmyślania kobiety, która poprosiła:

– Jeszcze momencik!

Kilkoma sprawnymi ruchami naniosła na rzęsy jasnozielony tusz i opuściła łazienkę, pozdrawiając czekającego w korytarzyku Tytusa uśmiechem.

– Nowy tusz ci pasuje – powiedział mężczyzna, nim zniknął za drzwiami.

– Dzięki.

*Cały on* – pomyślała Magda, wchodząc do swojego pokoju.

Tytus potrafił bezbłędnie oczarować w biegu, uchylić na moment wieko skrzyni pozornie pełnej tajemnic, błysnąć. I na tym koniec, wszelkie świadome próby dotarcia poza barwną fasadę jego wizerunku kończyły się niepowodzeniem. Bywały jednak takie chwile, gdy można było dostrzec niewyraźny cień prawdziwego Tytusa, zamienić z nim kilka szczerych słów. Te właśnie momenty trwożyły pogodną kobietę, którą odstręczał mrok wypełniający wnętrze umysłu tego mężczyzny. Cokolwiek wydarzyło się w jego życiu, z pewnością zostawiło trwały ślad w psychice bibliotekarza. Co gorsza, nie była to jedynie znana jeszcze ze studenckich lat szczeniacka kreacja na „tajemniczego introwertyka”, ale coś znacznie głębszego. I groźniejszego.

\*\*\*

Energiczne pukanie powtórzyło się, sugerując, że nieproszony gość nie ma zamiaru łatwo dać za wygraną. Jerzy niechętnie zwałówał się z ulubionego fotela, przerywając oglądanie porannej powtórki *Takiej Gadki!*. Ostrożnie podszedł do drzwi wejściowych, zerkając przez judasz na klatkę schodową. Zdumiony, zdjął łańcuch i przekręcił zamek, wpuszczając do środka wysokiego blondyna w dżinsowej katanie.

– Co tu robisz, Mikołaju? – spytał podejrzliwie, zamykając za gościem drzwi.

- Jesteś bardzo nerwowy.
- Chodź do kuchni, dostaniesz herbaty – odparł wymijająco staruszek.
- Nie wiem, czy zabawię tak długo.
- Na ile przyjechałeś?
- Jestem w Mieście tylko na parę dni, przyjechałem na pogrzeb.
- Rodzina?

– Przyjaciół ze starych czasów, Beniamin, ten pisarz. Opowiadałem ci o nim nieraz.

– Pamiętam. Co go ostatecznie wykończyło, woda czy kwas?

– Woda, poniekąd. Potrąciła go taksówka. Sukinsyn uciekł, a ludzie Benkowi nie pomogli, bo jechało od niego bimbrem. No i tak skończył na chodniku, jak pies.

Gospodarz kiwnął smutno głową, nie pytając już o nic. Pomiędzy dwójkiem niegdyś bliskich sobie ludzi zaległa kłopotliwa cisza. Mikołaj westchnął, omiatając ciasną kuchnię badawczym spojrzeniem.

– Jerzy, musisz być naprawdę niezłe znerwicowany, skoro tak tu czysto.

– Tak mnie naszło.

– Jak zawsze, kiedy masz jakieś problemy.

– To o moich problemach tu przyszedłeś gadać? Bez uprzedzenia w dodatku – dodał wyraźnie poirytowany gospodarz.

– Jakbym uprzedził, że się pojawię, mógłbyś mnie nie wpuścić. A telefonicznie czy mailowo spytać cię o pewną sprawę nie mogłem, bo chcę widzieć twoją reakcję. Domyślasz się o co mi chodzi?

– Nie.

– Oczywiście... Podpowiem, że z uwagą śledzę, co dzieje się w Kraju i ta medialna zawierucha, tudzież pewne niepokojące maile od naszego wspólnego znajomego sprowadziły mnie na pewien trop.

– No pytaj, pytaj...

– Czy Tytus jest Herostratesem?

– Tak – burknął stary.

– Cholera, więc jednak.

– Wiesz, dlaczego chce to zrobić?

– A ty?



– Tak. Chodzi o jakieś przejście do tego jego Miejsca...

– Pisał mi o tym. Wysłałem mu wiele materiałów dotyczących medytacji oraz innych technik oczyszczania umysłu i wędrówki astralnej, ale nagle przestał odpisywać. Pewnie wtedy zafiksował się kompletnie na tym swoim samospaleniu na oczach całego Kraju. A to przecież kompletna bzdura! Ten facet po prostu się zabije. Chyba, że tylko blefuje.

– Wątpię. Zerwał ze swoją dziewczyną po trzech latach i gdzieś się wyprowadził.

– *Gdzie?*

– A skąd ja mam to wiedzieć? Poza tym, co mnie to obchodzi? Jego życie.

– O nie, nie! Ja nie mam zamiaru stać z założonymi rękami, i tobie też nie pozwolę! Obaj jesteśmy odpowiedzialni za stan Tytusa. Ty, bo poleciłeś mu mnie, a ja z racji podsycania zainteresowania Miejscem.

– Nagle przestałeś wierzyć w tę opowiastkę o Afryce?

– Ta opowiastka o Afryce może okazać się największym doznaniem mistycznym w udokumentowanych dziejach ludzkości. Nie kwestionuję celu, tylko drogę, po której Tytus do niego dąży. Samospalenie nic mu nie da, a jeśli jakimś cudem przeżyje podpalenie, to czekają go miesiące, a nawet lata koszmarnego cierpienia. Musimy zgłosić komuś całą sprawę, ujawnić tożsamość Tytusa, niech go szukają!

– Powodzenia.

– Pomożesz mi w tym, czy tego chcesz, czy nie!

– Zapomnij. Mam wobec Tytusa pewne zobowiązania, których nie mogę złamać.

– Aha. Więc w końcu wziąłeś ten pieprzony kredyt?

– W przeciwieństwie do ciebie, Tytus okazał się bardziej pomocny.

– Raczej bardziej naiwny. Jak już znikniesz z kasą, to dojdzie do udziału Tytusa w tej sprawie zajmie nawet najbardziej opornemu śledczemu najwyżej tydzień.

– Wyjeżdżam za dwa tygodnie. Do tego czasu muszę trzymać język za zębami, bo Tytus doniesie na mnie komu trzeba. A tobie nie radzę działać na własną rękę.

– Bo?

– Bo zadzwonię do twojej żony, a jak dobrze pamiętasz, ma mnie za miłego starszego pana, z którym często grywałeś w szachy, i sobie trochę pobajdurzę. O tym, że czuję zbliżającą się śmierć, więc chcę odejść z czystym sumieniem. Opowiem, jak chadzałeś na dziwki, ćpałeś jakieś syfy szukając szamańskich uniesień, może nawet jakiegoś bliższego przyjaciela też ci wymyślę...

Mikołaj poczuł głucho uderzenia tętniącej w skroniach krwi. Mimowolnie uniósł też wargi, odsłaniając zęby, jak pies tuż przed atakiem na dręczącego go człowieka. Mimo tego zdołał opanować się na tyle, by wycedzić:

– Nie uwierzy w twoje kłamstwa.

– Pewnie tak, przecież jestem kiepskim kłamcą. A od kryminału wywijałem się tyle razy na ładny uśmiech. Zresztą choćby nie uwierzyła, to co z tego? Myślisz, że coś takiego nie zostaje w człowieku? Małe ziarnko zwątpienia, drobna rysa na obrazie kochanego męża...

Młodszy z mężczyzn zagryzł gniewnie wargi, w duchu przyznając rozmówcy rację. Jerzy potrafił manipulować ludźmi, całe jego życie było na to wystarczającym dowodem. Pamiętał długie rozmowy ze staruszką, który przez jakiś czas, o zgrozo z pewnym powodzeniem, starał się przekuć Mikołaja w młodszą wersję siebie. Efekty były zdumiewające; szybka kariera w branży reklamowej, a w pakiecie do tego ciągnący przez

łóżko młodego wilka marketingu korowód pięknych kobiet. Dopiero kiedy boleśnie wypalony mężczyzna postanowił zapełnić pustkę w swoim życiu realizacją religioznawczej pasji i stałym związkiem, czar „pana Jerzego” nareszcie prysł. Ojcowska maska nestora spadła ze szkaradnej mordy zachłannego trolla, a Jerzy oficjalnie trafił do zlewki mieszczącej błędy młodości, które fermentowały, procentując w doświadczenie.

– W takim razie pozwól mi z nim porozmawiać – poprosił Mikołaj, czując, że mentalna wycieczka w przeszłość zdołała go uspokoić. – Podaj mi jego numer.

- Może lepiej zadzwoń ode mnie.
- W porządku.
- Na wstępie zapewnij, że nie chcesz go wydać.
- Ok.
- I ja nie mam z tym nic wspólnego!
- Dobra, wiem co będę mówił.
- Masz.

Jerzy z niezadowoleniem przekazał swój telefon nieproszonemu gościowi, który przeszedł łazienki, zamykając za sobą drzwi. Mimo usilnych starań staruszek nie był w stanie przysłuchiwać się długiej, trwającej niemal kwadrans rozmowie. Wyłapując tylko niektóre zwroty, zdołał jedynie stwierdzić z ulgą, że przebiegała ona w dosyć pokojowej atmosferze. Gdy Mikołaj wyszedł na korytarz i zwrócił komórkę, wszelkie ewentualne pytania ze strony Jerzego uciał stwierdzeniem:

- Załatwiłem co trzeba. Spotkam się z Tytusem w wyznaczonym przez niego miejscu. Nie myśl więcej o tej sprawie.
- A... Długo rozmawiałeś – wypalił staruszek.
- Co, mam ci zwrócić za telefon?
- Nie, nie. To co, chcesz herbaty?

– Nie. I mam nadzieję, że to było nasze ostatnie spotkanie, ty ludzkie ścierwo. Możesz być pewien, że po powrocie do Szwecji przedstawię żonie twoją osobę w odpowiednim świetle, więc na przyszłość zapomnij o kolejnych próbach takiego szantażu.

Jerzy bez słowa otworzył drzwi wejściowe, które po chwili zatrzęsnał z impetem za wychodzącym Mikołajem. Odczekał trochę i sam również opuścił mieszkanie, by po kilku minutach znaleźć się w osiedlowym oddziale Poczty. Napisanie wylewnego, ckliwego listu do żony Mikołaja zajęło mu sporo czasu, ale efekt końcowy był tego wart. *Szczeniak dostanie nauczkę, że ze starym Jerzym się nie zadziera* – pomyślał z ponurą satysfakcją, gdy koperta zawierająca starannie wykaligrafowany anihilator małżeńskiego szczęścia zniknęła we wnętrzu skrzynki pocztowej. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, staruszek ruszył w stronę Olimpu ze szczytnym zamiarem ukojenia zszarganych nerwów przedpołudniowym zimnym, pysznym piwem.

\*\*\*

Profesor z cichym jęknięciem usadowił się na nagrzanej ławce, z zadowoleniem oceniając zza ciemnych szkieł okularów stroje mijających jego posterunek dziewcząt. Park był ich pełen, a krzykliwa moda nowej obyczajowości odpowiadała staremu badaczowi, który w swojej karierze akademickiej poznał bliżej niejedno pokolenie studentek. Zawsze cenił u młodych ludzi ich poświęcenie, nieważne czy były to godziny spędzone na przyswajaniu materiału, czy użyczenie mu swoich wdzięków. Czas, ciało, co za różnica? Poświęcenie to poświęcenie! Skinął głową w odpowiedzi na pozdrowienie jednej ze swoich studentek, która pomimo swoich obfitych możliwości, wolała tegoroczne zaliczenie z jego przedmiotu uzyskać w oparciu o wiedzę. Profesor nigdy nie zawracał sobie

głowy oceną moralną swoich decyzji, przecież praworządność nie była brana pod uwagę przy aktualizacjach Indeksu Cytowań. Przed oczyma stały mu sceny z widzianej tego ranka powtórki *Takiej Gadki!*. Odcinek udał się wybornie! A do feralnej daty pozostało zaledwie sześć dni.

– To tylko fikcja – burknął uspokajająco pod nosem.

Wierzył w to już od dnia, kiedy zgłosił się do niego ten dziwny mężczyzna, Tytus, ze swoją zwariowaną propozycją. Nieznajomy miał tylko jeden cel, zyskać sławę. Przedstawił prosty plan, w całości oparty na wykorzystaniu autorytetu Profesora i popularności *Takiej Gadki!*. To był strzał z kosmicznego dystansu, szansa jedna na milion. Ten śmiały projekt mógł stać się jedną z tysiąca anegdot znanych z talk-show, albo też zacząć żyć własnym, medialnym, życiem. Ta szalona, marketingowa zabawa we Frankensteina niespodziewanie przyniosła wszystkim korzyści, ale wielkimi krokami zbliżał się dokładnie zaplanowany finał. Herostrates pokazuje publicznie swoją twarz i, za namową Profesora, wybiera życie, zaczyna udzielać lukratywnych wywiadów, a maszyna toczy się dalej. Tymczasem Tytus zamilkł, co poważnie zaniepokoiło Profesora, który po raz pierwszy dopuścił do świadomości myśl, że jego wspólnik, zyskawszy upragnioną popularność, może faktycznie zechcieć popełnić publiczne samobójstwo. A to zniszczyłoby karierę naukowca, zaś na stację telewizyjną ściągnęłoby nie lada kłopoty. Już teraz na ich głowy padały gromy oburzenia co wrażliwszych socjologów i opinii społecznej. Oskarżenia dotyczyły czerpania korzyści z desperacji zagubionego człowieka oraz kupczenia jego śmiercią. Protesty wzrastały z każdym dniem, a jeśli zapowiadane samospalenie rzeczywiście doszłoby do skutku...

– To tylko fikcja, fikcja, fikcja – powtarzał Profesor.

Znał dobrze ludzi pokroju Tytusa. Tacy nigdy nie skakali z mostów, a jedynie filmowali czyjś upadek z nadzieją na przekroczenie magicznej granicy stu tysięcy wyświetleń w sieci gwarantującej pierwsze poważniejsze zyski z reklam. Nawet jeśli sami stawali niekiedy na krawędzi, to tylko po to, żeby skupić na sobie reflektory uwagi publicznej. A mimo to obawa, że oślepiiony blaskiem sławy Tytus jednak postawi ten ostateczny krok naprzód, nie dawała Profesorowi spokoju. W tym człowieku było coś nieuchwytnie niepokojącego, jakiś pierwiastek chaosu. Czy sława rzeczywiście była jego ostatecznym celem? A jeśli nie, to co nim właściwie było? Śmierć? To nie pasowało. Z głośnym westchnieniem stary wykładowca zwłóknął się z ławki.

– Będzie, co ma być – mruknął, ruszając w stronę pobliskiego parkingu.

Kilka minut później siedział wygodnie w luksusowym wnętrzu klimatyzowanego samochodu, skupiając myśli na artykułach, które planował stworzyć na przestrzeni najbliższych miesięcy. Musiał wyciągnąć ze sprawy Herostratesa maksymalne korzyści w minimalnym czasie, póki temat wciąż wzbudzał kontrowersje. *A Tytus? Cholera z nim – pomyślał. – Nie robi tego, nie ten typ człowieka. Facet to zwykła, pazerna na sławę kanalia, a kanalie są ogniotrwałe!*

\*\*\*

Wysłuchany w rytmiczny stukot rozpędzonego składu tramwajowego Mikołaj wpatrywał się w szybę, za którą tętniło nocne życie robotniczej dzielnicy Miasta. W międzyczasie zdezelowany tramwaj sukcesywnie pustoszał, nieuchronnie zbliżając się do owianej złą sławą stacji końcowej, macierzy wielu ponurych miejskich legend. To właśnie miejsce wybrał Tytus na spotkanie z intruzem wtrącającym się w jego sprawy, stanowczo

nakazując, by jako znak rozpoznawczy włożył jaskrawoczerwoną czapkę z daszkiem. Znalezienie czegoś takiego zabrało stosunkowo dużo czasu, a sama perspektywa nocnego wyjazdu w nieciekawą okolicę nie napawała optymizmem, lecz Mikołaj mimo wszystko wiele obiecywał sobie po nadchodzącym spotkaniu. Był pewny, że nawet jeśli nie zdoła odwieść mężczyzny od jego zamiaru, to przynajmniej opóźni go na tyle, by można było podjąć jakieś działania prewencyjne. Od wielu godzin układał w myślach wszelkie możliwe warianty przebiegu dyskusji, pieczołowicie szykując argumenty, które mogłyby przemówić do rozsądku lub uczuć rozmówcy. A Tytus, pomimo swoich doświadczeń mistycznych, wciąż pozostawał umysłem logicznym i w gruncie rzeczy racjonalnym. Mikołaj nie raz zastanawiał się, jak wielką traumą dla tego rodzaju człowieka musiała być całkowita zmiana percepcji. Moment, w którym twarda, materialistyczna rzeczywistość okazała się jedynie kurtyną skrywającą prawdziwe, tajemne oblicze świata, musiał być dla tego nieszczęśnika prawdziwym szokiem. W tym kontekście samospalenie, pozornie kontynuacja zgłębiania Nowej Rzeczywistości, stanowiło rozpaczliwą, nieświadomą próbę ucieczki od problemu. *To pewnie klasyczne podłoże dla samobójstwa* – skwitował w myślach religioznawca, zerkając na zegarek, na tarczy którego dochodziła godzina dwudziesta trzecia.

– Jeszcze kwadrans – mruknął pod nosem.

Tramwaj zatrzymał się na kolejnym przystanku, wypuszczając ze swoich wnętrzności większość pasażerów. W zajmowanym przez Mikołaja wagonie pozostał tylko drzemiący od dłuższego czasu mężczyzna, który niespodziewanie krzyknął, odganiając drżącą dłonią jakieś widmowe koszmary. Przebudzony nieznajomy leniwie nadział na nos wydobyte z kieszeni okulary w okrągłych, drucianych oprawkach, tocząc wzrokiem po pustych siedzeniach. Zatrzymał mętne spojrzenie na twarzy Mikołaja,

w stronę którego ruszył szybkim, chwiejnym krokiem, by po chwili namysłu wraz z ziewającym wódką oddechem zakomunikować:

– Ty głupi jesteś, facet.

– Aha.

– To nie jest mądre!

– Pewnie tak.

– Lepiej ty tam nie jedź.

– Dobra, ile chcesz? – spytał zrezygnowany Mikołaj.

– Nic – odparł z dumą w głosie mężczyzna. – Wyglądasz mi na porządnego typu, to ostrzec chciałem tylko. W tej czapce to cię u nas zabiją, każdy to wie, bo jest wojna.

– Co?

– No pomiędzy klubami, tutaj na pętłę nikt nie jeździ od miesiąca, a jak już to tylko na wyzwanie, właśnie w czerwonej czapce. A ty mi nie wyglądasz na kozaka.

Mikołaj profilaktycznie zdjął czapkę, pytając:

– Ta sprawa jest nagłośniona?

– W sensie, że media?

– Tak.

– No jasne, jasne. Każdy w Mieście wie o pętli i czapkach!

– Dzięki!

– No spoko, spoko. A fajki byś nie miał?

– Nie palę.

– No, no.

Nieznajomy wymamrotał coś, co mogło być zarówno pochwałą i naganą. Mikołaj rzucił czapkę na podłogę i poczuł znajome sztywnienie karku, jak zawsze, gdy dopadał go silny stres. Stał przy drzwiach, nerwowo wduszając przycisk przystanku na żądanie. Poczucie zagrożenia



rosło w nim z każdym przejechanym metrem, podobnie jak niedowierzanie w winę Tytusa. A jednak wszystko; czas i miejsce spotkania w połączeniu z feralnym znakiem rozpoznawczym, wskazywało na to, że mężczyzna świadomie naraził na szwank nie tylko zdrowie, ale również życie niedawnego mentora. Najwyraźniej naprawdę ślepo wierzył w prawdziwość obranej przez siebie ścieżki, a wszelką ingerencję w obłąkańczy plan samospalenia traktował jako akt agresji. Tramwaj zatrzymał się, wypuszczając przedostatniego pasażera, który szybkim marszem ruszył w stronę przeciwną niż ta, w którą od czterdziestu minut wiozła go maszyna.

Mikołaj z żalem pomyślał o zarzuconej ścieżce prowadzącej do mistycznych doznań, na którą pragnął delikatnie skierować Tytusa. Być może bibliotekarz uznał ją za zbyt statyczną? W końcu samospalenie było znacznie efektowniejsze niż miesiące, a nawet lata wytrwałej medytacji i zgłębianie odpowiedniej literatury. Przebywanie w Miejscu, czymkolwiek ono w istocie było, stanowiło jedyne w swoim rodzaju doznanie, o którym nie śnili nawet najbardziej doświadczeni podróżnicy sfery astralnej. Może właśnie to nagłe, pozorne wywindowanie z pozycji akolity do mistrza wzbudziło w Tytusie przekonanie, że nie musi martwić się o podstawy? Po tego rodzaju przeżyciach trudno było odnaleźć się w roli neofity, lecz akceptacja własnej niewiedzy stanowiła klucz, który butny mężczyzna zamienił na wytrych do własnych, wypaczonych idei. Nie zabójczy ogień, ale wiedza stanowiła drogę do dalszego poznawania, chociaż prawdopodobnie Tytus bardziej skupiał się jedynie na chęci ponownego, hedonistycznego doznawania.

– Zjeść ciastko i mieć ciastko – mruknął zniesmaczony Mikołaj, zwalniając kroku.

Postanowił nie myśleć dłużej o tej sprawie, a przynajmniej nie pod kątem ideologii. Niezależnie od właściwych intencji, Tytus w swoim dążeniu do realizacji wyznaczonego celu okazał się bezwzględny. A to z góry skazywało na fiasko wszelkie próby podjęcia z nim racjonalnej dyskusji. W gruncie rzeczy Mikołaj nie był już pewny, czy nadal ma chęć interesować się losem Tytusa. Naprawdę chciał pomóc temu człowiekowi, ale najwyraźniej on wolał kąsać jak wściekły pies, każdy przyjazny gest poczytując za atak. Poczucie zmarnowanego dnia i narastająca migrena sprawiły, iż religioznawca skierował swoje myśli ku bardziej przyziemnym sprawom. *Taksówka, hotel, prysznic* – wyliczył w myślach plan na resztę wieczoru – *i telefon do domu*. Myśl o żonie sprawiła, że na ustach mężczyzny, po raz pierwszy tego dnia, zakwitł nieśmiały uśmiech.

\*\*\*

Energiczne pukanie powtórzyło się, sugerując, że intruz nie ma zamiaru łatwo dać za wygraną. Nieprzyjemne uczucie déjà vu ogarnęło otwierającego drzwi wejściowe Jerzego, który wpuścił do mieszkania nieproszonego gościa.

– Nie jesteś zachwycony moją poranną wizytą, co? – spytał kpiąco Tytus.

– Niespecjalnie.

– Nie zajmę ci dużo czasu, bo pewnie już się pakujesz na swoją tropikalną wycieczkę.

– Tak, a ty pewnie doskonale to rozumiesz, w końcu też zmieniasz MIEJSCE pobytu.

Młodszy z mężczyzn uśmiechnął się, klepiąc staruszkę po ramieniu.

– Dobrze! To ci wyszło lepiej, niż włosy, Jerzy. Nie śmiesz się z żartu? No dobra, bądźmy poważni! I poważnie porozmawiajmy. Mikołaj

się z tobą kontaktował?

– Nie od wczorajszego ranka, kiedy do ciebie zadzwonił.

– A wiesz, gdzie się mieliśmy wczoraj spotkać?

– Nie.

– Na pewno?

– Nic mi nie powiedział – odparł ostrożnie staruszek, czując na sobie badawcze, nieprzyjemne spojrzenie rozmówcy.

– Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest.

– O co ci chodzi?

– Pilnuję tylko swoich spraw, nic ponadto. Ty też powinienes. O!

Tytus wyminął podenerwowanego gospodarza i wszedł do pokoju gościnnego, pośrodku którego stała mała stara torba podróżna. Bezceremonialnie rozpiął jej zamek, wyciągając ze środka banknot, który zamaszystym, teatralnym gestem schował do kieszeni ze słowami:

– Jaka ładna dwusetka! Widzę, że postanowiłeś trzymać gotówkę u siebie, czyżbyś nie ufał bankom? A może chcesz ulotnić się z Kraju wcześniej?

– Nie twój interes! – warknął staruszek, doskakując do torby jak rozdrażniony pies, któremu ktoś spróbował wyszarpnąć ulubioną zabawkę.

– W tym sęk, że mój. Masz ten kredyt dzięki mnie, a ty, zamiast okazać wdzięczność, nasyłasza na mnie tego swojego Mikołaja!

– Nikogo nie nasyłam, ty świrze! Masz paranoję!

– A ty łzesz jak pies, wiem, że Mikołaj tutaj dzwonił!

– Niby skąd?!

– Czy mi się zdawało – spytał Tytus, robiąc energiczny krok w stronę rozmówcy – czy właśnie zobaczyłem w twoich oczach panikę?

– Wysłał mi tylko wiadomość na telefon, że wasze spotkanie nie doszło do skutku.

– A więc skłamałeś, kontaktowałeś się z tobą!

– Oczywiście, że skłamałem! Wiesz dlaczego? Bo jesteś wariatem! Gdybym powiedział ci o tej wiadomości, pewnie wymyśliłbyś sobie jakąś teorię spiskową. Nie wiem, co roisz sobie na temat mojego udziału w planach Mikołaja, ale ja nie mam najmniejszego zamiaru w niczym ci przeszkadzać.

– Skończyłeś?

– Wyjdź z mojego mieszkania.

– Jeśli...

– Mam zawołać sąsiadów? Krzyknąć? Bo wiesz, jakoś wątpię, żebyś chciał zwracać na siebie uwagę przed wielkim dniem bohaterskiej śmierci współczesnego Herostratesa.

– Kpisz z czegoś, czego nie rozumiesz.

– Błagam, oszczędź mi tego. Po prostu wyjdź.

Tytus z drwiącym uśmieszkiem podszedł do stołu, z którego podniósł telefon komórkowy Jerzego. Przy niemym sprzeciwie właściciela przejrzał skrzynkę odbiorczą i nadawczą, by z satysfakcją głósie oznajmić:

– Zdaje się, że mówisz prawdę. Ale dla pewności popatrzymy sobie jeszcze do odebranych i wykonanych połączeń.

Jerzy zacisnął zęby, z trudem godząc się ze świadomością, że dawno już minęły lata, w których mógł polegać na swojej sile. Intruz prawdopodobnie powaliłby go nawet zwykłym popchnięciem, próba wezwania pomocy mogłaby zaszkodzić im obu. Spojrzał z czułością na wypełnioną pieniędzmi torbę, ganiąc się za niedawną, pochopną decyzję wypłaty wszystkich środków z konta. Powinien zwalczyć irracjonalną niechęć do banków, a zamiast tego uległ pokusie fizycznego obcowania ze zdobytą fortuną.

– W porządku – zawyrokował Tytus, odkładając telefon. – Nie dzwoniście do siebie ostatnimi czasy.

– Już? Śledztwo skończone?

– Miłych wczasów!

– Miłego palenia się! Tylko nie zakładaj niczego syntetycznego, polecam len albo bawełnę.

Tytus nie odpowiedział, ale grymas złości, który przeciął jego twarz, zniechęcił staruszkę do dalszych komentarzy. Zapanowała nieznośna, nerwowa cisza trwająca do momentu, gdy nieproszony gość zdecydował nie eskalować dłużej napięcia. Bez słowa ruszył ku wyjściu, zupełnie pochłonięty własnymi myślami. Utajony ostatnimi czasy lęk przed bolesną śmiercią w płomieniach powrócił i należało zamknąć go w okowach logiki. Bo przecież nie czekała go prawdziwa śmierć, a tylko destrukcja ciała w TEJ rzeczywistości. Po powrocie do Miejsca zyska inną, doskonalszą powłokę. Wypełniając umysł uspokajającymi wspomnieniami oraz planami na przyszłość w nowym świecie, nie dostrzegł podążającej za sobą postaci, która na kilka sekund zrównała z nim krok, by ostatecznie przystanąć i zawrócić.

Marta stała pośrodku chodnika, z trudem panując nad oddechem. Tylko sekundy dzieliły ją od zatrzymania Tytusa mocnym szarpnięciem za ramię, a to zapewne skończyłoby się awanturą. Po raz pierwszy od chwili brutalnego rozstania dziewczyna czuła, że była gotowa stanąć przed tym mężczyzną i wykrzyczeć mu w twarz wszystko to, co przez lata dusiła w sobie.

– Nie! – powiedziała stanowczo.

Musiała walczyć z takim rujnującym myśleniem. Tytus nie był już częścią jej życia, sam zdecydował odejść w taki sposób, by niespodziewaną podłością przyćmić wszelkie dobre wspomnienia. Szkoda

było nerwów na to ludzkie ścierwo! Powtarzając w myślach tę maksymę poirytowana dziewczyna ruszyła śpiesznie w stronę przystanku autobusowego. Dziś zaczynała nową pracę i to powinno być jej jedyne zmartwienie tego dnia! Czekając na zielone światło dla pieszych, zerknęła na koszulkę stojącego obok chłopaka ozdobioną wszędobylskim logo Wolności Przez Płomień. Nieznajomy podchwycił jej spojrzenie i spytał zadziornie:

– Popierasz Herostratesa?

– Popieram samospalenie, bo to coś w sam raz dla mojego byłego! – odfuknęła.

Spłoszony młodzik nie odpowiedział, nagle skupiając całą uwagę na wyświetlaczu swojego telefonu, którego tło stanowiły płonące litery ułożone w napis „WPP!”. *Tępa suka myśli tylko o facetach* – pomyślał zadziornie. – *Totalnie siedzi w Systemie, zupełnie zmanipulowana przez media!* Oburzony brakiem zainteresowania dla wielkiej sprawy Herostratesa chłopak, po szybkim upewnieniu się, że w okolicy nie przejeżdżał żaden radiowóz, przebiegł przez pasy na czerwonym świetle. Posłał stojącej po drugiej stronie drogi Marcie triumfalny uśmieszek i ruszył w swoją stronę.

\*\*\*

Profesor upił spory łyk kawy, rozglądając się z niepokojem po wnętrzu kawiarni. Następnie przeniósł lękliwe spojrzenie ku siedzącemu naprzeciw mężczyźnie, by ostatecznie zatrzymać je na przestudiowanej przed momentem stercie wydruków. Po raz kolejny tego popołudnia zastanowił się, dlaczego zdecydował porozmawiać z nieznajomym, który nawiązał z nim kontakt dzisiejszego poranka.

– Panie Mikołaju – zaczął ostrożnie – to bardzo ciekawe materiały, przyznaję. Pana korespondencja z tym człowiekiem oraz jego urojone wspomnienia jasno wskazują na poważne problemy z postrzeganiem rzeczywistości, ale...

– Nie użyłbym słowa urojone.

– To już pana zdanie – odparł nieprzyjaźnie Profesor – a w każdym razie nie to jest meritum naszej rozmowy. Chcę przez to powiedzieć, że ten nieszczęsny Tytus, z którym utożsamia pan Herostratesa, może nie być tą osobą.

– To wykluczone.

– Rozmawiał pan z Tytusem? Widział go pan osobiście? Jeśli tak, proszę go dokładnie opisać. Powiem, czy pasuje do wyglądu mężczyzny, który nawiązał ze mną kontakt.

– Miałem się z nim spotkać wczoraj wieczorem, lecz musiałem zrezygnować z tego pomysłu.

– Dlaczego?

– Z obawy o swoje życie.

Profesor uniósł pytająco brew, czekając na rozwinięcie tego tematu. Mikołaj streścił pokrótce przebieg incydentu, co wykładowca skwitował pytaniem:

– A więc zawrócił pan ze względu na opinię nieznanego, pijanego mężczyzny?

– Właściwie tak, chociaż to naturalnie spore uproszczenie.

– Ja osobiście nie słyszałem o żadnej wojnie pomiędzy kibicami, media nagłaśniają jedynie lokalne starcia zwykłych chuliganów.

– To już pana zdanie – odparł z ironicznym uśmiechem Mikołaj. – Obaj wiemy, że chodzi o Tytusa. Widziałem też pańskie wypowiedzi

w Takiej Gadce!. Jak widać, prawda jest zgoła inna od pańskich teorii, a jako naukowiec powinien dążyć pan do jej poznania.

– Prawda to zbiór sprawdzalnych twierdzeń, a nie domysły, panie Mikołaju. Oczekuje pan, że nagle odwołam wszystkie moje, poparte obserwacjami oraz doświadczeniem zawodowym wnioski, i publicznie przyznam, iż człowiek określany jako Herostrates pragnie dokonać samospalenia w celu przejścia do innego wymiaru? Czy jak pan to tam chce określać, wedle waszej religioznawczej nomenklatury? Na dodatek taka interpretacja jest sprzeczna z celem, jaki postawił sobie sam zainteresowany, a który de facto już osiągnął, czyli zdobycie sławy.

– Dlaczego nie chcesz pomóc Tytusowi?

– Nie znam nikogo takiego.

– To on namówił cię na ten cały cyrk z Herostratesem!

– Nie mam żadnego kontaktu z człowiekiem, który zgłosił się do mnie ze swoim problemem. Upubliczniłem jego historię jedynie dlatego, by zdobyć dla tego biedaka zainteresowanie mediów, o które tak rozpaczliwie zabiegał.

– Zrozum! On naprawdę się spali! Na pewno rozumiesz, w jakim świetle postawi to ciebie i cały ten durny program, dzięki któremu chcesz zabłysnąć.

– Nie pamiętam, żebyśmy przeszli na „ty”.

– Idź w cholerę, człowieku! Będziesz miał na rękach jego krew.

– Zanim poproszę pana o odejście od mojego stolika, chciałbym zauważyć, że może pan działać na własną rękę i nagłaśniać tę bzdurną teorię. A mimo to, woli pan jedynie żerować na moim autorytecie.

– Nie mam zamiaru tłumaczyć ci, dlaczego mam związane ręce – warknął Mikołaj, zbierając ze stołu przyniesione wydruki.

– Żegnam.



Religioznawca z trudem powstrzymał się przed pokusą splunięcia rozmówcy w twarz. Obrzucił go jedynie pełnym wrogiej pogardy spojrzeniem i opuścił kawiarnię. Przyjemny chłód panujący wewnątrz klimatyzowanego lokalu ustąpił miejsca złośliwemu, letniemu skwarowi, pomnażając tylko irytację Mikołaja. Zmarnował kolejny dzień, ponownie nie uzyskując żadnych rezultatów. Wściekły, ruszył w stronę postojów taksówek. Musiał jeszcze odświeżyć się w hotelu i przebrać na pogrzeb. Beniamin miał zostać pochowany około dziewiętnastej, zgodnie z niepisaną regułą Cmentarza, w myśl której pochodzący z marginesu społecznego zmarli, w dodatku chowani na koszt państwa i bez kapłana byli wciskani w termin nie wadzący z „porządnymi” pogrzebami. Mężczyzna zastanowił się, czy na uroczystości pojawi się ktokolwiek poza nim i kilkoma kolegami od flaszki zmarłego tragicznie pisarza. Mimowolnie pomyślał o nadchodzącym spektakularnym zgonie Tytusa. Współczesnego Herostratesa na pewno pożegnają tysiące, a dalsze dziesiątki tysięcy internautów uczczą jego pamięć ponurymi wpisami na ulubionych forach i własnych profilach w portalach społecznościowych. Zniesmaczony, przestał myśleć o czymkolwiek, wsiadając do luksusowej, ozdobionej wielką nalepką „Klimatyzacja” taksówki. Rzucił kierowcy adres i przymknął ciężące powieki, z rozkoszą marząc o zakończeniu tego koszmarnego, upalnego dnia relaksującą sesją medytacji.

\*\*\*

Recepcjonistka z uprzejmym uśmiechem podała wyraźnie wstawionemu mężczyźnie klucz do jego pokoju, dyskretnie zerkając na zegar. Dochodziła północ. Gość nie miał jednak zamiaru odejść od recepcyjnego blatu, zamiast tego prosząc z wypisanym na twarzy poczuciem winy:

– A może pani ze mną porozmawia? Mam pewien problem.

– Panie – odparła pojednawczo dziewczyna, spoglądając na dane widniejące przy numerze pokoju, do którego wydała klucz – Mikołaju, lepiej niech pan odpocznie. Jutro pan wyjeżdża, chyba, że chce pan przedłużyć pobyt w naszym hotelu.

– Nie! Żadnego przedłużania! Chcę wrócić już do Szwecji, do żony. Tutaj tylko na pogrzeb przyjechałem, przyjaciela. I coś załatwić, ale nie. To znaczy nic. Nie udało się.

– Przykro słyszeć.

– No bo mam ten problem, dylemat!

Recepcjonistka westchnęła, zastanawiając się, czy nie spróbować wezwać ochrony. Chociaż nie miała ochoty na pijacką pogadankę, wolała póki co nie zaogniać sytuacji. Mężczyzna nie był agresywny, a ona dopiero zaczynała pracę w tym miejscu. Natomiast szefostwo z pewnością bardziej od komfortu psychicznego nowej pracowniczki zwracało uwagę na jej umiejętność radzenia sobie z problemami.

– Jaki to dylemat? – spytała z rezygnacją w głosie, choć nie zdejmując z ust uśmiechu.

– Moralny. A jakże! Wiem coś, co może komuś pomóc, ale jak to powiem ludziom, to mogę zaszkodzić sobie.

– Ach tak.

– To inaczej, żeby nie było niejasności, w tym co mówię, żeby było zrozumiałe.

– Rozumiem.

– No! Więc pisałem z takim facetem, którego w pewien sposób przekonałem, to znaczy on to tak zrozumiał, że powinien interesować się swoimi wizjami. Nieważne. W każdym razie gość postanowił się zabić, a ja chcę go powstrzymać, zgłosić to komuś, rozumiesz? Pani rozumie – dodał szybko – no bo nie jesteśmy na ty, przepraszam.

– Nie szkodzi.

– Ale jak będę chciał go powstrzymać, to jeden nasz wspólny znajomy, co ma takie pewne układy z nim, zadzwoni do mojej żony i tam coś powymyśla, nakłamię, wiadomo, bo kiedyś mnie znał, sąsiad dawny mój. Ale ten facet się zabije trochę przeze mnie, tak to czuję, i co ja mam zrobić? A jeszcze dziś z pogrzebu wracam przyjaciela i stypa, wiadomo, była wódka i jego kolegów dwóch. Kuba i Dominik. Bo oni zawsze z Benkiem pili.

– A ten samobójca to jakiś pana przyjaciel?

– A nie, obcy facet!

– Więc po prostu chce pan uspokoić sumienie.

– To nie moja wina, że on chce się zabić! Ja tylko chcę go ratować, wie pani, bo życie ludzkie.

– Skoro chce się zabić, a nie jest to pana znajomy, czy rodzina, to po co mu przeszkadzać?

– No wie pani! Tu idzie o życie człowieka!

– O tak – syknęła dziewczyna – teraz to tak, ale gdzie wszyscy byli jak ten facet dojrzywał do decyzji o skończeniu z sobą? Wie pan, ściągnięcie skoczka z mostu jest efektowniejsze od poświęcania komuś czasu i dawania wsparcia.

– Ale...

– Nikt nie chce inwestować czasu w człowieka z problemami, no bo i po co? To jak łatanie pojedynczych dziurek w domu zżeranym przez korniki. A czasem, kiedy załata się wszystkie dziury, postawi kogoś na nogi, to z wdzięczności łamie serce. Niech ten obcy facet po prostu z sobą skończy, a pan, panie Mikołaju, wraca do żony. I wytrzeźwieje!

Mikołaj przyjrzał się uważnie rozmówczyni, na żakiecie której dostrzegł właśnie pozłacaną plakietkę z imieniem „Marta”. Chciał coś

powiedzieć, zaprotestować, raz jeszcze powołać się na najwyższą wartość życia ludzkiego, ale surowe spojrzenie młodej recepcjonistki odebrało mu animusz. *Spojrzenie staruszki* – pomyślał. – *Ciekawe, co ta dziewczyna przeszła?*

– Do... Dobranoc – wybąknął, ruszając chwiejnym krokiem w stronę schodów.

– Dobranoc, panie Mikołaju – odparła uprzejmie Marta.

Odczekała kilka minut, na wypadek, gdyby mężczyzna zdecydował się powrócić, do czego na szczęście nie doszło. Jej reakcja może nie była w pełni regulaminowa, ale przynajmniej odniosła skutek, natręt poszedł do swojego pokoju. Jedną z nielicznych korzyści, jaką odniosła żyjąc z Tytusem, była umiejętność pacyfikowania tego rodzaju zachowań. Męskie pijackie spowiedzi, wybuchy gniewu, czy nieuzasadnione pretensje, wszystko to potrafiła zażegnać kilkoma trafnymi zdaniami wypowiedzianymi odpowiednim tonem, zbliżonym do tego, jakim karci się niesforne psy.

– Psy! – wyszeptała z pogardą.

Wprawdzie daleka była od nienawistnego potępienia całego „męskiego plemienia”, ale w najbliższym czasie po prostu nie miała ochoty na samcze towarzystwo. Z cichym westchnieniem wyjęła spod recepcyjnej lady sfatygowaną książkę, z ulgą kierując myśli ku kojącej, choć znanej na pamięć fabule. Mimowolnie pomyślała o często powtarzanej przez Tytusa formule, którą zasłyszał gdzieś lub samodzielnie wymyślił. *Jak to szło?* – pomyślała rozbawiona. – *Dobra książka to jedyna na świecie wódka, którą można chlać w nieskończoność z tej samej butelki.* Dziwaczna metafora jak ulał pasowała do jej ulubionej lektury, którą od lat zgłębiała w ciężkich chwilach życia, za każdym razem znajdując coś, co podnosiło ją na duchu.

– *Trzydzieści pięć lat pracuję przy starym papierze i to jest moja love story* – zaczęła półgłosem, przechodząc w cichy szept, by ostatecznie zamilknąć.

Pieszcząc wzorkiem kolejne słowa, zdania i strony, Marta zniknęła dla świata, którego miała część, Kraj, oczekiwał z utęsknieniem pierwszych płomieni obejmujących bohaterskie ciało bezkompromisowego Herostratesa, najmodniejszego symbolu buntu. Najgorętszy tego lata medialny event zbliżał się wielkimi krokami, a jedyny człowiek, który miał zarówno chęci i możliwości, żeby go zepsuć, wymiotował właśnie tanią wódką w hotelowej łazience.

\*\*\*

Przylepiony do kojąco chłodnej szyby autobusu Mikołaj z obojętnym wyrazem twarzy obserwował tłoczących się na kolejnych przystankach ludzi. Ból głowy przypominał mężczyźnie, jak kolosalną krzywdę potrafiło wyrządzić organizmowi wypicie jednego kieliszka za dużo. Poranek był dla niego katorgą, a wymeldowanie z hotelu pamiętał jak przez mgłę. Zanotował tylko fakt, że na recepcji nie było dziewczyny, której narzucał się z rozmową po nocnym powrocie ze stypy. Zażycie dwóch silnych tabletek przeciwbólowych i kilka łyków wygazowanej coli nieco poprawiło jego stan, ale wciąż daleki był od choćby kiepskiego samopoczucia. Od lat stronił od większych ilości alkoholu, a skandynawskie trunki, jakie niekiedy miał okazję spożywać, nie umywały się do mocarnego bimbru przyniesionego przez Kubę i Dominika. To nie była ceniona na całym świecie, porządna wódka z Kraju, tylko ordynarna, lokalna wódka z osiedlowego sklepiku. A mimo to w pewien sposób pasowała do okazji. *Benek pewnie pił to ścierwo przed śmiercią* – pomyślał, czując na języku gorzkawą treść żołądka.

Zmuszając się do przełknięcia śliny, zacisnął gniewnie szczęki, widząc na mijanym właśnie przystanku ogniste logo Wolności Przez Płomień. Herostrates! Tytus. To już nie była jego sprawa, podjął tę decyzję zaraz po przebudzeniu. Nie próbował szukać dla siebie żadnych usprawiedliwień, wybrał najwygodniejszą z dróg, obojętność. W pamięci wciąż miał nienawistne groźby Jerzego, który prawdopodobnie spełniłby je bez wahania. *A może list z oszczerstwami już jest w drodze do Szwecji?* – pomyślał rozbawiony. To byłoby godne najlepszej slapstickowej komedii, wrócić do domu i dostać od dzierzającej w dłoni zwodniczy list żony prosto w twarz! Mikołaj uśmiechnął się ironicznie, lecz spochmurniał, gdy autobus wjechał na zatoczkę przy kolejnym przystanku. Przeszklona budka ozdobiona była wielkim, płomiennym logo Wolności Przez Płomień, a szybkie spojrzenie w stronę współpasażerów natychmiast wychwyciło dwie koszulki i kilka przypinek promujących idee współczesnego Herostratesa. Mężczyzna poważnie zastanowił się. Czy gdyby rzeczywiście zdołał zniweczyć szalony plan Tytusa, to jak właściwie zareagowałiby ci wszyscy ludzie? Rozczarowaniem? Nienawiścią? Oczami wyobraźni ujrzał koszulki ze swoją przekreśloną twarzą i płomienistymi podpisami w rodzaju „Pies SYSTEMU”, „Zdrajca”, „Człowiek, który zgasił PŁOMIENI!”. Spece od marketingu na pewno coś by wymyślili. A co, jeśli Tytus miał rację? I tylko droga przez mękę była w stanie doprowadzić go na powrót do Miejsca? Nie było to przecież bardziej nieprawdopodobne od tego, czego doświadczył.

– I wygodne dla mnie – mruknął.

Obrzucony złowrogim spojrzeniem siedzącej obok buczącej w kółko „Kretyństwo!”, Sękatej Staruszki, odwrócił wzrok ku szybie. Żegnał się z Miastem i Krajem, nie planował wracać tutaj wcześniej, niż za kilka lat.

Albo i wcale! – pomyślał z irytacją, widząc na kolejnym przystanku znajome, płomienne logo.

– Kretyństwo – bezwiednie powtórzył za Sęką Staruszką jej powiedzonko.

Czując na karku nienawistny wzrok steranej czasem kobiety, zaśmiał się w głos, śląc myśli ku Tytusowi. *Powodzenia, szalony draniu!*

## Rozdział IV

### Płomyk

Zaspana Magda leniwym ruchem zerwała ze ściennego kalendarza kartkę, wypełniając pierwszą część swojego porannego rytuału. Z uśmiechem pomyślała o drugim kroku, pysznej, aromatycznej kawie. Krzątając się wokół ekspresu, nie zwróciła uwagi na wchodzącego do kuchni Tytusa, który przysiadł na taborecie w kącie pomieszczenia. Nie chcąc przestraszyć współlokatorki, mężczyzna odchrząknął, posyłając kobiecie przyjazny uśmiech.

– A ty co się tak skradasz? – spytała, ostrzegawczo podnosząc uzbrojoną w kubek dłoń.

– Spokojnie, okaz litość.

– Nie ma litości dla takich jak ty!

– Pewnie tak – odparł, nagle pochmurniejąc. – Nie jesteś w pracy, tak poza tym? Dochodzi już dziesiąta.

– Urlop do końca miesiąca, a potem na bruk. Redukcja etatów – odparła beznamiętnie.

– To... Niespodziewane.

– Mówiłam ci o tym chyba ze dwa razy, ale widać mnie nie słuchałeś, jak zawsze.

– Mam sporo na głowie.

– Ciężko nie zauważyć.

Mimo wyczekującego spojrzenia rozmówczyni, mężczyzna nie rozwinął tematu swoich problemów, zamiast tego wskazując na kalendarz.

– No i mamy dwudziestego lipca – oznajmił uroczyście.

– A co w związku z tym?

– Jutro dwudziesty pierwszy.



– Błagam, nie mów mi, że ty też interesujesz się tym cyrkiem z Herostratesem. Przecież widać na pierwszy rzut oka, jakie to wszystko sztuczne. Pewnie nawet nikt taki nie istnieje!

– Ja tam mu kibicuję.

– Więc kibicujesz samobójcy? Do stojącego na moście też byś krzyczał, żeby skoczył, jak ci zniecierpliwieni kierowcy w zeszłym tygodniu?

– Nie kłóćmy się.

– Tylko wymieniamy poglądy.

– Zalej mi lepiej kawę.

– Po pierwsze, to mówi się proszę. Po drugie, jest za mało wody, zrobisz sobie następną. Nie umrzesz bez kofeiny przez te kilka minut.

Tytus nie odpowiedział, bawiąc się bezmyślnie solniczką. Przez jakiś czas sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego tym bezproduktywnym działaniem, gdy nagle wypalił:

– Chodźmy na spacer.

– Teraz?

– Wieczorem. Chciałbym pogadać.

– Zabrzmiało poważnie.

– Mhm.

– A teraz nie chcesz porozmawiać?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

– No dobra. To zrobić ci tej kawy?

– Poprosiłbym.

– A potrafisz nie odpowiadać jednym słowem?

– Tak.

Kobieta fuknęła z dezaprobatą, chociaż na jej ustach, wbrew woli, zatańczył figlarny uśmiech. W kilka minut później siedzieli przy kuchennym stole, popijając kawę i przerzucając się małymi uszczypliwościami. Niezobowiązująca konwersacja łakomie pochłaniała czas dwojga ludzi, odciągając przeciążone troskami umysły od poważniejszych tematów. Nadpłynęły wspomnienia przeżytych wspólnie chwil, poznanych ludzi, barwna mozaika beztroskich lat studiów i pierwszych lat prawdziwie dorosłego życia. Był to punkt zwrotny w postawie Tytusa, od osiągnięcia którego zaczął mówić ogólnikami i wyraźnie ważyć słowa, ewidentnie starając się przemilczeć pewne tematy.

– Znów w defensywie, co? – zapytała, z większą niż zamierzała irytacją w głosie Magda. – Dlaczego zawsze w którymś momencie rozmowy zaczynasz zachowywać się jak szpieg, który powiedział za dużo i próbuje to odkręcić? Nie chcę cię ciągnąć za język, ale zrozum...

– Wieczorem. Poważne tematy zostawmy na spacer.

– Trzymam cię za słowo! A chyba będziesz miał o czym opowiadać.

– To znaczy?

– O proszę! Pan Bond nawet się nie zorientował, że przez przypadek zdradził tajemnicę państwową.

– Słonkowłosa towarzyszek konwersacji, coś takiego wypaplałem? – spytał, nieumiejętnie maskując rozbawieniem rosnący niepokój.

– Marta. Nazwałeś mnie tak dosłownie przed chwilą.

– Wybacz.

– Daj spokój, przecież nie robię ci wymówek. Powiesz mi tyle, ile będziesz chciał. Ja też nie zwierzam się ze wszystkiego, a uwierz, przez moje życie też przeszło parę burz. A tak w ogóle dziś możemy zwyczajnie pospacerować, a pogadać kiedy indziej...

– Nie – zaproponował gniewnie mężczyzna. – Dziś jest dzień na takie sprawy. No właśnie, mam jeszcze sporo planów, więc lecę pod prysznic.

Tytus, najwyraźniej przeświadczony, że ten lakoniczny komunikat był równoznaczny z zakończeniem porannych pogaduszek, opuścił bez słowa kuchnię. Magda z trudem powstrzymała się przed złośliwym komentarzem, gniewnie wkładając do zlewu pozostawiony przez mężczyznę kubek z resztką niedopitej kawy. Wielkopańskie, nieco mizoginistyczne maniery współlokatora niekiedy doprowadzały ją do wściekłości, podobnie jak jego przesadna skrytość, osiągająca niekiedy rozmiary chorobliwej podejrzliwości. Co ten ślepo zapatrzonej wyłącznie we własne problemy człowiek miał do ukrycia? I kim, do cholery, była Marta?! Drobne nozdrza kobiety rozděły się gniewnie. Wiedziała już, że na to konkretne pytanie zdobędzie szczerą odpowiedź, choćby miała ją wyciągnąć z mężczyzny sylaba po sylabie!

\*\*\*

Profesor wpatrywał się podejrzliwie w banknot o nominale dwieście, który wylądował na wiklinowym stoliku. Nawet po odliczeniu nielicznych kosztów wystawnego obiadu dla dwóch osób i fantazyjnych deserów, napiwek wciąż robił wrażenie. Siedzący naprzeciw strapionego akademika Tytus zapewnił:

– Niech pan nie bierze tego za rozrzutność człowieka, któremu już na niczym nie zależy. Po prostu świętuję sukces!

– To zrozumiałe. Nie mogę za to pojąć, dlaczego nalegał pan na spotkanie właśnie dziś, dzień przed... finałem naszej akcji.

– Chciałem podziękować za pomoc.

– No cóż, doceniam gest.

– Wydaje się pan spięty.

– A pan nie jest?

– Dlaczego miałbym się denerwować, przecież jutro nie zginę, prawda?

Profesor poczuł, jak jego ciałem wstrząsa nieprzyjemny dreszcz. Zignorował napływające do ust pytania, i, przybierając serdeczny wyraz twarzy, zapewnił:

– Naturalnie.

– Dlatego właśnie jestem spokojny.

– Cieszy mnie to. No cóż, przyjemnie nam się rozmawia, ale...

– Pewnie ma pan wiele na głowie?

– Istotnie.

– W takim razie nie chcę zajmować więcej pańskiego czasu, Profesorze. Do widzenia.

– Czeka!

– Tak?

– Ty... – wycodził, mierząc nienawistnym spojrzeniem wyraźnie rozbawionego Tytusa. – Co to ma wszystko znaczyć? Ten obiad? Cała ta farsa?!

– Przecież już tłumaczyłem, chciałem podziękować za pomoc.

– Coś ty sobie ubzdurał człowieku?

– Nie rozumiem.

– Nie tak łatwo mnie oszukać, od trzydziestu lat egzaminuję studentów! Od momentu, gdy przekroczyliśmy próg tej kawiarni na ustach błąka ci się kpiarski uśmieszek, rzucasz mi jakieś pogardliwe spojrzenia, bawisz się w niedopowiedzenia, aluzje, sugerujesz coś...

– No co? Niby co takiego sugeruję? Wyduś to z siebie – rozkazał Tytus.

– Urządziłeś sobie moim kosztem żałosny spektakl, bydlaku. Od godziny wysłuchuję aluzji do tego, że jutro naprawdę masz zamiar się zabić. Bawi cię każdy ślad niepokoju wypisany na mojej twarzy, każdy grymas niezadowolenia, jesteś...

– I co z tego?

– Słucham?!

– Jakie to ma znaczenie? Świnia z dyplomem to nadal świnia, chociaż udekorowana wstążką. Nie zasługujesz na szacunek, więc ci go nie okazuję, Profesorze.

– Więc gryziesz rękę, która cię karmi? Kim ty w ogóle jesteś? Kto o TOBIE słyszał? Nikt! Herostrates to złota maska, przyciąga spojrzenia nawet tych, którzy zawzięcie powtarzają, jak bardzo pogardzają tanimi sensacjami i dyplomowanymi świniami. Maską, rozumiesz?

– Tak. To ty powiesz, kto się pod nią ukrywa. Równie dobrze może to być jakiś wiarygodny figurant podstawiony przez reżyserów *Takiej Gadki!*.

– Dokładnie. Więc dlaczego zachowujesz się w taki sposób? Jaki masz cel w graniu mi na nerwach? Rozumiem, że perspektywa nadciągającej sławy może cię przytłaczać, życie w świetle jupiterów nie jest dla każdego, ale nie zwracaj się przeciwko mnie. Wiem o tobie więcej, niż myślisz, Tytusie. Już spróbowałaś, bez rezultatu, zdobyć dla siebie rozgłos.

– Niby w jaki sposób?

– Śpiączka, wędrówki po innym wymiarze, mówi ci to coś?

– Skąd wiesz o Miejscu? – spytał poblady Tytus.

– Już nie jesteś taki hardy, co?

– Kto ci o tym powiedział?

– Zaskoczyłem cię? A widzisz! Świnie to bardzo inteligentne stworzenia, a tym bardziej te dyplomowane – oznajmił Profesor,

uśmiechając się nieprzyjemnie.

– No więc, co powiesz o moich zapiskach?

– Przesadziłeś. To by się nie sprzedawało, a nawet jeśli, to nie z takim rozmachem, jak historia o współczesnym Herostratesie. Chociaż facet, który z tym do mnie przyszedł, był święcie przekonany o ich autentyczności, więc może, mimo wszystko, ta opowieść ma w sobie jakiś potencjał. Dużo ludzi lubi takie metafizyczne bajdurzenie.

Tytus nie odpowiedział, zaciskając gniewnie szczęki.

– Nie masz już w zapasie żadnych zabawnych tekstów o świniach? I nie rób nadąsanych min, jakbym uraził jakąś świętość. Dobrze wiem, że nie wierzysz w te bzdury, które napisałeś, ani nie zamierzasz się zabić.

– Doprawdy?

– Opuść sobie! Przyznaję, miałem pewne obawy, przez jakiś czas nawet poważne, co do twojego zdrowia psychicznego. Ale teraz jestem już pewien, że jesteś dokładnie taką osobą, jaką zaprezentowałeś się podczas naszego pierwszego spotkania. Zwykłym, pazernym na sławę nieudacznikiem. Popełniłeś poważny błąd, zapraszając mnie tutaj dzisiaj i myśląc, że dam sobą pomiatać! Do niedawna mogłeś być pewny tego, że to właśnie ciebie przedstawię światu jako Herostratesa, teraz możesz mieć tylko taką nadzieję. Żegnam!

Profesor, z wyrazem triumfu na twarzy, odszedł od stolika. Tytus uśmiechnął się pod nosem, w duchu przyznając swojemu antagoniście nieco racji. Nie powinien urządzać dzisiejszego spotkania, to był niepotrzebny przejaw próżności z jego strony. Niech Profesor cieszy się swoim pozornym zwycięstwem, aż do jutra. Wtedy całą swoją elokwencję i pewność siebie będzie mógł spożytkować w batalii z rozwścieczoną opinią publiczną, która na pewno skwapliwie oskarży go o rozmyślne prowokowanie samobójcy do działania.

Tytus opuścił restaurację, zastanawiając się nad tym, jak społeczeństwo zareaguje na wieść o jego śmierci. *Oczywiście to tylko skrót myślowy* – natychmiast skorygował się w duchu. Groźnie brzmiąca „śmierć” oznaczała jedynie ustanie czynności życiowych jego ciała, On przejdzie bez szwanku do Miejsca. Niemniej w zbiorowej świadomości zapamiętany zostanie jedynie jako samobójca z wybujałym ego. Ciekawe, czy ludzie poczują jego krew na rękach? W końcu wszędobylskie, agresywne logo Wolności Przez Płomień nie powieliło się samo. Ostatecznie znienawidzone przez rzesze otyłych nonkonformistów media nigdy nie wpychały przemocą do gardeł swoich produktów, przeciwnie, każdy kupował je na własne życzenie. I krzywiąc się z obrzydzenia, niestrudzenie krzyczał o dokładkę.

\*\*\*

Wczesne popołudnie zastało Tytusa krążącego w okolicy Olimpu. Mężczyzna nie zdecydował jeszcze, czy ma chęć na spotkanie z Jerzym, który od dłuższego czasu przebywał we wnętrzu knajpy. Błąkając się bez celu po Mieście w pewnym momencie odkrył, że w jakiś sposób dotarł na „swoje” osiedle i nieświadomie podążał ścieżką, którą pokonywał już tysiące razy, w stronę mieszkania Marty. Wycofując się pośpiesznie z nieprzyjaznego regionu wstąpił do Olimpu, lecz zaraz po dostrzeżeniu charakterystycznej sylwetki staruszka pochylonego nad kuflem natychmiast wyszedł. Chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że Jerzy był jedyną osobą, z którą mógłby porozmawiać o jutrzejszym dniu. Nie byłaby to zapewne rozmowa przyjazna, lecz wszystko zdawało się lepsze od tłumienia wrzących tuż pod skórą emocji. Tytus na każdym kroku dostrzegał logo Wolności Przez Płomień, wszędzie słyszał rozmowy w ten czy inny sposób dotyczące Herostratesa. Jego! Miał ochotę wykrzyczeć

z całych sił prawdę, zastąpić każdy symbol Wolności Przez Płomień plikiem kartek zawierających wspomnienia z Miejsca. Wy tłumaczyć wszystkim w Kraju, o co tak naprawdę się rozchodzi! Oczywiście nikt by mu nie uwierzył, Profesor miał bowiem zupełną rację. To złota maska mitu współczesnego Herostratesa była tym, co przyciągało wzrok, nikt więc nie dbał o człowieka, który ją nosił. Mężczyzna pożałował fortelu, którym zniechęcił Mikołaja do dalszych prób nawiązania osobistego kontaktu. Dziś dałby naprawdę wiele za szansę chociaż krótkiej, szczerzej rozmowy z jedynym człowiekiem wierzącym, choć na swój sposób, w istnienie Miejsca. Niestety, religioznawca nie stanowił już dostępnej opcji, w przeciwieństwie do Jerzego, który wytoczył się z Olimpu, by chwiejnym krokiem ruszyć w stronę swojego bloku.

Tytus podążył za nim dyskretnie, zdecydowany nie nawiązywać kontaktu, dopóki Jerzy nie stanie na progu swojego mieszkania. Niepodyktowana żadną logiczną przyczyną ostrożność towarzyszyła młodszemu z mężczyzn również po wejściu na klatkę schodową. Pokonując kolejne piętra starał się niczym nie zdradzać swojej obecności, aż do chwili, gdy otumaniony alkoholem Jerzy nerwowo otworzył drzwi mieszkania i wbiegł do toalety. Odgłosy silnych torsji skulonego nad sedesem starca zagłuszyły chwilową obecność intruza, który odszedł, nim gospodarz podniósł się z klęczek, by zamknąć drzwi wejściowe.

Sękata Staruszka z zawiścią wpatrywała się w mężczyznę, który okupował jej ulubione miejsce w tramwaju numer trzynaście. Co gorsza, intruz nie tylko odmówił przesiadki, ale był na tyle bezczelny, że zasugerował jej zajęcie dowolnego spośród licznych, lecz naturalnie pośledniejszych wolnych miejsc. Tytus natomiast nie zważał na nienawistne spojrzenie irytującej towarzyszki podróży, myśląc wyłącznie o spoczywającej na kolanach torbie. Dlaczego okradł Jerzego?! Przecież



przyszedł tam, żeby porozmawiać! Poza tym zrabowane pieniądze nie były mu do niczego potrzebne. Zerknął na wyświetlacz telefonu, uświadamiając sobie, iż w ciągu ostatnich kilku minut powtórzył tę czynność co najmniej kilkukrotnie. Jerzy nie zadzwonił. Zresztą, dlaczego miałby skojarzyć Tytusa ze zniknięciem swojego majątku? Na pewno uznał, że padł łupem jakiegoś młodocianego przestępcy, który wyniósł pierwszą rzecz, jaką uznał za potencjalnie wartościową. Bezrobotny bibliotekarz nie miał bynajmniej wyrzutów sumienia, w końcu okradł złodzieja, nie obawiał się też kary, która nie dosięgnie go w Miejscu. Próbował za to zrozumieć, co było motorem jego działania. Ukradł, bo miał ku temu idealną okazję? Owszem, ale DLACZEGO?! Czy gdzieś tam, na dnie podświadomości, zrodziła się myśl, że pieniądze mogą mu się przydać, jeśli jutro... Jeśli stchórzy. Do tej pory nie poczynił praktycznie żadnych poważniejszych przygotowań do rytuału. Kupno kanistra, benzyny, wybór miejsca, ostatnie słowa, ubrania, wszystkie te istotne decyzje chciał podjąć spontanicznie już po przebudzeniu. Ze wstrętem odłożył torbę na podłogę i na najbliższym przystanku wypadł z tramwaju, by równie szybko wbiec do środka. Wyrwał torbę spod nóg oburzonej Sękatej Staruszki, która zdążyła już zająć zwolnione miejsce. Utrata fortuny byłaby nierozsądna, w końcu może zechce zwrócić Jerzemu jego własność. Albo wykorzystać w bardziej spektakularny sposób, na przykład spopielić pieniądze razem ze sobą. To byłaby dopiero prawdziwa medialna bomba! Przez kilka chwil bawił się wyobrażeniem płonącego stosu pieniędzy i zrozpaczonych ludzi, skaczących w płomienie, by uratować choć kilka banknotów. Tak, ten bezkompromisowy akt pogardy dla wartości materialnych dobrze wpisywał się w koncepcję Herostratesa! Zadowolony z powziętej decyzji Tytus przestał myśleć o kłopotliwej sprawie niespodziewanego przypływu gotówki.

Jerzy przeszukał każdy zakamarek mieszkania, choć podejrzewał, że to daremny trud. Z piersi wyrwał mu się żałosny lament, gdy pojął, iż w ciągu około czterdziestu sekund, które spędził wymiotując, ktoś pozbawił go całego majątku. To był już koniec, nie mógł niczego zrobić. Zgłaszanie kradzieży pieniędzy zaciągniętych w kredycie uzyskanym na podstawie oszustwa nie wchodziło w grę. Drżące palce chwyciły poły splamionej wymiocinami marynarki, wędrując śpiesznie ku górze, by uwolnić szyję z ciasnych oków kołnierza kraciatej koszuli. Mimo rozpaczliwych zabiegów nieznosne uczucie duszności nie mijało, a ból w okolicach mostka gwałtownie przybierał na sile.

– To nawet lepiej – szepnął, osuwając się na kolana.

Czując spływające po policzkach łzy, ukląkł niezdarnie w miejscu, w którym do tej pory stała torba z pieniędzmi. I pomyśleć, że ktoś skusił się na zabranie właśnie jej! Złodziej musiał być mało wybredny, chyba że dokładnie wiedział, po co przyszedł. Ale kto mógłby wiedzieć...

– Tytus! – warknął nienawistnie.

Konający starzec do ostatniej świadomej myśli gorąco przeklinał mężczyznę, który dopomógł mu w zdobyciu fortuny tylko po to, żeby bezlitośnie odebrać ją u progu realizacji marzeń.

\*\*\*

Magda z uwagą słuchała opowieści Tytusa, co pewien czas delikatnym szturchnięciem w ramię przypominając mu, że byli na wieczornym spacerze, a nie zawodach chodziarskich. Ekspresyjny monolog mężczyzny miał charakter barwnej, fabularyzowanej spowiedzi, czegoś o pozorach spontanicznej szczerości, lecz w gruncie rzeczy dokładnie zaplanowanego. Jednak wśród przesadnej gestykulacji, luźno powiązanych z tematem anegdot i zwykłych wykrętów kryła się prawda, do której, krok po kroku,

dążyła zaintrygowana kobieta. Do tej pory usłyszała historię nieudanego związku z histeryczką Martą, który zakończył się wyrzuceniem Tytusa za drzwi. Mężczyzna opowiedział też o swoim wypadku, w wyniku którego spędził w śpiączce prawie dwa tygodnie, chociaż ten temat wyraźnie próbował przemilczeć.

– Poczekaj, bo czegoś nie zrozumiałam – oznajmiła nagle Magda, przystając gwałtownie. – Kiedy właściwie zerwaliście ze sobą? To dlatego się do mnie wprowadziłeś?

– Nie, przez jakiś czas coś podnajmowałem.

– Kłamiesz – niespodziewanie wypowiedziała na głos swoje wątpliwości. – To znaczy, takie odnoszę wrażenie. Myślę – dodała pewniejszym tonem – że byłeś w związku, kiedy zacząłeś się ze mną spotykać.

– Spotykać?

– Spędzać razem czas.

– To różnica.

– Nie, jeśli ukrywałeś nasze spotkania przed swoją dziewczyną. A robiłeś to, prawda?

– Nie.

– Powtórz to, patrząc mi w oczy.

– Naprawdę? Chcesz robić cyrk, jak...

– Tytus, popatrz mi w oczy, ja nie żartuję.

– Proszę. Patrzymy na siebie i powtarzam raz jeszcze, kiedy trafiłem na ciebie w bibliotece między mną i Martą już dawno wszystko było skończone. Zadowolona?

– Tu nie chodzi o moje zadowolenie, tylko o zwykłą, ludzką uczciwość.

– I co, zdałem test?

– Kolegujemy się od lat, więc po prostu nie dopuszczam do siebie myśli, że mógłbyś nałgać mi prosto w oczy. Jeśli rzeczywiście kłamiesz, to możesz być z siebie dumny, bo ci wierzę.

– A mimo to nie uwierzyłaś mi od razu.

– Dziwisz mi się?! Tytus! Nie chcę być aż tak bezpośrednia, ale każdy, kto by chwilę z tobą pobyl, a ja mam cię na co dzień, powiedziała by, że coś jest nie tak.

– Ze mną?

– Tak. Jeśli masz jakiś problem, możesz...

– Planuję się zabić – odparł spokojnie.

Wyrazem niewzruszonej obojętności zamaskował satysfakcję, jaką dał mu widok zmian na twarzy rozmówczyni. Ambitna, ułożona bibliotekarka w końcu nie miała w zanadrzu żadnej dobrej rady z praktycznego cyklu „jak powinno się żyć w społeczeństwie”. Dobry humor opuścił mężczyznę w chwili, gdy Magda wymierzyła mu potężny policzek, krzycząc:

– Ty egoistyczna świni!

Niespodziewany wybuch złości natychmiast przyciągnął uwagę kilku przechodniów, których usta ułożyły się w złośliwe uśmieszki. Poblady Tytus najwyższym wysiłkiem woli rozprostował palce, zaciśnięte w gotową do kontruderzenia pięść. Furia, nad którą próbował zapanować, musiała znaleźć odbicie w wyrazie jego twarzy, bowiem Magda z trwogą postąpiła krok do tyłu, bezwiednie podnosząc dłonie w obronnym geście.

– Przepraszam – wyszeptała tonem zdradzającym raczej strach, niż skruchę – ale ty w ogóle nie pomyślałeś, o czym mówisz. Co to tak naprawdę znaczy!

Tytus milczał, czując, jak z każdą chwilą odzyskuje panowanie nad sobą. Kobieta w tym czasie kontynuowała swoją przemowę, ostrożnie dobierając kolejne argumenty.

– Nie chcesz rozmawiać o sobie? W porządku, rozumiem! Tylko dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś chciał dać wszystkim do zrozumienia, że coś cię trapi? A do tego na każdy objaw zainteresowania reagujesz obojętnością albo wrogością. Krzyczysz całym sobą o zainteresowanie, ale chyba uważasz przy tym, że ludzie są płytkimi idiotami, którzy nigdy nie zrozumieją niuansów twojej zbolącej duszy. Zabić się? Tak chcesz wszystkim odpłacić? Na złość mamie odmrozić sobie uszy?

– Ktoś ci bliski popełnił samobójstwo?

– W przeciwieństwie do ciebie, coś nie musi dotyczyć mnie bezpośrednio, żebym mogła na to prawidłowo reagować.

– Prawidłowo? No tak, zawsze wszystko powinno być prawidłowe, albo lepiej, normalne.

– Co złego jest w normalności?

– Ramy, które wyznacza, te wszystkie niewidzialne kraty niepozwalające żyć po swojemu bez konsekwencji.

– Aha. Czyli menel, który przecież żyje po swojemu, ma być powszechnie szanowany? Kiedy mijam jakiegoś pijaka leżącego we własnych rzygowinach, czuję wstręt i nie mam zamiaru się tego wstydzić.

– A ja natomiast czuję wstręt do ludzkich śmieci w garniturach, którzy nie sprawdzają, co z tym leżącym na chodniku człowiekiem, bo boją się ubrudzić tymi rzygowinami.

– Generalizujesz.

– A ty nie?

– Ja tylko próbuję ci wytłumaczyć, że masz już trzydzieści lat, a zachowujesz się jak obrażony na świat nastolatek. Nikt ci nie broni żyć po swojemu, cokolwiek to znaczy, ale nie oczekuj poklasku, jeśli widzę, że

robisz coś źle i brniesz w ślepy zaułek. Zależy mi na tobie, więc nie będę biernie wysłuchiwała twoich deklaracji o zamiarach samobójczych.

Tytus zawahał się nad odpowiedzią, skrępowany granicami nakreślonych wcześniej kłamstw. Opowieść o Miejscu nie wchodziła w grę, musiałby przyznać, ile czasu naprawdę spędził w śpiączce, a to kwestionowałoby chronologię całej opowieści. I postawiło w zupełnie innym świetle kwestię związku z Martą. Nie mogąc przeprowadzić skutecznej obrony, niezwłocznie przystąpił do ataku.

– Myślisz, że tak prosto zmienić swoje życie? Co, pani idealna?

– Spokojnie! Ja...

– Pokaż, jakie to łatwe, blondynko! Zetnij te śliczne włosy, swój znak rozpoznawczy. To przecież tylko fryzura, prawda? Udowodnij, jak łatwo jest podejmować ważne decyzje.

– Nie będę niczego udowadniać! A już na pewno w tak dziecinny sposób.

– Szkoda ci paru garści chityny?

– I co? Zetnę włosy, a ty w nagrodę się nie zabijesz? A może jeszcze mam ci dać dupy, żebyś przypomniał sobie, jakie życie jest wspaniałe?!

– Myślisz, że nagle postanowiłem ze sobą skończyć? To nie jest moja fanaberia, ale wynik długich i naprawdę cholernie ciężkich rozmyślań.

– Doprawdy? Więc dlaczego po prostu tego nie zrobisz, choćby teraz? Skoro jesteś już zdecydowany, to po co w ogóle poruszasz ten temat? A może jednak CHCESZ, żeby ktoś wybił ci to z głowy? No! Zabij się, tu i teraz!

– Dziś jeszcze nie mogę! – wymknęło się Tytusowi.

Magda natychmiast pojęła faktyczny sens tego zdania. Z pełnym niedowierzania uśmiechem oświadczyła spokojnie:

– To ty. No tak, to nawet w twoim stylu. Bardzo w twoim stylu.

– No co? – spytał zadziornie Tytus. – Kim niby jestem, wyduś to z siebie!

– Tak bardzo chcesz to usłyszeć, taki jesteś z siebie dumny?

– Proszę, powiedz to.

– To ty – zaczęła z nieukrywaną pogardą kobieta – jesteś Herostratesem!

Tytus nie potrafił pohamować nagłego przypływu wesołości. Wraz ze śmiechem wydalał z organizmu gromadzone miesiącami napięcie, czując jak duszące opary kłamstw i śliskich półprawd opadły, pozwalając mu nabrać świeżego powietrza pełną piersią. Nareszcie zrzucił z twarzy maskę i nie dbał już o efekt, jaki wywołał widok jego prawdziwego, szkaradnego oblicza.

– Tak, to ja – zdołał wydukać, pomiędzy kolejnymi salwami śmiechu.

– To JA!

Milcząca Magdalena ruszyła przed siebie, pozostawiając histerycznie chichoczącego mężczyznę własnemu losowi, który przestał ją obchodzić w najmniejszym stopniu. Nie miała zamiaru dalej uczestniczyć w manipulacyjnych gierkach Tytusa. Sławny Herostrates był jedynowładcą swojego parszywego losu i mógł robić wszystko, co uważał za stosowne.

– Nie mój cyrk, nie moje małpy – mruknęła, wsiadając do taksówki.

Rzuciła kierowcy adres i stosunkowo uprzejmie poprosiła o zmianę stacji radiowej. Głos spikerki rozprawiający z kolejnym specjalistą na temat „fenomenu Herostratesa” ustąpił miejsca szybkiej, popowej przyśpiewce jakiejś rodzimej gwiazdki. Skoczna piosenka sławiła potrzebę wolności, do której droga prowadziła nawet przez płomień. Na kolejną prośbę pasażerki o zmianę stacji znudzony kierowca, z wymownym westchnieniem, wyłączył odbiornik. Mimo nagłej ciszy postanowił nie zaszczycać kapryśnej blondynki rozmową. Nucąc pod nosem bliżej

niezidentyfikowany twór, skierował swój pojazd w stronę jednej z asfaltowych arterii budzącego się do nocnego życia Miasta. Kobieta zignorowała dąsy taksówkarza, tonąc we własnych myślach. Konsekwentnie nie poświęciła żadnej z nich Tytusowi, zamykając wszystko to, co pomiędzy nimi było i być mogło w pancernym kufrze wspomnień.

\*\*\*

Kokon kołdry nabrzmiał, wypływając z siebie rozespanego mężczyznę, który sięgnął w stronę dzwoniącego zaciekle telefonu hotelowego. Na wpół przytomny wymamrotał:

– Halo?

– Dzień dobry, zamawiał pan budzenie na ósmą rano.

– Aha, dziękuję – burknął.

Odłożył słuchawkę, przekręcając się na drugi bok. Musiał wstać, na odpoczynek będzie miał całą wieczność, teraz musiał szybko załatwić sprawę przygotowań do rytuału przejścia. Podkurczając okutane nagrzaną kołdrą nogi, pozwolił sobie na jeszcze kilka minut drzemki.

Mężczyzna zerwał się, szukając wzrokiem swojego telefonu. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że zostawił wyłączony aparat w swoim pokoju, u Magdy. Wyskoczył z łóżka, omal nie potykając się o torbę z pieniędzmi Jerzego, swój jedyny bagaż. Podeszedł do okna i podwinął energicznie rolety, próbując określić porę dnia. Widok czarnego, burzowego nieba zupełnie go zaskoczył. Gwałtowna ulewa wciąż przybierała na sile i nic nie zwiastowało jej rychłego końca, toteż plany dokonania samospalenia w Mieście nie miały żadnych szans na realizację. Tytus nie poddał się panice, z posiadanym zapleczem finansowym mógł dojechać do dowolnego Innego Miasta choćby taksówką. Tak, taksówka



zdecydowanie była dobrym rozwiązaniem. Nieznacznie uspokojony, zasiadł na fotelu, odruchowo włączając telewizor. Wyszukał program informacyjny, z ulgą dostrzegając na wiszącym w studiu zegarze godzinę. Dochodziła dopiero jedenasta, miał więc przed sobą praktycznie cały dzień. Zgasił odbiornik w momencie, gdy prowadząca zaczęła mówić o „efekcie Herostratesa”. Natychmiast włączył ponownie telewizor, z zaciekawieniem słuchając dalszej relacji.

– Mamy już oficjalne doniesienie, że niedawny incydent z południa Kraju również wpisuje się w coś, co eksperci roboczo nazwali efektem Herostratesa – wyrecytowała z gracją ubrana w stalowoszary żakiet kobieta. – Mówimy więc już o jedenastu śmiertelnych przypadkach samospalenia, a szacuje się, że ostateczny bilans zbiorowej psychozy będzie jeszcze wyższy. Każda z ofiar, jak potwierdzają naoczni świadkowie, twierdziła, że jest prawdziwym Herostratesem. Nie wiadomo, czy wśród dotychczasowych samobójców jest człowiek, który pierwotnie zgłosił się do Profesora, a nawet, czy ktoś taki istniał naprawdę. Pragniemy przypomnieć...

Tytus zgasił telewizor, uśmiechając się smutno do swojego odbicia w matowym ekranie. Uzurpatorzy okradli go, bezwzględnie odebrali mu szansę na spełnienie marzenia, gdy stał już u progu jego realizacji. Jego plan zawiódł, nie mógł dokonać samospalenia, bo to zrównałoby jego śmierć do roli cegielki dodanej do rosnącego muru sławy Bezimiennego Herostratesa. W ten sposób nie trafi do Miejsca, był tego pewien. Mimowolnie spojrzał na torbę z pieniędzmi Jerzego. Teraz, choćby chciał, nie mógł jej zwrócić. Fundusze były mu przecież potrzebne, by w spokoju zaszyć się gdzieś i wymyślić inny sposób na powrót do Miejsca. Kreśląc w myślach ryzykowny plan działania na resztę dnia, sięgnął po słuchawkę telefonu, zamawiając obfite śniadanie z pakietu VIP.

\*\*\*

Marta z zapartym tchem słuchała opowieści skruszanego Tytusa. Gdy przed przeszło godziną stanął na progu jej mieszkania, miała ochotę zepchnąć go ze schodów, a teraz z trudem potrafiła uwierzyć własnemu szczęściu. Okazało się bowiem, że mężczyzna skrzętnie ukrywał depresję, która opanowała go jeszcze na długo przed wypadkiem, a raczej nieudaną próbą samobójczą. Śpiączka była dla niego rodzajem odnowy, a przynajmniej myślał tak przez jakiś czas po przebudzeniu. W rzeczywistości jego stan uległ pogorszeniu, rozpaczliwie szukał więc ukojenia w lekach, a następnie coraz cięższych narkotykach uzyskiwanych za pośrednictwem Jerzego. By sprostać finansowo coraz kosztowniejszemu nałogowi, sam zaczął rozprowadzać „towar”, stopniowo brnąc w bagno tego niebezpiecznego interesu. Decyzję o zerwaniu z nią podyktowały mu jedynie względy bezpieczeństwa. Teraz jednak uporał się, jak to co rusz podkreślał, definitywnie, z wszystkimi problemami, łącznie z nałogiem. Marta nie wypytywała zbyt natarczywie o szczegóły, choć podejrzewała, że jej partner musiał skrzywdzić, a być może nawet zabić, jakiegoś dilerka. Ale to była już bolesna przeszłość, zaś przyszłość znów rysowała się dla nich w jasnych barwach!

– Zrób mi kanapkę, strasznie zgłodniałem – zażądał Tytus, rozsiadając się w wygodnym fotelu.

– Ulubioną?

– Mhm.

Mężczyzna zmrużył oczy, przyjmując w wyobraźni gratulacje od samego Josepha Goebbelsa, chwającego wybór niezawodnej taktyki kłamstwa tak kuriozalnego, że aż nabierającego wszelkich cech prawdopodobieństwa. Z zadowoleniem wbił łapczywie zęby w soczystą szynkę przylepioną do chleba grubą warstwą musztardy. W uwielbianym

zestawie brakowało tylko drobnych, chrupiących korniszonów. Ale taka już była okrutna rzeczywistość z dala od Miejsca; pełna niedoskonałości, ciągłych braków i rozczarowań. Zdetronizowany Herostrates, bezrobotny bibliotekarz, sekretnie majątny Tytus Szewc, przełknął ze smakiem kolejny kęs.

## Epilog I

Tęga, przekwitła kobieta poruszyła się niespokojnie na masywnym fotelu. Wysłużony mebel zatrzeszczał żałośnie, podobnie jak biurko, na blacie którego Pani Dyrektor oparła energicznie dłonie ze słowami:

– To doprawdy oburzające! Tym beczelnym, młodym latawicom wydaje się, że studia przygotowały je do trudów pracy z młodzieżą. Wyobraża pan sobie, drogi panie Tytusie, że od czasu pańskiego nieszczęśliwego wypadku przez naszą bibliotekę przewinęły się już trzy pracownice?

– To doprawdy niezwykle. Ciekawe, co też mogło zniechęcić te latawice do pozostania na stanowisku?

Pani Dyrektor zabębniła palcami o blat, pytając ze zniecierpliwieniem:

– Więc decyduje się pan wrócić od września?

– Jak najbardziej.

– Dobrze mieć pana z powrotem. Jutro proszę przyjść, załatwić z kadrami wszystkie formalne sprawy, pańska umowa będzie na czas nieokreślony. Mam nadzieję, że ponownie uda nam się nawiązać owocną współpracę, panie Tytusie.

– I ja żywię taką nadzieję. To wszystko?

– Tak, do widzenia.

– Do widzenia, Pani Dyrektor.

Mężczyzna rażno opuścił gabinet, a wkrótce potem również gmach liceum. Zerknął w górę, na pogodne sierpniowe niebo, by po chwili przenieść zaciekawiony wzrok na wysoki, okalający szkołę ceglany mur. Na jego powierzchni dostrzegł barwne logo Wolności Przez Płomień, pod którym ktoś domalował kojarzący się z automatami do gier licznik zatrzymany na cyfrze 19 z podpisem „Aktualny Rekord”. Tytus

uśmiechnął się w duchu, przystając obok grupki ludzi czekającej na zmianę świateł. Wpatrzony we wstrzymującego ruch pieszych, błyszczącego ostrzegawczą czerwienią człowieczka po drugiej stronie jezdni pomyślał, jak łatwo byłoby zrobić teraz krok w przód, prosto pod maskę jednego z mknących pojazdów. A gdyby dzięki temu, jeszcze raz, już na stałe, wrócił do Miejsca!

To byłoby dopiero świetne zakończenie, czyż nie?

## Epilog II

Po zmianie świateł Tytus, wraz z innymi ludźmi, przeszedł bezpiecznie przez jezdnię, by skierować się w stronę najbliższego przystanku tramwajowego. Wsiadł do nadjeżdżającego właśnie błękitnego pojazdu numer trzynaście, bezwiednie zajmując miejsce naprzeciw zwyczajowo naburmuszonej Sękiej Staruszki. Maszyna pisnęła ostrzegawczo dzwonkiem, syknęła zamykanymi drzwiami i ruszyła z szarpnięciem, tocząc się po trasie, którą ponownie pracujący w wyuczonym zawodzie bibliotekarz miał odtąd pokonywać pięć razy w tygodniu.

*Pisać skończyłem w lutym 2014 roku.*

*Kraków.*

# Skontrum

**Pamięci HK, HD i DC. Dziwni to byli chłopcy!**

*„Jesteście wspaniali, jesteście bez sensu!”*

*Cewka*



## Prolog

Czarny kocur zasyczał nienawistnie, wlepiając ślepią w nadbiegającą parę wystrojonych ludzi. Rozkrzyczani intruzi przerwali jego zasłużony wypoczynek w późno-majowym słońcu. Zeżłony, zeskoczył z okupowanej dotąd ławeczki na zabytkowy bruk Rynku, krocząc dumnie w kierunku przeciwnym do Urzędu Miasta, skąd wypadli przed momentem hałaśliwi *homo sapiens*. W jego dumnym, kocim sercu nie było dla nich niczego prócz pogardy.

Pan Młody dopadł wybrankę tuż przed postojem taksówek. Silnym, silniejszym niż zamierzał szarpnięciem za ramię zatrzymał ją i obrócił ku sobie. Drżącymi spazmatycznie dłońmi chwycił jej ramiona, jakby w obawie, że odziana w oślepiającą biel kobieta mogłaby lada chwila wzbić się w powietrze i ponownie umknąć. Ta jednak stała bez ruchu, wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń gdzieś ponad głową niedoszęłego męża.

– Sebastian, puść – poprosiła zaczepnym tonem – miałeś rację. To nie dla nas!

Poblądły mężczyzna cofnął się o krok, niezdarnym gestem odganiając niewidzialną muchę sprzed nosa.

– Ty nie mówisz poważnie – wycodził. – Ty nie możesz...

– Bo? No, nie mogę, bo co? Sam nie chciałeś tego ślubu!

– Ale mnie przekonałaś! Wtłoczyłaś mnie w te swoje ramy, plany i drobiazgi, wyznaczyłaś kurs i dmuchałaś w żagle jak oszalała, aż jestem tu, TUTAJ! Na NASZYM ślubie! W dupie mam ten papiererek, zrobiłem to dla ciebie!

– A ja teraz ślubu już nie chcę. No co? O to ci przecież chodziło! Wyszło przecież na twoje! Żadne czary-mary nam niepotrzebne, żadne

obrączki i torty!

– Powiedzmy sobie „tak” i miejmy to za sobą.

– Nie chcę.

– Zostawiasz mnie pod ołtarzem?

– Nie histeryzuj! Jakim tam ołtarzem zresztą, urzędniczką stanu cywilnego, jak już.

– Ja, ja histeryzuję...

Mężczyzna sapnął coś niezrozumiale i wytarł mokre od potu dłonie w poły marynarki. Spojrzał za siebie, ku stłoczonym w stadko, ciekawskim weselnikom. To im się trafiła atrakcja! Na kilku twarzach dostrzegł satysfakcję, na paru żal, reszta wyrażała po prostu zaciekawienie. Niczym tłumek przy wypadku samochodowym, najlepiej z potrąceniem pieszego. Tylko krwi nie ma.

– Będzie i krew – mruknął pod nosem. – Będzie! – wrzasnął.

Panna Młoda cofnęła się, trafiając plecami na drzwi taksówki. Chciała obrócić się, poszukać klamki, zrobić coś, cokolwiek, ale stała tylko bez ruchu, bezwiednie poruszając wargami. Nigdy nie widziała w twarzy swojego partnera tyle gniewu. W końcu, po tych wszystkich latach, zobaczyła, że Sebastian potrafi tak zwyczajnie, po ludzku, wpaść w furję. Zniknęła wreszcie ta irytująca maska samokontroli, filtr, który tłumiał wszystkie uczucia tego dziwaczного człowieka. Teraz, właśnie teraz, mógłby powiedzieć, że ją kocha, może chociaż ten jeden raz zabrzmiałoby to tak, jak powinno! Z uczuciem!

Lecz Pan Młody wszystkie swe emocje włożył nie w słowa, lecz w czyn. Jego zbiełała, pokryta sznurami żył pięść roztrzaskała doszczętnie nos Panny Młodej. Kobieta odbiła się od karoserii i runęła na ziemię, tłum zawył, a przytomny taksówkarz odpalił silnik. Koronki śnieżnobiałej sukni natychmiast przedzierzgnęły się w szkarłat, lecz tego faktu nie

zarejestrował już krzyczący wniebogłosy Sebastian. Wciąż krzycząc, wpadł do wnętrza pojazdu, gdzie skulił się na siedzeniu, próbując za wszelką cenę zetrzeć z dłoni krew swoim białym krawatem. Samochód ruszył z piskiem opon, zostawiając rozhisteryzowany tłum za sobą.

– Zapłacisz mi pan za ten kurs jak szejkowi! – oznajmił triumfalnie pucułowaty taksiarz. – Jak królowi w dniu urodzin! Żebym ja tak swoją starą zdzielił dwadzieścia dwa lata temu, to bym teraz jachtem pływał, a nie taryfą piłował za grosze!

– Na osiedle Kosmonautów – wychrypiał Sebastian. – Poczekaj pan pod klatką, ja tylko pieniądze zabiorę, a potem jedziemy na dworzec, kolejowy, autobusowy, bez znaczenia. Albo i za miasto, ludzie już koperty dali, stać mnie.

– Dziwny to zwyczaj, dawać kasę przed ślubem – zawyrokował kierowca. – Tak się nie robi.

– Nie robi – powtórzył bezmyślnie Sebastian, wpatrując się w zbroczony krwią krawat. – Tak się faktycznie nie robi.

Rozeźlony czarny kocur jeszcze przez dłuższy czas przyglądał się intruzom. Po zniknięciu jednego pojazdu szybko pojawił się drugi, bardzo głośny, migający światłami. Zabrał ranną kobietę i również zniknął. Kot zapamiętał, by po odejściu ludzi podejść do miejsca, gdzie upadła ta ludzka samica. Może na bruku zostało jeszcze trochę krwi, którą mógłby wychłęptać. Tymczasem ponownie zajął swoje miejsce na ławeczce i wyciągnął pyszczek ku słońcu.

# Rozdział I

## Ad fontes!

Sebastian bez entuzjazmu przeżuwał przypalone jajko sadzone, zagryzając je kawałkiem słodkiej chałki. Tylko kolejne łyki herbaty pozwalały mu przełykać zalegającą w ustach breję, jak wypadałoby określić jego dzisiejsze śniadanie. Wczorajsze nie było zresztą lepsze. Za to przedwczoraj zjadł serek pleśniowy z macą i to akurat było smaczne. Nawet bardzo! Ale to, co miał teraz w ustach... Przełknął jakoś kolejną porcję, a resztę tego, co stygło smętnie na talerzu, wyrzucił do kosza. Śniadanie miał już za sobą, teraz czas na kolejny rytuał. Stanął przed przylepionym do ściany wielkim kawałkiem białego kartonu, na który naniósł niedbale kolejną liczbę. Trzysta osiemdziesiąt dwa. Tyle dni minęło od czasu, gdy jednym ciosem przeciął wszystkie więzy z dawnych życiem. Rodzina, przyjaciele, nawet szef, wszyscy spisali go na straty, był dla nich jak martwy. I dobrze. Jako tłumacz-freelancer zarabiał dwa razy tyle, jego potrzebami zajmowały się dziwki, a nowo poznani kumple od kieliszka byli przejrzysti jak kryształ, liczyły się dla nich tylko jego pieniądze. Uczciwy układ. Nowe Miasto też było w porządku. Wszystko było w porządku! Spojrzał smutno na pokryte drobnymi bliznami uda. A mimo to ciął się jak jakaś nastolatka. Żeby chociaż robił to żyletką! Ale kaleczyć się maszynką do golenia? Upadł na samo dno, i wcale nie było tam tak poetycko i metaforycznie jak w amerykańskich filmach. Jeśli w ogóle miałyby porównać swoje życie do jakiegoś dzieła filmowego, to bardziej pasował „Nagi Lunch” niż „Taksówkarz”. Dzwonek wysłużonego telefonu przerwał jego rozmyślenia, które również stanowiły części składowe rytuału porannej ablucji.

– Wojtek?! – prawie wrzasnął do słuchawki.

- Cześć, Sebastian.
- Człowieku! Ile my ze sobą nie gadaliśmy?! Pięć lat?
- Trzy. Słuchaj, dopiero jakoś niedawno dowiedziałem się o twoim... nieudanym ślubie.
- Do Miasteczka nawet plotki dochodzą ostatnie, co?
- No ba! Prowincja zobowiązuje! Słuchaj, nie przyjechałbyś do mnie na tydzień? Pracuję teraz w bibliotece i właściwie sam jeden przeprowadzam tę całą inwentaryzację.
- Skontrum?
- Tak.
- Skontrum to chrzest ognia bibliotekarza.
- Zauważyłem. A wiem o tym tyle, co z Wikipedii. A ty jesteś bibliotekarzem, bądź co bądź.
- Wedle dyplomu tak, w zawodzie robiłem chwilę.
- Przyjedź. Proszę.
- Wiesz, dzięki, ale naprawdę dobrze się trzymam.
- W takim razie przyjedź podładować moje baterie.
- Słuchaj... Oddzwonię wieczorem.
- Ok.
- Cześć.

Sebastian powoli odłożył telefon na stół przykryty ślubnym garniturem. Spojrzał wymownie na wiszący nad lodówką łapacz snów sklecony z drutu, rozbitych kieliszków i zakrwawionego krawatu. Uśmiechnął się kwaśno ku kolonii pleśni porastającej wrzucony do zlewu talerz z resztkami makaronu i zieleniejącej się resztkami przypalonego szpinaku patelni. Na koniec stanął przed ściennym lustrem, przykręconym do boazerii wyścielającej ściany przedpokoju. Sflaczała twarz, mętne oczka, świńska szczecina porastająca stoki policzków. Bieda z nędzą.

Definitywnie – trzeba jechać, odpocząć, jak bohaterowie rosyjskiej prozy dziewiętnastego wieku do nadmorskich kurortów. Przeżyć wewnętrzną przemianę, upodlić się albo co innego. Byleby wprowadzić się w ruch, wybić z martwego pola, przeskoczyć z równi pochyłej gdzieś dalej, choćby w przepaść.

Pięć godzin później mężczyzna siedział w wysłużonym pociągu linii regionalnych, wlokącym się nieuchronnie w stronę jego rodzinnego Miasteczka.

\*\*\*

Cierpki fetor lepkich od potu ciał przestał drażnić Sebastiana. Wpatrzony w nagrzaną szybę mężczyzna był obojętny na wszystko, chciał tylko wyjść z rozklekotanego, przeludnionego autobusu i zaczerpnąć świeżego powietrza. Chociaż właściwie miał szczęście, dostał miejsce siedzące, o czym tłumek stojących w przejściu pomiędzy fotelami pasażerów mógł tylko pomarzyć. Przeklęty autobus! Leniwa, urokliwa podróż pociągiem pozostała uświęconym wspomnieniem, rajem bezpowrotnie utraconym. Bezdzuszne siły wyższe, w postaci zarządu Kolei Państwowych, ognistym ostrzem zarządzenia o nierentowności zamknęły działające od dekad połączenie kolejowe do Miasteczka. Obecnie po porośniętych zielskim torach przemykały wyłącznie składy towarowe, a wszyscy, którzy kupili bilet bezpośredni, zmuszeni byli przesiąść się w autobus i ostatni, blisko stukilometrowy odcinek drogi pokonać w jego wnętrzu. Mimo tego Sebastian nie żałował ani sekundy spędzonej w tym zaduchu. Ta podróż do źródeł była mu rozpaczliwie potrzebna, nie mógł dłużej tkwić wewnątrz własnej głowy. Ciekawe, jak bardzo zmieniło się Miasteczko podczas jego pięcioletniej nieobecności? Pewnie niewiele albo wcale. Nigdy go to nie interesowało, po ukończeniu studiów po prostu wyjechał, zostawił

wszystko i wszystkich za sobą. A teraz wracał, jak wygłodniały pies w miejsce stałego, choć marnego żeru, do rodzinnego Miasteczka. Miejsca, którym gardził niemal tak mocno, jak go potrzebował. Bolesny paradoks.

– No dalej jadę! – warknął do telefonu siedzący na sąsiednim fotelu chłopak. – Będę za pół godziny, czy coś takiego. Pa.

Sebastian spojrzał na niego wymownie, próbując sobie przypomnieć, czy od chwili wyjazdu współpasażer odebrał sześć, czy siedem telefonów od zniecierpliwionej dziewczyny.

– A podobno znieśli obowiązek meldunkowy – zagaił bez większego entuzjazmu.

– Proszę? – mruknął nieznajomy.

– Te telefony, meldujesz się swojej dziewczynie chyba co kwadrans. Po co?

– A... Nie chciałem panu przeszkadzać.

– Panowie to byli za sanacji. Nie uśmiechasz się. No dobra, może to byłoby śmieszne, jeśli byłbym starszy o trzydzieści lat. Sebastian jestem.

– Paweł – wybąkał chłopak.

– Słuchaj Paweł, nic nie mam do twoich rozmów, melduj się choćby co pięć minut tej swojej Gertrudzie. Po prostu chcę przegadać te ostatnie kilometry, zanim do reszty zwariuję w tym przeklętym pudle.

– Spoko.

– Spoko – powtórzył Sebastian, próbując nadać temu słowu nowe brzmienie – spoko. No to spoko. Ile z nią jesteś?

– Trzy miesiące.

– Ja ze swoją byłem ponad pięć lat. A potem się nam nie ułożyło. Bardzo nie ułożyło.

– Daj pan chłopakowi spokój – wtrącił się siedzący nieopodal facet o aparycji zawodowego degustatora kielbasy.

– A co ja mu niby robię? Gadamy tylko. Prawda, Paweł?

Chłopak kiwnął bojaźliwie głową. Kielbasiarz fuknął coś gniewnie pod nosem, przez moment sprawiając wrażenie gotowego do słownej konfrontacji, lecz coś za szybko przykuło jego uwagę na tyle, by zamilkł.

– No więc dobra, Paweł – kontynuował bezlitośnie Sebastian – jesteście ze sobą kwartał i tak to wygląda, że ona wymaga, a ty się słuchasz. Warta jest tego?

– Warta – odparł natychmiast chłopak.

– A pewnie, że warta! Inaczej ty, Pawle, byś się tak nie starał. Nie wyglądasz na kogoś, komu specjalnie zależy na czymkolwiek, więc mogę założyć, że skoro tym razem jest inaczej, to cel jest warty szopki.

– Tak.

– To winszuję.

Ukryty w kieszeni bojówek telefon Pawła zabrzęczał, wyduszając ze znużonego głośnika melodyjny łomot. Chłopak spojrzał trwożnie na rozmówcę, lecz wyjął aparat i zerknął na wyświetlacz, z ulgą odbierając połączenie.

– Halo? Mama? No dojeżdżam, dojeżdżam. No, no. A co, dzwoniła do ciebie? No gadałem z nią! Wie, że niedługo dojadę. Wie, na pewno. Dobra cześć.

Sebastian uśmiechnął się z ukontentowaniem, by zawyrokować:

– Zaborcza ta twoja panna.

– Taka już jest.

– Moja też była.

– Pan z nią nie wytrzymał czy ona z panem? – wypalił poirytowany chłopak.



– Ja.

– I mnie też pan radzi zerwać?

– Od rad to masz kumpli, a nie mnie, nieznajomego, nachalnego typu. Ja po prostu umilam sobie czas rozmową. I nie patrz tak na mnie! Nie użyłem liczby mnogiej, bo jakoś tak mam wrażenie, że ciebie nasza konwersacja mniej bawi. Ale co tam, raz się żyje. Od pewnego czasu słucham się swoich impulsów. Teraz też jestem w podróży z powodu takiego zrywu. Odwiedzę starego kumpla, potem może drugiego kumpla i kumpelkę. Ta ostatnia dwójka jest już po ślubie. I to dzięki mnie poniekąd, może jakbym wtedy nie wyjechał, to inaczej by się to wszystko poukładało.

– Człowieku – jęknął ostrzegawczo kielbasiany kiper.

– Paweł się nie skarży. Może nawet kiedyś historia jego związku trafi do telewizji. W „Takiej Gadce!” uwielbiają podobne tematy!

– Daj mi pan spokój – poskarżył się Paweł.

– Obcym to się umiesz postawić, a swojej... Ech!

Sebastian machnął lekceważąco dłonią, na tyle, na ile pozwalała mu na to ciasnota pomiędzy fotelami. Stracił zainteresowanie Pawłem, który w międzyczasie odebrał kolejny telefon od swojej połowicy, na której najwyraźniej postanowił rozładować wzbierającą od dłuższego czasu agresję. Po trwającej kilka minut kłótni, zaczął przeproszać i nim zdążył po raz trzeci obiecać poprawę autobus wjechał na rozległe przedmieścia Miasteczka. Kwadrans później koszmarne podróże nareszcie dobiegła końca.

Wytaczający się z nagrzanego wnętrza pojazdu Sebastian usłyszał jeszcze, jak Paweł zrywa ze swoją oblubienicą i ciska aparatem o podłogę.

\*\*\*

Łupiny z cichym plaśnięciem upadły na dno plastikowego wiaderka. Pani Bogusława leniwie zaciągnęła się lawendową cygaretką, uważnie obserwując obierającą ziemniaki kobietę. Malwina nie szukała kontaktu wzrokowego z przekwitłą sąsiadką, która regularnie składała wizyty bardziej przypominające okresowe kontrole, niż sąsiedzkie ploteczki. Przypłaszczyła wierzchem dłoni niesforny kosmyk rudych włosów i sięgnęła po kolejnego kartofla, wzdychając ciężko. Na ten właśnie sygnał najwyraźniej oczekiwała z utęsknieniem Bogusława, która mlasnęła pękatymi wargami, oznajmiając:

– Tak, życie nie jest łatwe.

– Nie – przyznała pokornie Malwina – nie jest.

– Na przykład ty, moja droga. Takie zawsze miałaś dobre stopnie! Twoja, niech jej ziemia będzie lekką, matka zawsze mi opowiadała, jak to dobrze sobie radziłaś w szkole, a potem na tych całych studiach. I jakiego sobie dobrego kawalera wyszukałaś! Szkoda tego Sebastiana, szkoda, że wyjechał.

– Szkoda.

– Wszyscy byście tylko wyjeżdżali z Miasteczka. W świat. A tam też nie ma pracy, a tutaj to przynajmniej spokojnie się żyje.

– Tak – przytaknęła machinalnie Malwina.

Pani Bogusława zmrużyła podejrzliwie oczy, zaciągając się przesadnie długo, co natychmiast wywołało atak świszczącego kaszlu. Gdy tylko zdołała uspokoić oddech, spytała poważnie:

– A co tam u was? Pewnie krucho – stwierdziła, nie czekając na reakcję rozmówczyni. – Ten twój mężulek nadal po knajpach gra, co? Stary chłop, trzydziestka na karku, żona i dziecko na utrzymaniu, a ten łązi nocami i koncertuje, jak kawaler. A ty, słońce, przynajmniej się trzymasz. Nadal wyglądasz jak podłotek, a przecież jesteś w jego wieku!

- Dziękuję.
- A Sebastiana szkoda, taki miły był chłopak.
- Wiem.
- Co tam u niego?
- Nie mam pojęcia.

Bogusława burknęła coś pod nosem, sunąc po odmętach pamięci w poszukiwaniu kolejnego tematu do rozmowy. Jej umysł przypominał archiwum, w którym każdy mieszkaniiec Osiedla posiadał własną kartotekę ze stosownymi notatkami poczynionymi na marginesach biogramów. Mogłaby spróbować dowiedzieć się czegoś o Mateuszu. Synek Malwiny był dla kobiety zagadką. Ten pięcioletni szkrab cierpiał na jakąś chorobę, nic mu fizycznie nie dolegało, więc pewnie była to choroba TAKIEGO rodzaju. Opóźniony. To słowo zawsze napawało Bogusławę obrzydzeniem. Było w nim coś naprawdę niestosownego, niemal bluźnierczego. Ciekawe, czy mały skończy jak ten spod piątki? A w ogóle dlaczego chłopak teraz śpi? Nie powinien się bawić? Dziwne. Może ONI potrzebują więcej snu, niż normalni ludzie? Kto wie...

– Więc nie wiadomo, co tam u Sebastiana? – na wpół świadomie wymamrotała Bogusława.

– Nie.

– Szkoda.

– Pani Bogusławo, nie chcę być niemiła, ale zaraz muszę zająć się kotletami, więc...

– Och, mną się nie przejmuj kochana, mogę sobie tutaj siedzieć, mi hałas nie przeszkadza.

– No dobrze.

Malwina pozwoliła sobie na jedno ostrzejsze spojrzenie prosto w chytrą twarz intruza. Pani Bogusława! Ciekawe, czy osiedlowe plotki

były prawdziwe i „Bogusia” rzeczywiście regularnie przyjmowała u siebie mężczyzn? Była zamożna, to dało się stwierdzić już na pierwszy rzut oka. Chociaż najwyraźniej zamiłowanie do krzykliwej biżuterii, agresywnego makijażu i drogich strojów nie przeszkadzało kobiecie wciąż używać tanich perfum o duszącym aromacie spirytusu. Zresztą, nawet jeśli wszystkie opowieści były prawdziwe, to co z tego? Czy ona była lepsza? Kiedy Sebastian zdecydował się po studiach na wyjazd z Miasteczka, spanikowała. Rzuciła go. Kiedy Tomek, od lat bezskutecznie szukający sposobu na podbicie jej serca przystąpił do ofensywy, nie broniła się długo. Kilka wspólnych imprez, pijacki seks, ciąża. Mały skandal zakończony ślubem, a przez to puszczony przez ludzi w niepamięć. Spojrzała raz jeszcze ku Bogusławie. Co właściwie kryło się pod maską blichtru, pudru i rozpaczliwie maskowanych zmarszczek? Kim była ta kobieta, czego pragnęła, jaki sen śniła, zanim rzeczywistość ostatecznie przemieniła ją w krzykliwą plotkarę o workowatych piersiach? I ile czasu minie zanim ona, filigranowa Malwinka, stanie się taka sama? Zgorzkniała, mściwa i wścibska. Pani Bogusława, Pani Malwina, Klatka, Osiedle, Miasteczko. Sebastian miał rację, powinna się stąd wynieść. Jeśli nie dla niego, to dla samej siebie. Przez jedną straszną chwilę wyobraziła sobie, jak potoczyłoby się wtedy jej życie, życie bez Mateusza. Brzydziła się sobą. Czyżby zaczynała już przesiąkać wszechobecną aurą piętnowania inności? Przypomniła sobie zasłyszana tego ranka dziecięcą kłótnię pod sklepem. Wśród tych wszystkich dziwacznych substytutów prawdziwych wulgaryzmów na pierwszy plan wysuwało się to najbardziej jadowite, nienawistne powiedzonko: „Ty jesteś jakiś upośledzony!”. Czy ktoś kiedyś powie coś takiego do jej syna? Na pewno.

– Pójdę już – oznajmiła wielkodusznie pani Bogusława, podnosząc się z taboretu. – Ja też muszę coś ugotować.

– Odprowadzę panią do drzwi.

– Nie trzeba, nie trzeba. Rób swoje. Gospodyni musi być skupiona! Kuchnia to jak pole bitwy. Ha ha!

Malwina uśmiechnęła się z politowaniem, kiwając jednocześnie głową z wyrazem pełnej aprobaty dla słów swojego gościa. Po kilku minutach już tylko zapach lawendowej cygaretki i tanich perfum świadczył o obecności znienawidzonej sąsiadki. Melodyjny dźwięk telefonu wyrwał Malwinę ze stanu lekkiego otępienia, w który popadła po zamknięciu drzwi wejściowych. Odruchowo zerknęła na wyświetlacz i zamarła na chwilę. Dzwonił Wojtek.

– Co tam? – zaszczebotała. – Dawno się nie odzywałeś! – dodała z wyrzutem.

– Jakoś nie było nic ciekawego do przekazania.

– A teraz jest?

– Tak.

– No? Słucham.

– Sebastian przyjechał. Tak pomyślałem, że wieczorem moglibyśmy się spotkać w czwórkę, ja, ty, Sebastian i Tomek, stara ekipa po raz pierwszy od lat!

– Prawie jak za dawnych lat – dodała machinalnie kobieta. – Jasne! Wpadnijcie do nas wieczorem, tak po dwudziestej pierwszej, to Mateusz nie będzie nam przeszkadzał.

– No to super! Do zobaczenia, Ruda!

– Cześć, DC!

Dobry Człowiek i te jego niespodziewane wiadomości! Wojtek od zawsze był w ich paczce wieszczem wszystkiego, co najlepsze albo najgorsze. Może chociaż tym razem ten domorosły poeta nie wykracze

jakiegoś dramatu i wszyscy spędzą po prostu zwyczajny, pełen banalnych wspomnień wieczór.

\*\*\*

Chłód bibliotecznego gmachu cudownie koił rozgrzaną skórę Sebastiana, który leniwie przewracał karty wysłużonej księgi inwentarzowej. Wojtek spojrzał na niego podejrzliwie i odkładając telefon, spytał:

– I po co ten cyrk ze wspólną kolacją? Nie mogłeś sam zadzwonić?

– Jaki cyrk? Po prostu chcę, żeby nasza paczka spotkała się w komplecie.

– No tak, w końcu sentymentalny z ciebie facet.

– Daj spokój. Po prostu jestem ciekaw, jak się im wiedzie.

– Naprawdę cię to interesuje? Czy po prostu chcesz zobaczyć, czy ten związek już wykończył Malwinę, tak jak jej to prorokowałeś?

Sebastian burknął coś, zerkając w arkusz skontrum.

– I jak? – spytał pojednawczym tonem Wojtek.

– Co jak? Arkusz?

– Tak.

– To nie wzór matematyczny, żebym na oko coś wyłapał. Po prostu będziemy musieli porównać katalog ze stanem faktycznym księgozbioru i oznaczyć braki względne i bezwzględne. Do kiedy masz się z tym uporać?

– Jeszcze z jakiś tydzień z hakiem.

– Tyle co nic. No dobra, nie przeszkadzam. Od jutra zaczniemy pracować razem, dziś nie mam siły. Dawaj klucze do twojego mieszkania, to wezmę prysznic. Gdzie ty w ogóle teraz mieszkasz?

– W domu babci.

– Którym?

- No tym starym przy rzece, koło czołgu.
- A co, umarła?
- Nie, Sebastian, nie umarła. Jest w domu spokojnej starości, a ja mam pod opieką dom. Mieszkanie koło rynku wynajmuję.
- Winszuję! I do tego praca w bibliotece. Skoro stabilizację finansową już masz, to teraz myśl o żonie i dzieciach.

Wojtek nie odpowiedział, ostentacyjnie wpatrując się w monitor komputera. Wyjął z kieszeni klucze i rzucił je na blat, nawet nie zaszczycając spojrzeniem rozmówcy. Sebastian zgarnął je szybkim ruchem, mnąc w ustach przekleństwo. Dobry Człowiek najwyraźniej wciąż obstawał przy swoim bajkowym planie znalezienia bratniej duszy, albo tkwienia w stanie kawalerskim aż po grób. Zupełnie jakby odszukanie takiej osoby było zwieńczeniem historii. Tymczasem życie potrafiło dać w pysk znacznie konkretniej, niż cios, jaki Sebastian zadał przed rokiem swojej wymarzonej kobiecie.

Poza secesyjnym gmachem biblioteki roztaczała się betonowa pustynia, z której wyrastały cielska pomalowanych w pstrokate pasy bloków. Upał był nieznośny, a niedostatek zieleni jeszcze potęgował jego działanie. Sebastian ze wstrętem przetarł mokrą od potu szyję, bezceremonialnie osuszając dłoń o koszulkę. Cieszył się, że nie zabrał w podróż żadnego bagażu. Gdyby teraz przyszło mu jeszcze targać ze sobą walizkę, mógłby łatwo stracić nad sobą kontrolę. Od czasu nieudanego ślubu często wpadał w szal, a kontrolowanie się podczas napadów agresji przychodziło mu coraz ciężiej. Postanowił, że wszelkie potrzebne rzeczy kupi nieopodal Domu Babci Wojtka, w markecie, który od lat zalewany był za każdym razem, gdy Rzeka występowała z brzegów. O ile w ogóle jeszcze był otwarty.

Sebastian na każdym kroku odkrywał istotne zmiany, które zadawały kłam zachowanemu we wspomnieniach obrazowi Miasteczka. Ze śródmieścia zniknęło wielkie, otoczone blaszanymi ścianami lodowisko, na jego miejscu powstawał parking. Część budynków otrzymała nowe elewacje, inne popadały z wolna w ruinę. Niepostrzeżenie tu i ówdzie wyrosły punkty usługowe i małe galeryjki handlowe, coraz śmielej oplatając pnączami kolorowych szyldów dawne budynki zakładów pracy. Miasteczko wypiękniało, nabrało krzykliwych barw oraz kuszącego wyglądu. Rozpaczliwie potrzebowało pieniędzy, było więc zdesperowane, by wycisnąć je zarówno z własnych obywateli, jak i przejezdnych wycieczkowiczów. Niczym początkująca prostytutka, solidnie wyszykowana przez szefostwo przed spotkaniem z pierwszym ważnym klientem. Młodzi, jak Sebastian, umykali stąd jak szczury z tonącego statku. Starzy natomiast wszelkie oszczędności wysyłali swoim pociechom w innych miastach lub przepuszczali je na wyprzedażach sklepowych. Większość mieszkańców żyła za to zwyczajnie, uczepleni kredytów lub zanurzeni w troski codzienności. Wieszczony przez Sebastiana upadek Miasteczka nie nadchodził, a nawet jeśli działa się źle, to daleko było surowej codzienności prowincji do apokaliptycznych wizji mężczyzny, pełnych ruin, zgliszczy, tłumu bezdomnych oraz hordy bezpańskich psów. Nawet upadek największego zakładu przemysłowego nie przetrącił Miasteczku karku, które pokornie, lecz z dumą pożegnało się z produkcją autobusów. Jakoś się tutaj żyło, i to bezpłatnie „jakoś” widziane na każdym kroku doprowadzało spragnionego ekstremów Sebastiana do furii. Zapomniał o koniecznych zakupach i, wściekły jak ranne zwierzę, wdarł się na podwórko Domu Babci Wojtka, z hukiem zatrzaskując za sobą bramkę. Po krótkich, nerwowych poszukiwaniach właściwego klucza wkroczył do parterowego, ceglanego budynku, którego



chłód ukoił nieco rosnące w mężczyźnie zdenerwowanie. Usiadł na wysłużonej kanapie w miejscu, które zawsze wybierał, gdy przychodził tutaj razem z Wojtkiem. Po chwili zerwał się i przez jakiś czas krążył nerwowo po pokoju. Nagłe wspomnienie zmroziło go w pół kroku. Z szelmowskim uśmiechem zerknął do szafki, z której jeszcze jako dzieciaki wykradali staruszcze nalewkę. Teraz, po latach, w końcu będzie mógł pozwolić sobie na coś więcej niż szczenięcy, łapczywy łyk przy akompaniamencie dudniącego z podniecenia serca. Otworzył jak zawsze zdradliwie skrzeczące drzwiczki, ozdobione prostym różanym ornamentem. W środku było pusto.

\*\*\*

Zaróżowiona od nieprzerwanego strumienia ciepłej wody skóra zmarszczkami protestowała przeciw dalszemu namakaniu. Sebastian spojrzał ze smutkiem na białe bruzdy blizn, które niczym robactwo obsiadły sporą część jego ud. Ostrożnie położył dłonie na tych mapach cierpienia, delikatnie wodząc opuszkami palców po najświeższych rankach. Jeszcze kilka miesięcy temu potrafiłby zidentyfikować okoliczności powstania każdej z nich. A teraz? Uśmiechnął się z politowaniem. Samookaleczenie nie było już jedynie gwałtowną reakcją na zewnętrzne bodźce, potrzeba gładko przeszła w nawyk, a od nałogu dzielił go już tylko krok.

– Wyłaż w końcu – krzyknął Wojtek, tłukąc pięścią w drzwi.

– Dobra, dobra – mruknął Sebastian, z żalem zakręcając kurek.

Niedbale osuszony, wcisnął się w kupione na oko rzeczy, granatowe polo z przeceny –20% w komplecie z bojówkami w barwie khaki. Opuścił ciasną łazienkę, wypuszczając na korytarzyk kłęby pary i ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie gospodarza, mruknął:

- Czas się zbierać.
- Co ty nie powiesz.
- Ruda nadal mieszka u nas?
- Tak. Mieszkają, cała trójka. Rodzina.

Sebastian wzruszył ramionami, kierując się ku kuchni. Czując na karku ciężkie, karcące spojrzenie Wojtka, wyjął z lodówki kilka plasterów żółtego sera, zwinął je w rulonik i wsadził do ust. Nie przestając żuć, wzuł niedbale zdezelowane buty. Czas nagiął, praktycznie już byli spóźnieni, chociaż od „ich” mieszkania dzieliło ich nie więcej, niż dziesięć minut marszu. Ich mieszkanie! Klitka na czwartym piętrze w wielkopłytowcu, jednym z wielu betonowych pudełek, których lasek tworzył Osiedle na zachodnim skraju Miasteczka. Wynajmowali je od wujka Malwiny przez cały okres studiów, tworząc całkiem zgraną ekipę. On, Wojtek, Ruda i Tomek. Żyli na swoim, chociaż zaledwie kilka bloków dzieliło ich od rodzin.

- O czym tak dumasz? – mruknął Wojtek.
- Zastanawiam się, co by było, gdyby moi rodzice nadal tu mieszkali. Mogliby teraz wpaść na mnie. Ciekawe, czy po prostu odwróciliby wzrok, czy zrobili scenę?
- Nie masz z nimi kontaktu?
- Jak ze wszystkimi weselnikami.
- Nie próbowałaś czegoś z tym zrobić?
- Nikt, Wojtku, nikt z nich nie odezwał się do mnie od roku. Nikt! Naturalnie pomijając falę wyzwisk w pierwszych dniach. A ty? Dlaczego nagle postanowiłaś odświeżyć kontakty? Nie oszukujmy się, od lat praktycznie cię ignorowałem, naszą przyjaźń od przedszkola szlag trafił. Więc dlaczego?
- Skontrum.

– Skontrum, ha! No dobrze, niech będzie, że chodzi o skontrum.

– A ty?

– Co ja?

– Dlaczego postanowiłeś natychmiast przejechać pół kraju po moim telefonie?

– Skontrum.

Mężczyźni parsknęli solidnie zaprawionym histerią śmiechem, który daremnie usiłowali stłumić przez resztę drogi. Jako pierwszy opanował się Wojtek i, wciąż z uśmiechem na ustach, oznajmił:

– A tak poza tym, miesiąc temu próbowałem się zabić.

Nie dając Sebastianowi szansy na odpowiedź, szarpnął za klamkę i śmiało wkroczył na klatkę schodową, chyżo przeskakując po dwa stopnie naraz. Pozostawiony na dole mężczyzna ruszył niemrawo jego śladem, trawiony przez zazdrość. Tak oto bezpowrotnie utracił palmę pierwszeństwa w kategorii „problemy życiowe”. Jego żalosne ranki na udach i narastająca fobia społeczna przegrywały na starcie z pancerną dywizją samobójstwa. To Dobry Człowiek potrzebował wsparcia, nie on. Jego problemy, jak zawsze, musiały pozostać w cieniu czegoś ważniejszego. Jak przed tym koszmarnym ślubem, który zupełnie zdominował jego życie, zanim wyrwał się z tej psychicznej klatki jednym pewnym ciosem. Wyrwał się, czyli uciekł. Odroczył wyrok, dostał zawiasy. Jednak tym razem nie miał już dokąd uciekać, czuł bowiem, że Miasteczko stanowiło ostatnią granicę, limit jego możliwości, ostatnią szansę. Szansę na co? Życie? Nigdy nie planował się przecież zabić. A więc? Czego tu szukał? Rozgrzeszenia za roztrzaskanie nosa kobiecie, którą kochał? Bzdura. Akceptacji? Wątpliwe. Okazji? Niby na co? Dopadł Wojtka tuż przed drzwiami ich dawnego mieszkania. Otworzył im pijany w sztok Tomek, zza ramienia którego wyłoniła się wymizerowana

Malwina, zrozumiał, czego tutaj szukał. Starej, wyświechtanej jak ulubiony kawałek ulubionego zespołu, zemsty. Bo kto jak kto, ale Ruda zasługiwała na coś więcej, niż pełen rezygnacji smutek, który dojrzał w jej zielonych, koszmarnie pustych oczach.

\*\*\*

Tomek, w przeciwieństwie do reszty towarzystwa stłoczonego w kuchni, bawił się świetnie. Od dłuższego czasu zasypywał gości anegdotami z życia swojego zespołu i roztaczał wizje rozwoju kapeli, która - wedle jego słów - wkroczyła właśnie w najlepszy okres działalności. Ignorując wściekle spojrzenie żony, wydobył z lodówki kolejne piwo, nucąc coś pod nosem.

– To nasz nowy kawałek – skwapliwie wyjaśnił, chociaż nikt nie spytał go o rodowód chwytliwej melodii. – Będzie ostrzejszy niż zwykle! Jesienią wypada sześćciolecie zespołu, to musimy jakoś poszerzyć nasz repertuar.

Sebastian zastanawiał się, jakim cudem mężczyzna wciąż potrafił mówić z sensem, skoro utrzymanie równowagi na taborecie sprawiało mu wyraźną trudność. Malwina wydawała się zupełnie nieobecna, co pewien czas rzucała jakąś grzecznościową uwagę albo znikwała, żeby sprawdzić, czy Mateusza nie obudziły pijackie okrzyki jego ojca. Sebastian uzmysłowił sobie, że do tej pory nie widział jeszcze malca i właściwie, nawet w myśli, uparcie ignorował fakt jego istnienia. Mimowolnie spojrzał na Wojtkę, który tego wieczoru co najmniej dwa razy pytał o tego dzieciaka. Najwyraźniej sezonowo robił małemu za ojca, gdy ten prawdziwy akurat zniknął gdzieś podczas swoich muzycznych tournée. A przynajmniej taki obraz wyłaniał się z ich rozmowy, w której on już od dłuższego czasu nie uczestniczył. Właściwie od samego początku był

tylko obserwatorem, z Malwiną wymieniał ledwie kilka pustych zdań. Chociaż to było mu nawet na rękę, nie miał zamiaru rozmawiać z Rudą w takich warunkach. Wystarczyło, że przekonał się, iż kobieta w zasadzie całkiem nieźle sobie radzi. Jako szefowa dziennej zmiany kasjerek w supermarkecie zarabiała wystarczająco dużo, żeby opłacić wszystkie rachunki i bieżące wydatki, a koncertowe tantiemy Tomka potrafiły od czasu do czasu porządnie napchać domowy budżet. Obraz może nie sielski, ale zdecydowanie nie tak piekielny, jak wizja powstała w umyśle mężczyzny tuż po przekroczeniu progu tego domu. Nikt tu nie potrzebował ratunku, a przynajmniej nie od niego, obcego. Malwina i Wojtek zaśmiali się, co natychmiast spowodowało wybuch pijackiego rechotu również u Tomka, który ostatecznie przegrał zapasy z grawitacją i runął na podłogę. Ruda krzycząc, lecz wciąż z uśmiechem na twarzy, pomogła mu wstać. Uśmiech natychmiast znikł, gdy spojrzała w stronę wąskiego korytarzyka prowadzącego do kuchni, skąd dobiegł ją radosny, dziecięcy śmiech. W krąg światła bijącego od zwisającej z kuchennego sufitu żarówki wkroczył rozespany Mateusz z łobuzerskim uśmieszkiem. Mały brunecik, oczko w głowie mamusi, spoiwo tego niedorzecznego małżeństwa. Ruda i Tomek! Tomuś muzykant jego mać! Sebastian zerwał się z miejsca, czując jak ogarnia go znajoma fala nadchodzącej furii. Rzucił na odchodne „Do następnego!” i, pozostawiając zaskoczone towarzystwo własnemu losowi, przemknął płochliwie obok Mateusza. Niecałą minutę później był już na zewnątrz, biegł w poprzębianą światłami latarni noc, przed siebie, byle jak najdalej od tamtego mieszkania. ICH mieszkania. Ignorując dzwonek tłukącego się po kieszeni telefonu, biegł bez opamiętania, aż trafił w samo serce Miasteczka, na wyłożony różowawą kostką brukową rynek. Przycupnął na mokrym brzegu rozświetlonej blaskiem wielobarwnych diod fontanny, łapczywie

wciągając chłodne powietrze do płuc. Wydobył z kieszeni telefon i wyłączył go, przez krótką chwilę walcząc z pokusą ciśnięcia urządzenia do wody. Nieco spokojniejszy, poszedł do ogródka piwnego i zamówił małe lane pszeniczne. Umoczył usta w pianie i chciwie wypił kilka łyków, ignorując bolesne protesty rozgrzanego gardła. Opróżnił kufel zdecydowanie szybciej, niż zamierzał, więc wobec tego zasmucającego faktu zmuszony był zamówić drugi, tym razem półlitrowy. Sącząc z ukontentowaniem słodkawy płyn, obserwował płytę rynku, na której, co dziwne, z minuty na minutę zaczęło przybywać młodych ludzi. Kilka osób wyciągnęło pośpiesznie telefony, ktoś nawet zaopatrzył się w kamerę cyfrową. Sebastian szybko przesiąkł nerwową atmosferą oczekiwania i sam zaczął wypatrywać czegoś, co mogłoby zwiastować początek nieznanego mu spektaklu.

– Dama! – krzyknął jeden z gapiów, wskazując na coś palcem.

Sebastian powiódł oczyma za gestem i oniemiał z zachwytu.

Kuriozum! Żadne słowo nie mogło trafniej opisać fantasmagorycznej osoby, która posuwistym krokiem weszła na płytę rynku. Dama! Szalony, drobny człowieczek z bujną, rudą brodą i połyskującą na czubku głowy łysiną. Na jego stopach dumnie lśniły białe mokasyny, a pałakowate, wciśnięte w kabaretki nieogolone nogi eksponowała kusa spódniczka w barwie niezapominajek. Całości obrazu tego pstrokatego szaleństwa dopełniał mocno zaciśnięty, upstrzony ćwiekami gorset. Ktoś zaczął bić brawo, dając tym sygnał do fali aplauzu, gwizdów i radosnych nawoływań.

– Zatańcz, Dama! Tańcz!

– Dawaj!

– Raz, raz!

– Muzyki! – wrzasnął potężnym tenorem Dama. – Dajcie muzyki! Dziś będę Carmen!

Ktoś, prawdopodobnie stały bywalec tych szalonych występów, wydobyl z workowatego plecaka zdezelowany boombox i przez chwilę gmerał przy nim nerwowo wykrzykując: „lada moment zaczniemy!”. Dama krążył niecierpliwie, by nagle, wraz z pierwszym dźwiękiem, poderwać się na podobieństwo spłoszonego ptaka. Puszczona na cały regulator „Habanera” zagłuszyła wszystkie inne odgłosy rozentuzjasmowanego tłumu gapiów.

– L’amour, l’amour! – wrzasnął na cały głos Dama, wykonując coś, co w zamierzeniu miało być chyba piruetem.

Umiejętności taneczne prowincjonalnego drag queen były zaskakujące. Miotał się wprawdzie z miejsca na miejsce, wykonując jakieś karkołomne, sobie tylko sobie znane kroki, lecz jego akrobacje były mimo wszystko spójne, i gdzieś w tym szaleństwie kryć się musiała logika. Czyżby dziwaczny układ choreograficzny nie był dziełem przypadku, a wynikiem mozolnego treningu? A może po prostu Dama miał talent właściwy wszystkim hipnotyzerom tłumu, którzy choćby stojąc bez ruchu, potrafili przykuć uwagę publiczności? Faktem pozostawało to, że wszyscy bez wyjątku śledzili pokraczne harce tego oryginała. Sebastian, sam nie wiedząc kiedy, wstał od stolika i z kuflem w ręku przedarł się do pierwszego szeregu rosnącego tłumu widzów.

Tymczasem taniec Damy zaczął nabierać tempa, mężczyzna wirował, wykonując kolejne, coraz bardziej precyzyjne manewry. Początkowa nieporadność i karykaturalne ruchy ustąpiły wysublimowanej precyzji doświadczonego tancerza. Nagle, przy akompaniamencie zbiorowego okrzyku zgrozy, Dama wykonał w locie półobrót i wylądował na jednej nodze, drugą, podobnie jak ramiona, wyrzucając gdzieś za siebie. Wygięty

w pozycji jaskółki przez kilka chwil obracał się jeszcze wokół własnej osi, by ostatecznie zastygnąć w bezruchu wraz z przebrzmieniem ostatniej nuty „Habanery”. Poczerwieniały, zlany potem, utkwiał modre oczy w Sebastianie, który machinalnie podał mu swój, opróżniony do połowy, kufel. Tancerz wychylił piwo jednym zachłannym łykiem, i z impetem cisnął naczyniem o bruk. Kilka osób odskoczyło, ktoś zaklął, a jakiś rozbawiony wyrostek pisnął tuż przy uchu Sebastiana:

– Ale świr, co?

– Trzeba mieć jaja ze stali, żeby tak po prostu wyjść na ulicę z pomysłem, który zrodził się gdzieś w samym środku głowy.

– Trzeba po prostu mieć świra, koleś.

Sebastian odwrócił się do rozmówcy, który zacisnął gniewnie szczęki, wykrzykując:

– To ty jesteś tym typem z autobusu!

– Witaj, Pawle! – odparł radośnie mężczyzna. – Pojednałeś się już ze swoją Brunhildą?

Odpowiedź chłopaka utonęła w ogólnej wrzawie, jaka podniosła się z chwilą wkroczenia na rynek patrolu straży miejskiej. Dama zniknęła gdzieś w rozpiezchającym się tłumie, co, zważywszy na jego strój, było nie lada wyczynem. Znudzeni stróże prawa nie próbowali nawet symulować interwencji, najwyraźniej nie pierwszy raz zmuszeni byli przybywać na wezwanie kogoś, komu performance Damy odbierał spokojny sen. Sebastian, śmiejąc się w głos, wraz z innymi puścił się pędem po deptaku, jakby faktycznie miał na karku pogoń grupy wściekłych stróżów porządku i normalności. Po przebiegnięciu kilkuset metrów uciekinierzy zwolnili tempo do szybszego marszu.

– To było wspaniałe! – wykrzyknął zachwycony Sebastian.

– Oj tak! – potwierdziła jedna z idących obok dziewczyn.



– Od kiedy to wszystko trwa?

– Nie jesteś z Miasteczka? – spytała zaskoczona.

– A to zbrodnia?

– No, nie, ale...

– Pochodzę stąd, po prostu wyjechałem na jakiś czas. Ale opowiadaj, jak to jest z Damą?

Ignorując karcące miny chichoczących pod nosem koleżanek, nastolatka zaczęła tłumaczyć z powagą w głosie:

– Dama to nasz skarb narodowy, prawdziwy unikat! To szalony menel, który jakiś rok temu nagle, ni stąd ni zowąd, postanowił przebierać się i tańczyć. Potem jakieś chłopaki założyli mu fanpage i podpytują go, kiedy i gdzie będzie tańczył, to potem idzie fama i ludzie się zbierają. Ostatni filmik z nim miał prawie sto tysięcy wyświetleń! Serio!

Atrakcja, freak show, nic więcej. Sebastian uśmiechnął się smutno, żegnając się z podpitymi podlotkami jakimś banałem. Najwyraźniej nikt nie potrafił, albo nie chciał, dostrzec w Damie tego, kim w istocie był ten człowiek. Jego upadek był perełką na dnie, fenomenem wyrwanym prosto z kart hrabalowskiej prozy. Spektakularnym zjawiskiem, które nie miało prawa istnieć w „prawdziwym świecie”. Barwnym motylem przysiadłym na truchle zatopionego w ropie naftowej ptactwa, fałszywą nutą w melodii codzienności!

Menel w delirium. Czy to było prawdziwe oblicze Damy? A on, Sebastian? Kim był? Jednorazowym damskim bokserem z autodestrukcyjną osobowością? Ruda? Przeciętna matka z wpadki i żona. Tomek? Duży dzieciak. Wojtek? Niedoszły samobójca. I Dama, król życia, tancerz z drugiej strony lustra, zagubiony gość z króliczej nory. Sebastian poczuł swojski skurcz w mięśniach karku, tłumiona dotąd furia gwałtownie domagała się ujścia. Dzisiejszy wieczór dostarczył mu zbyt

wielu wrażeń, musiał zaszyć się gdzieś, odciąć od atakujących nerwy bodźców; światła, ludzi i dźwięków. Przyśpieszył kroku, by po przebyciu tym tempem ledwie kilku metrów puścić się biegiem przez opustoszałe ulice zasypiającego Miasteczka. Gnał przed siebie przez doskonale znany węzeł uliczek, które przemierzał przez większą część życia. Wracał w stronę Osiedla, lecz ledwie przemknął jego obrzeżami, by wkroczyć na stromą, słabo oświetloną uliczkę wiodącą ku ogródkom działkowym. Znaczna pochyłość terenu szybko wypruła go z sił, zmuszając do przejścia z biegu w leniwy marsz. Krew przyjemnie dudniła w skroniach, a rozgrzane ciało toczyło obficie pot przy akompaniamencie urywanego oddechu. Światła Miasteczka zostały gdzieś z tyłu, za nim, pod nim, dalekie i nieważne. Bez trudu sforsował rozklekotaną bramkę, wkraczając ostrożnie w prywatny, harmonijny świat działkowców. To była jego dziecięca ziemia święta, azyl. Latami dokarmiał na wpół zdziczałe koty, obserwując ich ostrożne ruchy sponad kart pochłanianych książek. A teraz? Sam skradał się jak jedno z tych wiecznie wypłoszonych zwierzątek, w obawie przed niespodziewanym, zdradliwym atakiem. Nie miał czego tu szukać, rodzice sprzedali działkę na krótko przed jego ślubem, w końcu i tak już tu nie mieszkali, a on wielokrotnie deklarował, że nigdy nie wróci już do Miasteczka. Było, minęło. Przystanął. Gniew ulotnił się gdzieś, ustępując miejsca zmęczeniu. Cały metaforyczny nastrój prysł, a Sebastian zadrżał. Nocny chłód z radością dobierał się do skóry zgrzanemu człowiekowi, który niebaczenie wystawił się na jego zakusy. Trzeba było wracać, przeprosić Wojtkę, wziąć ciepłą kąpiel i wskoczyć pod kołdrę. Dosyć tych bzdur! Mężczyzna usiadł na trawie. Pozorny głos rozsądku zawsze odzywał się w nim tuż przed nawrotami ślepego gniewu, wciąż tliła się w nim isierka furii, która gotowa była rozpaść się ponownie przy najmniejszej sprzyjającej okoliczności. Tę noc

musiał spędzić samotnie, choćby tutaj. Ruszył w stronę ścisłego centrum rozciągniętego na całe wzgórze ogrodu działkowego. Stojące tam rozległe ruiny dawnej fermy lisów były dobrym miejscem na nocleg. O ile, tradycyjnie, nie przycupnęła tam jakaś grupka młodocianych miłośników tanich trunków. Sebastian uśmiechnął się do pijackich wspomnień z lat nastoletniego buntu, i pomaszerował ocienioną zwartym szpalerem świerków ścieżką.

\*\*\*

Dziewczyna zaśmiała się nerwowo, sięgając niepewnie ku wyciągniętej w jej stronę butelce wódki. Siedzący po jej bokach mężczyźni mruknęli z aprobatą, zachęcając do upicia jeszcze jednego łyka przed ponownym puszczeniem flaszki w obieg. Trójka intruzów rozsiadła się na progu ceglanego budynku w jakiś kwadrans po przybyciu tam Sebastiana. Skryty w mroku zalegającym wewnątrz pomieszczenia o zamurowanych oknach mężczyzna z zażenowaniem obserwował rozwój sytuacji. Misterny plan upicia dziewczyny, autorstwa pary osiedlowych samców alfa, miał lada moment zakończyć się sukcesem. Biedaczka, jak ufne kocię, garnęła się do drabów, już tylko cichymi mruknięciami wyrażając nieśmiałe protesty przeciw coraz natarczywszym pieszczotom podnieconych drabów. Jeden z nich, widać znudzony przedłużającą się grą wstępną, przystawił butelkę do ust dziewczyny i zmusił do wypicia „nadprogramowej kolejki”. To ostatecznie załatwiło sprawę, otumaniona nastolatka, po wykasłaniu nadmiaru wódki, skuliła się, zupełnie ignorując miętoszącego jej piersi amanta. Jego kompan, z przejmującym żalem w głosie, oznajmił:

- No loda to już ona nie robi.
- No szkoda. Ale twarda zawodniczka! Dużo wypila.
- Nooo!

Sebastian trwał w bezruchu. Nie zareagował również, gdy mężczyźni położyli dziewczynę na trawie i po krótkim sporze ustalili kolejność penetracji. Pierwszy w kolejce zręcznie podwinął tunikę nieprzytomnej ofierze, jednocześnie pozbawiając ją fig, które w triumfalnym geście podniósł w stronę księżyca, by następnie włożyć zdobycz do tylnej kieszeni swoich jeansów. Tuż potem zwałił się na ziemię z wyrazem zaskoczenia na twarzy, gdy potężny kostur poważnie naruszył mu szczękę i natychmiast pozbawił przytomności. Drugi z mężczyzn stał zdumiony, z dłońmi zastygłymi w okolicach zluzowywanego właśnie paska, obserwując groteskowego napastnika. Tym razem kij pomknął wpierw ku jądro. Krótki, pełen bólu krzyk ucichł, gdy kolejny cios dosięgnął skroni. Nad dwoma bezwładnymi ciałami niedoszłych gwałcicieli, czy też w nomenklaturze Osiedla, „po prostu korzystającymi z okazji”, stała Baba.

Baba! Każdy dzieciak z rocznika Sebastiana, i co najmniej dziesięciu starszych, był straszony w ten sam sposób. *Bo cię Baba weźmie do wora!* – odgrażały się matki. *Idź już spać, bo Baba przyjdzie!* – ostrzegali ojcowie. Niska, krępa bezdomna o sile tura była regularnie widywana w różnych częściach Miasteczka, lecz najczęściej krążyła w pobliżu ogródków działkowych. Nikt, nawet dorośli, nie wiedział skąd przyszła, ile miała lat, lub choćby jak się naprawdę nazywała. Sebastian nie zdołał stłumić okrzyku zdumienia, widząc na własne oczy ten relikw przesiadłości, na wpół legendarną wędrowniczkę odzianą w wysłużony, granatowy waciak.

– A tam kto jeszcze siedzi? He?!

– Spokojnie! – Odparł Sebastian pośpiesznie wychodząc z mroku, by Baba mogła dobrze mu się przyjrzeć. – Wyręczyła mnie pani!

– Jakoś się nie zanosilo na wejście smoka! A może tyś sobie dogadzał tam w ciemności, popatrzeć pewnie lubisz na takie zabawy, he?!

– Nie, pani Babo, ja...

– Jak mnie nazwał?

– Ty jesteś Baba, prawda? TA Baba?

– Tak mnie nazywały kiedyś smarki, teraz to już nikt o mnie nie pamięta. No! Co tak stoisz? Bierz dziewczynę i za mną chadź. Tylko jej majtki najpierw odbierz od tego tutaj... strudzonego kawalera.

Sebastian natychmiast spełnił polecenie Baby. Przy okazji rzucił okiem na obu mężczyzn, którzy powoli dochodzili do siebie, jękiem sygnalizując, że lada moment odzyskają przytomność. Schował figi do kieszeni i z trudem podniósł bełkoczącą coś dziewczynę, by ruszyć śladem maszerującej energicznie Baby. Stosunkowo szybko opuścili teren przez wyrwę w ogrodzeniu, by wkroczyć do pobliskiego lasu. Wędrówka wśród drzew nie trwała długo, już po kilku minutach Baba stanęła, wskazując kosturem na podłużny wóz wyglądający jak dom na kółkach, najpewniej wchodzący niegdyś w skład jakiegoś cygańskiego taboru.

– Tutaj połóż pod drzewem dziewczynę, niech trzeźwieje na polu jak durna! I jej majtki mi daj, założę, coby dupy nie odmroziła od ziemi.

Sebastian podał figi, obserwując jak Baba niezdarnie wciąga bieliznę na nieprzytomnie ciało bełkoczącej dziewczyny. Mężczyzna za wszelką cenę starał się nie myśleć, jak skończyłaby nastolatka, gdyby nie niespodziewana odsiecz Baby. Chciał wierzyć, że w krytycznym momencie sam przyszedłby nieznajomej z pomocą, zamiast tkwić w bezpiecznym mroku.

– Chodź – rozkazała Baba. – Spać już trzeba.

Mężczyzna posłusznie ruszył za masywną gospodynią, pod ciężarem której ugięły się zbutwiałe schodki prowadzące do drzwiczek wozu. Wnętrze pojazdu tonęło w delikatnym półmroku, w którym można było dostrzec jedynie zarysy zgromadzonych tu mebli i przedmiotów. Ich dobór wydawał się zupełnie przypadkowy, przez co miejsce to skojarzyło się

Sebastianowi z niesprzątanym od dekad poddaszem, lub raczej, zważywszy na wszechobecną wilgoć, piwnicą. Baba wgramoliła się na trzeszczący żałośnie tapczan, wydobywając skądś pozbawioną etykiety szklaną butelkę. Odkorkowała ją pośpiesznie, uwalniając charakterystyczną, ostrą woń samogonu i łapczywie przystawiła szyjkę do ust. Po chwili, milcząc, podała mężczyźnie biber, z zadowoleniem patrząc, jak posłusznie bierze spory łyk i rozpaczliwie tłumi kaszel. Flaszka kilkukrotnie przeszła z rąk do rąk, nim Baba zdecydowała, że gościowi wystarczy już alkoholu. Sebastian zwałił się na tapczan obok gospodyni, która bezceremonialnie wsadziła mu dłoń za pasek i, zaciskając ją boleśnie na jądrach, ostrzegła:

– Jesteś pijaniutki! Mogłabym sobie teraz poskakać na twoim kołku do woli, wiesz?

Mężczyzna wybełkotał coś, próbując niezdarnie odsunąć żylastą dłoń od przyrodzenia, lecz przestał natychmiast, gdy uścisk przybrał na sile.

– Nie chcę – mruknął bojaźliwie.

– A ja chcę. Dobrze nam będzie, a co! – zapewniła Baba, zaciskając miarowo palce.

Ból przebił się do zamroczonego umysłu mężczyzny, który zaskamlał:

– Aj!

– Biedaczek! Boli? Tamtą gówniarę też by kuśka bolała jak diabli, jakby ją tamte gałgany wygrzmociły! No – mruknęła ostrzegawczo, cofając dłoń. – Pamiętaj o tym!

Sebastian zwinął się w kłębek, całą uwagę skupiając na pulsującym bólu jąder. Dopiero po kilku chwilach zdołał wydukać niemrawe:

– Przepraszam.

– Bałwany – odparła Baba, nie precyzując, o kogo dokładnie jej chodziło.

Przysunęła ku sobie Sebastiana i zacisnęła ramię wokół jego tali, traktując mężczyznę jak przerośniętego, pluszowego misia. Zasnęła w kilka minut, przecinając nocną ciszę głośnym, urywanym chrapaniem. Jej gość, po kilku nieudanych próbach wyzwolenia się z żelaznego uścisku, dał za wygraną. Zamroczony alkoholem umysł i wyczerpane niedawnym wysiłkiem ciało litościwie zawiązały sojusz, pozwalając Sebastianowi pogрузić się w błogiej nieświadomości.

## Rozdział II

### W paszczy szaleństwa

W świetle dnia Baba sprawiała ponure wrażenie; podkrążone oczy, wyblakła, ziemista cera, workowate policzki i twarz dokładnie pocięta linią zmarszczek. Spękane, mięsiste wargi co pewien czas drgały spazmatycznie, a w kącikach ust zbierała się gęsta plwocina. Zniszczona przez podłe warunki życia i upływ czasu kobieta wzbudzała litość. Sebastian odwrócił wzrok, próbując zakotwiczyć w pamięci obraz Baby spotkanej nocą; władczej, żywotnej w ten pierwotny, przynależny egzystującym poza wygodami cywilizacji ludziom sposób. Na próżno. Wiedział, że ta staruszka miała przed sobą nie więcej, niż kilka lat życia.

– Co się tak gapi na mnie? – zagadnęła podejrzliwie. – Wpadłam ci ja w oko, co? – zarechotała rubasznie.

– Baba każdemu by wpadła.

– No, no! Niech nie będzie taki hop do przodu. Jedz!

Sebastian posłusznie wgryzł się w ofiarowaną mu zeschłą pajdę chleba ze smalcem. Mimowolnie zerknął na miejsce, w którym Baba zostawiła dziewczynę. Nastolatka zniknęła zanim się obudził przed jakimś kwadransiem, skulony pośrodku pustego tapczanu. Staruszka zapewniła go, że przemówiła młodej do rozsądku i „pognała precz”.

– Ty też – ostrzegła – idź już! I nie wracaj.

– Mógłbym...

– Ja jestem Baba! – wykrzyknęła. – Dobrze mi się samej żyje, a jak chcę pogadać, to z kotami pogaworzę. Pełno ich w okolicy. A jak z ludźmi siedzę, to mnie do ludzi ciągnie. A ja już dawno nie po ludzku żyję... Idź już – poprosiła.



Sebastian przełknął ostatni kęs i wymamrotał pod nosem jakiś pożegnalny banał. Nie zapamiętał, co właściwie powiedział. Do widzenia? Żegnaj? Na razie? Odszedł śpiesznie z terenu obozowiska Baby, nie oglądając się za siebie. By zająć czymś myśli, wydobył z kieszeni telefon, który po włączeniu zaterkotał kilkakrotnie. Czekąco na niego siedem nowych wiadomości, wszystkie od Wojtka. Paleta nastrojów od furii do lęku. Dochodziła ósma dwadzieścia, więc Dobry Człowiek najprawdopodobniej był jeszcze w domu. Mężczyzna skasował pisaną właśnie wiadomość i zdecydował się wykonać telefon.

– Gdzie ty byłeś?! – wrzasnął na powitanie Wojtek.

– Długo by opowiadać. Słuchaj, idę od ogródków działkowych, więc będę u ciebie za jakieś dwadzieścia minut, będziesz jeszcze?

– Jasne, zaczekam na ciebie, nie martw się. Wszystko w porządku?

– Tak. To była świetna noc.

– O! To miło, że dobrze spędziłeś czas – warknął rozmówca.

– Pogadamy na miejscu, ok?

– Jak chcesz.

Sebastian zamilkł w pół słowa, słysząc dźwięk przerwanej połączenia. Westchnął ciężko, dotykając ostrożnie nieco rozpalonego czoła. Ta nocna eskapada na pewno wyjdzie mu jeszcze bokiem. Już teraz jej pierwszy negatywny efekt, kac, zmusił go do zrezygnowania z szybkiego marszu i przejścia do ślimaczego tempa spaceru. Zmęczony, lecz szczęśliwy zaczął nucić pod nosem „Habanerę”.

\*\*\*

Wojtek bez słowa postawił przed pochmurnym Sebastianem talerz z jajecznicą. Kiedy przed niespełną kwadransem mężczyzna pojawił się w drzwiach, promieniał dobrym nastrojem, lecz z jakiegoś powodu szybko

popadł w otępienie. Zapytany o wczorajszą noc burknął jedynie coś o „ciekawym doświadczeniu” i wrócił do przeżuwania zaserwowanego mu śniadania.

– I jak się skończył wieczór? – spytał niespodziewanie Sebastian, pedantycznie szlifując opróżniony talerz skórką od chleba.

– Nijak. Tomek odpłynął niedługo po twoim zniknięciu, odstawiliśmy go z Malwiną do łóżka, trochę pogadaliśmy i wróciłem.

– Więc dużo nie straciłem.

– Nie za wiele.

– To często się powtarza?

– Co?

– Tomek.

– Czasami. Właściwie podobnie, jak w czasach wspólnego mieszkania, może nawet rzadziej. Wydajesz się mocno zawiedziony – zauważył ze złością Wojtek. – Nie takiej odpowiedzi oczekiwałeś? Liczyłeś, że przyjedziesz tutaj i zastaniesz Malwinę w siedlisku patologii? Nie licz na zabawę w rycerza, Ruda ma się dobrze, Tomek też. O Mateuszu nie będę opowiadał, bo dzieciak znaczy dla ciebie tyle, co nic. A nawet mniej, bo permanentnie ignorujesz fakt jego istnienia.

– Dziwisz mi się?

– Tak, dziwię. Zachowujesz się jak nastolatek, który po zerwaniu chce paradować pod oknem swojej byłej z największą żyletą z osiedla. Nie ułożyło ci się z Rudą? Trudno, bywa. Ale ten cyrk z nagłym zniknięciem, który wczoraj odstawileś...

– Myślisz, że chodziło o Rudą?! Idiota! Co mnie ona teraz obchodzi! Mam problem z tym bajzlem – sapnął wściekle Sebastian, tłukąc opuszkami palców w czaszkę – coś mi tutaj nie styka, Wojtek, iskrzy, miga! To zaczęło się jeszcze przed tym przekłętym ślubem, potem ta

spuszczona ze stoku kulka już tylko nabierała prędkości i masy, aż w końcu rąbnęła w jakąś skałę.

– A ty rąbnąłeś swoją kobietę w twarz.

Sebastian uśmiechnął się prowokacyjnie, oznajmiając:

– Te kilka dni tuż po mojej ucieczce od starego życia było jak wygrana w rosyjską ruletkę. Suchy trzask mechanizmu w pustej komorze bębna, rozumiesz? Wiesz już, że ci się udało, ale wciąż nie możesz w to uwierzyć, tkwisz w jakimś euforycznym zawieszeniu, zupełnie poza czasem.

– A potem?

– A potem dopada cię cały ten stres. I stajesz się wrakiem człowieka. Rozumiesz? Pewnie tak, w końcu chciałeś się zabić.

Wojtek nie odpowiedział, zatapiając nieobecne spojrzenie gdzieś w przestrzeń ponad głową rozmówcy. Trwał w tym stanie zawieszenia dobrych parę chwil, nim zdołał wymruczeć:

– Nigdy nie spróbowałem. Miesiącami wyszukiwałem odpowiednie tabletki, dopieszczałem pożegnalny list. A potem spuściłem te wszystkie piguły w kanał, a list, banalny swoją drogą, spaliłem.

– Więc stchórzyłeś.

– Nie, Sebastian, przejrzałem na oczy. Chciałbym, żeby z tobą było tak samo, dlatego cię zaprosiłem. Skończ z tym szaleństwem, przeproś WSZYSTKICH za to, co zrobiłeś, zwróć weselne pieniądze, i zacznij normalnie żyć.

– Nie potrafię.

– Próbowaleś chociaż, że masz prawo tak twierdzić?

Mężczyzna odburknął coś w odpowiedzi, bezmyślnie obracając w palcach łyżeczkę. Dosyć miał tej moralizatorskiej rozprawy, chociaż wiedział, że musiało do niej dojść. Już w chwili, gdy zobaczył minę otwierającego mu drzwi Wojtka, był tego pewien. Nie było najmniejszego

sensu opowiadać mu o Damie, działkach i Babie, nie zrozumiałby. Chociaż, naturalnie, racja leżała po stronie gospodarza. Tak jak te wszystkie agresywne, antynikotynowe kampanie, które odbierały przyjemność z puszczenia sobie dymka.

– Jedźmy w Czady – zaproponował niespodziewanie Sebastian. – Ludzie z całego Kraju zjeżdżają się, żeby pochodzić po naszych górach, a ja do tej pory widziałem je tylko w migawkach regionalnej telewizji. Poza tym zawsze chciałeś odwiedzić tego znachora, który za paczkę żywnościową wyczytuje z oczu choroby. Masz dalej samochód?

– Mam – odparł zbity z tropu Wojtek. – Ale co cię tak nagle napadło? Przecież ty wprost nienawidzisz opuszczać przestrzeni miejskiej.

– Istotnie.

– Więc?

– Dalej niż w Czady uciec się nie da. Ten nasz południowy, górski cypelek chłonie jak gąbka wszelkiej maści świrów. Może nie będę z nich najgorszy?

– Kiedy chciałbyś jechać?

– Pojutrze. Sobotę zapowiadali ładną.

– Zapowiadali burzę.

– Być może, nie sprawdzałem przecież żadnej prognozy.

Wojtek obrzucił rozmówcę uważnym spojrzeniem. Mężczyzna wyglądał jak dziecko, które z namaszczeniem powtarza zasłyszane gdzieś górnolotne frazesy. Sebastian unikał kontaktu wzrokowego i sprawiał wrażenie, jakby nie do końca pojmował, gdzie się znajduje. Wodził ciekawskimi oczyma po półkach najwyraźniej czegoś szukając, a na spierzchniętych wargach błądził mu figlarny uśmieszek.

– Idę do biblioteki – oznajmił ostrożnie Wojtek. – Zostawię ci klucze, wpadnij później, jak będziesz na siłach. Naprawdę przyda mi się pomoc

z tym nieszczęsnym skontrum.

– Skontrum to nie przelewki – zawyrokował Sebastian.

Jego gospodarz przytaknął, przez kilka kolejnych minut krążąc bez większego celu po pokoju. Jeśli planował powiedzieć coś jeszcze przed swoim wyjściem, to najwyraźniej porzucił ten zamiar. Wyszedł, z przesadną delikatnością zamykając za sobą drzwi.

– Nie są z porcelany – mruknął pod nosem usatysfakcjonowany Sebastian.

Był z siebie zadowolony. Farsa, którą odegrał, zapewniła mu święty spokój. Wojtek bardzo szybko przeszedł z pozycji poirytowanego gospodarza do roli opiekuńczego przyjaciela. I przestał, na szczęście, drażnić temat Rudej. Ruda! To była przepiękna pieśń przeszłości, lecz Sebastian nie wiedział jeszcze, czy naprawdę chce się w nią ponownie wsłuchać. Tymczasem skupił swoje myśli na zaplanowanej spontanicznie wycieczce, którą uznał ostatecznie za wcale niegłupi pomysł. W końcu przyjechał tu wypocząć! Tudzież, co przyznał niechętnie w duchu, pomóc przy skontrum. Nastawił budzik na godzinę jedenastą i legł na wersalce.

\*\*\*

Dorośli nie jedzą pianek! Ten argument przeważył szalę zwycięstwa na rzecz pazernego chłopczyka, który nie miał zamiaru dzielić się z matką kupionym przez nią smakołykiem. Sebastian nie wiedział, czy rzeczywiście był świadkiem tego sporu, czy po prostu jego umysł wygenerował fałszywe wspomnienie. Faktem pozostawało to, że dzieciak miał rację. Pianki były zdecydowanie zbyt mdłe i słodkie, by statystyczna dojrzała osoba mogła czerpać przyjemność z ich pałaszowania. A on, w pewnym sensie, opychał się nimi aż do przesytu. Cała ta śmieszna podróż do Miasteczka była niczym jedna wielka, rozpychająca pusty dotąd

żołądek pianką. Przeżył już tutaj swoje, spałaszował wiele wybornych wspomnień, lecz w końcu przestał należeć do tego miejsca, a jego specjały tylko mu szkodziły. Był jak łysiejący mężczyzna po czterdziestce, stojący w kolejce po watę cukrową razem z tłumem dzieciaków. Niepokojący, podejrzany typ! Przyjazd do Miasteczka był błędem, pomóc mu w odzyskaniu równowagi psychicznej mógł raczej specjalista niż wycieczki krajoznawcze. A jednak był tutaj i wraz z Wojtkiem od blisko czterech godzin mozolnie sprawdzał zgodność zapisów w księdze inwentarzowej biblioteki ze stanem faktycznym księgozbioru.

– Sporo trzeba będzie wywieźć na makulaturę, szczególnie czasopism.

– No niestety – mruknął Wojtek.

– Ale z drugiej strony, po wywaleniu tej makulatury zwolni się dużo miejsca.

– I to mówi bibliotekarz!

– Bibliotekarz to nie fetyszysta książek, Wojtku. Biblioteka jest przede wszystkim dla czytelników, a nie wygody jej pracowników.

– Zabrzmiało jak jakiś podejrzany slogan. Ha! Pewnie lubisz się przebierać w czarny mundur, to znaczy garnitur chciałem powiedzieć, i patrzeć jak płoną niepotrzebne książki.

– *Natürlich! Ordnung muss sein.*

Mężczyźni zaśmiali się w głos.

– Naprawdę potrzebujemy przerwy, skoro bawią nas twoje żarty – zawyrokował Sebastian.

Wojtek rozdziawił usta w geście teatralnego oburzenia i ruszył ku drzwiom. W kilkanaście sekund później pozostawiony przez niego na blacie stołu telefon zaczął drżeć spazmatycznie. Sebastian zerknął odruchowo na wyświetlacz i odebrał połączenie.

– Cześć, Ruda!

– H... Hej! Gdzie Wojtek?

– Wyszedł do przybytku, wypiliśmy dziś co najmniej kilka herbat, więc pewnie trochę tam zabawi.

– No nieważne, właściwie chciałam spytać go o ciebie. Dlaczego wczoraj zniknąłeś?

– Jakoś tak.

– Chcesz pogadać?

– Teraz?

– Czemu nie? Mam wolną chwilę, możemy się spotkać, jeśli chcesz. Zostawię Mateusza z Tomkiem – dodała uspokajająco.

– To może za jakieś pół godziny koło czołgu?

– Ok.

– To cześć.

– Cześć!

Sebastian odłożył telefon i uśmiechnął się do wchodzącego właśnie Wojtka, przepraszającym tonem oznajmiając:

– Muszę cię niestety z tym zostawić na trochę.

– Gdzie chcesz iść?

– Najeść się słodkich pianek.

– Co? Aha – mruknął ponuro Dobry Człowiek, zerkając w spis połączeń – gadałeś z Rudą.

– Umówiłem się za czołgiem za pół godziny, muszę ją przeprosić za wczorajsze wyparowanie.

– Przeprosić? Ty? Nie wiem, po co chcesz tam iść, ale na pewno nie po to, żeby przepraszać.

– Tak dobrze mnie znasz?

– Niestety. Słuchaj, człowieku, daj jej spokój.

– Idę tylko pogadać, nie rób z tego dramatu. A z tym płaczliwym „daj jej spokój” to się zgłoś do jakiegoś serialu paradokumentalnego, na mur wezmą cię do odcinka.

– Daruj sobie ten sarkazm.

– A ty daruj sobie pozę obrońcy, Ruda ma swój rozum. Zrobi, co będzie chciała.

– O czym ty bredzisz? Co miałyby niby zrobić?!

– Co będzie chciała – powtórzył z kpiącym uśmiechem Sebastian.

– Ścierwo.

– Boli cię, że tylko ty z naszej paczki nie miałeś Rudej?

– Z ciebie naprawdę jest kawał drania! Jak w ogóle mogłeś coś takiego powiedzieć? Zresztą, co to dla ciebie! W końcu masz na koncie bardziej popisowe numery!

Sebastian natychmiast ruszył w stronę rozmówcy, który instynktownie cofnął się o krok, napotykając plecami ścianę. Mężczyzna nachylił się i syknął Wojtkowi wprost do ucha:

– Uwaga! Nigdy nie denerwuj wariata.

Puścił łobuzerskie oczko i wyszedł, zostawiając Dobrego Człowieka w paskudnym nastroju.

\*\*\*

Nie przyszła! Sebastian krążył wokół czołgu przez przeszło godzinę, pomstując w myślach przeciw Wojtkowi. Był pewien, że mężczyzna nakłonił Rudą do zmiany decyzji i pozostania w domu. Tylko w jaki sposób? Jeśli po prostu zrelacjonował odbytą w bibliotece rozmowę, to sprawa została definitywnie pogrzebana. W takim wypadku nie pozostawało nic innego, jak zabrać się z Miasteczka. Sebastian wiedział, kiedy należało odpuścić, chociaż nie zawsze, a w zasadzie niemalże nigdy,



nie korzystał z tej wiedzy. Poirytowany, raz jeszcze przespacerował się wokół betonowych cokołów, na których spoczywały gąsienice swojego T-34. Mnąc w ustach przekleństwo, ruszył w stronę centrum Miasteczka, rzucając unieruchomionej przed dekadami maszynie ostatnie czułe spojrzenie.

Na płycie rynku błąkało się niemrawo kilkoro turystów, gdzieś tam przycupnęły też pierwsze grupki młodzieży czekającej na wieczorną popijawę. Ktoś tam pałaszował zapiekankę, kto inny faszerował wnętrznosci kebabem, migwały przebiegające skądś dokądś dzieci. Leniwe, obficie polane słońcem popołudnie najwyraźniej wszystkim smakowało. Sebastian sączył w ogródku stylizowanej na karczmę knajpki trzecie piwo, bezmyślnie wodząc opuszkami palców po kuflu. Wojtek dotąd się nie odezwał, a on nie miał ochoty dzwonić jako pierwszy. Prośbienie o przesłanie numeru Malwiny też pozbawione było sensu. Powiódł znudzonym wzrokiem po pozostałych stolikach, wychwytyjąc przy jednym z nich znajome rysy. Dama! Ubrany „po cywilnemu”, w jeansową kataną i wysłużone bojówki ekscentryk pochłaniał łapczywie frytki. Sebastian ochoczo poddał się impulsowi, który nakazywał mu natychmiast podjąć konwersację z barwnym indywiduum.

– Witam! – zawołał głośniejszym niż zamierzał, przysiadając się do Damy.  
– Sebastian jestem.

– Kordian – odparł Dama, dodając przepaszająco: – Naprawdę tak mam na imię.

– Widziałem twój ostatni występ. Coś wspaniałego!

– Naprawdę? To może postawisz mi piwo, kolego, co?

– Naturalnie.

Dama mlasnęła z zadowolenia, gdy po chwili przywołana przez Sebastiana kelnerka postawiła przed nim kufel pełen pszenicznej uciechy.

– Nie nagabuje pana? – spytała ostrożnie dziewczyna, zerkając z dezaprobatą na Dame, który zdążył już ochlapać bujną brodę piwną pianą.

– Nie, zupełnie.

– W razie czego proszę dać mi znać. Czasem nie daję gościom spokoju!

– Tutaj akurat ja pierwszy zainicjowałem konwersację.

– Rozumiem – odparła, wzuwając na usta pogardliwie przymilny uśmiezek.

Dama odprowadził pracownicę łakomym spojrzeniem, upił łyk piwa i spytał rzeczowo:

– To co chcesz wiedzieć? Wiesz, nie ty pierwszy stawiasz mi piwko, kolego. Zawsze chcecie o coś zapytać. Jak długo tańczysz? Dlaczego przebierasz się za kobietkę? Można cię nagrać? Takie tam głupoty! No, śmiało! Co chcesz wiedzieć?

– Tańczysz po to, żeby wyłudzić potem browary w taki sposób?

– Nie! No co ty. Owszem, nie powiem, od kiedy tak publicznie występuję, to więcej uda się od ludzi wyciągnąć, szczególnie młodzików. Ale ja tak od lat! W sensie tańczę, tylko wcześniej w domu wolałem.

– A teraz?

– No żonie się to nie podobało. To, i moje picie. Córka też, jak szkołę skończyła parę lat temu, to gdzieś pojechała na studia i słowem się nie odezwie. A stara poszła gdzieś, podobno z kimś tam sobie żyje. Więc zacząłem tańczyć tak, jak zawsze chciałem, przed ludźmi.

– W stroju kobiety?

– Musowo! – zapewnił skwapliwie Dama. – Kobiety najpiękniej tańczą! Nawet jak tak sobie podrygują tylko, to zawsze im wychodzą piękne ruchy. Najpierw tak sobie właśnie myślałem. A potem to już

z przyzwyczajenia zawsze w przebraniu tańczyłem. Ludziom się podoba taka heca. Jakiś młody mi mówił, że jak nagrali filmik i do komputera wrzucili, to go obejrzało ze sto tysięcy osób!

– A twoi kumple? Nie przeszkadza im, że tak...

– Sam piję – burknął Dama. – I towarzystwa na siłę nie szukam. Jak dla kogoś leżenie we własnych rzygach to nie problem, ale nie pasuje mu, jak chłop sobie w kiece tańczy, to pies mu mordę lizał!

– Słusznie – przytaknął skwapliwie Sebastian.

– A jak! Tak właśnie jest, tak właśnie jest. A w ogóle to taniec jest dobry na wszystko. Czasem, jak człowiekowi smutno, to można zatańczyć nawet bez przebierania się, tak sobie, albo i nago. Ale to już nie na ulicy, bo mendi nie przepuszczą, a za obrazę moralności jest mandat jak cholera.

– Kiedy będziesz znowu tańczyć?

– A jak mnie najdzie!

Sebastian uśmiechnął się pobłażliwie, dopił reszkę piwa i już zamierzał wstać, gdy Dama oznajmił kategorycznie:

– Też powinienes spróbować! Chodź, wpadniemy do mnie, mieszkam pięć minut stąd.

– Czego spróbować, tańca?

– Aha. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował, kolego! Chodź!

Dama zerwał się z miejsca, jednym haustem opróżnił kufel i ruszył przed siebie, nie czekając, jak rozmówca zareaguje na jego propozycję. Zdezorientowany Sebastian zostawił na stoliku banknot o nominale zapewniającym kelnerce monstrualny napiwek, i jak ufny cielak podążył ochoczo za Damą.

Ekscentryczny tancerz zasiedlał obskurną kawalerkę w jednym z wielobarwnych bloków, których zwarte pasmo oplatało historyczne centrum Miasteczka. Mieszkanko składało się z ciasnej kuchni, łazienki

oraz hybrydy salonu i sypialni. Sebastian nie potrafił pojąć, jak trzyosobowa rodzina mogła pomieścić się niegdyś w tej wypełnionej meblami klitce. Oczyma wyobraźni ujrzał ściśniętą w kącie nastolatkę, która znad kart książki obserwowała pijanego, przebranego w jej sukienkę ojca, który wirował pomiędzy regałami.

– Muszę tu kiedyś posprzątać – wyjaśnił przepraszająco Dama, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie gościa. – Ale to tam kiedyś. Chodź! Wybierzesz coś sobie z tamtej szafy, a ja nastawię jakiś dobry kawałek.

Dama przykląkł przy leżącym na podłodze adapterze, obok którego stał okazałych rozmiarów karton z płytami winylowymi. Przebierał palcami po wysłużonych okładkach, mrużąc z wyraźnym ukontentowaniem. Sebastian szybko przestał zwracać jakąkolwiek uwagę na swojego gospodarza, całkowicie zatapiając się w poszukiwaniach odpowiedniego stroju. Zzuł buty, kładąc obok złożone w kostkę spodnie i koszulę. Z rosnącym zażenowaniem naciągnął na siebie wypłowiałe legginsy w czarno-białe paski, które zwieńczył krótką spódniczką o barwie tataraku. Po chwili wahania wbił się również w przyciasny, czerwony topik obficie zroszony brokatem. Na szyi zawiesił wysadzaną ćwiekami obrózkę z posrebrzonym, głuchym dzwoneczkiem.

– Jestem gotowy – mruknął.

– Zaczynamy! – ryknął Dama, wduszając przycisk adaptera.

Z podpiętych do urządzenia okazałych rozmiarów głośników dobiegł suchy trzask. Tuż za nim popłynął łagodny szum, przecięty gwałtownie wdzięcznymi uderzeniami w klawisze fortepianu. Sebastian uśmiechnął się mimowolnie, natychmiast rozpoznając utwór. Cały pokój utonął w radosnych dźwiękach „Dancing queen”.

– ABBA! – krzyknął zachęcająco Dama, ruszając w tany.

Jego gość nie pozostał bierny, bez chwili wahania wskoczył w króliczą norę tanecznego szaleństwa.

Sebastian miotał się bez opamiętania z kąta w kąt, nie próbując nawet nadać swoim ruchom choćby pozorów koordynacji. Młócił rękoma powietrze, wyrzucał beładnie stopy to w bok, to w przód, to w tył. Płasał skocznie, klaskał, ścisnął policzki, dawał sobie klapsy i wirował, wirował coraz szybciej i bardziej zawzięcie, aż dopadły go nagłe nudności. Runął ku ścianie, niezdarnie asekurując się przed uderzeniem przedramionami. Chwiejnym krokiem popędził przed siebie, by wystrzelić z ust gejzerem nieczystości wprost do muszli klozetowej.

– *YOU ARE THE DANCING QUEEN, YOUNG AND SWEET, ONLY SEVENTEEN!* – ryczała za nim ABBA.

Mężczyzna nie podniósł się z klęczek, nim nie przebrzmiały ostatnie dźwięki piosenki. Z obawą oczekiwał na początek następnego utworu, lecz głośniki jęknęły tylko agonalnym trzaśnięciem odciętego napięcia i zapadła cisza. Dama pojawił się na progu części sanitarnej swojego lokum, z uśmiechem gładząc rude kudły brody.

– I jak było? – spytał podekscytowany.

– Nie powinienem wcześniej pić – jęknął skulony nad muszlą mężczyzna, próbując poprawić podciągnięty na plecach topik.

– Czasem to pomaga, czasem nie – zawyrokował. – Chcesz spróbować jeszcze raz?

– Daruję sobie.

– Możesz zabrać ten strój, jak chcesz.

– Nie trzeba.

Sebastian, walcząc dzielnie z zawrotami głowy, wrócił do sali tanecznej, gdzie pośpiesznie zrzucił z siebie ubrania bezimiennej

nastolatki. Wraz z naciągnięciem spodni poczuł, jak z wolna wraca mu zdrowy rozsądek.

– Mija, co? – zapytał z żalem Dama.

– Co?

– Ten czar, prawda?

– Tak.

– Żałujesz?

– Nie.

Rudobrody pokiwał ze zrozumieniem głową. Bez słowa przeszedł do kuchni, skąd po chwili dobiegł syk otwieranej puszkę i głośne gulgotanie. Gospodarz wrócił, dzierżąc w drżącej dłoni piwopodobny sikacz.

– Możesz już iść – rozkazał.

– Do zobaczenia, Kordian.

– Dama, to prawdziwy ja! Pięknie mnie przewali, muszę przyznać. Dama. Dama. Dama...

Sebastian z ulgą przekroczył próg dusznego mieszkania, sycąc płuca chłodnym powietrzem klatki schodowej. Zamknął za sobą drzwi, słysząc jak ponownie adapter wypływa z siebie skoczne nuty „Dancing queen”. Tym razem utwór zabrzmiał jednak inaczej, nostalgicznie i ponuro, jak nieumiejętnie skomponowany rapsod na cześć przedwcześnie zmarłego człowieka. Takiego, który nie dał rady zostać bohaterem, a jedynie przez chwilę, jasnym rozbłyskiem talentu, zaznaczył na firmamencie ludzkiej uwagi swoją obecność. I roztrzaskał się gdzieś tam, nie wiadomo gdzie. W Miasteczku.

\*\*\*

Pulsujące, wielobarwne światło współgrało z rytmicznym dudnieniem basów, spod których wyzierała co jakiś czas agresywna muzyka.

W zaciemnionej sali dancingu Dynamo nie było jeszcze tłoczno, chociaż stoliki i obite w biały skaj łóże coraz szybciej zapełniały się młodymi ludźmi. Sebastian zerknął na wyświetlacz telefonu, z zaskoczeniem odkrywając, że spędził w tym nasączonym beztroskim hedonizmem miejscu już przeszło godzinę, dochodziła właśnie dwudziesta druga. Klub mieścił się w budynku dawnego kina, nieopodal miejskiego parku. Zaszedł tutaj, gdy znudziła go wielogodzinna, bezcelowa wędrówka po Miasteczku, podczas której nie otrzymał żadnej wiadomości od Wojtka. Nie wiedział nawet, czy wciąż może liczyć na nocleg u Dobrego Człowieka. Siedział więc tu, popijając jakiegoś ananasowego drinka o podejrzanym, metalicznym posmaku. Dynamo od lat stanowiło naturalny azyl dla każdego, kto pragnął wyłączyć myślenie i przytępić zmysły mieszkanką muzycznego łomotu z bulgotem buzujących hormonów pijanej młodzieży. Sebastian dopił z niesmakiem swój Karaibski Sen i, przezornie omijając obficie nafaszerowany ludźmi parkiet taneczny, ruszył w stronę baru.

No tak, czekały już na niego. Zresztą, jakże mogło być inaczej? Karaibski Sen kosztował prawie cztery dychy, kupując go spodziewał się więc, że któraś z krążących wokół lady panienek zwróci na to uwagę. Zupełnie nie miał ochoty na klubowy seks, ale był ciekaw, jak teraz radzi sobie nowe pokolenie barowych ciem, cierpliwie zbierających fundusze na wyjazd za granicę. Do jego stolika, na którym postawił nowy Karaibski Sen podeszły obie naraz. Niska, pękata, pyskata i cytata brunetka Monika, a tuż obok wysoka, zasuszona, tleniona blondynka Ewka ze zgrabnymi łydkami.

– Świątujemy koniec szkoły, matury nareszcie za nami! – zaczęła entuzjastycznie Monika.

– To już chyba miesiąc od testów – odparł spokojnie Sebastian, upijając ostrożnie łyk ananasowych pomyj.

– Przeciągnęło się! – wtrąciła ze śmiechem Ewka, szybko milknąc, pod karcącym spojrzeniem koleżanki.

– Tylko już musimy się zbierać – kontynuowała z żalem Monika. – Zapomniałyśmy zabrać kasy i musimy lecieć do bankomatu, bo tutaj terminal szwankuje. A z rynku to już pewnie nie będzie nam się chciało tutaj wracać.

– Rzeczywiście – odparł mężczyzna, w myślach obliczając, czy od centrum dzieli ich mniej, czy trochę więcej niż pięćset metrów w linii prostej. – Pech.

Dziewczyny zgodnie kiwnęły smutno głowami, potwierdzając jak bardzo nefartowny jest dla nich ten czwartkowy wieczór.

– Naprawdę chcecie drinka?

– A... No chętnie – odparła lekko zdezorientowana, pękata liderka tandemu.

– Bo kosztują sporo, a przecież tylko przez was przeleczę. Wyszczana forsa. Może lepiej po prostu normalnie zapłacić za pieprzenie, zamiast bawić się w ten karaibski cyrk?

– EJ! – syknęła ostrzegawczo Monika.

– No co?

– Nie jesteśmy...

– Błagam, nie kończ. Szczerość to podstawa związku, nawet takiego, który zaczyna się i kończy w kabinie klubowej toalety.

– Kretyn!

Nastolatka odwróciła się na pięcie, by po chwili zniknąć w gęstniejącym tłumie tańczących ludzi. Sama przetańczyła parę kawałków, nim zeszła z parkietu, by ze smutkiem stwierdzić, że nadal jest



wściekła. Skąd się biorą tacy debile?! Chociaż w sumie dobrze się stało, facet był stary, a forse to pewnie komuś ukradł, bo wyglądał jak biedak. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle coś mu jeszcze zostało. Miał szczęście! Gdyby wprost nazwał ją dziwką, dałaby mu w pysk! Nie znosiła chamstwa, w końcu chodziła do Dynama, a nie jakichś melin w rodzaju Pudła z piwem po piąta i kamikadze po dychę za tackę. Dynamo miało klasę, a za klasę trzeba płacić. W życiu nie ma lekko! Chociaż do niektórych, na przykład do Ewki, to nie docierało. Ewka! Gdzie ta kobyłka znów polazła, chyba nie została z tamtym typem! Monika ostrożnie zerknęła w stronę stolika nieznanego, antypatycznego typu, lecz mężczyzna gdzieś znikł. Ewka natomiast siedziała w najlepszej przy barze, popijając jakiegoś błękitnego drinka z palemką. O cholera! Czyżby koleś kupił tej durnej szczęściarce Fontannę?! Przecież Fontanna Radości to była wysoka liga, drink za osiem dych! W sumie to by się zgadzało, bo młoda nieświadomie płukała sobie usta.

– Pyszne? – zagadnęła ostrożnie Monika, z ulgą dostrzegając jaskrawozielony daszek tkwiącej w wysokiej szklance parasolki.

W Fontannie byłby żółty, więc to tylko Źródełko, za cztery dychy.

– O tak! – zgodziła się Ewka.

– A drink też smaczny?

– Ej! Nie żartuj tak.

– Przy tobie kupował?

– No prawie tak. Pierwszy był przy barze.

– Bo wiesz, że to nie Fontanna, debilko?

– Jak nie?!

– Źródło pijesz, matolku, nie widzisz parasolki?

– Co? A... Faktycznie – jęknęła dziewczyna.

– Mówiłam, żebyś się mnie trzymała, a nie sama kręcisz lody.

– Ej!

– No nie miałam tego na myśli, tak mi się powiedziało. Ty to, Ewka, masz jakieś strasznie seksualne skojarzenia.

– Ha. Ha. Chodźmy stąd...

– Wiesz, w sumie nikogo ciekawego i tak nie widzę. Dopij i spadamy.

Pięć minut później roztańczone Dynamo wypuściło ze swych wnętrzności wciąż poirytowaną Monikę i asystującą jej zasmuconą Ewkę. Dziewczyny we względnej ciszy wypaliły cieniutkie menthol light. Pokrzepione puszczeniem szybkiego dymka, ruszyły w swoją stronę.

\*\*\*

Wojtek, z nieprzyjemnym uczuciem deja vu, bez słowa postawił przed pochmurnym Sebastianem talerz z jajecznicą. Dobry Człowiek głowił się nad tym, jak mężczyzna dostał się do jego domu. Intruz musiał wrócić gdzieś w środku nocy, i najwyraźniej wszedł przez niedomknięte drzwi balkonowe albo okno, bo główne wyjście z całą pewnością było zamknięte. A może dorobił sobie pożyczone mu poprzedniego ranka klucze? Faktem pozostało to, że kiedy tylko gospodarz zaczął robić sobie śniadanie, z jakiegoś kąta wypełznął niespodziewanie Sebastian, wzrokiem zbitego psa prosząc o swój udział w posiłku.

– To co, jutro jedziemy? – jako pierwszy przerwał ciszę Wojtek, bezlitośnie odbierając rozmówcy nadprogramową kromkę chleba, którą ten podwędził ze wspólnego talerzyka.

– Mówisz o Czadach?

– To przecież twój pomysł. Zdążyłeś się już rozmyślić?

– Uznałem, że temat wygaś samoistnie po naszej rozmowie.

– Jak już, to nie samoistnie, a przez ciebie. Zawsze potrafiłeś naprawdę dociąć człowiekowi, ale łudziłem się, że masz jakieś granice. Ale po tym,

co powiedziałaś o Rudej? Jesteś po prostu jeszcze jednym zapatrzonym w siebie bucem, Sebastian, i jakiegokolwiek byś nie szukał na to wytłumaczenia, po prostu tak jest.

– Skoro tak myślisz, to dlaczego w ogóle wspominasz o wspólnym wypadzie?

– Na stypie też je się ciastka, rozumiesz? Myślę, że czas skończyć z całą tą farsą, nasze drogi rozeszły się już ładnych parę lat temu.

– Zabrzmiało dramatycznie.

– Sebastian, proszę, daj sobie spokój z tandetnym sarkazmem. Chcę, żeby ten wyjazd był jak wspomnianie zmarłego, tych wszystkich dobrych chwil, jakie dał swoim bliskim.

– Jakiego trupa będziemy wieźć w bagażniku?

– Naszą przyjaźń.

– Wojtek...

– A tak w ogóle, zadzwoniłem do Rudej zaraz po twoim wyjściu.

– Domyślałem się tego. Co jej powiedziałaś?

– A jak ci się wydaje? Wszystko.

Sebastian przygryzł boleśnie wargę, czując jak sztywnieje mu kark. Wściekłość, niczym choroba, rozlewała się po jego żyłach, jej pocałunek spłycał oddech, zraszał skórę potem, zaciskał dłonie w pięści o pobielających knykciach.

– Jak zareagowała? – warknął.

– Była przestraszona. Powiedziała, że skoro zachowujesz się w taki sposób, to już naprawdę wszystko ci zobojętniało. Jedzie z nami.

– Co?

– Słyszałeś. Tomek zajmie się małym przez ten czas, a ona pojedzie z nami. Chce z tobą pogadać, wyjaśnić parę spraw, pomóc. Wiesz, jaka jest Ruda. Uparta dziewczyna.

- Zdecydowanie!
- Kto wie, może naprawdę miło spędzimy ten czas?
- Może. Dzięki Wojtek, dobry z ciebie... kumpel.
- Szkoda, że tak się między nami ułożyło.

*Może jeszcze podsuniesz mi pod nos jakiś zgrabny formularz oficjalnego zerwania przyjaźni, idioto?* – pomyślał z nienawiścią Sebastian, odpowiadając z żalem w głosie:

- Szkoda.
- No nic, śniadanie skończone, czas do pracy! Pójdiesz ze mną i dziś przepracujemy solidnie calutki dzień.

Wojtek zdobył się na szczery uśmiech, otrzymując w zamian jego całkiem udaną imitację w wykonaniu Sebastiana, którego chorobliwie błyszczące oczy tonęły w nienawiści. To wymowne spojrzenie przyniosło gospodarzowi prawdziwą ulgę. Wiedział już, że nie popełnił błędu, zrywając bliższe relacje z człowiekiem siedzącym po drugiej stronie krytego kraciastą ceratą stołu. Najwyraźniej Sebastian świadomie zmierzał ku otchłani, pragnąc już tylko tego, by huk towarzyszący jego upadkowi był wystarczająco głośny. Musiał być naprawdę cholernie dumny ze znokautowania narzeczonej. Na pewno w myślach często używał tego słowa. Nie pobicie czy skrzywdzenie, a właśnie nokaut, przepustka do natychmiastowego triumfu, droga na skróty. Zwycięstwo i przegrana, nic poza tym, żadnych odcieni szarości.

- Chodźmy – rozkazał Wojtek, wstając gwałtownie z miejsca.

Sebastian, z nieprzyjemnym, sardonicznym uśmieszkiem, poszedł w jego ślady. Wiążący sznurówki wiernych, zamszowych butów Dobry Człowiek był pewien, że wciąż spoczywa na nim ciężkie spojrzenie niechcianego gościa. I larwa strachu zaczęła toczyć umysł walczącego ze skontrum bibliotekarza. To był ten niewytłumaczalny, wstydlivy lęk, jaki

czasem czuje się w obecności kogoś nieznównoważonego psychicznie. Tłumiona obawa, że ten stojący tuż obok chory człowiek to nie tylko cierpiąca, odtrącona przez ogół jednostka, ale również odprysk innego świata. Cudacznej rzeczywistości, rządzonej przez niezrozumiałe prawa, podległej logice odmiennych stanów świadomości. Ktoś obcy, groźny. Wariat! To kąśliwe, wyświechtane deklinacją tanich horrorów i uspokajających traktatów naukowych słowo wciąż zachowało resztki złowieszczej mocy. Wariat. Niebezpieczeństwo. Wojtek miał te wyrażenia myślami, próbując stworzyć z nich smaczną potrawę beztroski. Niestety, wszystko wskazywało na to, że w nadchodzący weekend serwowane będą jedynie ciężkostrawne dania, wysmażone z mieszanki podejrzliwości i poczucia zagrożenia.

\*\*\*

Piątkowe popołudnie dłużyło się w nieskończoność. Pochłonięci pracą mężczyźni praktycznie nie rozmawiali, jedynie Sebastian co pewien czas próbował przewietrzyć gęstniejącą atmosferę jakimś żartem, lecz humor rozbijał się z głośnym plaśnięciem o wzniesiony przez Wojtkę mur obojętności. Pozostało więc tylko pracować sumiennie, mozolnie posuwając skontrum do przodu.

Drzwi wejściowe zaskrzypiały, jakaś dziewczyna nieśmiało wydukała „dzień dobry”. Spacerujący pomiędzy półkami Sebastian przerwał sprawdzanie numerów inwentarzowych i przystanął w pół kroku, nasłuchując. Znał ten głos.

– Biblioteka będzie czynna najwcześniej za tydzień, nie widziałas ogłoszenia? – spytał dobrotliwie Wojtek.

– A jakoś tak...

– Nasze filie się czynne, więc możesz z nich skorzystać. Twoja karta biblioteczna obejmuje wszystkie oddziały, nie tylko główny.

– Aha, to fajnie – przyznała Ewka. – To do widzenia.

– Do widzenia.

Dziewczyna wykonała jakąś dziwną, karykaturalną odmianę drygu dworskiego i pośpiesznie opuściła pomieszczenie, odprowadzona przez podejrzliwe spojrzenie ukrytego między regałami Sebastiana. Mężczyzna zbliżył się do lady, pytając ostrożnie:

– Kto to był?

– Stała czytelniczka, Ewka. Chociaż naprawdę ma na imię Ewelina. Dziewczyna naprawdę ma potencjał! Tytuły, które wypożycza, mówią o niej dużo dobrego – oznajmił entuzjastycznie Wojtek.

– Może bierze dla kogoś.

– Nieraz z nią dyskutowałem, sama to czyta. A w ogóle co cię ona obchodzi?

– Jakoś tak pomyślałem, że to nie miejsce dla niej.

– Bo?

– Wygląda mi jakoś tak... Na młodocianą dziwkę.

– Ja... Ach! Nie, nie będę w ogóle tego komentował. Zapewniam cię, że Ewka nie jest żadną dziwką. To porządna dziewczyna i gwarantuję ci, że nie zajdziesz jej klęczącej w klubowej toalecie, czy jak to tam sobie wyobrażasz w swojej chorej, spaczonej wizji świata jako gigantycznej kloaki.

– Skoro tak mówisz, to pewnie tak właśnie jest – stwierdził mrukliwie Sebastian. – W końcu co ja tam wiem o życiu.

Wojtek nie odpowiedział, ostentacyjnie wpatrując się w wyświetlony na monitorze rejestr, dopóki rozmówca nie wrócił do swoich zajęć. *Oczywiście najlepiej, żeby ochoczo klękła za drinka przed tobą, co*

*bydlaku?* – pomyślał ze złością Dobry Człowiek. – *Niedoczekanie!*  
Pokrzepiony tą myślą, wierząc niezłomnie w silny kręgosłup moralny  
swojej ulubionej czytelniczki, wrócił do pracy.

## Rozdział III

### Stypa

Volkswagen Golf „Dwójka” sunął miarowo po opustoszałej ulicy budzącego się do życia Miasteczka. Wewnątrz brudnej, grafitowej maszyny o zatrzaśniętym na amen szyberdachu trójka dawnych przyjaciół walczyła z porannym zmęczeniem, spoglądając bezmyślnie na świat przemykający za szybami. Uczepiony kierownicy Wojtek ziewnął, spełzając z niej dłonią, by pogmerać przy włączniku radia.

– Zostaw – mruknęła siedząca z tyłu Malwina. – I tak nie znajdziesz nic ciekawego, jest ósma rano w sobotę.

– A nuż bym trafił na „Born to be wild”! – zakrzyknął z teatralną afekcją kierowca.

– Jak chcemy odtwarzać „Easy ridera” – wtrącił się Sebastian – to na początku podróży powinniśmy wyrzucić zegarki, albo lepiej, komórki. Poza tym nie zapominajmy, jak marnie skończyli bohaterowie tego filmu.

– Swoje przeżyli! – zaprotestował Wojtek.

– No przeżyli, traumę głównie.

– Odśwież sobie lepiej ten tytuł.

– Poza tym – kontynuował mentorskim tonem Sebastian – wycieczkę panowie urządzili sobie za kasę z prochów. Więc *de facto* cały obraz można też potraktować jako podręcznikowy przykład działania karmy.

– Większej bzdury w życiu nie słyszałem.

– Do tego dochodzi nielegalny pochówek, właściwie profanacja zwłok w pewnym sensie. U nas za nielegalną kremację byłby mandat jak stąd do morza.

– Masz jeszcze jakieś inne błyskotliwe filmoznawcze komentarze?

– Tak. „Grease” na ten przykład...



– Odczep się od Travolty – ostrzegła z uśmiechem Ruda.

– Do Johna nic nie mam. Ale cały film to w zasadzie smutna opowieść o dziewczynie, która w imię dostosowania się do grupy i zdobycia akceptacji pożądanego samca, przeszła całkowitą metamorfozę. Ze spokojnej outsiderki w drapieżnego wampa, nawet sama zaśpiewała w którymś momencie goooooodbye toooo Saaaandra Deeee – zawył mężczyzna.

– Błagam, nigdy, przenigdy nie próbuj śpiewać – jęknęła dziewczyna.

Śmiech na krótko wypełnił wnętrze zaniedbanego pojazdu, cichnąc tak szybko, jak zakwitł. Atmosfera wymuszonej swobody i pozornej beztroski uwierała rozbitą już grupkę ludzi, którzy kiedyś definiowali się szumnym mianem przyjaciół. Sebastian przyznał w duchu rację Dobremu Człowiekowi; ta wyprawa naprawdę była stypą. Spędzili w drodze już pół godziny, a dopiero teraz spróbowali czegoś, co można było z grubsza określić mianem rozmowy. Oni! Paczka znana z wiecznego rozgadania. Z drugiej strony, o czym niby mieli rozmawiać? Ruda, jak ci się wychowuje upośledzonego synka, którego spłodziłaś z moim kumplem? Och, doprawdy wspaniale! A ty mój drogi, jak się czujesz po rozbiciu niedoszłej żonie nosa? A tak w ogóle, celowałeś wtedy, czy po prostu waliłeś w ciemno, byle mocno? Sebastian parsknął śmiechem.

– Coś sobie przypomniałeś? – zagaił Wojtek.

– A co, na pogrzebie nie można się uśmiechnąć? – warknął mimowolnie mężczyzna.

– Chłopcy – ostrzegła Malwina – spokojnie. Wszyscy wiemy, jak stoją sprawy między nami. Jesteśmy sobie prawie obcy, to fakt. Możemy żartować, przekomarzać się do woli i błaznować, ale nie potrafię już powiedzieć, co siedzi w waszych głowach. A wy nie macie bladego pojęcia o tym, jaką teraz jestem osobą. Bycie matką zmienia, to nie jakiś tam

łzawy frazes, ale fakt. Mamy w swoim towarzystwie spędzić najbliższe dwa dni, więc nie zmarnujemy tego czasu. Cholera wie kiedy, jeśli w ogóle, znów trafi się taka okazja. Mieliśmy w życiu to szczęście, że podczas starych dobrych czasów byliśmy świadomi tego, w czym uczestniczymy. Bawiliśmy się na sto dwa, doskonale wiedząc, że potem właśnie ten szczeniacki okres we wspomnieniach nazwiemy z dumą „starymi dobrymi czasami”.

– Jakich wspomnieniach? – wtrącił się Sebastian. – Swoje przeżyliśmy, racja. Ale z kim właściwie mamy to wspominać? Opowiadanie o naszych cudownych szaleństwach innym, to jak streszczanie filmu, który sami widzieliśmy.

– W którym wieku żyjesz? – syknął Wojtek. – Bo ja w dwudziestym pierwszym. Teraz nie da się z kimś stracić kontaktu, można go tylko zerwać. I odzyskać, poświęcając może z dziesięć minut na przeszukanie sieci, albo zwyczajnie pisząc maila. Twój wyczyn też nie zaginie, nigdy. Co, nie wiedziałeś, że ktoś z drogich gości nagrał jak rozwalasz narzeczonej twarz? Filmik jest cholernie popularny! Widziałem go. A wiesz, od kogo dostałem linka?

– Tomek jakoś przypadkowo na to trafił – wybąknęła przepraszająco Ruda. – Stąd w ogóle się dowiedzieliśmy o tej całej... aferze. Bo przecież nie od ciebie – dodała oskarżycielsko.

– Najpierw zerwałeś kontakt z nami – dorzucił swoje Wojtek – w ogóle, ze wszystkimi z Miasteczka. Bo tak. Nie wyszło ci z Rudą, a na zatechłej prowincji za ciasno, no to pojechałeś w wielki świat! Dwieście kilometrów dalej. Znalazłeś sobie nową miłość, stadko kumpli i było cudownie, aż do wielkiego, melodramatycznego finału. A teraz jesteś znowu tutaj, na starych śmieciach – kierowca przesadnie zaakcentował

ostatnie słowo. – I chcesz, żebym robił za darmowy hotel, a Ruda... Nie wiem, czego od niej chcesz.

– Nareszcie – podsumował Sebastian.

– Nareszcie, co?!

– Zaczynamy rozmawiać.

Wojtek uśmiechnął się mimowolnie, a z tyłu dobiegł go chichot Rudej, która przyznała:

– Racja. I do tego wyszła nam rozmowa pierwszego sortu, czyli kłótnia.

– Otóż to – przytaknął Wojtek. – W gniewie to człowiek może nawet prawdę powiedzieć!

Wnętrze pojazdu ponownie wypełnił ludzki śmiech, tym razem długi i szczery.

– Stój! – wrzasnęła ostrzegawczo Ruda.

Golf jęknął boleśnie, gdy wysłużone klocki hamulcowe przerwały bezdusznie jego szarżę.

– Pies – wyjaśniła kobieta. – Minęliśmy go na poboczu parę sekund temu.

– Co z nim? – spytał Wojtek.

– Chyba coś go potrąciło, wyglądał jakby konał.

– A w związku z tym... – zaczął ostrożnie Sebastian.

Kierowca wrzucił wsteczny, by po chwili przystanąć na poboczu tuż obok zwiniętego w kulkę, drgającego spazmatycznie kundelka. Beżowy zwierzak spojrzał trwożnie na trzy sylwetki wyrosłe nad jego głową. Chciał szczeknąć przyjaźnie, lecz z pyska, prócz krwawej piany, nie wydobył się żaden słyszalny dla ludzkiego ucha dźwięk.

– Po nim – zawyrokował arbitralnie Sebastian.

– Wiem, geniuszu – odgryzła się kobieta. – Trzeba go dobić.

– Nie lepiej przesunąć go na łakę? – zaproponował Wojtek.

– W celu...? – spytała zjadliwie Ruda.

– No nie wiem, jakoś lepiej mu tam będzie, niż na poboczu.

– Po prostu wycofaj – zaproponował Sebastian.

– Co?

– No przejedź po nim, dobij.

– Lecz się.

– Ale... – zaczęła ostrożnie Ruda – może to faktycznie najlepszy sposób? Bo inaczej to jak... Czym? Przecież będzie się tak męczył biedak godzinami.

– Nie domyję potem kół – zaprotestował Wojtek.

Pies spojrzał z nadzieją na porozumiewających się ze sobą ludzi. Ciekawe, co te duże, mądre stworzenia wymyślą, żeby mu pomóc? Szkoda, że nie było z nimi jego opiekuna! Staruszek na pewno coś by poradził. A przynajmniej, jak zawsze, podzieliłby się jakimś smakołykiem. Tymczasem jeden z nieznajomych pochylił się nad nim, chwytając delikatnie futro na karku.

Wojtek gwałtownie szarpnął, unosząc psa ku górze. Oszalałe z bólu stworzenie wierzgnęło w powietrzu wszystkimi łapami i natychmiast znieruchomiało. Mężczyzna wypuścił bezwładne ciało, które z nieprzyjemnym plaśnięciem uderzyło o asfalt.

– Już po wszystkim – zapewnił.

– Szkoda biedaka – dodała Malwina – ale przynajmniej już się nie będzie męczył.

– Humanitarne rozwiązanie – wtrącił swoje Sebastian. – Zwróciliście kiedyś uwagę na pochodzenie tego zwrotu? To zastanawiające, że określenie, które odnosi się do zadawania podobno niosącej ulgę śmierci jest tak związane z ludźmi.

– Muszę umyć ręce – jęknął boleśnie Wojtek, dobywając z bagażnika butelkę wody. – Ruda, polejesz mi?

– Jasne.

– Czyli nie zastanawialiście się – mruknął pod nosem Sebastian.

Zastukały buty, trzasnęły drzwi, a stłumione ludzkie głosy utonęły w ryku odpalanego silnika. Tuman duszących spalin uderzył w nozdrza kundla, któremu niespodziewany wstrząs przetrącił kark i ponownie rozwarł z wolna zabliźniające się wewnętrzne rany. Ból, który jeszcze do niedawna był możliwy do zniesienia teraz zapłonął ze zdwojoną siłą, obejmując każdy zakamarek drobnego ciała. Sparaliżowany, okaleczony aktem ludzkiego miłosierdzia pies konał w ciszy do wieczora.

\*\*\*

Jechać w Czady. To znaczy gdzie konkretnie? Wpatrzony w przesuwany się za szybą krajobraz Sebastian nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Mijała już druga godzina podróży, wypełnionej naprzemiennie okresami ponurej ciszy i gorących, niekiedy wręcz histerycznych dysput o niczym. Od incydentu z psem nie udało się ponownie nawiązać szczerzej rozmowy, a zasiadający u sterów golfu Wojtek mknął przed siebie, nie pytając nikogo o wytyczne. Mijali więc kolejne miasteczka, wsie i wioseczki, otoczeni na przemian przez zielone ściany lasu, pola, ugory i łąki. Jedynym stałym elementem krajobrazu były pstrokate bilbordy, które obsiadły pobocza, entuzjastycznie zachęcając do zakupu wszystkiego, od koziego sera po dachówki ze szwedzkiej blachy.

– Jedźmy gdzieś – nie wytrzymał Sebastian. – GDZIEŚ.

– Popieram – przytaknęła Ruda, unosząc do góry dłoń.

– To znaczy? – spytał Wojtek, bezrefleksyjnie skręcając w jakąś odnogę głównej drogi.

– Co jest w najbliższej okolicy? Nie wiem, jakieś muzeum czegokolwiek albo pomnik kogokolwiek – myślał na głos Sebastian. – Jakieś miejsce, w którym moglibyśmy przystanąć, zobaczyć coś ciekawego. Taka jazda w ciszy przed siebie może i skłania do refleksji, ale nijak ma się do naszych planów stworzenia choćby iluzji początków odnowienia starych więzów.

– Zupełnie, jakby ci na tym zależało – odburknął Wojtek.

Malwina chciała zareagować, lecz otworzyła tylko usta, by zaraz zamknąć je i wlepić wzrok w przelatujący za szybą zalesiony, górski krajobraz. Dobry Człowiek po przejechaniu kilku kilometrów jakimś sposobem ponownie dołączył do głównej drogi, zapewniając:

– W okolicy jest jedno miejsce godne uwagi.

Przy milczącej zgodzie pasażerów obrał je za cel, który osiągnął w przeciągu kwadransa.

Samochód wypłuł z siebie trójkę ludzi wprost na połą ubitej ziemi, pełniącą funkcję parkingu przed nieczynnym kamieniołomem. Domorośli podróżnicy zlustrowali spojrzeniami wyrobisko, pobieżnie oceniając, jak wysoko zdołają wspiąć się po stosunkowo łagodnym stoku. Pierwszy ruszył Sebastian, zachęcając:

– Trochę ruchu nam się przyda.

Malwina poszła w jego ślady, pytając zamykającego ogonek Wojtkę:

– Dlaczego akurat kamieniołom?

– Tak naprawdę nie mam bladego pojęcia, co ciekawego jest w okolicy – przyznał z przeproszającym uśmieszkiem – więc jechałem z nadzieją, że szybko na coś trafię. O popatrz, Sebastianowi się podoba.

Idący na przedzie mężczyzna nie odwrócił się, słysząc swoje imię. Z dziką zapalczywością kontynuował wspinaczkę, aż stanął niemal u szczytu wyrobiska, od którego dzieliła go blisko dwumetrowa, pionowa

ściana skalna. Zrezygnowany, oparł się o nią plecami, zerkając dumnie w przestrzeń pod sobą. Różnica wysokości pomiędzy okupowaną przez niego pozycją a parkingiem nie była imponująca, ocenił ją na nie więcej niż piętnaście metrów, lecz z jakiejś przyczyny odczuwał niebywałą satysfakcję. Wkrótce Ruda i Dobry Człowiek stanęli obok, rozglądając się z zaciekawieniem na boki.

– Po co właściwie tu weszliśmy? – spytała kobieta, zauważając ze smutkiem poniewierające się wśród załomów skalnych śmieci.

– W imię zasad – odparł Sebastian, z łobuzerskim uśmieszkiem trącając nogą kamyk, który wywołał mikro lawinę.

Wojtek uczynił podobnie, za cel obierając znacznie większą skałę, którą z trudem ruszył z miejsca po kilku nieudanych, energicznych pchnięciach stopą. Puszczony w ruch odłamek ochoczo pociągnął za sobą kilkunastu towarzyszy, którzy z łoskotem pomknęli po stoku. Jedna ze skał nabrała takiego impetu, iż odbiła się z głośnym stuknięciem od położonych najniżej głazów i wystrzeliła w powietrze. Kamienny pershing wielkości kurzego jaja opadł ostrą parabolą, trafiając bezbłędnie w sam środek przedniej szyby golfu. Głośny trzask pękającego szkła ucichł w potoku bluzgów wrzeszczącego Wojtka.

– Jak to w ogóle było możliwe! – krzyczał przerażony kierowca, szybciej niż nakazywał to rozsądek pędzący w dół stoku.

Podążający za nim Sebastian i zamykająca pochód, ostrożnie stawiająca kroki Malwina z trudem powstrzymywali uśmiechy. Pajęczyna pęknięć szpecąca szybę volkswagena była rysą na ponurym obrazie ich wzajemnych relacji, groteskowym okienkiem, przez które można było zerknąć w jasną przeszłość. Coś, co nie miało prawa się wydarzyć, a jednak zaistniało.

– Musimy wracać – jęknął żałośnie Wojtek, tym krótkim stwierdzeniem natychmiast przyprowadzając do porządku puszczone samopas myśli towarzysza.

– Nie – zaprotestował gorąco Sebastian, szukając w stojącej obok Malwinie sojusznika.

Kobieta uśmiechnęła się przepaszając, tłumacząc:

– Pogadać możemy gdziekolwiek, a przecież Wojtek nie może dwa dni krążyć po Czadach z wybitą szybą.

– Pękniętą.

– Nic z tego, to koniec naszej wycieczki – zdecydował ze smutkiem Dobry Człowiek.

– Golf dwójka to w tych rejonach jak kiedyś maluch, wszędzie tego pełno! Na pewno jest mnóstwo zakładów z zapasowymi szybami!

– Nawet jeśli, to a – nie zrobią tego od ręki, b – nie wziąłem na tyle pieniędzy.

– Ale...

– Daj spokój, Sebastian – wtrąciła się Malwina – trzeba wracać. Wieczorem pójdziemy w trójkę posiedzieć przy piwie w Popłochu, całe wieki tam nie byłam.

– Nie – zaciął się mężczyzna. – Przejedźmy trochę, nie wiem, jeszcze ze dwadzieścia, trzydzieści kilometrów na południe, jak nie trafimy na żaden zakład, to wracamy. Mam przy sobie gotówkę, w razie czego dorzucę się na ekstra premię, żeby jakieś okoliczne majster-łebki wymieniły szybę od ręki. Proszę – dodał po dłuższej chwili wahania.

– Wojtek? – spytała z nadzieją w głosie Ruda.

– W porządku, trzydzieści kilometrów co do metra – zgodził się z rezygnacją kierowca, wsiadając do okaleczonego pojazdu. – A potem wracamy!



Sebastian tymczasem wyjął ostrożnie feralny kamień i przekazał go Malwinie, instruując z powagą:

– Zachowaj to na pamiątkę.

– Tak jest!

– Ruchy – ponaglił poirytowany Wojtek, wbrew sobie uśmiechając się szeroko.

Pięć minut później wierny volkswagen sunął ręczo po utrzymanej w nad podziw dobrym stanie nawierzchni. Dalej, coraz dalej na południe.

\*\*\*

Dionizy zagulgotał. Nie był to odgłos przełykania śliny, jakieś dziwne odkaszlnięcie czy efekt zakrztuszenia, lecz właśnie gulgot. Wojtek zerknął z niepokojem w lusterko, na siedzącego obok zniesmaczonej Malwiny autostopowicza, który splótł dłonie na okazałym, obficie owłosionym brzuszysku, którego nie uznał za stosowne zakryć żadną częścią ubioru. Piwny bebech wylewał się daleko poza ciasnawe szorty, na skutek czego momentami wydawało się, iż brodaty mężczyzna jest nagi. Dobry Człowiek szybko wyrzucił z głowy to szkaradne wyobrażenie, powtarzając sobie przy tym, że spotkanie tego oryginała było darem od dobrego losu, który należało docenić.

Dionizego zgarnęli z pobocza po przejechaniu dokładnie dwudziestu siedmiu kilometrów. Maszerujący dziarsko mężczyzna, widząc zbliżający się samochód, zamachał energicznie, szczerząc w szerokim uśmiechu nienaturalnie białe zęby. Mimo żarliwych protestów Malwiny zapewniającej, że „nie życzy sobie towarzystwa górskiego trolla”, autostopowicz trafił pod dach volkswagena. Gadatliwy intruz okazał się nieocenionym źródłem informacji o całych Czadach, wskazał też, gdzie w okolicy można znaleźć mechanika.

– To mój kumpel – zapewniał swoim donośnym basem autostopowicz.  
– Do wieczora samochodzik będzie jak nowy! No i facet mieszka rzut kamieniem ode mnie – dodał przepraszająco. – Naturalnie zapraszam na obiadek!

– Daleko stąd do tego zakładu?

– No zakład, jak zakład. Bardziej taka prywatna inicjatywa naprawcza. No będzie trochę.

– To znaczy?

– O tak ze dwadzieścia kilometrów, czy tam pod trzydzieści. Droga elegancka, nowa, raz dwa się jedzie.

Wojtek spojrzał na licznik, który wskazywał już siedem kilometrów ponad wyznaczony przy kamieniołomach limit. Kątem oka uchwycił też pytający wzrok Sebastiana.

– W porządku – oznajmił pogodnie – jedziemy.

– Doskonale! – ryknął jowialnie Dionizy, z plaśnięciem kładąc dłonie na brzuchu i gładząc go z czułością.

Malwina wbiła wzrok w tapicerkę, wiedząc już, że wspomnienie Dionizego głaskającego swój piwny bebech nawiedzać ją będzie w koszmarach aż do śmierci.

Mechanik okazał się wychudzonym, dwumetrowym flegmatykiem o ziemistej cerze i żyłastych, zdradzających niezwykłą siłę dłoniach. Jego „zakład” – szara, betonowa bryła piętrowego domu z przerobioną na garaż stodołą – oddalony był od miejsca, skąd zabrali Dionizego o prawie sześćdziesiąt kilometrów. Sam fachowiec był natomiast rodzonym bratem autostopowicza, z którym zamieszkiwał socrealistyczną kostkę położonego na odludziu domostwa. Właściwie w najbliższej okolicy, poza smętnymi ruinami upadłych państwowych gospodarstw rolnych, nie widać było żadnych oznak bytowania człowieka. Zarosłe chwastami pola

przegrywały w walce z młodym lasem, który chciwie wbijał się w niegdyś odebrane mu przez człowieka tereny. W „domu złym”, jak ochrzcił w myślach to miejsce Wojtek, mieszkała jeszcze pulchna kobieta, która przyjęła niespodziewanych gości czymś pomiędzy dobrotliwym uśmiechem a chłodną kurtuazją.

– Chodźcie do kuchni – poprosiła, zwracając się właściwie do Malwiny – nastawię gulaszu. Chyba że jesteście wegetarianie – dodała z nieukrywaną podejrzliwością.

– Gulasz będzie w sam raz – zapewnił gorliwie Wojtek – pani...

– Afrodyta.

Sebastian najwyższym wysiłkiem woli zmusił się, by zachować powagę. Nie powstrzymał się jednak przed komentarzem:

– Prawie jak na Olimpie. Dionizy, Afrodyta i...

– Paweł. Mój szwagier to nasz Hefajstos, złota rączka, jak już jesteśmy przy mitologii. A mój Dionizy... Dionizos jego mać! Jak z domu wczoraj wyszedł to w garniturze, tak dziś wraca... Dziad przeklęty.

– Ubłocił się! – mruknął wchodzący do kuchni Dionizy. – W poniedziałek odbiorę.

– Na tej melinie już go do tego czasu sprzedadzą.

– Już ci tłumaczyłem, że nie chodzę tam pić, tylko na szachy! Co ja zrobię, że oni wszyscy tam tacy pijący! Lepszych graczy w okolicy nie ma, to jest poziom światowy!

– Sportowcy zasrani – sapnęła gospodyni, zapalając pod wielkim garem. – A wy, młodzi, gdzie jedziecie? – spytała niespodziewanie oskarżycielskim tonem, tym razem skupiając uwagę na Sebastianie.

– Tak sobie, przed siebie – odarł mężczyzna, z zadumą spoglądając na niemal wypłowiałe ze starości zdjęcie przylepione do ściany.

Na fotografii przeżyła się jakaś roznegliżowana panienka, której za jedyny strój służył niedbale owinięty wokół ciała biały szal.

– Babcia za młodu – wyjaśniła Afrodyta, podchwytyjąc spojrzenie mężczyzny. – To rodzina ze strony męża, naturalnie – dodała z naganą w głosie.

– To nieprawda! – zachnął się gospodarz. – Po co ty zawsze jakieś bzdury wygadujesz! To jakiś majster przykleił, jak dom stawiali.

– Nie kłam Dionizy, bo to grzech. I nie wstydz się, bo rodziny się nie wybiera. A zdjęcie sam żeś przylepił, że niby zawsze mam pamiętać, że jesteś od małego nawykły do kanonów piękna.

– Same kłamstwa i oszczerstwa – protestował z figlarnym uśmiechem brzuchacz.

Malwina roześmiała się nerwowo, zerkając na swoich towarzyszy.

– A co z szybą? – spytał ostrożnie Wojtek.

– Najpierw gulasz – rozkazała Afrodyta, dodając: – A na zdjęciu to jestem ja.

Posiłek przebiegł w atmosferze wzajemnych docinek dziwacznych gospodarzy i głośnego mlaskania markotnego Pawła, który nagle zmaterializował się w kuchni. Tuż po opróżnieniu talerzy bracia wyciągnęli Wojtkę do pomocy przy wymianie szyby, oględnie tłumacząc, że przy właścicielu lepiej idzie robota. Po ich wyjściu krzątająca się przy zlewie kobieta zupełnie przestała zwracać uwagę na Sebastiana i Malwinę, którzy po pewnym czasie wyszli na zagracone podwórze. Po przespacerowaniu w ciszy kilkunastu metrów odeszli w stronę labiryntu butwiejących, pustych kurników.

– Ruda... – zaczął Sebastian, siadając bezceremonialnie na trawie. – Trzeba w końcu pogadać.

Kobieta przytaknęła, zajmując miejsce w pewnej odległości od rozmówcy.

– Dlaczego właściwie przyjechałeś? – zaczęła z lekkim wyrzutem w głosie.

– Przecież wiesz, Wojtek zaprosił...

– Chcesz szczerze pogadać, czy nie?

– Ruda...

– Słuchaj, naprawdę fajnie cię zobaczyć, ale życie to nie książka. Nie możesz nagle przerwać biegu wydarzeń, zrobić sobie obiad, nastawić herbatę i wrócić do momentu, w którym skończyłeś. A to właśnie próbujesz tutaj osiągnąć.

– Więc co powinienem niby zrobić?

– No właśnie, „powinienem”... Nic nie musisz! Liczy się to, czego chcesz. Och! Naprawdę czasem mam tego dosyć! Nie tak dawno pomagałam Wojtkowi pozbierać się i jakoś życiowo ogarnąć, teraz ty... Ja też mam swoje problemy! I proszę, nie udawaj, że cię to cokolwiek obchodzi.

– W porządku, nie obchodzi mnie to. Egzystencjalne rozterki Dobrego Człowieka również. Przyjechałem do Miasteczka, bo potwornie się nudzę! W poniedziałki, wtorki i środy pracuję, tłumaczę teksty, w czwartki siłownia i angielski plus czas na lenistwo. W piątki wyjazdowe korepetycje, cały dzień. Weekend? Durne picie, czasem jakiś okazyjny seks. I tak tydzień w tydzień, bez przerwy. I wiesz co? To cholernie wygodne! Dopiero tutaj, na tym zadupiu, dociera do mnie, dlaczego większość ludzi żyje właśnie tak. Tak jest po prostu łatwiej. Myślałem, że po tym co zrobiłem, nagle stoczę się na samo dno. I to, naturalnie, w jakiś bardzo spektakularny, literacki sposób.

– Kłamiesz – przerwała mu łagodnie Ruda. – Chciałbyś czerpać satysfakcję z takiej prostej egzystencji, ale wiem, że nie potrafisz.

Mężczyzna zerwał się z trawy i z zaciętym wyrazem twarzy poluzował pasek. Spuszczone spodnie klapnęły na ziemię, zanim kobieta zdążyła krzyknąć „co ty do cholery wyrabiasz?!”.

– Ta dam! – syknął, celując palcami wskazującymi w usiane bruzdami blizn uda. – To moje lekarstwo na bolączki codzienności. Proste, skuteczne i żałosne.

Malwina wstała, uśmiechając się ponuro. Bez słowa ściągnęła bluzkę, cisnęła ją pod nogi i uniosła ramiona ku górze.

– Pachy – szepnęła. – Tomek nigdy nie zwraca na nie uwagi, to jedyne miejsce, w którym mogłam się ciąć bez wzbudzania podejrzeń.

Sebastian, z groteskowo rozdziawionymi ustami, wpatrywał się w nawarstwienie blizn przypominających zachłanne larwy stłoczone przy niewielkiej ranie.

– Tak, masz rację – przyznała. – To najprostszy, najgłupszy i najskuteczniejszy sposób na chwilową ulgę.

– Od kiedy...

– Zaczęłam jakiś na rok przed naszym zerwaniem, skończyłam kilka miesięcy po urodzeniu Mateusza. Zdziwiony? Wszyscy mamy problemy. I, proszę, załóż spodnie. Coś za mało masz tej siłowni w tygodniu – dodała z figlarnym uśmieszkiem.

Sebastian odwzajemnił uśmiech, skrupulatnie unikając przy tym kontaktu wzrokowego. Wiedział, że rozmówczyni dostrzeże w jego spojrzeniu furję. Wszyscy mamy problemy, co za banał! On, ciosem zadany narzeczonej, wzniósł się wysoko ponad prozę codzienności! Zrobił coś, o czym inni tylko rozmyślali w chwilach złości, przełamał magiczną barierę pomiędzy „chciałbym” a „zrobiłem”.

– Sebastian? – zagadnęła kobieta, naciągając bluzkę. – Odpłynąłeś.  
O czym pomyślałeś?

– O swoim ślubie.

– Żałujesz tego, co się stało?

– Nie!

– Więc powinienes być szczęśliwy.

– Ten ślub wszystko zabił. Całe to planowanie, dbanie o różnego rodzaju pierdoły, wydatki. Czułem się jak organizator imprezy masowej, a nie przyszły mąż. Chyba to właśnie wykończyło nasz związek.

– Więc nie należał do najsilniejszych.

– Być może.

– Myślisz, że z nami byłoby tak samo?

– Nie wiem, Ruda, nie mam bladego pojęcia. Ale ciebie bym nie uderzył.

– Nie wierzę w to – odparła smutno kobieta. – Może nie skrzywdziłbyś mnie fizycznie, ale nie raz potrafiłeś cholernie zranić jakimś podłym komentarzem. A czasem... Po prostu było kilka takich sytuacji... Po prostu bałam się ciebie, Sebastian, niekiedy naprawdę bałam się, co mógłbyś mi zrobić. Teraz też jesteś wściekły, prawda? Znów patrzysz w ten swój cholerny, wilczy sposób, bez mrugania, prosto w oczy rozmówcy.

– Taki już jestem.

– To dlaczego udajesz sympatycznego, wiecznie ironizującego kolesia, dobrego kumpla na zabój? Bądź sobą! Nie mówię, że podoba mi się to, co w tobie kiedyś dostrzegłam, a co teraz już jawnie okazujesz, ale mógłbyś być przynajmniej szczery wobec siebie. Myślę, że te rany, które sobie zadajesz, chciałbyś wymierzać innym. Ale brak ci na to odwagi.

– Więc co? Powinienem biegać po parkach i okradać ludzi z telefonów?

– Nie. Po prostu przyznać, że to właśnie chciałbyś robić. Być „tym złym” nie okazjonalnie, ale na stałe. I poszukać pomocy u jakiegoś dobrego terapeuty, który wybiłby ci to z głowy.

– Złote rady.

– Zrobisz, jak będziesz chciał. Ja proszę cię tylko o jedno, wyjedź stąd jak najszybciej. Nie zrozum mnie źle, naprawę cieszę się z naszego spotkania, ale już ci mówiłam, że nie ty sam masz problemy. Wojtek ledwie doszedł do siebie i teraz potrzebuje spokoju, a ty tradycyjnie robisz sobie z niego emocjonalny worek treningowy. Daj jego ranom czas się zabiłżnić, Dobry Człowiek zasługuje w życiu na odrobinę szczęścia.

– A Ty? Tobie też dać spokój?

– Jeśli naprawdę liczysz na jakiś okazjonalny seks, wspomnienie wspólnych „starych dobrych czasów”, czy jakkolwiek to tam nazwiesz w swoich urojeniach, to proszę, daj sobie spokój. Z Tomkiem nie jest idealnie i wiem, że nigdy nie będzie między nami takiej chemii, jaka była z tobą, ale przynajmniej on się stara. Jeśli tak bardzo chcesz zająć jego miejsce w łóżku, to tylko w pakiecie ze mną i moim synem. Wiesz, praca, jako taka stabilizacja finansowa, troska o rodzinę, takie tam wyświechtane codzienne sprawy. Pasuje?

– Wiesz, że nie jestem na to gotowy.

– Naprawdę nie rozumiesz, że na coś takiego nigdy nie jest się gotowym? Ja też musiałam nauczyć się być żoną i matką. Ale skończmy ten temat, bo widzę, że jesteś znudzony.

– Przyznaję, tak.

– No to wracamy! Nie będę cię przecież zanudzać.

Malwina ruszyła w stronę betonowej kostki domu, zostawiając rozmówcę sam na sam z myślami. Sebastian odprowadził ją pozbawionym wyrazu wzorkiem, mruczając zadziornie pod nosem:



– Głupia suka.

\*\*\*

Wrzaski z sąsiedniego pokoju przybierały na sile, skutecznie uniemożliwiając jakiekolwiek próby zapadnięcia w sen. Nocna awantura pomiędzy solidnie pijanym Dionizym a jego żoną najwyraźniej wchodziła w fazę krytyczną. Siedząca na krześle Malwina wpatrywała się ponuro w ścianę, zza której dobiegały krzyki olimpijskiej pary. Mimowolnie przeniosła spojrzenie na wiekowe, ogromne łóżko, które gospodyni przydzieliła trójce gości. Obecnie zajmował je pijany w sztok Wojtek, przyczyna ich przymusowego postoju w tym miejscu, i wyzywająco uśmiechnięty Sebastian. *Gnojek dopiął swego* – pomyślała z goryczą Ruda. Jego nieśmiałe zaczepki pod kołdrą stopniowo przerodziły się w dosyć śmiałe pieszczoty, którym, pomstując na własną głupotę, uległa. Co z tego, że w krytycznym momencie wyskoczyła spod pierzyny, skoro i tak pozwoliła mężczyźnie na o wiele więcej niż powinna? Leżała jak kłoda, udając, że nie czuje chciwie wędrujących po jej ciele dłoni, a kiedy w końcu zaczęła protestować, jej przekleństwa, zakazy i groźby brzmiały jak zachęty. Życie dało jej w kość, ale najwyraźniej nie wykorzeniło do reszty „Rudej”. Tej ślicznej panienki, która była na tyle głupia, żeby wpaść po pijaku i urodzić trefne dziecko... Poczowała, jak po policzku spływa jej zdradliwa łza. Starła ją jednym, agresywnym ruchem dłoni. Nie mogła się teraz rozkleić, nie przy Sebastianie! Wykorzystałby to w mgnieniu oka, a jej dojście do względnego ładu ze świadomością zdradzenia Tomka zajęłoby lata. Bo oczywiście nigdy by się nie przyznała, nie mogła zabrać synowi tej odrobiny stabilizacji w jaką obrósł. Rozpaczliwie poszukując tematu zastępczego dla gonitwy myśli, skupiła uwagę na postaci śpiącego Wojtka. Przeklęty kretyn! Oczywiście okazało się, że Paweł nie ma „na

stanie” żadnej szyby do volkswagena. I zasadniczo jakimikolwiek naprawami pojazdów mechanicznych zajmuje się od przypadku do przypadku. Tymczasem Wojtek, zamiast zabrać ich stąd w cholerę, dał się spić jak świnia Dionizemu, który w dodatku po względnym wieczornym wytrzeźwieniu znów chwycił za flaszkę, i teraz zaczął wojnę domową. A w łóżku czeka przyczajony jak ptasznik Sebastian, z którym właściwie cholernie ma ochotę się przespać. Nagle wstała energicznie z krzesła i ruszyła ku drzwiom.

– Gdzie idziesz? – spytał zdziwiony niedoszły kochanek.

– Kazać im się zamknąć.

– Zwariowałaś? Wracaj pod kołdrę.

– Nie mów do mnie tym swoim słodkim tonem pana na zamku! Jeszcze mnie nie przeleciałeś.

– Ruda...

Słowa mężczyzny odbiły się od zamkniętych z hukiem drzwi. Wkrótce zza ściany dobiegł donośny, oskarżycielski krzyk Malwiny, który cichnął tylko wtedy, gdy na kilka chwil tłumił go wrzask Afrodyty. Bas Dionizego zagrzemiał kilkakrotnie, lecz szybko skapitulował przed nawałnicą kobiecej furii. W kilka minut po opuszczeniu gościnnego pokoju przez Malwinę wtoczył się do niego bełkoczący coś o „plugawej zdradzie” Dionizy. Nie zważając na protesty wściekłego Sebastiana, wpełzł niezdarnie pod kołdrę i niemal natychmiast zasnął. Rozjuszony mężczyzna, przy akompaniamencie chrapania dwóch pogrążonych w pijackim śnie towarzyszy, również zmrużył oczy, oczekując na sen. Łaski tej dostąpił dwie koszarne godziny później.

\*\*\*

Nastawione na losowo wybraną stację radio samochodowe wypływało z głośników jakiś skoczny kawałek ze szczytu listy przebojów. Energiczna, agresywna muzyka dudniła wśród trójki ponurych pasażerów, których niedzielny poranek zastał pośrodku pustej drogi w samochodzie z rozbitą szybą i głęboką rysą biegnącą przez cały prawy bok nieszczęsnego volkswagena. Pochodzenia tej ostatniej rany Wojtek nie zdołał ustalić. Paweł gdzieś zniknął, a Dionizego nie sposób było dobudzić. Po sutym śniadaniu, jakim uraczyła gości Afrodyta, nie pozostało już nic innego, jak wracać do Miasteczka. Od chwili wyjazdu z „Olimpu” minęła już przeszło godzina, podczas której nikt nie odezwał się ani słowem, wyłączając Malwinę, która zadzwoniła do domu, by sprawdzić, czy „jej chłopcy” sobie radzą.

– Dosyć – nakazał Wojtek, wduszając wyłącznik radia. – Na koniec naszej tułaczki zajedziemy jeszcze w jedno miejsce – poinformował ochrypłym głosem, który zabrzmiał wyjątkowo nieprzyjemnie wśród ciszy zalegającej po zgaszeniu odbiornika.

– Gdzie? – spytał bez większego zainteresowania Sebastian.

– Stosunkowo niedaleko i po drodze do domu. Dionizy podał mi adres pewnego rzeźbiarza.

– Pewnego mechanika też ci polecił – wtrąciła poirytowana Malwina.

– Ale o tym artyście słyszałem już wcześniej. To będzie nasz przedostatni przystanek, potem zajedziemy nad zaporę coś zjeść i jedziemy prosto do Miasteczka. Ok?

Nikt nie zaprotestował, a ponura cisza ponownie załęgła się wewnątrz samochodu, zmuszając kierowcę do włączenia radia, które wypłuło z siebie kolejny hit.

Dotarcie w okolice domu rzeźbiarza zajęło Wojtkowi niemal godzinę, a dalsze pół poświęcił na przejechanie wzdłuż i wszerz rozległej

miejsowości, której budynki w większości pozbawione były numerów. Krążący po okolicy, podejrzanie uszkodzony volkswagen wzbudził zainteresowanie mieszkańców, którzy uważnie obserwowali intruza zza firanek. Kilka osób wypełzło nawet przed domy, żeby, krążąc bez celu po swoich podjazdach, łypać ku nieznanemu. Kiedy samochód skręcił w ciągnącą się aż za wzgórze, wyżwirowaną niedbale drogę, wszystko stało się jasne, tamtędy można było dojechać tylko w jedno miejsce. Do Niego.

Chata. Nie sposób było inaczej określić na wpół zrujnowanego, drewnianego domostwa, przed którym zaparkował Dobry Człowiek. Chociaż zamiast gontu spadzisty dach pokryty był kruszejącym azbestem, to jednak budynek sprawiał wrażenie wyrwanego co najmniej z początku dwudziestego wieku. Dopełnieniem tej wizji była otulona pstrokatą chustą babulina, która wyszła właśnie na podwórze, uśmiechając się niepewnie do wysiadających z samochodu młodych ludzi.

– Czego tam? – zaszcebiotała głosem zupełnie pozbawionym piętna przeżytych lat.

– My do pana Maksymiliana, obejrzeć rzeźby.

– Syn pracuje teraz, struga sobie. I nie wolno mu przeszkadzać. Ale chodźcie, chodźcie. Zaraz pewnie skończy, bo śniadania jeszcze nie jadł, to poczekacie ze mną w kuchni.

Staruszka, nie czekając na odzew nieznajomych, okręciła się na pięcie i weszła do domu. Trójka niezapowiedzianych gości ruszyła w ślad za swoją nową gospodynią.

Wystrój chaty porażał. Futurystyczne, przeważnie białe meble doskonale komponowały się z wszechobecnymi reprodukcjami obrazów Salvadora Dali oraz Zdzisława Beksińskiego. Jedynie kuchnia, pomijając nowoczesną kuchenkę i wyposażoną w wyświetlacz LCD lodówkę,

zachowała charakter z grubsza pasujący do stereotypowego wyobrażenia wnętrza rozpadającego się ze starości domostwa w sercu Czadów. Babinka przysiadła na taborecie, sięgając ostrożnie ku parapetowi, skąd zabrała kartkę, ołówek i czytnik elektroniczny. Nagryzmoliła coś na świstku papieru i odłożyła wszystko na miejsce, uprzednio wyłączając urządzenie.

– Tak sobie notuję ostatnie zdanie, bo nigdy nie pamiętam gdzie skończyłam – wyjaśniła. – W książce to po grubości już przeczytanych rzeczy poznać można było, a na tym czymś to nie da rady, trzeba notować. Bo przecież nie będę ciągle trzymała zapalonego, prądu szkoda! Niby to się zatrzymuje tam, gdzie skończyłam, ale ja nie do końca w to wierzę. Napijecie się wina? – zagadnęła niespodziewanie, wskazując ku stojącej na stole butelce.

– Ja dziękuję – bąknął Wojtek.

Sebastian i Malwina pokręcili przecząco głowami, co wywołało lekki grymas niezadowolenia na pogodnej dotąd twarzy gospodyni. Jednak szybko poorane zmarszczkami oblicze ponownie przyozdobił uśmiech, gdy drżące wargi chciwie wpiły się w szklankę wypełnioną po brzeg półsłodką kadarką. Opróżniła naczynie w dwóch haustach, na koniec skrupulatnie omiatając wargi językiem.

– Jestem Lizawieta – oznajmiła. – Wiecie, jak ta siostra zabitej siekierą lichwiarki z książki.

– Wiemy – odparł Wojtek.

– To dobrze, dobrze – odpowiedziała radośnie Lizawieta, nalewając sobie kolejną porcję wina.

– Rzadko bywają tutaj goście – zaczęła przepraszająco – to okazji do poczęstunku mało. A samemu pić, to jakby to wyglądało! Jaki bym przykład synowi dała!

Opróżniła szklankę – tym razem jednym pociągnięciem – i, sapiąc z wyraźnym zadowoleniem, nalała jeszcze na dwa palce. Ostatnią porcję smakowała już jednak powoli, z namaszczeniem. Nagły, przeraźliwy skowyt, który dobiegł gdzieś z zewnątrz, sprawił, że goście drgnęli nerwowo, odruchowo rozglądając się we wszystkie strony.

– Oho! Natchnienie się synkowi skończyło – rzekła ze smutkiem staruszka.

Odgłosy bestialskiego katowania jakiegoś nieszczęsnego zwierzęcia przybrały na sile. Wojtek runął ku drzwiom, a tuż za nim popędził Sebastian, wrzeszcząc „Zostaw, nie twoja sprawa!”. Pochód zamknęła Malwina. Lizawieta również podniosła się z miejsca, lecz natychmiast opadła na nie z cichym westchnieniem. Dopila resztkę wina ze szklanki, by następnie przyssać się do szyjki butelki, szybko opróżniając ją do cna. Na koniec czknęła, odgoniła sprzed oczu niewidzialną muchę i padła bez czucia na blat, zmożona alkoholem.

Wilczur merdał radośnie ogonem, skowycząc przy tym przeraźliwie, jakby ktoś próbował wyrwać mu trzewia. Wokół stworzenia krążył brodaty, zwalisty mężczyzna w bluzie o barwie zgniłej zieleni, machając bez opamiętania kijem. Kostur nie dotykał wprawdzie zwierzęcia, lecz to zachowywało się jakby każdy cios spadał prosto na jego grzbiet.

– Hej! – krzyknął Wojtek, który pierwszy otrząsnął się z chwilowego osłupienia. – Co ty robisz, człowieku?!

– He? – zaskrzeczał nieznajomy, wspierając się na kiju. – Czego tu?!

Wilczur zawarczał ostrzegawczo, stając pomiędzy swoim panem a intruzami.

– Spokojnie, Amik – nakazał pupilkowi. – No! Zadałem pytanie, czego tu szukacie? Może chcecie kupić jakąś moją rzeźbę?

– Pan Maksymilian? – upewnił się Wojtek.

– Ta.

– Dlaczego udaje pan, że bije psa? – wtrąciła się Malwina.

– No wiadomo, dla inspiracji! Taki skowyt to jak Mozart, idealnie nastraja do pracy twórczej! A przecież nie skrzywdziłbym mojego kochanego Amika – oświadczył, gładząc czule kark pupila. – No to go nauczyłem, na zasadzie odruchów warunkowych Pawłowa, że ma się zachowywać, jakbym go naprawdę bił. Wtedy zawsze dostaje swój ulubiony przysmak!

– Hau! – potwierdził Amik.

Wojtek otworzył usta, lecz dobyło się z nich tylko jakieś niezrozumiałe westchnienie. Całą uwagę Dobrego Człowieka przykuła stojąca nieopodal rzeźba, na którą dopiero teraz zwrócił uwagę. Z blisko dwumetrowej, postawionej na sztorc kłody artysta wydobył figurę anemicznego człowieka, który z rozwartej klatki piersiowej wydiera pokryte bliznami serce. Całe ciało postaci również pokrywała pajęczyna blizn, znamion i otwartych ran, które z bliska zaskakiwały ogromem detali. Gdzieniegdzie widoczne były nawet kunsztownie wystrugane, opasłe larwy. Tylko twarz ewidentnie potrzebowała jeszcze poprawek, chociaż z grubsza widać już było, w jakim kierunku podążył rzeźbiarz. Jego cierpiący człowiek miał posiadać nijakie oblicze everymana.

Trójka intruzów krążyła przez dłuższy czas wokół posągu, z zachwytem komentując odkrywane coraz to nowsze detale. Maksymilian pozwalał na to, z zadowoleniem czesząc dłonią gęstą brodę.

– No! – mruknął w końcu. – Wystarczy tego! Jak chcecie zobaczyć, co mam na sprzedaż, to proszę za mną.

Artysta zaprowadził nowo nabytych entuzjastów swojego kunsztu do niewielkiej, pozbawionej okien stodoły, spod stropu której zwisał rząd neonów. Lampy wypluły z siebie błękitne światło, wyłaniając z półmroku

tuziny mniej więcej metrowych rzeźb. Wojtek jęknął boleśnie. Wszystkie one były uosobieniem turystycznego kiczu; anioły, konie, leśne zwierzęta, skrzaty, a nawet pozbawione właściwych proporcji delfiny.

– Co to jest? – spytała zdeglustowana Malwina.

– Towar – odparł rzeźbiarz. – Żyję ze sprzedaży tego wszystkiego.

– To pańskie? – upewnił się Sebastian.

Maksymilian skinął głową, zapewniając:

– Sprzedają się jak świeże bułeczki! Poza sezonem rzeźbię całe stosy tego, wszystko schodzi.

– A... – zaczął niepewnie Wojtek – a to, co widzieliśmy koło domu? Ma pan więcej takich?

– Nie. Moje prawdziwe dzieci rozdaję za darmo. To do muzeum, to do jakiejś knajpy. Czasem zapraszam kilku zainteresowanych czymś, co mi naprawdę wyjdzie i urządzam im konkursy! Ha! Żebyście widzieli, jak ci wszyscy obrzydliwie bogaci faceci biegają z jajkami na łyżkach albo skaczą nad ogniem! Wariaci... A potem któryś zabiera moją rzeźbę, wstawia do salonu i napawa się nienawiścią dostojnych gości, których zaprasza na partyjkę pokera. To co, chcecie coś kupić?

Nikt nie odpowiedział.

– Trudno! – zakrzyknął artysta, gasząc światło. W takim razie muszę was prosić o wyniesienie się stąd, chcę jeszcze dziś popracować. Do widzenia.

Nie zwracając już więcej uwagi na obecność nieproszonych gości, mężczyzna wrócił do energicznego młócenia powietrza kijem. Amik natychmiast posłusznie runął na trawę i, wijąc się, na przemian skowyczał, pisał lub wył. Przybysze, po uprzednim dokładnym obfotografowaniu telefonami rzeźby, posłusznie odeszli, zostawiając roześmianego rzeźbiarza w spokoju.



\*\*\*

Kebab był w porządku. Raczej kiepskie mięso w pełni rekompensowała świeżość warzyw i wyrazisty sos, a dobrze podgrzana, cienka bułka nie tłumiała sezamową słodkością całej kompozycji. Zasiadająca w ogródku piwnym trójka zmęczonych podróżników pałaszowała swoje porcje, przyglądając się bez większego zainteresowania nielicznym ludziom spacerującym po grzbiecie niewielkiej zapory. Większość nawiedzających Czady turystów wybierała położony zaledwie dziesięć kilometrów dalej większy, największy w Kraju, zalew. Miejsce, w którym zatrzymał się Wojtek, stało się więc obowiązkowym przystankiem dla tych miłośników odpoczynku nad wodą, którzy niekoniecznie chcieli dzielić tę przyjemność z gwarnym tłumem.

– Dlaczego właściwie nie zamówiliśmy ryby? – spytał Sebastian, przełykając przeżuwaną od dłuższego czasu porcję. – Zamiast świeżego pstrąga jemy to.

– Nie smakuje? – syknął Wojtek.

– Smakuje.

– Więc jedz i siedź cicho.

– Chłopcy... – ostrzegła niemrawo Malwina.

– Po prostu – zastanawiał się Sebastian – zachowaliśmy się bardzo... Konwencjonalnie. Jak co poniektórzy nasi krajanie rozpaczliwie szukający na wczasach w egzotycznych krajach baru ze schabowym.

– Ich pieniądze, ich sprawa co jedzą – odparł Wojtek, wgryzając się w bułkę.

– Ale chodzi mi o sam wzorzec myślowy... Nieważne.

– Kebab wychodził taniej – wtrąciła swoje kobieta. – Daliśmy po dysze, a za rybę wyszłoby po dwie, a i tak by się człowiek nie najadł.

– Racja. Zresztą właściwie to kebab pasuje na danie kończące naszą wyprawę – stwierdził z namysłem Sebastian. – Patrzcie, pojechaliśmy w Czady, ale nie za daleko na południe, wciąż trzymając się głównych tras. Nie wspięliśmy się na żaden szczyt, widoki podziwialiśmy zza szyby samochodu, nie przejechaliśmy się kolejką wąskotorową, w ogóle...

– Nie pojechaliśmy tutaj po jakąś przygodę! – krzyknęła, głośniej niż zamierzała, Malwina. – Sebastian – dodała, zniżając ton głosu – cała ta nasza przygoda, wyprawa, wycieczka, nazywaj to, jak chcesz, miała nam o czymś przypomnieć, wskrzesić nasze dawne relacje. Nie wyszło! Zmieniłeś się, ja też. I Wojtek, chociaż z nim mam przecież kontakt. Ty masz swoje życie, a my naszą zdegenerowaną prowincję, którą tak bardzo gardzisz. Co, zdziwiło cię życie tutaj? Przyjechałeś do kraju trzeciego świata i ze zdumieniem odkryłeś, że ludzie po prostu jakoś sobie radzą? Tak, wielki biały odkrywco strasznej Czarnej Afryki? W czasie tych dwóch dni spotkaliśmy szaloną olimpijską rodzinę Dionizego i tego chorego rzeźbiarza, o jego matce nie wspominając, mało ci? Naprawdę potrzeba ci czegoś jeszcze bardziej szalonego, jakiegoś malowanego ptaka?

– Zawsze byliśmy postrzeleni – odparł bez cienia emocji mężczyzna. – Nasza szalona, wesoła brygada... Ale tylko do pewnych granic. Byleby nie dostać mandatu, żeby tylko sąsiedzi nie donieśli rodzicom. Walić egzaminy! Ale dwa dni przed trzeba solidnie pokuć, bo przecież zdać trzeba. Pijmy na umór! Ale w mieszkaniu, żeby nie chodzić pijanym po ulicach. Ale, ale, ale. Wiesz co, Ruda? Z naszej paczki tylko Tomek zawsze po prostu był sobą, z wszystkimi konsekwencjami i urokami takiego stylu bycia. Nie wiedział czegoś? Pytał o to. Ktoś go czymś uraził? Mówił mu to. Facet z wioski, prosty jak budowa cepa, a my, a JA,

misternie skonstruowany, lśniący Tygrys, przegrałem z tym rozklekotanym T-34.

– Wojna, tak? – prychnęła Malwina. – Tym jest dla ciebie życie? Ludzie to czołgi albo armie? I wszystko sprowadza się do zwycięstwa, blitzkriegu? Kłótnia to ofensywa, ciche dni równa się partyzantka, a trzymanie na kogoś haka to posiłki w odwodzie. Jesteś najbardziej zapatrzonym w siebie człowiekiem, jakiego znam! Pamiętasz, co ci mówiłam, co zobaczyłeś? KAŻDY ma swoje problemy, swoje blizny i nie ma w tym nic dziwnego, jak czasem pokażesz komuś, co masz pod pachami.

Wojtek parsknął śmiechem, ale natychmiast umilkł zgromiony wściekłym spojrzeniem kobiety, która kontynuowała:

– Chodzi o to, że nie możesz po prostu obnażyć się przed kimś i odejść, nie czekając na to, czy druga strona nie zechce zrobić tego samego. Jesteś już na tyle dużym chłopcem, że, do cholery, powinienesz wiedzieć, na jakich zasadach żyje się wśród ludzi. A może wiesz o tym dobrze, ale po prostu masz to gdzieś? A, tak na koniec mojej tyrady, która oczywiście spłynie po tobie, nie zostawiając śladu, to powiem ci, że mój Tomek nie jest prosty jak budowa cepa, tylko zwyczajnie uczciwy.

– Pouczające – skomentował Sebastian. – Ale spokojnie, będziecie mieć mnie z głowy. Jutro wyjeżdżam. Wybacz, Wojtku, że nie pomogę ci w skontrum, będziesz musiał jakoś dać sobie z tym radę. Chociaż to nawet lepiej, skontrum to chrzest ognia bibliotekarza.

– Wracasz autobusem – odparł Dobry Człowiek, wstając od stolika. – Chodź, Ruda.

Kobieta wydobyła z kieszeni chusteczkę i zdecydowanym ruchem osuszyła zalegające w kącikach oczu, zdradliwe łzy, nakazując:

– Sebastian jedzie z nami. Nie grajmy według jego zasad.

– Poradzę sobie – zapewnił mężczyzna. – Możecie jechać.

– Po prostu... Wróćmy wszyscy razem – poprosiła łamiącym się głosem, z każdym słowem coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie.

Malwina zaczęła szlochać, nie zadając sobie przy tym trudu, by choćby zasłonić twarz. Sebastian rozejrzał się lękliwie wokół, natychmiast łowiąc spojrzenia kilku zaintrygowanych gapiów. Ich stolik znalazł się w centrum uwagi!

– Spokojnie, wypłacz się – poradził troskliwie Wojtek, ponownie zajmując swoje miejsce.

Wzrok nieznajomych palił Sebastiana, który ciął oczyma na wszystkie strony, nie wiedząc, na czym powinien zatrzymać spojrzenie, gdyż wszędzie wokół byli ciekawscy ludzie. Ogarnęła go wściekłość. Dlaczego ta kretynka nie mogła poczekać z tym swoim wybuchem, aż wejdą do samochodu?! Urządziła cyrk, nie licząc się z nikim! Rozlewała te swoje emocje wszędzie wokół jak pijak, który rosi moczem mur w biały dzień, zupełnie ignorując krążących dookoła przechodniów. Miał ochotę zatkać jej usta, kazać siedzieć cicho albo zwyczajnie wymierzyć solidny policzek na uspokojenie. Zamiast tego podniósł się z miejsca, czując jak serce łomocze mu w piersi, a pot nieprzyjemnie zalewa twarz i sztywniejący kark. Zrobił kilka niepewnych kroków, sapnął, przystanął i padł zemdłony na ziemię.

## **Rozdział IV**

### **Danse Macabre**

Opustoszały autobus wtoczył się na betonowy plac dworca, leniwie podjeżdżając pod grupkę stłoczonych na jednym ze stanowisk pasażerów. Otwierane drzwi syknęły zachęcająco, zapraszając do wnętrza pojazdu wszystkich tych, którzy pragnęli w ten pochmurny, poniedziałkowy poranek opuścić Miasteczko. Sebastian westchnął, poprawiając przewieszoną przez ramię torbę. Przegrał. Przez całą drogę powrotną znad zapory gadał bez przerwy, szczerze wylewając wszystkie swoje żale i myśli, a już po powrocie do Miasteczka ich trójka posiedziała jeszcze kilka godzin u Wojtka. Ta spowiedź wykończyła go psychicznie, a dawka troski od dawnych przyjaciół była gwoździem do trumny jego samooceny. Obnażony, stanął przed nimi jako zagubiony, smutny człowiek. Jakimś cudem, żerując na chwili słabości, skłonili go nawet do wykonania tego poniżającego telefonu. Przeprosił ją. Za cios, za kradzież weselnych pieniędzy, za wszystko. Rodziców też. Przestał uciekać, stanął potulnie twarzą w twarz ze swoimi demonami i dostał od nich takie manto, że zapamięta je do końca życia. Wielka ucieczka dobiegła końca, a trzydziestoletni mężczyzna, pogodzony z koniecznością wzięcia życia we własne ręce, zamiast fascynującego obserwowania jak przecieka mu przez palce, wsiadł do autobusu.

Stojący w zwyczajowym korku przed rondem nieopodal cmentarza pojazd podpełznął kilka metrów do przodu. Była to ostatnia, pomijając kilka szybko zmieniających się świateł, większa przeszkoda do pokonania na tym odcinku drogi krajowej numer dwadzieścia osiem, która przecinała Miasteczko, niosąc podróżnych dalej, na północ Kraju. Pograżony

w ponurej apatii Sebastian poruszył się niespokojnie, gdy mimowolnie wyłowił z toczącej się na tyłach autobusu rozmowy znajomy element.

– I gdzie go dorwali? – spytał zachrypnięty, męski głos.

– Gdzieś na rynku – odparł jego kompan przepitym altem. – I dobrze! Dama! – prychnął z pogardą. – Facet jest zdrowo rąbnięty.

– Pewnie pedał – oświadczył ze znanstwem rozmówca – skoro się tak przebiera za babę. Ale teraz, jak dostał od chłopaków wycisk, to długo nie potańczy. Jest jednak duch w młodzieży! A tak psioczą ludzie na nich...

Sebastian ruszył w stronę kierowcy.

– Staje pan przy cmentarzu? – spytał wjeżdżającego właśnie na rondo szofera.

– Tak. Ale... Przecież pan kupił bilet...

– Zmieniłem zdanie, wysiadam.

– Jak pan chcesz, pieniędzy nie zwracamy w takim wypadku.

– Przeżyję. Do widzenia! – krzyknął Sebastian, wypadając przez otwarte właśnie drzwi.

Minął stojących na przystanku ludzi, potrącając przy tym kogoś barkiem. Odprowadzony jadowitą wiązką przekleństw jakiejś jowialnej staruszki ruszył szybkim marszem na przełaj przez cmentarz. Mijając porośnięte mchem nagrobki najstarszej części nekropolii, powtarzał w myślach mantrę „Żeby tylko nie nogi, nie te złote nogi!”. Dama urósł nagle w jego oczach do kuriozalnego symbolu absolutnej, dzikiej wolności, z której on sam dobrowolnie zrezygnował. Cudowną wymówką, której potrzebował, żeby nie ruszać z miejsca, pławiąc się w beztrudnej stagnacji outsidera. Jeśli te bydlaki połamały Damie nogi, to byłby koniec, spłonąłby ostatni mentalny most łączący Sebastiana z egocentrycznym światem pogoni za własnymi zachciankami. Dama musiał tańczyć! Tu, w sercu Miasteczka! Musiał! Sebastian zatrzymał się.

– Co ja, do cholery, robię? – jęknął.

Nie mogąc powstrzymać się przed ironicznym uśmieszkiem, wykonał niezdarny piruet. Musiał wybrać, tu i teraz podjąć nieodwołalną decyzję. Iść w odwiedzinę do Damy znaczyło tyle, co cofnąć się z obranej wczoraj ścieżki zmian, stchórzyć. Żyć jak dawniej, w strachu, marazmie i rosnącej nienawiści do ludzi. Skontrum życia przerwane w połowie. A tego prawdziwy bibliotekarz nigdy nie robi! Drżący spazmatycznie mężczyzna, wysilając wszelkie okruchy woli, jakie w sobie odnalazł, zawrócił. Zrobił kilka kroczków, lecz przystanął, spoglądając z niedowierzaniem na świeży grób. Z gąszczu wieńców wyzierał zdradliwie drobny fragment tablicy nagrobnej; dwie ostatnie i dwie pierwsze litery imienia i nazwiska trupa.

– ...ab... Ba... – przeczytał na głos uśmiechnięty Sebastian.

Kwadrans później stał już pod drzwiami Damy, ściskając w rękach kupioną po drodze flaszkę markowej wódki.

Stojący po przeciwległych stronach progu mężczyźni zmierzyli się wzorkiem. Dama, mimo kilku sińców na twarzy i spinającego łuk brwiowy szwu, sprawiał wrażenie całkiem sprawnego. Zerknął pożądlivie ku podarkowi przyniesionemu przez niespodziewanego gościa i cofnął się o krok, wpuszczając Sebastiana do środka.

– To w sumie miłe – zawyrokował tancerz, siadając przy kuchennym stole, na którym postawił wódkę – że wpadłeś. Wybacz, zapomniałem, jak się nazywasz.

– Sebastian.

– No tak, no tak.

– Słyszałem, co się stało i chciałem sprawdzić, czy wszystko gra.

– Bywało lepiej.

– Dobrze, że nie połamali ci nóg! Nie mógłbyś wtedy tańczyć, a przecież to... ważne.

– Racja.

Rozmówcy umilkli. Obaj zdawali sobie sprawę z oparów absurdu zalegających w kuchni. Oto dwaj kompletnie obcy sobie ludzie rozprawiają jak dawni kumple, których drogi życiowe los splótł raz jeszcze. Werbalna wata: praca, pogoda i „w ogóle” nieodzownie wypełniająca takie spotkania po latach w tym wypadku ustąpiła miejsca innym banałom, lecz prowadzona konwersacja pozostała niezmiennie jałowa.

– Chyba... – zaczął niepewnie Dama – chyba te gnojki miały jednak rację. To całe moje tańczenie jest nic nie warte. Nikt nie chce już ze mną gadać. Rozumiesz? Nikt! Wszyscy koledzy mają mnie za wariata, całe dnie siedzę tutaj i piję. Czasem coś wyłópię na mieście, ale też sam. Zawsze sam.

– Ale tańczysz, robisz, to co chcesz!

– I co z tego mam?

– Ludzie cię znają, wszyscy...

– Tak, znają, a jakże! Wszyscy znają Damę, tego wariata w kiece! Śmieszny pijaczyna, oto czym dla was jestem! – wrzasnął mężczyzna, podrywając się z miejsca. – Te wszystkie filmiki, które mnie niby promują! Ja nie jestem idiotą! Pół życia przepracowałem przy naszych miasteczkowych autobusach, na praktycznie całej linii produkcyjnej, przy skomplikowanych maszynach! Jestem wysokiej klasy specjalistą – zakomunikował z dumą – więc potrafię co nieco. Komputer też umiem obsługiwać, nauczyłem się.

– Siadaj...

– Ty mi nie rozkazuj w moim własnym domu! – ostrzegł tancerz, lecz zajął ponownie swoje miejsce. – Widziałem, co tam ludzie wypisują pod filmami z moim tańcem. Obelgi, żarty, żarciki, śmichy–chichy, wasza



mać! Zrobili ze mnie prowincjonalną atrakcję turystyczną, miejscowego oryginała i błazna. Błazna! Ja jestem pijak, wiem o tym, każdy to wie przecież. Ale postrzelonego trefnisia z siebie zrobić nie dam! Mam swój honor!

– I tak nagle zacząłeś przejmować się, co ludzie o tobie gadają? – spytał Sebastian, przyozdabiając twarz cynicznym półuśmieszkiem. – Parę ciosów w gębę i już chcesz siedzieć cicho, dostosować się?

– A co, zabronisz mi?!

– Nie. Skoro nie połamali ci nóg, ale złamali ducha, to ja już nic na to nie poradzę. Chciałem zobaczyć, czy wszystko z tobą w porządku, to zobaczyłem. Do widzenia.

– Czekaj! – zaskamlał Dama. – Napij się ze mną! Zaraz wstawię wódkę do lodówki, raz dwa się zmrozi, posiedzimy, pogadamy. Możemy nawet znowu zatańczyć, jak chcesz.

– Nie mam ochoty.

– Tylko po kieliszku! Czy tam po dwóch... Człowieku, ja tu wariuję, nie mam do kogo gęby otworzyć, zostań, pogadamy, jak facet z facetem, zupę mam nastawioną, to będzie można coś przekąsić, żeby na pusty nie pić, tak sobie posiedzimy trochę, bo pogoda pieska to i wychodzić szkoda – wyrzucił z siebie błagalny słowotok.

– Po prostu nie mam ochoty na wódkę – powtórzył, nieco poirytowany, Sebastian. – Pogadać zawsze można – dodał niechętnie.

– To ty taki! – oburzył się gospodarz. – Z flaszką przychodzisz, ale napić się nie chcesz?! Że co, że niby towarzystwo ci nie odpowiada? No wiadomo! Z taką moczymordą jak ja przecież pić nie będziesz!

– Daj spokój, człowieku...

– Ja nie jestem jakiś bezpański pies, żebyś mi rzucał kość i szedł dalej. Przyszedłeś do mojego domu, dajesz w prezencie dobrą wódkę, ale napić

się nie chcesz. Więc co ja mam sobie o tym pomyśleć?

– Myśl, co chcesz.

Dama warknęła, zręcznie chwycił butelkę za szyjkę i huknął nią o ścianę. Szkło prysło we wszystkie strony, a ostra woń uwolnionego alkoholu uderzyła w nozdrza znieruchomiałych mężczyzn. Sebastian wpatrywał się ponuro w dzierzony przez gospodarza tulipan, z którego szklanych płatków ściekały ostatnie krople trunku. Tancerz uśmiechnął się nieprzyjemnie, lecz odłożył pijacką broń na blat.

– Precz – rozkazał. – I żebym cię więcej tutaj nie widział!

Sebastian bez słowa odszedł od stołu, uważając przy tym, by nie nastąpić na zaścielające wykładzinę szklane odłamki. Odprowadził go dziwny odgłos, który można było uznać zarówno za stłumiony śmiech, jak i urywany szloch. Jakkolwiek było w rzeczywistości, dla opuszczającego mieszkanie Damy mężczyzny bezsporny pozostawał jedynie fakt, iż jego gospodarz tymczasowo skapitulował. Nie był już roztańczonym sztandarem wolności, a jedynie ogarniętym pijacką furją, zwykłym człowiekiem. A kto chciałby oglądać klauna bez makijażu? To byłby naprawdę smutny widok.

– Przypomniał mi się pewien żart – wychrypiął pod nosem opuszczający klatkę schodową Sebastian, naśladując złowieszczy głos podziwianego od lat komiksowego bohatera. – Facet z depresją idzie do lekarza. Mówi, że życie wydaje mu się ciężkie, że czuje się opuszczony w niebezpiecznym świecie – wyrecytował, podnosząc ton głosu. – Doktor mówi, że leczenie jest proste. Wielki kłown Pagliacci przyjechał do miasta, idź na jego przedstawienie, to powinno pomóc. Ale doktorze – wyjęczał Sebastian, zauważając przy tym, że mijani na chodniku przechodnie przyglądają mu się z podejrzliwością. – Ale doktorze... –

powtórzył, nabierając w płuca powietrza, by wrzasnąć: – JA JESTEM PAGLIACCI!

\*\*\*

Zagrzmiało. Snujący się wzdłuż rzeki Sebastian instynktownie zadarł głowę ku górze, świdrując wzrokiem ciemny całun chmur zalegający od rana nad Miasteczkiem. Teraz, w południe, niebo zmieniło barwę ze stalowoszarego w sinoczarne. Zapowiadała się naprawdę imponująca nawałnica! Mężczyzna przyspieszył nieznacznie kroku, opuszczając teren łąki sąsiadującej z małym lotniskiem dla śmigłowców ratunkowych. Uwielbiał widok szalejącej natury, lecz niekoniecznie pragnął znajdować się na otwartej przestrzeni w czasie tego spektaklu. Na szczęście od mostu dzieliło go niespełna dwadzieścia metrów, a po jego przekroczeniu mógł zatrzymać się w knajpce obok czołgu. Ten przeszklony, kryty blachą budynek sprawiał wrażenie doskonałego punktu obserwacyjnego na czas zawieruchy. Dotarł do niego niemalże biegnąc, chociaż pomimo kolejnego ostrzegawczego grzmotu, z nieba wciąż nie spadła jeszcze ani jedna kropla.

Wewnątrz, prócz znudzonego barmana, znajdowała się tylko pochłonięta lekturą dziewczyna. Sebastian rozpoznał charakterystyczną okładkę książki tuż przed tym, jak przypomniał sobie, skąd kojarzy twarz blondyneczki.

– Cześć, Ewka – rzucił, przysiadając się do stolika ulubionej czytelniczki Wojtka. – Więc lubisz Hrabala?

– Tak, bardzo – odpowiedziała niepewnie, odkładając niechętnie małą, różową książeczkę. – Chcesz czegoś?

– Tylko pogadać. Pamiętasz mnie?

– Tak – burknęła. – Oszukałeś mnie na drinkach – dodała oskarżycielsko.

– Prawdopodobnie. A właściwie tak, masz rację. Oszukałem. I co z tego?

– Nic – westchnęła.

– No to w porządku.

– Chciałabym dokończyć czytać, zostało mi jeszcze kilka stron... – poprosiła z nadzieją w głosie.

– To nawet ciekawe, że czytasz właśnie „Różowego kawalera”. Skoro jesteś na finiszu, to przeczytałaś już fragment, w którym Hrabal opisuje, jak to David Černý przemalował pamiątkowy praski czołg na różowo.

– Tak – odparła zrezygnowana, z westchnieniem chowając książkę do przepastnej torebki. – Nie odczepisz się, prawda?

– Wiesz – kontynuował niezrażony murem obojętności mężczyzna – też kiedyś chcieliśmy coś takiego zrobić. Ja, Wojtek i Tomek. Rudej nie wtajemniczyliśmy. To było w połowie średniej, kiedy Hrabal wydawał nam się jeszcze szalenie zabawny. Dopiero potem, z czasem, człowiek dostrzega, jak bardzo, przeraźliwie wręcz, smutne są te teksty. W każdym razie chcieliśmy przemalować ten nasz czołg na różowo. Miałem nawet wyprodukować jakiś łzawy manifest, żeby zwalić winę na pacyfistów. Taki fałszywy trop dla policji, rozumiesz? Nie chcieliśmy przecież potem problemów. Ale jakoś nie wyszło... A potem postawili ten nieszczęsny hotel naprzeciw czołgu, więc zrobiło się zbyt ruchliwie.

– Jasne, to przez hotel – prychnęła dziewczyna. – Jakbyście naprawdę chcieli, to w trójkę pomalowałibyście ten czołg raz dwa, a nie wymyślali jakichś tam planów, jak odciągnąć od was podejrzenia. Bo przecież nawet w razie wpadki mielibyście satysfakcję, że daliście radę i mieliście jaja, żeby odwalić taki numer.

– A poza jajami ze stali, to jeszcze wysokie grzywny do zapłacenia i zapaskudzone wandalizmem kartoteki.

– Raz się żyje.

– Dlatego trzeba klękać w klubowej toalecie?

Ewka zacisnęła gniewnie wargi, zamieniając usta w wąską, pobielającą szczelinę.

– Czego ty chcesz? – wycedziła. – Bo już od dłuższej chwili po prostu gadasz jak jakiś pijak, co ci ślina na język przyniesie.

– Już powiedziałem, chcę pogadać. I poobserwować burzę.

– Ma padać dopiero po południu.

– Nie zapowiada się, żeby wytrzymało do tego czasu.

– Taka jest prognoza.

– No chyba że taka jest prognoza.

– Kretyn.

Ewka zaczęła już wstawać, gdy Sebastian błyskawicznie nakrył jej dłoń swoją i energicznie docisnął do blatu, rozkazując:

– Zostań.

– Zostaw mnie – ostrzegła, lecz posłusznie zajęła swoje miejsce, zerkając przy tym trwożnie w stronę kontuaru.

Barman gdzieś zniknął. Najwyraźniej bezpieczeństwo klientki, która od ponad dwóch godzin zamówiła tylko herbatę, niewiele go obchodziło. Tymczasem rozmówca łaskawie cofnął swoją dłoń i taksował dziewczynę przenikliwym spojrzeniem przez jakąś minutę, zanim wydusił z siebie niemrawe:

– Przepraszam. W ogóle nie powinienem tu teraz być, miałem wyjechać. Nawet siedziałem już w autobusie, ale jakoś tak wyszło, że znów jestem tutaj, w Miasteczku. I czekam na burzę.

– Daj mi spokój.

– Ty też nie chcesz ze mną gadać?

– Nie.

– Jesteś szczerą. To miłe! Odwzajemnię się tym samym i spytam wprost: dlaczego się tak szmacisz, Ewka? Masz jakiś procent od tych wszystkich drinków, na które naciągasz napalonych facetów? Czy to tylko jakaś punktowa rywalizacja pomiędzy tobą a tamtą panienką potrząsającą przerośniętymi wymionami jak niewydojona krowa?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Wytrzymała świdrujące spojrzenie mężczyzny, chociaż zbierające się w oczach łzy wymusiły na niej kilka nerwowych mrugnięć. Ostatecznie to Sebastian pierwszy odwrócił wzrok, błędząc nim bez celu po salce. Dopiero wtedy dobiegł go spokojny, rzeczowy głos Eweliny:

– Mam dosyć. Dosyć jadącej na antydepresantach matki, dosyć harującego jak wół ojca, który z przemęczenia dostaje już krwotoków z nosa, ale nie rzuci roboty na nocną zmianę. Bo zawsze to parę groszy więcej. Nie mam zamiaru ssać z nich kasy jak huba, sama na siebie zarobię. I nie uśmiechaj się kretyńsko, nie mówię tu o zarobku na kolanach. Wiesz, dlaczego wszędzie łączę z tą tępą dupodajką Moniką? Jej rodzinka to miejscowe krezusy, obraca się w takich kręgach, do których ja nigdy bym nie dotarła. Poznałam już wystarczająco wiele ludzi, żeby móc się ustawić. Od lipca zaczynam pracę poza Miasteczkiem, wyjeżdżam stąd w cholerę! Będę zarabiać średnią krajową w biurze turystycznym, jeździć za darmo za granicę jako pilot wycieczek! Ja, „głupia Ewka”! Dla takiego życia warto... zrobić coś sprzecznego z sumieniem – dokończyła niepewnie. – Zresztą ty akurat nie masz najmniejszego prawa mnie krytykować, sam skorzystałeś! Jesteś jak diler, dodający do każdej sprzedanej działki ulotkę miejscowego ośrodka odwykowego.

– Piękna przemowa! Wiedzę, że te śliczne usta służą ci nie tylko do tych koniecznych dla poprawy bytu działań sprzecznych z sumieniem.

Dziewczyna, nie namyślając się wiele, wymierzyła rozmówcy solidny policzek. Uśmiechnął się sardonicznie i odpowiedział tym samym, lecz znacznie mocniej, nieomal strącając ją z krzesła. Tym razem barman nie pozostał bierny, natychmiast wypadł zza kontuaru i rzucił się w stronę Sebastiana. Mężczyzna zdołał jednak dopaść drzwi. Wybiegł na zewnątrz, mrużąc oczu przed niespodziewanym uderzeniem porywistego wiatru. Nie zmniejszył tempa, dopóki nie opuścił na dobre dzielnicy jednorodzinnych domków, rozciągniętej półksiężycem wokół rzeki. Zwolnił dopiero wtedy, gdy wkroczył w trzewia małego blokowiska, przycupniętego nieopodal miejscowego stadionu. Skóra na dłoni piekła nieprzyjemnie, przypominając o kolejnej pozycji na długiej liście wykroczeń, która *summa summarum* czyniła go, we własnych oczach, ludzkim śmieciem. Spojrzał, tym razem bez większego zainteresowania, ku burzowemu niebu i spacerowym krokiem udał się w kierunku dworca autobusowego.

\*\*\*

Zagrzmiało gdzieś blisko. Tomek wzdrygnął się, uważając przy tym, aby nie uronić ani kropli korzennego piwa z trzymanego w rękach kufla. Był wściekły. Nie na siedzącego naprzeciw Sebastiana, na którego wpadł przypadkiem w okolicach dworca, ale na siebie. Wystarczyła luźna propozycja starego kumpla, a od razu dał sobie spokój z mozolnym roznoszeniem CV i pozwolił się namówić na „jedno piwko”. Nawet nie wiedział, co właściwie Sebastian robił jeszcze w Miasteczku, skoro podobno wyjechał stąd rano. Przynajmniej tak powiedziała mu Malwina. A może kłamała? Od chwili powrotu z tej spontanicznej, nonsensownej wyprawy w Czady była jakaś dziwna, odleglejsza niż zwykle.

– Może wejdźmy do środka? – zaproponował niepewnie Tomek, kuląc się pod chłodnym pręgierzem kolejnego podmuchu wiatru.

– Po co? Wejdziemy, jak zacznie lać – odparł leniwie Sebastian, wodząc wzrokiem po opustoszałym ogródku piwnym i różowej, równie wyludnionej, płycie rynku. – A tak w ogóle po co biegasz z tymi papierami, zespół szwankuje?

– Skąd! Jest nieźle – zapewnił wymijająco rozmówca. – Po prostu Malwina suszy mi głowę o stałą robotę. Woli mieć gwarantowany niski, ale stały dochód, niż skokowe napływy większej gotówki – wyrecytował. – A poza tym może od tego roku będziemy chodzić do jakiegoś prywatnego lekarza. Wiesz, z Mateuszem... – dodał z lekkim zażenowaniem. – W każdym razie praca się przyda, choćby po to, żeby wziąć kredyt.

– A co z zespołem? Znajdziesz czas na robotę i granie jednocześnie?

– Nie. Już gadałem z jednym kumplem, jemu ostatnio rozpadła się kapela i szuka miejsca do zapuszczenia korzeni na nowo. Wskoczy za mnie. A ty w ogóle jak żyjesz? Nie mieliśmy za bardzo okazji do pogadania.

– Jakoś idzie.

– To spoko, spoko.

Tomek powtórzył jeszcze dwukrotnie „spoko” i opróżnił swój kufel w dwóch potężnych łykach. *To już trzecie* – pomyślał z rozpaczą. I wiedział, że na tym się nie skończy.

– Chyba faktycznie rozpada się dopiero po południu – stwierdził ze smutkiem Sebastian.

– Co?

– Nieważne. Idę do środka, wezmę ci kolejne.

– W porządku. Czekał, dam ci...

– Nie ma sprawy, powiedziałem, że będę stawiać.



– Dzięki.

Mężczyzna wrócił po kilku minutach ze zwieńczonym pienistą koroną naczyniem. *Znów wziął coś z górnej półki* – jęknął w duchu muzyk. A on potulnie siedział cicho i pozwalał kupować sobie kolejne browary po dychę lub więcej. Za zamówioną jakiś czas temu pizzę też zapłacił Sebastian. I zrobił to z ochotą! Zupełnie, jakby każda wydana moneta była policzkiem wymierzonym w niego, prowincjonalnego rockmana, któremu z pańskiego stołu spadł przed paru laty smakołyk w postaci Rudej. Sebastian zawsze lubił nieco się wywyższać, ale dopiero teraz widać było, ile przyjemności z tego czerpie. Ciekawe, co stało się podczas tej przeklętej wycieczki, na temat której Malwina milczała jak zaklęta? Czyżby jadł i pił za pieniądze faceta, który przeleciał mu żonę?

– A jak wam się układa w małżeństwie? – spytał od niechcienia Sebastian.

– Świetnie! – wypalił natychmiast poirytowany Tomek.

Na twarzy jego rozmówcy zakwitł uśmiezek. Co mógł oznaczać? Czy Ruda coś mówiła, skarżyła się? Zawsze to robiła, otwarcie narzekała na niego przed innymi ludźmi, ganiła delikatnie jak niegrzecznego, choć uroczego, psa. Nigdy nie wiedział, co naprawdę myślała kobieta, którą kochał. Jak potoczyłby się ich związek, gdyby nie wpadka? Co ją przy nim trzymało?! Mateusz? Przyzwyczajenie? Brak innych możliwości? A jeśli takie w końcu się pojawią? Sebastian na przykład. Ciekawe, z kim było jej lepiej? W życiu, w łóżku... Tomek rozpaczliwie odepchnął od siebie natłok wyniszczających myśli, spostrzegając z przerażeniem, że w ciągu kilku minut opróżnił niemal cały kufel. Uśmiechnął się ponuro i dopił resztkę pszenicznego piwa, pytając zadziornie:

– Skoczysz po następne?

– Jasne.

A więc czwarte, a piąte w drodze. Sięgnął ku leżącej na sąsiednim krześle teczce ze swoimi życiorysami. Jego wydrukowana, poważna twarz bez śladu zarostu patrzyła z lekceważeniem. Przejechał bezwiednie po pokrytym szczecina trzydniowego zarostu policzku. Wstał. Chwiejnym krokiem podszedł do stojącego nieopodal kosza, umieszczając wśród ufajdanych ketchupem serwetek i plastikowych sztućców do frytek listę tego, co reprezentował sobą jako ewentualny pracownik, kolejny plankton na rynku pracy. Kiedy wrócił do ławy, Sebastian już tam siedział, by z uśmiechem podać mu piwo. Kusiciel! Szatan!

– Jakie mi tym razem kupiłeś? – spytał zaczepnie Tomek.

– Rajske.

Muzyk wybuchnął śmiechem. Nie mógł powstrzymać nagłego napadu wesołości, chociaż ocierał się już o granicę histerycznego chichotu. Gdy w końcu umilkł, spojrzał wyzywająco prosto w oczy siedzącego naprzeciw mężczyzny. Dostrzegł w nich iskrę tłącą się niemrawo na dnie źrenic, jak ostrzegawcze światło rozpaczliwie migające przed przejazdem kolejowym. Ignorując ten omen, Tomek wdusił pedał gazu, sięgnął po kufel i chciwie zanurzył usta w puszystej pianie. Sebastian uśmiechnął się nieprzyjemnie.

\*\*\*

Donośny grzmot przebił się przez ogłuszający szum ciekących z czarnego nieba strumieni wody. Zrezygnowana Malwina patrzyła, jak świat za uchylonym, kuchennym oknem sukcesywnie rozmaka. Studzienki kanalizacyjne rzygały wezbraną pod betonową skórą miasta wodą, a wklęsłe, skorodowane czasem i wiecznym brakiem środków w budżecie chodniki przypominały koryta miniaturowych rzeczek. Lokalny potop zaczął się o piętnastej, w kwadrans po tym, jak Sebastian przyprowadził

zalanego w trupa Tomka. Od lat nie widziała męża w takim stanie, ostatnio był tak pijany w dniu, kiedy usłyszeli od lekarza diagnozę dotyczącą stanu Mateusza. Sebastian, naturalnie, był w miarę trzeźwy i była pewna, że to on świadomie doprowadził jej mężczyznę do kompletnej utraty kontroli. Teraz siedział tutaj i czekał sobie spokojnie, jak gdyby nigdy nic, aż skończy się piec faszerowany warzywami kurczak, którego zamierzała podać dziś na obiad swojej rodzinie. Bydlak!

– Dlaczego nie wyjechałeś? – spytała, uświadamiając sobie przy tym, że to pierwsze słowa, jakie skierowała do nieproszonego gościa od momentu, gdy przekroczył próg.

– Chciałem. Zbieg okoliczności...

– Przestań! Nie wiem, dlaczego w ogóle mogłam pomyśleć, że chcesz się zmienić. Wojtek miał rację, trzeba cię było zostawić pod zaporą i nie tracić czasu na terapeutyczne pogadanki.

– Mogę wyjść, jeśli tego chcesz.

– W taką ulewę?

– Nie jestem z cukru.

– Racja, betonowy człowieku. Siedź! Albo nie, idź lepiej do Mateusza, posiedzisz z nim trochę. Biedak przestraszył się, widząc praktycznie nieprzytomnego ojca, którego jakiś obcy facet wciąga do domu jak trupa.

– A ty...

– A ja skończę mieszać sałatkę. No! Idź. Kurczak będzie gotowy za kilkanaście minut, chyba tyle jakoś wytrzymasz w towarzystwie dziecka, prawda?

Sebastian zwlókł się bez słowa z taboretu.

Pokój dziecięcy, jak ze smutkiem odkrył, urządzono w najmniejszym z pomieszczeń, zajmowanym niegdyś przez niego. W jego pokoju!

– Cześć, Mateusz – mruknął przekraczając próg.

– Hej – odparł chłopczyk, nie zwracając większej uwagi na dorosłego.

Miał ważniejsze sprawy na głowie, niż rozmowa z kolegą jego rodziców. Ułożone na parkiecie dinozaury wymagały przeglądu, a on nie potrafił przypomnieć sobie, które z nich są mięsożerne, a które roślinożerne. Póki co ułożył je w jeden wielki stos, ale tak nie mogło zostać.

– Szukaj tylko takich, co lubią mięso – zarządził, odwracając się w stronę nieznajomego. – I kładź je wszystkie tutaj – rozkazał, pacnięciem wskazując stosowny obszar podłogi.

Sebastian usiadł po turecku naprzeciw zajmującego taką samą pozę malca, posłusznie wybierając wśród gąszczy figurek właściwe gatunki. Mateusz również gmerał rączką wśród plastikowych karykatur prehistorycznych gadów, co pewien czas flegmatycznie przyciągając do twarzy niektóre z nich w celu fachowych oględzin.

– Znasz się na dinozaurach – zauważył z wyraźnym uznaniem, wskazując na szybko rosnący stos drapieżników wznoszony przez Sebastiana. – Mama mówiła, że kiedyś mieszkałeś w tym pokoju.

– Rodzice opowiadali o mnie?

– Tak. I pokazywali zdjęcia. Ty jesteś Sebastian, ich kolega, który sobie potem pojechał. Wróciłeś? Będiesz teraz mieszkał w moim pokoju?

– Nie.

– Szkoda. Znasz się na dinozaurach. A tata nie.

– A mama?

– Mama trochę. Ale mama jest od czytania na dobranoc.

– Rozumiem.

Mateusz nie uznał za stosowne kontynuować konwersacji, więc mężczyzna powrócił do wyznaczonego mu zajęcia, co jakiś czas zerkając ukradkowo ku dziecku. Młody był podobny do ojca, te same oczy, rysy

i włosy. Mały Tomeczek, wypisz wymaluj! Tylko specyficzne, lekko spłaszczone płatki uszu odziedziczył po Rudej. Z jakiegoś powodu ten fakt zirytował Sebastiana. Gdyby nie te cholerne skrawki skóry można by było pomyśleć, że chłopak nie miał nic wspólnego z krzątającą się kilka metrów dalej kobietą. A jednak była jego matką, a w sąsiednim pokoju, zalany pod sam korek, leżał ojciec szkraba. I wujek Sebastian, który już tutaj nie mieszka.

– Co to? – zapytał w nagłym impulsie mężczyzna, wyciągając ze stosu figurek plastikowy sygnet ze szklaną imitacją diamentu.

– Magiczny pierścień. Od taty.

– Zaniosę mu go.

– Dobra.

Sebastian poczuł jak łomocze mu serce, chociaż nie mógł dociec przyczyny tej nagłej arytmii. Zerknął w wiszące w przedpokoju lustro, w którym odbijała się częściowo kuchnia. Malwiny nie było w polu widzenia, a szum wody i brzęk naczyń sugerował, że kobieta będzie zajęta co najmniej przez kilka minut. Mężczyzna ostrożnie zbliżył się do uchylonych nieznacznie drzwi położonego naprzeciw świata Mateusza pokoju. Ich sypialnia! Na prostym łóżku leżał Tomek, mamrocząc coś smutno przez sen. Na stojącym pod ścianą krześle wisiał przerzucony niedbale stanik. A więc Ruda nadal nie przywiązywała wagi do tego, gdzie leży jej wyjściowa bielizna. Zawsze miała osobne komplety do chodzenia po domu i „wszędzie poza”. Te ostatnie zwykle można było znaleźć wszędzie w promieniu dwóch metrów od miejsca, gdzie sypiała. Dla wygody. Ciężko zmienić nawyki!

– Tomek! – syknął śpiącemu do ucha podekscytowany Sebastian. – Wstawaj!

– Cooo...

– Ciii! Mam dla ciebie pierścień. Magiczny! Załóż go, będziesz mógł latać.

– Haaa?

Sebastian położył zabawkę przy głowie mężczyzny i podszedł do okna, które bez wahania otworzył na oścież. Tak, ciężko było zmienić stare nawyki, przyzwyczajenia, siebie. A Tomek zawsze wykazywał matematyczną wręcz zależność pomiędzy ilością wypitego alkoholu a zanikiem asertywności.

– Wstawaj! Załóż pierścień i leć! Raz dwa, żebyś zdążył jeszcze przed obiadem! Zabrałem go twojemu synkowi, on nie wie, jaką ma prawdziwą moc. Ale ty tak. Szybko!

– Mateusz... – zakwilił Tomek.

Sebastian wycofywał się, nieomal wpadając na stojącego w progu malca.

– Wracamy – wyszeptał ostrzegawczo.

Niemal wepchnął chłopca do jego pokoju, z trudem tłumiąc śmiech. Cóż za misterny plan! Nagrodził się w myślach oklaskami. Był w tym momencie tak bardzo żałosny, że miał ochotę napluć sobie w twarz. Nie był nawet w połowie tak szalony, jak by tego chciał! Choroba psychiczna? Prawdziwa zbrodnia? To nie dla ciebie, Sebastian! – pogroził sobie placem. Zwykła, nudna depresja, oto werdykt! I żaden wybuch gniewu, podłość, czy knowania nie mogły tego przekreślić.

– Myć ręce! – wrzasnęła z kuchni Malwina.

Wchodząc do łazienki wciąż nie potrafił przestać się uśmiechać. Ta nagła, okrutna chwila szczerości, na którą sobie pozwolił, była jak jupiter wycelowany w jego mózg. Wszyscy mogli już zobaczyć, że Sebastian nie jest szalony, jest po prostu smutny! Ot i cała zagadka. Planowanie pozbycia się dawnego przyjaciela, który był zbyt pijany, by choćby

przewrócić się na drugi bok za pomocą magicznego pierścienia, była kroplą, która przelała czarę cynicznej, brutalnej groteski, którą zraszał rzeczywistość, zmuszając ją do zachowania dystansu. Teraz, nareszcie, miała go w garści.

– Pada czy nie, zjem i znikam – oświadczył zaskoczonej Malwinie. – Wracam do siebie, tym razem naprawdę, jak poukładałam sobie co nieco w głowie pewnie znów przyjadę, wtedy będziemy mogli znów pojechać w Czady, ale tym razem w piątkę – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Brzmi genialnie – odparła z rezerwą kobieta. – Zawołaj Mateusza, Tomek i tak nie da rady zjeść.

Mężczyzna ochoczo ruszył do pokoju chłopca, znajdując tam jedynie rozsypane dinozaury.

– Mateusz! Obiad!

Cisza. Łazienka, toaleta, kuchnia naturalnie nie, salon? Może siedzi u Tomka? Sebastian otworzył drzwi sypialni i zlustrował wąskie pomieszczenie wzrokiem. Jego umysł zarejestrował na raz kilka faktów: pan domu chrapie, okno nadal otwarte, magiczny pierścień znikł. Ignorując tańczące przed oczyma mroczki, ruszył w stronę parapetu, lecz uprzedziła go Malwina. Matka podbiegła do okna, wychyliła się gwałtownie i nie cofnęła już głowy pomimo łupiących o nią lodowatych strug deszczu. Trwała nieruchomo w tej dziwnej pozycji dobre kilka minut, nim w końcu zaczęła wrzeszczeć.

## Epilog

Strach. Permanentny i obezwładniający. Strach! Sebastian był przerażony, a rozpalona do białości wyobraźnia bezlitośnie podsuwała mu kolejne scenariusze jego przyszłego losu. Gdyby zasłona pijackiej niepamięci spadła niespodziewanie z umysłu Tomka, to... Mężczyzna wzdrygnął się na myśl o tym, co mogłoby go spotkać. Ogólnokrajowa nagonka, społeczny tatuaż dzieciobójcy, który musiałby nosić do końca życia. A przynajmniej przez kilka miesięcy, nim opinia publiczna zbulwersuje się jakąś inną tragedią. Natomiast z prawnego punktu widzenia sprawa wyglądała lepiej, w najgorszym razie dadzą mu zawiasy za nieumyślne spowodowanie śmierci. Będzie też musiał jak najszybciej zacząć leczenie, najlepiej od razu uderzać do psychiatry. To dobrze wyglądałoby w papierach, niepoczytalność to konik, na którym już niejeden odjechał w siną dal, z dala od więziennych murów. Przede wszystkim musiał teraz zachować spokój!

Sebastian wzdrygnął się, wodząc zdumionym wzrokiem po twarzach otaczających go ludzi. Nagła świadomość tego, gdzie się znajduje, natychmiast rozpałała przygasające węgliki lęku, który pochłonał umysł mężczyzny.

Tymczasem ceremonia pogrzebowa dobiegała końca. Trumienka już spoczęła w ziemi, a pierwsi ludzie zaczęli nieśmiało podchodzić do mogiły, by obrzucić sosnową skrzynię grudkami ziemi. Malwina nie ruszała się z miejsca, wtulona w Wojtkę. Oszołomiony Tomek stał nieco dalej, rozpaczliwie unikając nienawistnych spojrzeń żałobników. Wieść o bulwersujących przyczynach tragedii błyskawicznie obiegła Miasteczko, a stamtąd wyruszyła rącho dalej, na podbój Kraju i mediów. WSZYSCY wiedzieli zatem, że to wyrodny ojciec-pijak doprowadził do śmierci



synka. Grad oskarżeń nie ustawał od kilku dni, a jego odpryski zaczynały docierać nawet do Malwiny. Co to za matka! Nie dopilnowała! Po co była z kimś takim?! Pewnie razem chcieli pozbyć się trefnego dzieciaka! Społeczno–medialny rozrzutnik gnoju nie był specjalnie wybredny w kogo miotał swoje zarzuty i moralne przestrogi.

– Ja naprawdę nie pamiętam... – syknął Sebastianowi do ucha Tomek, który nagle zmaterializował się tuż obok. – Spałem! Ja tylko spałem... Po co my tyle piliśmy? Po co – jego głos nieśmiało przybrał ganiący ton – mi tyle kupowałeś?

– Nie zwalaj tego na mnie.

– Masz rację, to ja. To wszystko ja...

Tomek zaczął szlochać, a gęstniejący z minuty na minutę tłum zabuczał groźnie. Łzy winnego! Zbiegowisko, niczym wygłodniałe rekiny, zwietrzyło słodką krew poczucia winy nieodpowiedzialnego ojca. Sebastian rozejrzał się dookoła, próbując dostrzec wśród gapiów znajome twarze. Na próżno. Wielu z obecnych nie było nawet stosownie ubranych, sprawiali więc wrażenie, jakby przybiegli tu oderwani wprost od codziennych zajęć. Zobaczyć potwora, mordercę i pijaka. Pogrzeb dziecka był ponurą atrakcją, której nie mogło przepuścić wielu znudzonych prowincjonalnym życiem quasi–ludzi. Naturalnie sporą grupę stanowili też bliscy Malwiny, część twarzy była również znana Sebastianowi, to wspólni znajomi ich paczki stanęli na wysokości zadania i przyjechali tu nawet z odległych zakątków Kraju. Co pewien czas ich spojrzenia zatrzymywały się też na Sebastianie, a szmer oskarżycielskiego szeptu wyraźnie wskazywał, że nie zapomniano jeszcze o jego winie. Ale czymże był teraz facet, który pobił narzeczoną wobec rodzica odpowiedzialnego za śmierć dziecka? Znów ktoś go przyćmił.

– Chodź – nakazał władczo Sebastian, chwytając Tomka pod ramię – odejdzmy kawałek, musisz się uspokoić.

Mężczyzna nie protestował. Dał się zaprowadzić poza szczelny okrąg złowrogiego tłumu i przysiadł na jednym z nagrobków, po chwili w pełni dając upust wyniszczającym go emocjom. Zwinięty w kłębek leżał na granitowej płycie, skowycząc żałośnie. Sebastian rzucił jakiś uspokajający, kondolencyjny banał i ruszył w stronę wyjścia z cmentarza, gdy zatrzymał go wrogi głos Wojtka:

– Uciekasz?

– Tak – odparł, odwracając się ku adwersarzowi. – I tak zostałem tu o kilka dni dłużej, niż zamierzałem.

– Jeśli chodzi o mnie, możesz siedzieć tutaj choćby do końca świata, Rudej przyda się teraz wsparcie. A ja nie dam rady zapewnić jej tego w pojedynkę.

Tomek zakwilił, lecz Dobry Człowiek całkowicie zignorował jego obecność, kontynuując:

– Nie możesz uciec.

– Ruda trzyma się zaskakująco dobrze.

– Prochy ją trzymają. Dostała receptę na jakieś ściervo, które robi z człowieka zombie. Ja nie mogę nagle wziąć urlopu, jestem w środku skonstrum! Oczywiście pomogę jej na wszelkie możliwe sposoby, ale nie mogę stracić pracy, rozumiesz?

– Nie jestem tu potrzebny.

– Jesteś! Do cholery, jesteś jej teraz potrzebny bardziej, niż kiedykolwiek w życiu!

– Nie. Ta straszna tragedia to może być dla niej punkt zwrotny, nie potrzeba jej cienia z przeszłości, niech patrzy w przyszłość! Musi zmienić

swoją perspektywę rzeczywistości. Ze mną też tak było, kiedy dałem w pysk...

– Ty nawet w takiej chwili chcesz gadać o sobie – stwierdził z niedowierzaniem Wojtek. – W porządku, jedź! Tylko pozwól mi wyświadczyć ci ostatnią przysługę.

– Czyli?

– Muszę zmienić twoją perspektywę rzeczywistości.

Dobry Człowiek zadziałał w mgnieniu oka. Jego zbieła, pokryta sznurami żył pięść roztrzaskała doszczętnie nos Sebastiana. Zaskoczony mężczyzna padł na asfalt. Skulony, oczekiwał następnego ciosu, lecz Wojtek już odszedł. Zostawił przeżartego żalem Tomka i rozpalonego nienawiścią Sebastiana własnemu losowi. Wmieszał się w tłum żałobników, by po chwili ponownie stanąć u boku otępiełej Malwiny.

– Zdrada! – syknął Sebastian, wracając do pozycji wyprostowanej. – Zawsza zdrada! Na twoim miejscu – zwrócił się z ponurą satysfakcją w stronę Tomka – zabiłbym się. Morderco!

Mężczyzna zaczął gaworzyć, ostatecznie tracąc kontakt z okrutną rzeczywistością. Sebastian triumfalnie splunął w jego stronę mieszanką plwociny i gęstniejącej krwi, by następnie szybkim marszem, niemal biegiem, opuścić teren nekropolii. Po kilku minutach wędrówki wzdłuż głównej drogi dotarł do małego, półlegalnego postoju taksówek.

– Na dworzec autobusowy – rzucił beznamiętnie kierowcy.

– Się robi. A co to, na pogrzebie tak pana urządzili? – spytał inwazyjnie włączający się do ruchu kierowca.

– Ta.

– Dziwne i dzikie teraz to społeczeństwo – zawyrokował kierowca – żeby bić nad trumną? Tak się nie robi!

– Nie robi – powtórzył bezmyślnie Sebastian, wpatrując się w zbroczony krwią krawat. – Tak się faktycznie nie robi.

*Tak się nie robi* – powtórzył raz jeszcze w myślach i wybuchnął histerycznym śmiechem.

*Pisać skończyłem w październiku 2014 roku.*

*Sanok /Kraków.*

**Autor:** Benjamin Muszyński

**Tytuł:** Moja mała trylogia

**Grafika na okładce:** Justyna Bzdoń

**Korekta:** Justyna Anna Maksoń

**Wersja elektroniczna:** Anna Jakubowska

*Niniejsza publikacja nie może być modyfikowana ani odsprzedawana bez pisemnej zgody Autora. Dozwolone jest jej kopiowanie oraz dystrybucja bezpłatna (na licencji freeware).*

**Patroni medialni:**

Paragrafka - Twoje źródło informacji o grach paragrafowych!:

[www.paragrafka.pl](http://www.paragrafka.pl)

Wydawnictwo Wielokrotnego Wyboru:

[www.masz-wybor.com.pl/ksiegarnia/](http://www.masz-wybor.com.pl/ksiegarnia/)

Kontakt z autorem:

[benjamin.muszynski@wydawnictwoww.pl](mailto:benjamin.muszynski@wydawnictwoww.pl)

Numer ISBN: 978-83-946213-1-5

**Copyright © by Benjamin Muszyński, 2016.**

**Kraków 2016**